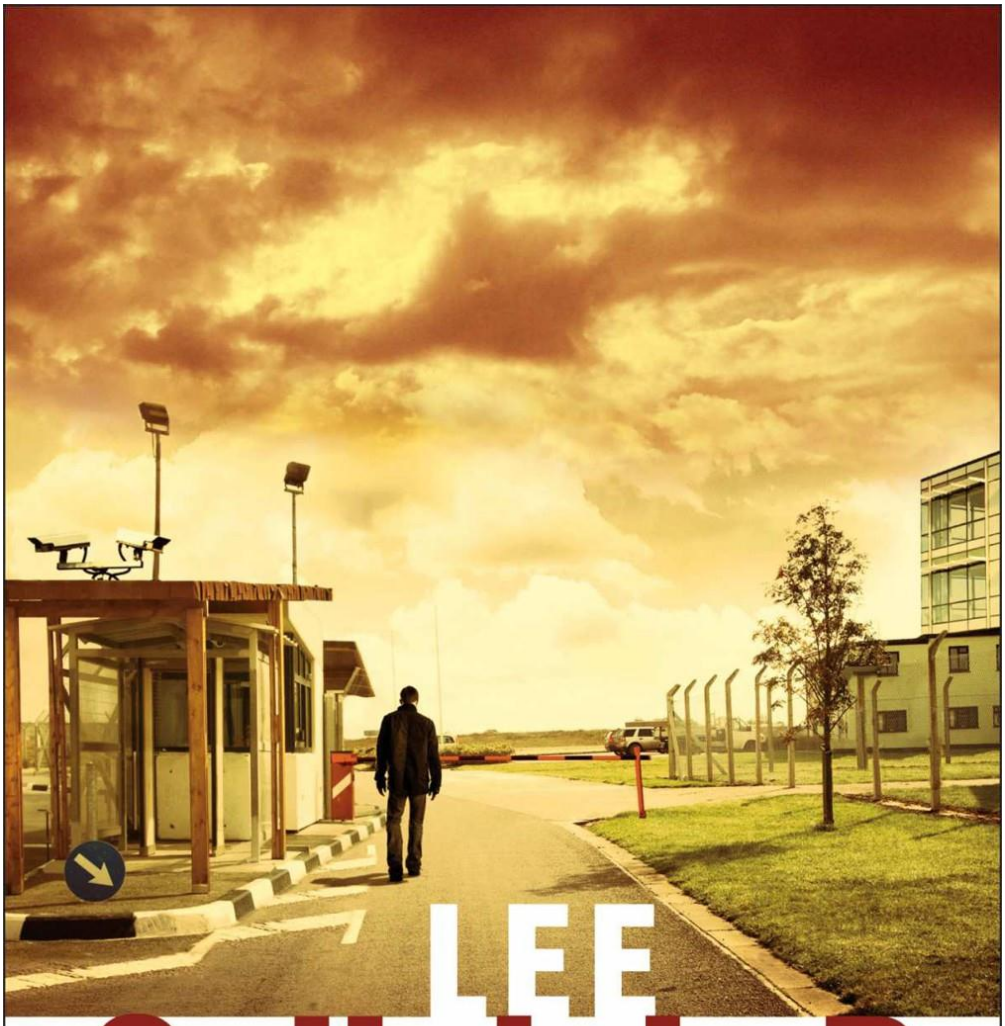

LEE

CHILD

JACK REACHER

Nigdy nie wracaj

LEE CHILD

NIGDY NIE WRACAJ

(Never Go Back)

Polskie tłumaczenie Andrzej Szulc

Wydanie polskie: 2014

Wydanie oryginalne: 2013

Tytuł oryginału:
NEVER GO BACK

Copyright © Lee Child 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2014

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2014

Redakcja: Beata Słama

Zdjęcia wykorzystane na okładce:
Jonathan Ring *(postać)*, Alamy/BE & W (*tło/budynki)*

Ilustracja okładkowa: Bantam Press

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-022-8

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

Moim czytelnikom,
z serdecznymi podziękowaniami

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko:
Jack Reacher
(drugiego imienia nie ma)

Narodowość:
Amerykańska

Urodzony:
29 października 1960 roku

Charakterystyczne dane:
195 cm; 99-110 kg;
127 cm w klatce piersiowej

Ubranie:
Kurtka 3XLT,
długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie:
Szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie;
Akademia Wojskowa West Point

Odznaczenia służbowe:

Wysokie:
Srebrna Gwiazda,
Medal za wzorową służbę
Medal żołnierza,
Legia Zasługi

Ze środkowej półki:
Soldier's Medal, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Z dolnej półki:
„Junk awards"

Matka:
Josephine Moutier Reacher,
ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Ojciec:
Żołnierz zawodowy, korpus piechoty morskiej, służył w Korei i Wietnamie, zm. 1988

Brat:
Joe, ur. 1958, zm. 1997;
5 lat w wywiadzie armii

Przebieg służby:

13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych;
w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Stanów Zjednoczonych;
Departament Skarbu

Ostatni adres:

Nieznany

Czego nie ma:

Prawa jazdy;
prawa do zasiłku;
zwrotu nadpłaconego podatku;
dokumentu ze zdjęciem;
osób na utrzymaniu

1

Ostatecznie wsadzili Reachera do samochodu i zawieźli do oddalonego o półtora kilometra motelu, gdzie nocny recepcjonista dał mu pokój, w którym było wszystko, czego Reacher się spodziewał, bo nocował już w takich pokojach tysiąc razy. Był tam wspólny dla obu pokoi hałaśliwy grzejnik, przy którym trudno zasnąć i który pozwala zaoszczędzić na prądzie, były wkręcone wszędzie, dające tę samą oszczędność niskowatowe żarówki, cienka wykładzina dywanowa, która wysycha parę godzin po wypraniu, dzięki czemu pokój można wynająć tego samego dnia. Nie żeby prano ją zbyt często. Wykładzina była w ciemny deseń, który świetnie maskował plamy. Podobnie jak narzuta na łóżku. Wszystko wskazywało na to, że prysznic będzie przerdzewiały, a brodzik na wpół zatkany, ręczniki cienkie, mydło mikroskopijne, a szampon tani. Meble były drewniane, ciemne i porysowane, telewizor mały i stary, zasłony szare od brudu.

Wszystko zgodnie z oczekiwaniami. Nic, czego by nie widział już tysiąc razy.

Ale tak czy owak dziadostwo.

Więc nie chowając nawet klucza do kieszeni, obrócił się na pięcie i wyszedł z powrotem na parking. Było chłodno i trochę wilgotno. W połowie wieczoru, w połowie zimy, w północno-wschodnim zakątku Wirginii. Niedaleko toczył leniwie wody Potomac. Za nim, na wschodzie, był Dystrykt Kolumbii, bijący od niego blask rozjaśniał chmury.

Stolica kraju, w którym działy się najróżniejsze rzeczy.

Samochód, którym go podwieźli, już odjeżdżał. Reacher patrzył, jak tylne światła giną we mgle. Po chwili zniknęły i świat ucichł i zastygł w bezruchu. Ale tylko na minutę. Nagle pojawił się inny samochód, sunący dziarsko i żwawo, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza. Skręcił na parking. Zwykły sedan, w ciemnym kolorze. Prawie na pewno rządowy. Kierował się w stronę recepcji, ale kiedy jego reflektory omiotły nieruchomą postać Reachera, ruszył w jego stronę.

Goście. Cel wizyty nieznany, wiadomość dobra lub zła.

Auto zatrzymało się równolegle do budynku, w takiej samej odległości od Reachera, jak ta, która dzieliła go od drzwi pokoju, zostawiając mu miejsce wielkości bokserskiego ringu. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Mimo chłodu ubrani byli tylko w opięte białe podkoszulki oraz sportowe spodnie podobne do tych, jakie sprinterzy ściągają tuż przed biegiem. Obaj mieli mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu i ważyli dziewięćdziesiąt kilo. Mniejsi od Reachera, ale niewiele. Obaj byli żołnierzami. To nie ulegało wątpliwości. Reacher poznał to po ich uczesaniu. Żaden cywilny fryzjer nie byłby tak pragmatyczny ani tak brutalny. Nie pozwoliłyby na to prawa rynku.

Facet, który siedział na miejscu pasażera, obszedł maskę i dołączył do kierowcy. Obaj stanęli ramię przy ramieniu. Obaj mieli na nogach adidasy, duże, białe i bezkształtne. Żaden nie był ostatnio na Bliskim Wschodzie. Ani śladu opalenizny, ani śladu znużenia i napięcia w oczach. Obaj byli młodzi, gdzieś w okolicy trzydziestki. Formalnie rzecz biorąc, Reacher mógłby być ich ojcem. Wyglądali na podoficerów. Prawdopodobnie starszych szeregowców albo kaprali, nie sierżantów. Nie mogli być sierżantami. Nie byli wystarczająco bystrzy. W gruncie rzeczy nie byli wcale bystrzy. Mieli puste, tępe twarze.

– Jack Reacher? – odezwał się facet, który siedział na miejscu pasażera.

– Kto chce wiedzieć? – odpowiedział pytaniem Reacher.

– My.

– A kim jesteście?

– Twoimi doradcami prawnymi.

Co było oczywiście nieprawdą. Reacher wiedział o tym. Wojskowi prawnicy nie podróżują parami i nie oddychają przez usta. Ci faceci nie byli prawnikami. A zatem zła, a nie dobra wiadomość. W takim przypadku najlepiej podjąć natychmiastową akcję. Dość łatwo zamarkować nagłe zrozumienie, skwapliwie podejść z wyciągniętą w powitalnym geście ręką, dość łatwo sprawić, by skwapliwie wyciągnięta ręka niepowstrzymanie uniosła się do ciosu, łokieć mocno trafił w twarz faceta po lewej stronie, a prawa stopa uderzyła w ziemię, tak jakby celem całego tego ćwiczenia było zabicie wyimaginowanego karalucha, podczas gdy w rzeczywistości energia wygenerowana przez tupnięcie pozwala skierować ten sam łokieć w gardło faceta po prawej stronie, raz, dwa, trzy, łup, trzask, prask, gra skończona.

Dość łatwo. I to jest zawsze najbezpieczniejsze wyjście. Stara mantra Reachera: zastosuj odwet, zanim nastąpi atak. Zwłaszcza kiedy przeciwnik ma przewagę liczebną, kiedy jest młodszy i ma więcej energii.

Ale. Nie był pewien. Nie do końca. Jeszcze nie. I nie mógł popełnić takiej pomyłki. Nie w tym momencie. Nie w tych okolicznościach. Czuł, że powinien się hamować. Pozwolił, by chwila minęła.

– I jak brzmi wasza porada prawna? – zapytał.

– Zachowanie niezgodne z honorem oficera – stwierdził facet. – Okryłeś hańbą jednostkę. Sąd wojenny zaszkodziłbynam wszystkim. Więc wynoś się stąd w podskokach. I nigdy nie wracaj.

– Nikt nic nie mówił o sądzie wojennym.

– Jeszcze nie. Ale wkrótce o nim usłyszysz. Więc nie przeginaj pały.

– Mam rozkaz tu zostać.

– Wcześniej nie mogli cię znaleźć. Teraz też nie znajdą. Wojsko nie korzysta z usług łowców ludzi. A żaden łowca i tak nie trafi na twój ślad. Biorąc pod uwagę to, jak żyjesz.

Reacher milczał.

– Więc taka jest nasza porada prawna – podsumował facet.

– Odnotowałem – mruknął Reacher.

– Chodzi nie tylko o to, żebyś ją odnotował.

– Tak?

– Oferujemy ci zachętę.

– Jakiego rodzaju?

– Za każdym razem, kiedy cię tu znajdziemy, skopiemy ci dupę.

– Naprawdę?

– Zaczynając od dzisiaj. Żebyś miał ogólne pojęcie, co masz robić.

– Kupowaliście kiedyś jakieś urządzenie elektryczne? – zapytał Reacher.

– A co to ma do rzeczy?

– Widziałem kiedyś jedno w sklepie. Ma z tyłu żółte ostrzeżenie. Piszą tam, że niewłaściwe użycie grozi śmiercią lub kalectwem.

– I co z tego?

– Przyjmijmy, że do mnie jest dołączone takie ostrzeżenie.

– Nie boimy się ciebie, stary.

„Stary". Reacherowi stanął przed oczyma ojciec. W jakimś słonecznym miejscu. Pewnie na Okinawie. Stan Reacher, urodzony w Lakonii w stanie New Hampshire, kapitan piechoty morskiej, stacjonujący w Japonii wraz z żoną i dwoma nastoletnimi synami. Reacher i jego brat mówili na ojca „stary" i w ich oczach rzeczywiście był stary, mimo że musiał mieć wtedy dziesięć lat mniej, niż Reacher miał tego wieczoru.

– Zabierajcie się stąd – powiedział. – Wracajcie tam, skąd przyjechaliście. To wszystko was przerasta.

– My tak tego nie widzimy.

– Kiedyś tak zarabiałem na życie – dodał. – Ale pewnie o tym wiecie?

Bez odpowiedzi.

– Znam wszystkie ruchy – zaznaczył. – Niektóre sam wymyśliłem.

Bez odpowiedzi.

Reacher nadal trzymał w ręku klucz. Ogólna zasada: nie atakuj faceta, który właśnie zamknął za sobą drzwi. Pęk kluczy jest lepszy, ale nawet pojedynczy klucz może być skuteczną bronią. Oprzyj główkę o wnętrze dłoni, ustaw trzonek między palcem wskazującym i środkowym i masz całkiem porządny kastet.

Ale. To byli tylko głupi gówniarze. Nie było powodu, by się unosić. Ani łamać im kości.

Reacher schował klucz do kieszeni.

Ich adidasy wskazywały, że nie mieli zamiaru go kopać. Nikt nie wymierza kopniaków w miękkich sportowych butach. To nie ma sensu. Chyba że zamierza się kopać wyłącznie w celu uzyskania punktów. Tak jak to się odbywa w jednej z tych fetyszystowskich sztuk walki, której nazwa przypomina chińską potrawę. Taekwondo i tak dalej. Sprawdza się świetnie na olimpiadzie, ale beznadziejnie na ulicy. Unosząc nogę jak pies przy hydrancie, człowiek aż się prosi, żeby spuścić mu manto. Prosi się, żeby go przewrócić i skopać do nieprzytomności.

Czy ci faceci w ogóle o tym wiedzieli? Czy przyjrzeli się jego stopom? Reacher miał na nich ciężkie buciory. Wygodne i trwałe. Kupił je w Dakocie Południowej i zamierzał nosić przez całą zimę.

– Wchodzę do środka – oznajmił.

Bez odpowiedzi.

– Dobranoc – dodał.

Bez odpowiedzi.

Reacher wykonał płynnie ćwierć obrotu, zrobił pół kroku w stronę drzwi i tak jak się spodziewał, dwaj faceci rzucili się na niego, poruszając się chaotycznie i o wiele szybciej niż on i mając zamiar go złapać.

Reacher odczekał chwilę, pozwalając im się rozpędzić, a potem wykonał ćwierć obrotu z powrotem. W tym momencie poruszał się już tak samo szybko jak oni, sto dziesięć kilogramów zderzających się ze stu osiemdziesięcioma, i obracał się nadal, celując szerokim lewym sierpowym w faceta po lewej stronie. Cios zgodnie z planem trafił go prosto w ucho, jego głowa poleciała w bok i odbiła się od ramienia partnera, którego Reacher walnął prawym hakiem w podbródek. Uderzenie dosięgło celu jak na rysunku instruktażowym i głowa faceta poleciała w górę i do tyłu prawie w tym samym momencie i w taki sam sposób, w jaki głowa jego partnera poleciała na bok. Jakby obaj byli lalkami, a lalkarz kichnął.

Nadal jednak trzymali się na nogach. Facet z lewej kołysał się niczym marynarz na okręcie, ten z prawej zataczał się do tyłu. Mężczyzna z lewej z trudem zachowywał równowagę i miał zupełnie odsłonięty korpus. Reacher walnął go w splot słoneczny, na tyle mocno, że zabrakło mu tchu, ale nie aż tak mocno, by spowodować trwały uraz neurologiczny. Facet zgiął się wpół, przykucnął i złapał za kolana. Reacher ominął go i podszedł do tego z prawej strony, który zobaczył go i próbował trafić prawym prostym. Reacher odparował uderzenie lewym przedramieniem i znów zastosował cios w splot słoneczny.

Facet zgiął się wpół, tak samo jak kolega.

Ustawienie ich twarzami w odpowiednią stronę i popchnięcie obcasem buta, najpierw jednego, potem drugiego, w stronę samochodu nie nastręczyło już większych trudności. Walnęli całkiem mocno głowami w drzwi i legli na ziemi. Na karoserii pozostały płytkie wgłębienia. Obaj nadal byli przytomni i spazmatycznie łapali powietrze.

Rano czekał ich ból głowy i konieczność tłumaczenia się z uszkodzeń samochodu. I na tym koniec. Biorąc pod uwagę okoliczności, obszedł się z nimi całkiem łagodnie. Miłosiernie. Uprzejmie. Nawet delikatnie.

Stary.

Mógłby być ich ojcem.

Przebywał w Wirginii dopiero od niecałych trzech godzin.

2

Reacher w końcu tam dotarł, pokonując całą drogę z zasypanej śniegiem Dakoty Południowej. Ale nie tak szybko. Dwa razy zatrzymało go coś w Nebrasce, a potem też szło mu niesporo. Długo czekał w Missouri, nim zabrał go srebrny ford prowadzony przez kościstego faceta, który nawijał przez całą drogę z Kansas City do Columbii, a potem nagle umilkł. W Illinois było szybkie porsche, jak się domyślał, kradzione, a potem na stacji benzynowej dwaj faceci z nożami. Chcieli, żeby im oddał pieniądze, i zdaniem Reachera, nie wyszli jeszcze ze szpitala. Na dwa dni utknął w Indianie, a potem trafił mu się poobijany niebieski cadillac, prowadzony powoli przez dystyngowanego starszego dżentelmena w muszce tak samo niebieskiej jak jego samochód. W Ohio spędził cztery dni w małym miasteczku i w końcu zabrał się czerwonym silverado, którym podróżowała młoda para z psem, szukająca przez cały dzień pracy. Na którą, zdaniem Reachera, mogli liczyć tylko oni dwoje. Psu niełatwo będzie znaleźć jakieś zatrudnienie. Niewykluczone, że zawsze będzie na cudzym garnuszku. To był duży, bezużyteczny kundel jasnej maści, mniej więcej czteroletni, ufny i przyjazny. I chociaż był środek zimy, chętnie dzielił się sierścią. Pod koniec Reacher cały był pokryty złotym puchem.

Potem nastąpił bezsensowny wypad na północny wschód do Pensylwanii, ale nie udało mu się złapać okazji w innym kierunku. Spędził dzień w pobliżu Pittsburgha, a następnie dzień w pobliżu Yorku, i w

końcu czarny, mniej więcej dwudziestoletni facet zawiózł go białym, mniej więcej trzydziestoletnim buickiem do Baltimore w stanie Maryland. Generalnie wolno to trwało.

Ale z Baltimore poszło już jak z płatka. Baltimore przycupnęło na międzystanowej autostradzie numer dziewięćdziesiąt pięć i następnym przystankiem był Dystrykt Columbii. Ta część Wirginii, do której zmierzał Reacher, położona była w gruncie rzeczy w obrębie Waszyngtonu, niewiele dalej na zachód od cmentarza Arlington niż Biały Dom na wschód. Reacher dojechał z Baltimore autobusem. Wysiadł na dworcu za Union Station i przeciął miasto, najpierw idąc K Street do Washington Circle, potem Dwudziestą Trzecią do pomnika Lincolna, i w końcu przez most do cmentarza. Przy jego bramie był przystanek autobusowy. Lokalnej linii, głównie dla ogrodników. Generalnie celem Reachera było Rock Creek, jedno z wielu w tym rejonie miejsc o takiej nazwie, ponieważ wszędzie było dużo skał i strumieni, a osadnicy mieszkali daleko od siebie i mieli podobne nazewnicze nawyki. W epoce peruk, bryczesów do kolan oraz wszechobecnego błota Rock Creek było z pewnością małą wioską zamieszkaną przez kolonizatorów, ale później stało się kolejnym anonimowym skrzyżowaniem na mającym dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych obszarze zabudowanym drogimi domami i tanimi kompleksami biurowymi. Wyglądając przez okno autobusu, Reacher rozpoznawał stare widoki, odnotowywał nowe nabytki i czekał.

Jego celem był przysadzisty budynek wzniesiony mniej więcej sześćdziesiąt lat wcześniej w dawno już zapomnianym celu przez pobliski departament obrony. Może czterdzieści lat później złożyła na niego ofertę żandarmeria wojskowa, jak się okazało, przez pomyłkę. Jakiś oficer miał na myśli inne Rock Creek. Ale i tak dostał ten budynek. Przez pewien czas stał pusty, a potem przydzielono go nowo sformowanej 110. specjalnej jednostce żandarmerii wojskowej.

Było to najbliższe pojęciu domu miejsce, jakie Reacher kiedykolwiek posiadał.

Wysiadł z autobusu w odległości dwóch przecznic, na rogu, u stóp

długiego wzniesienia, które pokonywał kiedyś tyle razy. Droga przed nim była trzypasmowa, wysadzana starymi drzewami, z chodnikami z popękanych betonowych płyt. Budynek dowództwa stał po lewej stronie, na szerokiej działce za wysokim kamiennym murem. Widać było tylko jego dach z szarych łupków, po północnej stronie pokryty mchem.

Z trzypasmówki prowadził do niego wjazd biegnący między dwoma ceglanymi filarami, które w czasach Reachera pełniły funkcję czysto dekoracyjną, ponieważ nie było między nimi bramy. Teraz jednak została zamontowana. Na kolumnach osadzono ciężkie stalowe wrota ze stalowymi kółkami, które toczyły się po wpuszczonych w stary asfalt zakrzywionych szynach. W teorii było to spowodowane wymogami bezpieczeństwa. Ale nie w praktyce, bo wrota były otwarte. Za nimi, tuż za kręgiem zataczanym przez kółka, stała budka wartownika, która również była nowa. Pełnił w niej wartę starszy szeregowiec w mundurze ACU, który zdaniem Reachera przypominał piżamę, cały workowaty i we wzorki. Późne popołudnie przechodziło we wczesny wieczór i robiło się coraz ciemniej.

Reacher podszedł do budki wartownika i szeregowiec posłał mu pytające spojrzenie.

– Przyszedłem odwiedzić waszą komendant – powiedział Reacher.

– Ma pan na myśli major Turner? – spytał facet.

– Ilu macie tutaj komendantów?

– Tylko jedną, proszę pana.

– Ma na imię Susan?

– Tak jest, proszę pana. Zgadza się. Major Susan Turner, proszę pana.

– To właśnie z nią chcę się widzieć.

– Jakie mam podać nazwisko?

– Reacher.

– Jakiego rodzaju ma pan sprawę?

– Osobistą.

– Proszę chwilę zaczekać. – Facet podniósł słuchawkę telefonu i zawiadomił kogoś wyżej. Pan Reacher z wizytą do major Turner. Rozmo-

wa trwała o wiele dłużej, niż Reacher się spodziewał. W którymś momencie wartownik zasłonił dłonią słuchawkę. – Jest pan tym samym Reacherem, który był tu kiedyś dowódcą? – zapytał. – Majorem Jackiem Reacherem?

– Tak.

– I rozmawiał pan przez telefon z major Turner, przebywając gdzieś w Dakocie Południowej?

– Tak.

Facet przekazał dwie twierdzące odpowiedzi i przez chwilę słuchał swojego rozmówcy. W końcu odłożył słuchawkę.

– Może pan wejść, proszę pana – powiedział. Miał chyba zamiar udzielić mu wskazówek, ale zreflektował się. – Zna pan chyba drogę – dodał.

– Chyba tak – potwierdził Reacher i ruszył do środka. Po przejściu dziesięciu kroków usłyszał za sobą głośny zgrzyt i obejrzał się.

Wrota zamykały się za nim.

• • •

Stojący przed nim budynek utrzymany był w klasycznym stylu departamentu obrony z lat pięćdziesiątych. Długi i niski, z kamienia, cegły i łupków, z zielonymi metalowymi futrynami okien i zielonymi okrągłymi poręczami przy prowadzących do wejścia schodach. Lata pięćdziesiąte to był złoty wiek dla departamentu obrony. Kolosalny budżet. Siły lądowe, marynarka wojenna, siły powietrzne i piechota morska dostawały wszystko, czego chciały. A nawet więcej. Na parkingu stały samochody. Kilka wojskowych sedanów, zwyczajnych, ciemnych i porządnie zużytych, i kilka prywatnych pojazdów w jaśniejszych kolorach, ale na ogół starszych. Obok małego czerwonego roadstera stał samotny humvee, wielki ciemnozielono-czarny i złowrogi. Reacher zastanawiał się, czy roadster nie należy do Susan Turner. Wydawało mu się to całkiem prawdopodobne. Przez telefon robiła wrażenie kobiety,

która może jeździć czymś takim.

Wspiął się po kilku kamiennych schodkach do drzwi. Te same schodki, te same drzwi, choć od tamtego czasu odmalowane. Zapewne więcej niż raz. Armia ma tony farby i zawsze chętnie jej używa. Za drzwiami wszystko wyglądało z grubsza tak samo jak zawsze. Po prawej stronie holu schody na pierwsze piętro, po lewej recepcja. Dalej hol przechodził w korytarz, który biegł wzdłuż całego budynku, z drzwiami po lewej i prawej stronie. W drzwiach były szybki z trawionego szkła. Na korytarzu paliło się światło. Była zima i w budynku stale panował półmrok.

W recepcji siedziała kobieta w takiej samej piżamce ACU jak facet przy bramie, ale z dystynkcjami sierżanta na naszywce pośrodku piersi. Niczym tarcza strzelnicza, pomyślał Reacher. Cel, pal! Znacznie bardziej wolał stary wzór munduru w leśny kamuflaż. Kobieta była czarna i chyba nie ucieszył jej jego widok. Sprawiała wrażenie bardzo poruszonej.

– Jack Reacher do major Turner – powiedział.

Kobieta kilka razy otworzyła i zamknęła usta, jakby miała mu mnóstwo do powiedzenia.

– Lepiej niech pan idzie na górę do jej gabinetu – odezwała się w końcu. – Wie pan, gdzie to jest?

Reacher pokiwał głową. Wiedział, gdzie to jest. To był kiedyś jego gabinet.

– Dziękuję, sierżant – powiedział.

Wszedł po schodach. Takie same sfatygowane kamienne płytki, taka sama metalowa poręcz. Chodził tymi schodami tysiące razy. Zakręcały raz, kończyły się dokładnie nad środkiem holu i wychodziły na długi korytarz pierwszego piętra. Paliły się tam światła. Podłoga wyłożona była takim samym linoleum. W drzwiach gabinetów po prawej i po lewej stronie tkwiły takie same szybki z trawionego szkła jak na parterze.

Jego gabinet był trzeci po lewej stronie.

To znaczy gabinet Susan Turner.

Sprawdził, czy koszula nie wystaje mu ze spodni i przeczesał palcami włosy. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Spodobał mu się jej głos

przez telefon. To wszystko. To był głos interesującej osoby. Chciał się z nią spotkać. Po prostu. Dał dwa kroki do przodu i stanął. Mogła go wziąć za wariata.

Ale kto nie ryzykuje, ten traci. Wzruszył ramionami i szedł dalej. Trzeci gabinet po lewej. Drzwi były takie same jak kiedyś, tyle że pomalowane. Lite na dole, przeszklone na górze. Deseń na półmatowym trawionym szkle dzielił wszystko na pionowe prążki. Na ścianie przy klamce wisiała tabliczka w korporacyjnym stylu z napisem „Komendant jednostki, major S.R. Turner". Za czasów Reachera napis był odbity z szablonu na drewnie pod szybą i jeszcze bardziej lapidarny: „Komendant mjr Reacher".

Zapukał.

Usłyszał niewyraźny głos. To mogło być „wejść". Odetchnął głęboko, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Spodziewał się jakichś zmian. Nie było ich jednak zbyt wiele. Takie samo linoleum na podłodze, ciemne i niezbyt starannie wyfroterowane. Takie samo biurko, stalowe jak pancernik, pomalowane, lecz tu i tam starte do gołego metalu, nadal wgniecione w miejscu, gdzie pod koniec swojego urzędowania walnął w blat głową pewnego faceta. Takie same krzesła, to za biurkiem i to przed nim, praktyczne meble z połowy ubiegłego stulecia, które teraz można by opchnąć za dużą forsę w hipsterskim sklepie w Nowym Jorku albo San Francisco. Takie same szafki na akta i taka sama lampa: zawieszona na trzech krótkich łańcuszkach biała szklana misa.

Różnice były w większości łatwe do przewidzenia i wynikające z upływu czasu. Na biurku stały trzy konsole telefoniczne, podczas gdy wcześniej był tam jeden ciężki i czarny aparat z tarczą. Tam, gdzie przedtem leżały tacki na dokumenty przychodzące i wychodzące oraz ryza papieru, stały dwa komputery, stacjonarny i laptop. Mapa na ścianie była nowa i aktualna, a pod sufitem paliła się zielonkawym niezdrowym światłem fluorescencyjna, energooszczędna żarówka. Postęp, nawet w departamencie sił zbrojnych.

Tylko dwie rzeczy w gabinecie były zaskakujące i trudne do przewi-

dzenia.

Po pierwsze, osoba siedząca za biurkiem nie była majorem, lecz podpułkownikiem.

Po drugie, nie była kobietą, lecz mężczyzną.

3

Mężczyzna siedzący za biurkiem miał na sobie typowy mundur polowy armii USA z pikselowym kamuflażem. Tyle że na nim wyglądał on gorzej niż na innych. Niczym kostium przebierańca. Niczym coś, co wkłada się na Halloween. Nie dlatego, że facet był szczególnie nieforemny, ale ponieważ sprawiał wrażenie poważnego, piastującego kierownicze stanowisko biurokraty, którego najskuteczniejszą bronią jest zaostrzony ołówek, a nie karabin M16. Miał stalowe oprawki okularów i stalowoszare włosy ostrzyżone i uczesane jak u ucznia. Jego dystynkcje i naszywki potwierdzały, że naprawdę jest podpułkownikiem armii Stanów Zjednoczonych i że nazywa się Morgan.

– Przepraszam, pułkowniku – powiedział Reacher. – Szukam major Turner.

– Siadajcie, Reacher – odparł facet, który nazywał się Morgan.

Dominująca osobowość jest czymś rzadkim i cennym, w armii nader pożądanym. A facet, który nazywał się Morgan, miał ją rozwiniętą w bardzo dużym stopniu. Jego głos, podobnie jak włosy i oprawki okularów, był stalowy. Nie wredny, nie chełpliwy i nie napastliwy. Po prostu bazujący na przekonaniu, że każdy rozsądny człowiek zrobi dokładnie to, co każe mu Morgan, ponieważ nie ma wyboru.

Reacher usiadł na krześle dla gościa, bliżej okna. Krzesło miało sprężyste metalowe nóżki i najpierw ugięło się lekko, a potem odgięło pod jego ciężarem. Pamiętał to uczucie. Siadywał na nim wcześniej z ta-

kiego czy innego powodu.

– Proszę mi dokładnie wyłuszczyć cel pańskiej wizyty – poprosił Morgan.

W tym momencie Reacher zaczął się obawiać, że usłyszy smutną wiadomość: Susan Turner nie żyje. Prawdopodobnie zginęła w Afganistanie. Albo w wypadku drogowym.

– Gdzie jest major Turner? – zapytał.

– Nie tu – odparł Morgan.

– Więc gdzie?

– Być może do tego dojdziemy. Ale najpierw muszę wiedzieć, skąd bierze się pańskie zainteresowanie.

– Jakie zainteresowanie?

– Major Turner.

– Nie jestem nią zainteresowany.

– Wymienił pan jej nazwisko przy bramie.

– To sprawa osobista.

– To znaczy?

– Rozmawiałem z nią przez telefon. Wydała mi się interesującą osobą. Pomyślałem, że wpadnę i zaproszę ją na kolację. Regulamin polowy nie zabrania jej się zgodzić.

– Ani, co całkiem możliwe, odmówić.

– W rzeczy samej.

– O czym rozmawialiście przez telefon? – zapytał Morgan.

– O tym i owym.

– A dokładnie?

– To była prywatna rozmowa, pułkowniku. I nie wiem, kim pan jest.

– Jestem komendantem sto dziesiątej jednostki specjalnej.

– Nie major Turner?

– Już nie.

– Sądziłem, że to stanowisko powinien objąć ktoś w randze majora, a nie podpułkownika.

– To tymczasowe dowództwo. Moją specjalnością jest rozwiązywanie problemów. Przysłano mnie, żebym tu posprzątał.

– Coś było tutaj niepoprzątane? To chce mi pan powiedzieć?

Morgan zignorował to pytanie.

– Wybrał się pan tu specjalnie, żeby spotkać się z major Turner? – zapytał.

– Niespecjalnie – odparł Reacher.

– Czy zażądała, żeby pan się tutaj zjawił?

– Niespecjalnie – powtórzył Reacher.

– Tak czy nie?

– Ani jedno, ani drugie. Moim zdaniem taka była niesprecyzowana intencja obu stron. Gdybym był przypadkiem w tej okolicy. Coś w tym rodzaju.

– I tak się złożyło, że przebywa pan w tej okolicy. Dlaczego?

– A dlaczego nie? Muszę gdzieś przebywać.

– Twierdzi pan, że jechał tu aż z Dakoty Południowej, opierając się na niesprecyzowanej intencji?

– Spodobał mi się jej głos – odparł Reacher. – Ma pan z tym jakiś problem?

– Jeśli się nie mylę, jest pan bezrobotny?

– Aktualnie tak.

– Od jak dawna?

– Od zakończenia służby w wojsku.

– To niewybaczalne.

– Gdzie jest major Turner? – zapytał Reacher.

– Nie rozmawiamy o major Turner – odparł Morgan.

– W takim razie o czym rozmawiamy?

– Rozmawiamy o panu.

– O mnie?

– Zupełnie bez związku z major Turner. Ale to ona wyciągnęła pańskie akta. Może pan ją zaciekawił. Przy pańskich aktach była adnotacja. Kiedy je wyciągnęła, powinno to było zwrócić naszą uwagę. Co zaoszczędziłoby nam trochę czasu. Niestety, tak się nie stało i adnotację zauważono dopiero, kiedy je zwróciła. Ale lepiej późno niż wcale. Bo w końcu się pan pojawił.

– O czym pan mówi?

– Zna pan niejakiego Juana Rodrigueza?

– Nie. Co to za jeden?

– W swoim czasie interesowała się nim sto dziesiąta. Teraz nie żyje. Zna pan kobietę o nazwisku Dayton? Candice Dayton?

– Nie. Ona też nie żyje?

– Nie, pani Dayton na szczęście nadal żyje. Chociaż, jak się okazuje, jej życie nie jest usłane różami. Na pewno pan jej nie pamięta?

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Masz kłopoty, Reacher.

– Z jakiego powodu?

– Sekretarz armii otrzymał dokument obdukcji, z którego wynika, że pan Rodriguez zmarł wskutek pobicia, do którego doszło szesnaście lat temu. Biorąc pod uwagę, że w takich wypadkach nie obowiązuje przedawnienie, stał się ofiarą zabójstwa.

– Twierdzi pan, że sprawcą był któryś z moich ludzi? Szesnaście lat temu?

– Nie, wcale tego nie twierdzę.

– To dobrze. A co sprawia, że życie pani Dayton nie jest usłane różami?

– To mnie nie interesuje. O tym porozmawia z panem ktoś inny.

– W takim razie powinien się pan pośpieszyć. Skoro nie zastałem major Turner, nie zabawię tu długo. W okolicy nie ma zbyt wielu innych atrakcji.

– Zatrzyma się pan na dłużej – odparł Morgan. – Czeka nas długa i interesująca rozmowa.

– Na jaki temat?

– Dowody wskazują, że to pan pobił pana Rodrigueza przed szesnastu laty.

– Bzdura.

– Dostanie pan adwokata. Jeżeli to bzdura, na pewno to panu powie.

– Bzdura w tym znaczeniu, że pan i ja nie odbędziemy długiej i interesującej rozmowy. I nie będę miał adwokata. Jestem cywilem, a pan jest

dupkiem w piżamie.

– Rozumiem, że nie zamierza więc pan z nami dobrowolnie współpracować?

– Dobrze pan zrozumiał.

– Zna pan dział dziesiąty Kodeksu Stanów Zjednoczonych?

– Oczywiście, pewne jego paragrafy.

– Zatem wie pan zapewne, że zgodnie z treścią jednego z tych paragrafów, gdy ktoś w pana stopniu odchodzi z wojska, nie przechodzi automatycznie do cywila. Nie od razu i nie ostatecznie. Staje się rezerwistą. Nie ma obowiązków, ale może być w każdej chwili powołany.

– Przez ile lat? – zainteresował się Reacher.

– Miał pan certyfikat bezpieczeństwa.

– Świetnie to pamiętam.

– Pamięta pan, jakie papiery musiał pan podpisać, żeby go dostać?

– Z grubsza. – Reacher pamiętał, że w pomieszczeniu było kilku facetów, wszyscy poważni i w sile wieku. Prawnicy, notariusze, pieczęcie i pieczątki.

– Było tam sporo rzeczy drobnym drukiem – ciągnął Morgan. – Skoro miał pan poznać sekrety rządu, to chyba oczywiste, że rząd chciał mieć nad panem pewną kontrolę. Wcześniej, w trakcie i później.

– Jak długo później?

– Większość tych rzeczy jest tajna przez sześćdziesiąt lat.

– To komiczne.

– Niech pan się nie martwi – odparł Morgan. – Przepisy nie mówiły, że ma pan być rezerwistą przez sześćdziesiąt lat.

– To dobrze.

– Mówiły coś gorszego. Mówiły, że pozostaje pan w rezerwie bezterminowo. Niestety Sąd Najwyższy wyciął nam psikusa, kwestionując te przepisy. Zobowiązał nas do respektowania trzech standardowych wymogów obowiązujących w całym dziale dziesiątym.

– To znaczy?

– Żebyśmy mogli pana skutecznie przywrócić do służby, musi pan cieszyć się dobrym zdrowiem, mieć poniżej pięćdziesiątego piątego

roku życia i kwalifikować się do odbycia szkolenia.

Reacher nie odezwał się.

– Jak pańskie zdrowie? – zapytał Morgan.

– Nie narzekam.

– Ile ma pan lat?

– Daleko mi jeszcze do pięćdziesięciu pięciu.

– Nadaje się pan do szkolenia?

– Wątpię.

– Ja też. Ale to możemy sprawdzić empirycznie w trakcie służby.

– Mówi pan serio?

– Najzupełniej. Niniejszym przywracam pana oficjalnie do czynnej służby wojskowej – oznajmił Morgan.

Reacher się nie odezwał.

– Znowu jest pan w armii Stanów Zjednoczonych. Teraz pański tyłek należy do mnie.

4

Obyło się bez wielkich fanfar. Żadnej procedury przyjęcia albo ponownego przyjęcia. Morgan wypowiedział tylko formułkę i zaraz potem w pokoju zrobiło się trochę ciemniej, bo na korytarzu stanął facet i zasłonił światło wpadające przez panel z trawionego szkła. Reacher widział go, całego w pionowych prążkach, wysokiego, barczystego wartownika, stojącego w pozycji spocznij, plecami do drzwi.

– Jestem zobowiązany poinformować pana – powiedział Morgan – że przysługuje mu procedura odwoławcza. Może się pan z nią zapoznać. Dostanie pan adwokata.

– Naprawdę?

– To zupełnie logiczne. Będzie pan próbował odwołać się od decyzji powołującej pana do wojska. Z czego wynika, że rozpocznie pan służbę. Co oznacza, że dostanie pan to, co uzna za stosowne dać panu armia. Ale sądzę, że okaże pan odrobinę rozsądku.

– Nie pamiętam żadnego Juana Rodrigueza.

– W tej sprawie również dostanie pan adwokata.

– Co przytrafiło się temu facetowi?

– To pan mi powie – odparł Morgan.

– Nie mogę. Nie pamiętam go.

– Zostawił go pan z urazem mózgu, który doprowadził w późniejszym czasie do jego zgonu.

– Co to był za jeden?

– Zaprzeczanie na dłuższą metę nic panu nie da.

– Niczemu nie zaprzeczam. Mówię panu, że nie pamiętam tego faceta.

– Tę dyskusję może pan odbyć ze swoim adwokatem.

– A kim jest Candice Dayton?

– O tym również porozmawia pan z adwokatem. Ale innym.

– Dlaczego innym?

– Bo to inny rodzaj sprawy.

– Czy jestem aresztowany?

– Nie – odparł Morgan. – Jeszcze nie. Prokuratorzy podejmą tę decyzję, kiedy uznają to za stosowne. Do tego czasu podlega pan moim rozkazom. Na razie zachowa pan swój dawny stopień. Administracyjnie jest pan przydzielony do tej jednostki. Ma pan rozkaz traktować ten budynek jako miejsce swojej służby i pojawiać się tutaj codziennie przed ósmą rano. Nie wolno panu opuszczać tego rejonu. Przez rejon rozumiem obszar w promieniu ośmiu kilometrów od tego biurka. Zostanie pan zakwaterowany w miejscu, które przydzieli panu armia.

Reacher nie odezwał się.

– Ma pan jakieś pytania, majorze? – zapytał Morgan.

– Czy będę musiał nosić mundur?

– Na tym etapie nie.

– Cóż za ulga.

– To nie są żarty, Reacher. Potencjalne zagrożenia są poważne. To znaczy dla pana. W najgorszym razie dostanie pan dożywocie w Leavenworth za morderstwo z premedytacją.

Choć zważywszy, że minęło już szesnaście lat, bardziej prawdopodobne wydaje się dziesięć lat za zabójstwo. To, co pana czeka w jednostce, też nie wygląda zachęcająco, jeśli wziąć pod uwagę, że będziemy musieli ustosunkować się do faktu, że popełnił pan przestępstwo. Pana zachowanie zostanie prawdopodobnie uznane za nielicujące z honorem oficera, co pociągnie za sobą kolejne zwolnienie z wojska, tym razem karne. Ale wszystkiego dowie się pan od adwokata.

– Kiedy?

– Stosowny departament został już zawiadomiony.

• • •

W starym budynku nie było aresztu ani odpowiednio zabezpieczonych pomieszczeń. Nigdy ich nie było. Wyłącznie gabinety. Reacher wciąż siedział na krześle dla gościa, kompletnie ignorowany. Za drzwiami stał wartownik w pozycji spocznij. Morgan przestał się nim interesować i zaczął stukać w klawisze, pisać i przewijać strony na laptopie.

Reacher próbował sobie przypomnieć Juana Rodrigueza. Przed szesnastu laty dowodził sto dziesiątą już od dwunastu miesięcy. To był początek jego urzędowania. Nazwisko Rodriguez miało latynoskie brzmienie. Reacher znał wielu Latynosów, w wojsku i w cywilu. Pamiętał, że zdarzało mu się któregoś z nich uderzyć, w wojsku i w cywilu, ale żaden nie nazywał się Rodriguez. A jeśli Rodriguezem interesowali się w sto dziesiątej, z pewnością zapamiętałby jego nazwisko. Zwłaszcza w tamtym wczesnym okresie, kiedy każda sprawa była ważna. Sto dziesiąta była czymś w rodzaju eksperymentu. Każde posunięcie obserwowano. Każdy wynik oceniano. Każdy fałszywy krok kończył się wiwisekcją.

– Jaki był domniemany kontekst? – zapytał.

Żadnej reakcji ze strony Morgana. Facet stukał, pisał i przewijał. Więc Reacher spróbował przypomnieć sobie kobietę, Candice Dayton.

Znał wiele kobiet, w wojsku i w cywilu. Candice to dość popularne imię. Podobnie jak nazwisko Dayton. Ale połączone ze sobą nic mu nie mówiły. Zdrobnienie też. Candy Dayton? Candice Dayton? Nie przypominał sobie. Ale nie pamiętał wszystkiego. Nikt nie pamięta wszystkiego.

– Czy Candice Dayton była w jakiś sposób związana z Juanem Rodriguezem? – zapytał.

Morgan podniósł wzrok, jakby zdziwiło go, że ma gościa w swoim gabinecie. Albo jakby zapomniał. Nie odpowiedział na pytanie. Pod-

niósł tylko słuchawkę jednego ze skomplikowanych telefonów, zamówił samochód i kazał Reacherowi zaczekać przy biurku sierżanta na dole.

• • •

Trzy kilometry dalej mężczyzna, którego tylko trzy osoby na świecie znały jako Romea, wyjął komórkę i wystukał numer mężczyzny, którego tylko dwie osoby na świecie znały jako Juliet.

– Został powołany do służby – oznajmił. – Morgan umieścił to właśnie w komputerze.

– I co teraz będzie? – zapytał Juliet.

– Za wcześnie prorokować.

– Zwieje?

– Normalny człowiek by zwiał.

– Gdzie go zakwaterują?

– Chyba w tym samym motelu co zawsze.

• • •

Sierżant za biurkiem na parterze była tak samo małomówna jak wcześniej. Reacher oparł się o ścianę i w milczeniu czekał. Dziesięć minut później do budynku wszedł starszy szeregowiec. Zasalutował i poprosił Reachera, żeby mu towarzyszył. Oficjalnie i grzecznie. Reacher domyślał się, że dopóki mu czegoś nie udowodnią, jest uznany za niewinnego. Przynajmniej przez niektórych. Na zewnątrz stał sfatygowany wojskowy sedan z zapalonym silnikiem. Obok niego przytupywał wyraźnie skrępowany młody porucznik. Otworzył tylne drzwi i Reacher wsiadł do samochodu. Porucznik zajął miejsce pasażera, a szeregowiec kierowcy. Półtora kilometra dalej skręcili pod motel, starą pogrążoną w mroku ruderę przy pustej o tej porze podmiejskiej trzypasmówce. Porucznik podpisał papiery, nocny recepcjonista dał Re-

acherowi klucz i szeregowiec odwiózł porucznika z powrotem.

A potem pojawił się drugi samochód z facetami w podkoszulkach i sportowych spodniach.

5

W sportowych spodniach nie było żadnych kieszeni i nie miały ich również podkoszulki. Żaden z mężczyzn nie nosił nieśmiertelnika. Ich samochód też był czysty. Nie było w nim nic oprócz wojskowego dowodu rejestracyjnego leżącego w schowku na rękawiczki. Żadnej broni, żadnych rzeczy osobistych, żadnych ukrytych portfeli, karteluszków ani paragonów za benzynę. Tablice rejestracyjne miały standardowe oznaczenia rządowe. Z wyjątkiem dwóch nowych wgnieceń w drzwiach, samochód nie odbiegał od normy.

Facet z lewej strony blokował drzwi kierowcy. Reacher przeciągnął go dwa metry po asfalcie. Mężczyzna nie stawiał oporu. Życie to nie serial telewizyjny. Kiedy uderzysz faceta mocno w bok głowy, nie zerwie się od razu z ziemi i nie rzuci do walki. Będzie godzinę albo dłużej leżał oszołomiony, nękany torsjami i zdezorientowany. Lekcja, której nauczono się dawno temu: ludzki mózg o wiele gorzej znosi przesunięcie z boku na bok niż z przodu do tyłu. Jak większość rzeczy, to prawdopodobnie dziedzictwo ewolucji.

Reacher otworzył drzwi od strony kierowcy i wsiadł do samochodu. W stacyjce tkwił kluczyk. Przesunął fotel do tyłu i uruchomił silnik. Przez dłuższą chwilę siedział, wpatrując się w przednią szybę. „Wcześniej nie mogli cię znaleźć. Teraz też nie znajdą. Wojsko nie korzysta z usług łowców ludzi. A żaden łowca i tak nie trafi na twój ślad. Biorąc pod uwagę to, jak żyjesz”.

Poprawił lusterko, wcisnął lekko hamulec i przestawił dźwignię na jazdę. „Zachowanie nielicujące z honorem oficera, co pociągnie za sobą kolejne zwolnienie z wojska, tym razem karne". Zdjął nogę z hamulca i odjechał.

• • •

Pojechał prosto do starego budynku dowództwa i zaparkował pięćdziesiąt metrów przed nim na trzypasmówce. W samochodzie było ciepło i nie gasił silnika, żeby nie zmarznąć.

Obserwując budynek przez przednią szybę, nie zobaczył żadnej aktywności. Nikt nie wjeżdżał ani nie wyjeżdżał. Za jego czasów sto dziesiąta pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu, i nie widział powodu, żeby coś się pod tym względem miało zmienić. Nocny wartownik powinien przez cały czas być na posterunku, nocny oficer dyżurny w środku, a inni oficerowie powinni zakończyć służbę, kiedy tylko wykonają swoją robotę, co mogło się zdarzyć w każdym dowolnym momencie. Normalnie. Ale nie tego dnia. Nie w kryzysowym momencie i z pewnością nie kiedy w dowództwie jest fachman od rozwiązywania problemów. Nikt nie mógł wyjść przed Morganem. Wojskowa zasada numer jeden.

Morgan wyjechał godzinę później. Reacher zobaczył go całkiem wyraźnie. Zwykły sedan przejechał przez bramę, skręcił w trzypasmówkę i minął Reachera w zaparkowanym samochodzie. Reacher spostrzegł Morgana siedzącego w swojej piżamce i okularach, z przylizanymi gładko włosami, patrzącego prosto przed siebie i trzymającego obie ręce na kierownicy niczym wybierająca się do sklepu babcia. Zerknął we wsteczne lusterko i zobaczył, jak tylne światła Morgana znikają za szczytem wzniesienia.

Czekał.

I rzeczywiście w ciągu kwadransa nastąpił prawdziwy exodus. Z jednostki wyjechało pięć kolejnych samochodów, dwa skręcając w lewo,

trzy skręcając w prawo, cztery prowadzone solo, jeden z trzema osobami na pokładzie. Wszystkie były pokryte kropelkami nocnej rosy i za wszystkimi snuły się białe obłoczki spalin z zimnych silników. W końcu zniknęły w oddali po prawej i lewej stronie, spaliny rozwiały się i znowu zapadła cisza.

Reacher zaczekał jeszcze dziesięć minut. Na wszelki wypadek. Ale nie zdarzyło się nic więcej. Oddalony o pięćdziesiąt metrów budynek stał ciemny i cichy. Nocny strażnik, pełniący wartę w swoim własnym świecie. Reacher wrzucił bieg, zjechał powoli na dół i skręcił w stronę bramy. W budce był nowy żołnierz. Młody facet o nieprzeniknionym stoickim spojrzeniu. Reacher zatrzymał się i opuścił szybę.

– Słucham? – zapytał chłopak.

Reacher podał mu swoje nazwisko.

– Zgłaszam się do służby zgodnie z rozkazem – powiedział.

– Słucham? – powtórzył chłopak.

– Jestem na waszej liście?

Chłopak sprawdził.

– Tak, proszę pana – odparł. – Major Reacher. Ale miał się pan zgłosić jutro rano.

– Kazano mi się stawić przed godziną ósmą zero zero.

– Tak, panie majorze. Ale teraz jest godzina dwudziesta trzecia. Wieczorem.

– Czyli zgłosiłem się przed godziną ósmą zero zero. Zgodnie z rozkazem.

Chłopak nie odpowiedział.

– To kwestia chronologii – wyjaśnił Reacher. – Chcę jak najszybciej zabrać się do pracy, dlatego jestem trochę wcześniej.

Bez odpowiedzi.

– Jeśli chcecie, możecie zapytać pułkownika Morgana. Na pewno dotarł już na kwaterę.

Bez odpowiedzi.

– Albo możecie zapytać sierżant dyżurną.

– Tak jest, panie majorze – powiedział chłopak. – Tak właśnie zrobię.

Zadzwonił, przez chwilę słuchał i odłożył słuchawkę.

– Sierżant prosiła, żeby pan się do niej zgłosił, majorze – powiedział.

– Możecie być pewni, że to zrobię, żołnierzu – odparł Reacher.

Przejechał przez bramę i zaparkował obok małego czerwonego roadstera, który nadal stał na parkingu, dokładnie w tym samym miejscu co wcześniej. Wysiadł, zamknął samochód i podszedł do wejścia. W holu panowały cisza i spokój. Różnica jak między dniem i nocą, dosłownie. Ale za biurkiem zobaczył tę samą sierżant. Kończyła to, co miała do zrobienia przed zejściem ze służby, siedząc na wysokim stołku i stukając w klawiaturę. Sporządzając pewnie dzienny raport. Sprawozdawczość to ważna rzecz, wszędzie w całym wojsku. Przestała stukać w klawisze i podniosła wzrok.

– Czy zapisujecie tę wizytę w oficjalnym raporcie? – zapytał Reacher.

– Jaką wizytę? Powiedziałam szeregowcowi przy bramie, żeby też tego nie robił.

Nie była już taka małomówna. Nie kiedy jednostkę opuścił komendant przywieziony w teczce. Robiła wrażenie młodej, ale niesamowicie skutecznej, podobnie jak sierżanci na całym świecie. Na naszywce nad jej prawą piersią widniało nazwisko Leach.

– Wiem, kim pan jest – powiedziała.

– Spotkaliśmy się wcześniej? – zapytał Reacher.

– Nie, panie majorze, ale cieszy się pan tu pewną sławą. Był pan pierwszym komendantem tej jednostki.

– Wie pani, dlaczego znowu mnie powołano?

– Tak jest, panie majorze. Powiedziano nam.

– Jakie były reakcje?

– Mieszane.

– A jaka jest pani reakcja?

– Na pewno jest jakieś sensowne wytłumaczenie. Poza tym szesnaście lat to szmat czasu. Co wskazuje, że sprawa jest polityczna. A sprawy polityczne są na ogół rozdmuchiwane. Nawet jeśli ta nie jest, facet na pewno sobie na to zasłużył.

Reacher nie skomentował tego.

– Zastanawiałam się, czy pana nie ostrzec, kiedy wszedł pan wcześniej. Najlepiej było od razu wziąć nogi za pas. Naprawdę chciałam pana zawrócić. Ale dostałam wyraźny rozkaz, żeby tego nie robić. Przykro mi.

– Gdzie jest major Turner? – zapytał Reacher.

– To długa historia – odparła Leach.

– Jak się zaczyna?

– Odkomenderowano ją do Afganistanu.

– Kiedy?

– Wczoraj, w środku dnia.

– Dlaczego?

– Są tam nasi ludzie. Wyłonił się pewien problem.

– Jakiego rodzaju?

– Nie wiem.

– No i?

– W ogóle tam nie dotarła.

– Wiecie to z całą pewnością?

– Nie ma co do tego wątpliwości.

– Więc gdzie jest?

– Nikt tego nie wie.

– Kiedy pojawił się tutaj pułkownik Morgan?

– Kilka godzin po wyjeździe major Turner.

– Ile godzin?

– Mniej więcej dwie.

– Czy podał powód swojego przybycia?

– Należało się domyślać, że major Turner została odwołana ze stanowiska.

– Żadnych konkretów?

– W ogóle żadnych informacji.

– Czy skrewiła? – zapytał Reacher.

Leach nie odpowiedziała.

– Możecie mówić otwarcie, sierżant Leach.

– Nie, panie majorze, nie skrewiła. Wykonywała naprawdę dobrze swoją robotę.

– Więc to wszystko, co pani wie? Kilka domysłów i osoby, które zapadły się pod ziemię?

– Jak na razie.

– Żadnych plotek? – zapytał Reacher. Sierżanci stanowili zawsze ważne ogniwo sieci. Zawsze tak było i zawsze będzie. To prawdziwe wylęgarnie plotek. Tabloidy w mundurach.

– Coś obiło mi się o uszy – przyznała Leach.

– Co takiego?

– To może nie być nic ważnego.

– Ale?

– Może być zupełnie niezwiązane.

– Ale?

– Ktoś mi powiedział, że w więzieniu w Fort Dyer mają nowego więźnia.

6

Fort Dyer to baza wojskowa położona bardzo blisko Pentagonu. Leach poinformowała Reachera, że osiem lat po jego wymustrowaniu połączono ją w ramach redukcji kosztów z bazą piechoty morskiej w pobliżu Helsington House. Nowo powstała placówka otrzymała logiczną, choć niezbyt zgrabną nazwę: Połączona Baza Dyer-Helsington House. Za czasów Reachera zarówno Dyer, jak i Helsington House miały wysoki status, a ich personel składał się w większości z ważnych szych. W związku z tym miejscowe wojskowe konsumy przypominały bardziej Saksa przy Piątej Alei niż Wal-Mart. A słyszał, że sklep piechoty morskiej był jeszcze lepiej zaopatrzony. Dlatego nowa połączona wersja nie mogła cieszyć się mniejszym prestiżem. Dlatego w miejscowym areszcie zamykano najprawdopodobniej wyłącznie ważnych więźniów. Nie było tam raczej miejsca dla kogoś, kto awanturował się po pijaku, czy dla drobnych złodziejaszków. Typowym lokatorem mógł być za to major żandarmerii wojskowej. I dlatego plotka, która dotarła do Leach, mogła być prawdziwa. Więzienie Dyer zlokalizowane było na północny zachód od Pentagonu. Po drugiej stronie cmentarza. Mniej niż osiem kilometrów od siedziby sto dziesiątej. O wiele mniej.

– Armia i piechota morska w tym samym miejscu? – zdziwił się Reacher. – Jak oni to wytrzymują?

– Politycy zrobią wszystko, żeby zaoszczędzić parę groszy – odparła Leach.

– Możecie mnie tam zapowiedzieć?
– Jedzie pan tam? Teraz?
– W tej chwili nie mam nic lepszego do roboty.
– Ma pan jakiś pojazd?
– Chwilowo tak.

• • •

Noc była spokojna i ciemna, okolica podmiejska i jazda do Fort Dyer trwała niespełna dziesięć minut. Dużo więcej czasu zajęło dostanie się do środka. Fuzja miała miejsce niecałe cztery lata po jedenastym września i bez względu na to, ile zaoszczędzono pieniędzy, nie ucierpiały na tym środki bezpieczeństwa. Główna brama znajdowała się po południowej stronie kompleksu i robiła wrażenie. Zapory przeciwczołgowe ograniczały ruch do wąskiego pasa blokowanego przez trzy kolejne wartownie. Reacher był w sfatygowanym cywilnym ubraniu i nie miał wojskowej legitymacji. Właściwie żadnego dowodu tożsamości poza zniszczonym i pogniecionym amerykańskim paszportem, którego ważność już dawno wygasła. Ale siedział w rządowym samochodzie, i to już na samym wstępie robiło dobre wrażenie. A wojsko ma komputery, w których gdzieś od połowy tego wieczoru figurował jako oficer w czynnej służbie. Wojsko ma poza tym sierżantów, a Leach otworzyła przed nim telefonicznie wiele drzwi. W Dyer mieli też własne biuro śledcze i ku pewnemu zaskoczeniu Reachera wciąż służyli tam ludzie, którzy znali pamiętających jego nazwisko. W rezultacie już czterdzieści pięć minut po tym, jak zatrzymał się przy pierwszej barierce, stanął przed obliczem kapitana żandarmerii w biurze więzienia.

Kapitan był poważnym czarnym facetem koło trzydziestki. Z naszywki na jego mundurze ACU wynikało, że nazywa się Weiss. Sprawiał wrażenie porządnego, uczciwego i w miarę przyjaźnie nastawionego.

– To zwykła sprawa osobista, kapitanie – oznajmił mu w związku z

tym Reacher. – Nie można jej w żadnym wypadku nazwać oficjalną. A ja jestem w tym momencie chyba lekko toksyczny, więc powinien pan zachować dużą ostrożność. Nie powinien pan odnotowywać nigdzie tej wizyty. Albo w ogóle ze mną nie rozmawiać.

– Toksyczny w jakim sensie? – chciał wiedzieć Weiss.

– Wygląda na to, że coś, co zrobiłem przed szesnastu laty, wróciło i ugryzło mnie w tyłek.

– A co pan zrobił?

– Nie pamiętam. Ale bez wątpienia ktoś mi to wkrótce przypomni.

– W komputerze stoi, że właśnie został pan znowu powołany do wojska.

– Zgadza się.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Ja też nie.

– Nie brzmi to dobrze. Jakby komuś naprawdę zależało, żeby mieć pana pod swoją jurysdykcją.

Reacher pokiwał głową.

– Też tak to widzę. Jakby deportowali mnie z cywila. Żeby dać mi w kość. Ale procedura była o wiele prostsza. Nie było żadnego przesłuchania.

– Myśli pan, że chcą pana wziąć w obroty?

– W tej chwili na to wygląda.

– Czego pan ode mnie chce?

– Szukam major Susan Turner ze sto dziesiątej jednostki żandarmerii.

– Po co?

– Jak już powiedziałem, to sprawa osobista.

– Związana z pańskimi obecnymi problemami?

– Nie. W żaden sposób.

– Ale pan też służył w sto dziesiątej, prawda?

– Na długo przedtem, zanim major Turner miała z nią jakąkolwiek styczność.

– Więc nie ma pan zamiaru wpływać na jej zeznania ani pouczać

świadka?

– W żadnym wypadku. Interesuję się nią z zupełnie innego powodu.

– Jest pan jej przyjacielem?

– Miałem nadzieję, że może do tego dojść w przyszłości. Albo i nie, w zależności od tego, jakie wyrobię sobie o niej zdanie, kiedy się spotkamy.

– Jeszcze się pan z nią nie spotkał?

– Przebywa tutaj?

– W celi – odparł Weiss. – Od wczorajszego popołudnia.

– O co się ją oskarża?

– O wzięcie łapówki.

– Od kogo?

– Nie wiem.

– Za co?

– Nie wiem.

– W jakiej wysokości?

– Jestem zwykłym klawiszem – odparł Weiss. – Wie pan, jak to wygląda. Nie mówią mi, jakie są zarzuty i tak dalej.

– Mogę się z nią zobaczyć?

– Godziny odwiedzin już się skończyły.

– Ilu ma pan dzisiaj podopiecznych?

– Tylko ją.

– Więc nie jest pan zbyt zajęty. A ja jestem tu nieoficjalnie. Nikt się nie dowie.

Weiss otworzył zielony segregator. Notatki, procedury, rozkazy, część napisana na komputerze, część odręcznie.

– Wygląda na to, że się pana spodziewała – powiedział.

– Przekazała prośbę przez swojego adwokata. Wymieniła pana z nazwiska.

– Czego dotyczy prośba?

– Właściwie można to nazwać instrukcją.

– Jakiej treści?

– Ona nie chce się z panem widzieć.

Reacher nie odezwał się.

Weiss zajrzał do segregatora.

– Cytuję: na wyraźną prośbę oskarżonej nie udzielać pod żadnym pozorem prawa odwiedzin majorowi Jackowi Reacherowi, oficerowi armii USA w stanie rezerwy, byłemu dowódcy sto dziesiątej jednostki żandarmerii.

7

Wydostanie się z połączonej bazy trwało tylko trochę krócej niż dostanie się do środka. Przy każdej wartowni sprawdzono tożsamość Reachera i przeszukano bagażnik samochodu, żeby sprawdzić, czy jest tym, za kogo się podaje, i czy niczego nie ukradł. Po pokonaniu ostatniej bariery wrócił tą samą krętą trasą co lokalny autobus. Zatrzymał się jednak wcześniej i podjechał do krawężnika. W pobliżu było dużo wjazdów na autostrady. Na trzysta dziewięćdziesiątą piątą, która wiodła na południowy zachód. Na George Washington Memorial Parkway prowadzącą na północny zachód. Na sześćdziesiątkęszóstkę prosto na zachód. Na międzystanową numer trzysta sześćdziesiąt pięć na wschód, gdyby miał takie życzenie. Wszystkie były niezatłoczone i szybkie. Za rogatkami rozpościerał się wielki kraj. Była autostrada numer dziewięćdziesiąt pięć, biegnąca w górę i w dół wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, a także odległe o pięć dni drogi Zachodnie Wybrzeże i rozległy, niezaludniony interior.

„Wcześniej nie mogli cię znaleźć. Teraz też cię nie znajdą".

„Kolejne zwolnienie z wojska, tym razem karne".

„Ona nie chce się z panem widzieć".

Reacher włączył się do ruchu i pojechał z powrotem do motelu.

• • •

Dwaj faceci w podkoszulkach zniknęli. Najwyraźniej pozbierali się i dokądś powlekli. Reacher zaparkował ich samochód przy krawężniku dwieście metrów dalej. Zostawił kluczyk w stacyjce i niezamknięte drzwi. Albo ukradną go jacyś menele, albo wrócą po niego dwaj faceci. Naprawdę było mu wszystko jedno.

Pokonał na piechotę ostatni odcinek i wszedł do dziadowskiego pokoju. Nie mylił się. Prysznic był przerdzewiały, brodzik na pół zatkany, ręczniki cienkie, mydło mikroskopijne, a szampon tani. Ale umył się najlepiej, jak potrafił, a potem położył do łóżka. Materac przypominał siennik, do którego wsunięto zwiniętą folię, a pościel była wilgotna od długiego nieużywania. Specjalnie mu to jednak nie przeszkadzało. Nastawił budzik w głowie na siódmą, wciągnął powietrze, wypuścił je i zasnął.

• • •

Romeo znowu zadzwonił do Juliet.

– Właśnie próbował skontaktować się z Turner w Dyer. Oczywiście bezskutecznie – powiedział.

– Nasi chłopcy pewnie nie zastali go w motelu – odparł Juliet.

– Nie ma się czym przejmować.

– Mam nadzieję.

– Dobranoc.

– Tak, dobranoc.

• • •

Reacherowi nie dane było spać do siódmej. O szóstej obudziło go dziarskie pukanie do drzwi. Nie brzmiało groźnie, ale rzeczowo. Puk, puk, pukpuk, puk. Szósta rano i już ktoś był radosny jak skowronek. Wstał z łóżka, wyciągnął spodnie spod materaca i je włożył. W pokoju

było zimno jak w psiarni. Widział swój oddech. Grzejnik przez całą noc był wyłączony.

Poczłapał boso po lepkiej wykładzinie i otworzył drzwi. Dłoń w rękawiczce, która miała zapukać ponownie, szybko się cofnęła. Dłoń należała do ręki, ręka do ciała w wojskowym mundurze wyjściowym z naszytymi wszędzie insygniami Wojskowego Biura Śledczego. Adwokat.

Kobieta adwokat.

Z naszywki po prawej stronie kurtki wynikało, że nazywa się Sullivan. Nosiła mundur tak, jak się nosi strój biznesowy. W dłoni, która nie pukała, trzymała teczkę. Nie odzywała się. Nie była zbyt niska, ale na linii jej oczu znalazła się naga pierś Reachera ze starą blizną po kuli kalibru trzydzieści osiem, która najwyraźniej ją zafascynowała.

– Słucham? – powiedział Reacher.

Za kobietą stał jej samochód, ciemnozielony sedan krajowej produkcji. Niebo nadal było czarne.

– Major Reacher? – zapytała.

Sama też była w randze majora, z krótkimi ciemnymi włosami i oczyma, które nie były ani ciepłe, ani chłodne. Oceniał, że może mieć trzydzieści kilka lat.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał.

– Raczej odwrotnie.

– Wyznaczono panią na mojego obrońcę?

– To kara za moje grzechy.

– W sprawie odwołania, w sprawie Juana Rodrigueza czy w sprawie Candice Dayton?

– Niech pan zapomni o odwołaniu. Za miesiąc dostanie pan pięć minut przed kilkoma sędziami, ale pan nie wygra. To się nigdy nie zdarza.

– W takim razie Rodriguez czy Dayton?

– Rodriguez – odparła Sullivan. – Powinniśmy się tym zaraz zająć – dodała, ale nie ruszyła się z miejsca. Jej wzrok powędrował w stronę jego brzucha, ku kolejnej bliźnie, mającej już ponad ćwierć wieku, brzydkiej rozgwieździe ze zgrubieniami po źle założonych szwach, na

którą nakładała się kolejna, od noża, o wiele świeższa, ale i tak stara.

– Wiem – powiedział. – Z estetycznego punktu widzenia jestem do niczego. Ale tak czy owak niech pani wejdzie.

– Nie, dziękuję – odparła. – Poczekam w samochodzie. Porozmawiamy przy śniadaniu.

– Gdzie?

– Dwie przecznice stąd jest bistro.

– Pani płaci?

– Za siebie. Nie za pana.

– Dwie przecznice stąd? Mogła pani przywieźć kawę.

– Mogłam, ale nie przywiozłam.

– Widzę, że niewiele będę miał z pani pożytku. Proszę dać mi jedenaście minut.

– Jedenaście?

– Tyle czasu zajmuje mi poranna toaleta.

– Większość ludzi powiedziałaby „dziesięć".

– W takim razie są albo ode mnie szybsi, albo nieprecyzyjni.

Reacher zamknął jej drzwi przed nosem, poczłapał do łóżka i zdjął spodnie. Wyglądały nie najgorzej. Kładąc je pod materacem, osiągał efekt najbardziej zbliżony do prasowania. W łazience odkręcił prysznic. Umył zęby, wszedł pod strumień letniej wody i zużył resztkę mydła i szamponu. Wytarł się wilgotnymi ręcznikami, ubrał i wyszedł na parking. Jedenaście minut, co do sekundy. Był człowiekiem hołdującym rutynie.

Major Sullivan przestawiła swój samochód. To był ford, taki sam model jak ten srebrnego koloru, którym podróżował przed kilku dniami przez Missouri. Otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł. Sullivan wyprostowała się, wrzuciła bieg i wyjechała powoli i ostrożnie z parkingu. Spódnica od munduru sięgała jej do kolan. Na nogach miała czarne nylony i zwyczajne, sznurowane, czarne półbuty.

– Jak się pani nazywa? – zapytał Reacher.

– Zakładam, że potrafi pan czytać – odparła.

– Miałem na myśli imię.

– A czy to ma jakieś znaczenie? Będzie pan się do mnie zwracał „major Sullivan".

Powiedziała to w sposób, który nie był ani nieprzyjazny, ani przyjazny. I nie był zaskakujący. Jakiekolwiek stosunki osobiste nie wchodziły w grę. Wojskowi prawnicy byli pilni, inteligentni i profesjonalni i mieli na uwadze wyłącznie interes armii.

Bistro rzeczywiście znajdowało się dwie przecznice dalej, ale były to długie przecznice. W lewo, a potem w prawo, aż do pasażu handlowego przy kolejnej trzypasmówce. Był tam sklep z artykułami przemysłowymi, niesieciowa apteka, zakład ramiarski, sklep z bronią oraz gabinet dentystyczny. Bistro stało oddzielnie, na samym końcu, i miało osobny parking. Wystrój otynkowanego na biało budynku kazał Reacherowi przypuszczać, że właściciel jest Grekiem i karta dań będzie miała milion pozycji. Co sprawiało, że jego zdaniem była to restauracja, nie bistro. Bistra to parszywe, obskurne, ogołocone ze wszystkiego miejsca, bezwzględne jak karabin szturmowy.

Zajęli boks w bocznym skrzydle i kelnerka przyniosła nieproszona kawę, co poprawiło nieco opinię Reachera o lokalu. Karta dań była wielostronicową laminowaną księgą, niewiele mniejszą od blatu stołu. Reacher znalazł na drugiej stronie naleśniki i jajka, i nie szukał dalej.

– Rekomenduję ugodę sądową – zaczęła Sullivan. – Zażądają pięciu lat, my zaproponujemy rok i zgodzimy się na dwa. Tyle może pan odsiedzieć. Dwa lata pana nie zabiją.

– Kim była Candice Dayton? – zapytał Reacher.

– To nie moja sprawa. O niej porozmawia z panem ktoś inny.

– A kim dokładnie był Juan Rodriguez?

– Kimś, kogo uderzył pan w głowę i kto zmarł w wyniku odniesionego urazu.

– Nie pamiętam go.

– Nie powinno się czegoś takiego mówić w tego rodzaju sprawach. Sprawia to wrażenie, jakby walił pan w głowę tyle osób, że nie odróżnia pan jednej od drugiej. Może to skłonić do poszerzenia śledztwa. Ktoś mógłby zechcieć sporządzić listę. I z tego, co słyszałam, mogłaby się

okazać całkiem długa. Sto dziesiąta często stosowała wtedy zbójeckie metody.

– A jakie stosuje dzisiaj?

– Być może bardziej cywilizowane. Ale zdecydowanie niegodne polecenia.

– Takie jest pani zdanie?

– Takie jest moje doświadczenie.

– Wie pani coś o sytuacji, w jakiej znalazła się Susan Turner?

– Znam jej adwokata.

– I co?

– Wzięła łapówkę.

– Mamy co do tego pewność?

– Jest wystarczająco dużo dowodów elektronicznych, żeby zatopić krążownik. Przedwczoraj o dziesiątej rano założyła konto na Kajmanach, a o jedenastej wpłynęło na nie sto tysięcy dolarów. O dwunastej została aresztowana, można powiedzieć, na gorącym uczynku. Sprawa wydaje mi się dość oczywista. I dość typowa dla jednostki sto dziesiątej.

– Wygląda na to, że generalnie niezbyt pani lubi mój dawny oddział. Co może się okazać pewnym problemem. Bo mam prawo do kompetentnej obrony. Na mocy szóstej poprawki i tak dalej. Uważa pani, że nadaje się do tej sprawy?

– Nie dostanie pan nikogo innego, więc niech pan się z tym pogodzi.

– Powinienem zobaczyć przynajmniej zgromadzone przeciwko mnie dowody. Nie sądzi pani? W szóstej poprawce też jest chyba coś na ten temat.

– Szesnaście lat temu nie wypełnialiście zbyt dużo papierów.

– Ale trochę ich wypełniliśmy.

– Wiem – odparła Sullivan. – Widziałam to, co z nich pozostało. Poza innymi rzeczami sporządzaliście dzienne raporty. W jednym jest mowa o tym, że idzie pan porozmawiać z panem Rodriguezem. Mam poza tym dokument z izby przyjęć szpitala okręgowego potwierdzający, że przyjęto go tam między innymi z powodu urazu głowy.

– I to wszystko? Nie widzę związku. Po tym, jak od niego wy-

szedłem, mógł spaść ze schodów. Mogła go potrącić ciężarówka.

– Lekarze z izby przyjęć odnieśli takie wrażenie.

– To słabe dowody – uznał Reacher. – W gruncie rzeczy żadne. A ja nic nie pamiętam.

– A mimo to pamięta pan schody, z których mógł spaść pan Rodriguez.

– To spekulacje. Hipoteza. Figura retoryczna. Podobnie jak słowa o ciężarówce. Nic przeciwko mnie nie mają.

– Mają oświadczenie – powiedziała Sullivan. – Złożone przez pana Rodrigueza pod przysięgą jakiś czas później. Wskazuje pana jako osobę, która go pobiła.

8

Sullivan postawiła teczkę na winylowej kanapce, wyjęła z niej opasłe akta i położyła je na stole.

– Przyjemnej lektury – powiedziała.

Lektura oczywiście przyjemna nie była. Był to długi i koszmarny opis długiego i koszmarnego śledztwa w sprawie długiego i koszmarnego przestępstwa. Tłem była operacja Pustynna Tarcza, która została przeprowadzona pod koniec lat dziewięćdziesiątych i stanowiła przygotowanie do operacji Pustynna Burza, czyli pierwszej wojny w Zatoce, kiedy to prezydent Iraku Saddam Husajn napadł na swojego sąsiada, niepodległe państwo Kuwejt. Pół miliona mężczyzn i kobiet z wolnego świata przez sześć długich miesięcy zbierało się, by skopać dupę Saddamowi, co ostatecznie zajęło tylko sto godzin. Następnie pół miliona mężczyzn i kobiet wróciło do domu.

Problemem okazało się zabranie z powrotem całego sprzętu. Wojsko potrzebuje dużo rzeczy. Sześć miesięcy na ich przywiezienie, sześć miesięcy na wywiezienie. Ale przywiezieniu poświęcono o wiele więcej troski i uwagi niż wywiezieniu. Wywiezienie odbyło się w sposób chaotyczny i bałaganiarski. Zaangażowanych w to było kilkanaście państw. Mówiąc w skrócie, po drodze zginęło sporo rzeczy. Co było dość krępujące, ale bilans musiał się zgadzać. Część brakującego sprzętu spisano więc na straty jako zniszczony, część jako uszkodzony, a część po prostu jako zaginiony, i bilans udało się zamknąć.

A potem część tego sprzętu pojawiła się na ulicach amerykańskich miast.

– Pamięta pan to jeszcze? – zapytała Sullivan.

– Tak – odparł Reacher.

Pamiętał to bardzo dobrze. To były dokładnie te przestępstwa, do których zwalczania powołano sto dziesiątą. Przenośna broń wojskowa nie pojawia się na ulicy przez przypadek. Jest wyprowadzana, przemycana, kradziona i sprzedawana. Przez osoby, które nie są znane z nazwiska, ale należą do pewnych specyficznych kategorii. Służą przeważnie w logistyce. Faceci, którzy muszą tygodniowo ekspediować dziesiątki tysięcy ton sprzętu z niezbyt dokładnymi listami przewozowymi, zawsze znajdą sposób, żeby dla zabawy i dla sportu zawieruszyć tu i tam tonę albo dwie. Ewentualnie sto ton. Sto dziesiąta miała za zadanie odkryć kto, jak, gdzie i kiedy. Jednostka była nowa, musiała wyrobić sobie renomę i ostro się do tego zabrała. Reacher spędził przy tej sprawie setki godzin, a jego zespół o wiele więcej.

– Ale nadal nie pamiętam żadnego Juana Rodrigueza – powiedział.

– Niech pan przejrzy akta do końca – poradziła mu Sullivan.

Reacher zrobił to i uświadomił sobie, że pamięta Juana Rodrigueza całkiem dobrze.

Tyle że nie pod tym nazwiskiem.

• • •

Jednostka 110. dostała sprawdzony cynk na temat gangstera z South Central Los Angeles, który miał ksywę Dog, a właściwie Big Dog, facet był bowiem podobno dużej postury i cieszył się dużym poważaniem. Agencja Zwalczania Narkotyków się nim nie interesowała, ponieważ nie brał udziału w wojnach narkotykowych. Ci, którzy dali cynk, twierdzili, że jak każdy, kto zajmuje neutralną pozycję, Big Dog zarabiał krocie, sprzedając na czarnym rynku broń jednocześnie obu stronom. Twierdzili, że jest osobą, do której zwracają się wszyscy. I że ma na zby-

ciu jedenaście skrzyń SAW. SAW nie jest metalowym przedmiotem z małymi ząbkami, który służy do piłowania drewna. SAW, czyli Squad Automatic Weapon, to morderczy, w pełni automatyczny karabin maszynowy, odznaczający się morderczą sprawnością i morderczą szybkostrzelnością.

Reacher pojechał do South Central LA i przemierzając skwarne, zakurzone ulice, zadawał odpowiednie pytania w odpowiednich miejscach. W tym środowisku trudno było ukryć, że jest się wojskowym, udawał więc obrażonego na armię trepa z interesującym towarem na zbyciu. Granaty, granatniki, amunicja przeciwpancerna w dużej ilości, pistolety Beretta. Ludzie byli oczywiście ostrożni, ale ostatecznie dali się nabrać i dwa dni później Reacher stanął twarzą w twarz z Dogiem, który okazał się rzeczywiście wielki, głównie wszerz. Facet mógł ważyć sto osiemdziesiąt kilogramów.

Ostatnim dołączonym do akt dokumentem było *Zaprzysiężone oświadczenie Juana Rodrigueza, znanego również jako Big Dog lub Dog*. Powtarzało się w nim wielokrotnie nazwisko Reachera, była tam również długa lista urazów, wśród nich pęknięcie czaszki, złamanie żeber, uszkodzenia tkanki i stłuczenia. Na dole złożył swój podpis sam pan Rodriguez. Oświadczenie zostało poświadczone przez adwokata z Ventura Boulevard w Studio City i uwierzytelnione przez kogoś zupełnie innego.

– Przypomina go pan sobie teraz? – zapytała Sullivan.

– Facet skłamał w swoim oświadczeniu – powiedział Reacher. – Nie tknąłem go nawet palcem.

– Naprawdę?

– Po co miałbym to robić? Nie byłem nim zainteresowany. Interesował mnie jego dostawca, nic więcej. Chciałem dorwać faceta, od którego kupował sprzęt. Chciałem, żeby podał mi jego nazwisko.

– Nie przejmował się pan tym, że na ulicach LA pojawią się automatyczne karabiny maszynowe?

– To był problem policji Los Angeles, nie mój.

– Zdobył pan to nazwisko?

– Tak.

– W jaki sposób?

– Zapytałem, a on mi je podał.

– Tak po prostu?

– Mniej więcej.

– Co to znaczy?

– Byłem dobrym śledczym. Dałem mu do zrozumienia, że wiem więcej, niż wiedziałem. Nie był zbyt sprytny. Dziwi mnie nawet, że miał jakiś mózg, który można było uszkodzić.

– Więc jak wytłumaczy pan raport ze szpitalnej obdukcji?

– A muszę? Facet jego pokroju zna wszelkiego rodzaju nieciekawe indywidua. Może orżnął kogoś dzień wcześniej. Nie funkcjonował w zbyt cywilizowanym środowisku.

– Więc taka jest pańska linia obrony? Że zrobił to jakiś inny koleś?

– Gdybym to był ja, facet nie dotarłby do szpitala. Był bezużyteczną górą sadła.

– Nie mogę pójść do prokuratora z oświadczeniem, że zrobił to jakiś inny koleś. Nie mogę powiedzieć, że dowodem, że pan tego nie zrobił, jest to, że pan od razu by go zabił, a nie zadawał obrażenia, które doprowadziły do jego śmierci dopiero jakiś czas później.

– Będzie pani musiała to zrobić.

– Nie, nie będę musiała. To pan musi słuchać, co do pana mówię, Reacher. Musi pan potraktować to poważnie. Mogę panu załatwić ugodę, ale musi mnie pan poprzeć. Musi pan się przyznać i okazać skruchę.

– Nie wierzę w to.

– To moja najlepsza rada.

– Mogę dostać nowego adwokata?

– Nie – odparła Sullivan. – Nie może pan.

• • •

Śniadanie dokończyli w milczeniu. Reacher miał ochotę przesiąść się do innego stolika, ale uznał, że robiąc coś takiego, zachowałby się małostkowo. Podzielili się rachunkiem i wyszli na parking.

– Jadę w innym kierunku – oznajmiła Sullivan. – Może pan wrócić na piechotę. Albo autobusem.

Wsiadła do samochodu i odjechała. Reacher został sam na parkingu przy restauracji. Trzypasmówką, która biegła obok, jeździł miejski autobus. Trzydzieści metrów dalej po lewej stronie był przystanek z ławką. Czekały na nim dwie osoby. Dwóch mężczyzn. Meksykanów, o wiele chudszych od Big Doga. Najprawdopodobniej uczciwych obywateli, jadących do pracy na cmentarzu albo jako dozorcy w Alexandrii lub w samym Dystrykcie Columbii.

Pięćdziesiąt metrów dalej po prawej stronie był kolejny przystanek. Z kolejną ławką. Po tej stronie ulicy, nie po przeciwnej. Nie dla autobusów jadących do miasta, ale z niego wyjeżdżających. Do McLean, a potem może do Reston, do Leesburga, a nawet do Winchesteru. Gdzie czekały kolejne, większe autobusy, które pokonawszy Appalachy, mogły zmierzać do Wirginii Zachodniej, Ohio i Indiany. I dalej. Coraz dalej.

„Wcześniej nie mogli cię znaleźć. Teraz też cię nie znajdą". „Kolejne zwolnienie z wojska, tym razem karne".

„Ona nie chce się z panem widzieć".

Reacher czekał. Było zimno. Ulicą jechały samochody i ciężarówki. Różnych marek, w różnych rozmiarach i kolorach. A potem daleko po swojej lewej stronie zobaczył autobus. Jadący na północ, nie na południe. Wyjeżdżający z miasta, a nie do niego wjeżdżający. Ławka była pięćdziesiąt metrów po jego prawej stronie. Czekał. Autobus był w rzeczywistości przerobioną furgonetką. Kursował na linii lokalnej – nie dalekobieżnej – subsydiowanej przez władze miasta. Posapując i pyrkocząc, zmierzał powoli w jego stronę.

Reacher go przepuścił. Autobus minął przystanek i pojechał dalej.

Reacher ruszył z powrotem do dowództwa sto dziesiątej. Trzy kilometry, dokładnie trzydzieści minut. Po drodze minął swój motel. Sa-

mochód z wgnieceniami w drzwiach zniknął. Albo został odzyskany, albo go ukradli.

Za pięć ósma rano dotarł do murowanego budynku i spotkał się tam z kolejną adwokat, która powiedziała mu, kim jest Candice Dayton i dlaczego jej życie nie jest usłane różami.

9

W budce pełnił straż wartownik, którego Reacher zapamiętał z poprzedniego popołudnia. Dzienna zmiana. Skinął głową Reacherowi, który ruszył w stronę krótkich schodków i świeżo pomalowanych drzwi. Na parkingu nadal stał humvee, a także mały czerwony roadster. Samochodu z wgniecionymi drzwiami nie było.

Przy biurku w holu siedział nowy sierżant. Pewnie z kończącej dyżur nocnej zmiany. Był białym mężczyzną, zdecydowanie bardziej powściągliwym, niż okazała się pod koniec Leach. Nie otwarcie wrogim, lecz lakonicznym i surowym. Niczym łagodniejsza wersja facetów w podkoszulkach z ubiegłej nocy. „Okryłeś hańbą jednostkę".

– Pułkownik Morgan kazał panu zameldować się w pokoju dwieście siedem. Natychmiast – powiedział.

– Natychmiast, panie…

– Natychmiast, panie majorze – wykrztusił facet.

– Dziękuję, sierżancie – odparł Reacher.

Pokój dwieście siedem był na górze, czwarty po lewej, obok jego gabinetu. To znaczy obok gabinetu Turner, a właściwie teraz Morgana. W dawnych czasach urzędowała tam Karla Dixon, specjalistka od finansów. Rozwiązała sporo zagmatwanych spraw. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto zbrodnie popełnia się z miłości, nienawiści albo żądzy zysku i w przeciwieństwie do tego, co piszą w Biblii, najpotężniejsza jest żądza zysku. Dixon była warta swojej wagi w złocie

i Reacher miał z pokoju dwieście siedem bardzo miłe wspomnienia.

Wszedł po schodach i minął swój dawny gabinet. Na ścianie wciąż wisiała tabliczka z napisem „Komendant jednostki, major S.R. Turner". Przypomniał sobie, co powiedzieli mu kapitan Weiss i major Sullivan: „Wzięła łapówkę". Może było jakieś niewinne wytłumaczenie. Może zmarł jej wujek i zostawił kopalnię uranu. Może kopalnia była za granicą i stąd zagraniczny bank. Może to było w Australii. W Australii są złoża uranu. A także złoto, węgiel i ruda żelaza. Ewentualnie gdzieś w Afryce. Żałował, że nie ma tutaj Karli Dixon. Rzuciłaby tylko okiem na dokumenty i wiedziałaby, gdzie leży prawda.

Nie zapukał do pokoju numer dwieście siedem. Nie musiał. Z wyjątkiem Morgana był prawdopodobnie najwyższym stopniem oficerem w tym budynku. A stopień to stopień, nawet w tych dziwacznych okolicznościach. Więc od razu wszedł do środka.

Pokój był pusty. I nie był niczyim gabinetem. Został przerobiony na coś w rodzaju sali konferencyjnej. Zamiast biurka stał tam okrągły duży stół i sześć krzeseł. Pośrodku stołu umieszczono czarne, pająkowate urządzenie, najprawdopodobniej głośnomówiący telefon do telekonferencji. Przy jednej ze ścian stał bufet, na którym można było najprawdopodobniej postawić kawę i kanapki. Lampa miała taki sam klosz w kształcie misy. Energooszczędna żarówka już się paliła, słabym niezdrowym światłem.

Reacher podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Niewiele zobaczył. Po tej stronie budynku nie było parkingu, tylko duży kontener na śmieci i sterta starych mebli, biurkowych krzeseł i szafek na akta. Tapicerka krzeseł spuchła od wilgoci, szafki przerdzewiały. Dalej był mur, a jeszcze dalej całkiem porządny widok na wschód, aż do cmentarza i rzeki. W oddali widać było pomnik Waszyngtona, w tym samym kolorze co mgła. Za nim świeciło nisko wiszące wodniste słońce.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i Reacher odwrócił się, spodziewając się zobaczyć Morgana. Ale to nie był Morgan. Miał poczucie déjà vu. Schludny mundur wyjściowy z naszytymi wszędzie insygniami Wojskowego Biura Śledczego. Kobieta adwokat. Nazwisko na plakietce

brzmiało Edmonds. Trochę podobna do Sullivan. Ciemnoskóra, bardzo profesjonalna, zadbana, w spódnicy, nylonach i prostych czarnych butach. Ale młodsza. I niższa stopniem. W randzie kapitana. Miała tańszą teczkę.

– Major Reacher? – zapytała.

– Dzień dobry, pani kapitan – odparł.

– Jestem Tracy Edmonds z Dowództwa Zasobów Ludzkich.

Które w epoce prostej angielszczyzny nazywane było działem kadr. To sprawiło, że w pierwszej chwili Reacher pomyślał, że przysłano ją, by załatwiła z nim całą papierkową robotę. Kwestię żołdu, konta bankowego i tak dalej. Dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że do czegoś takiego nie przysyłano by prawnika. Wystarczyłby w zupełności pisarz kompanii. Więc najprawdopodobniej chodziło o sprawę Candice Dayton. Ale adwokatka była niższa rangą, powiedziała mu niepytana, jak ma na imię, i sprawiała wrażenie otwartej, przyjaźnie nastawionej i zatroskanej, co mogło oznaczać, że sprawa Candice Dayton nie jest tak poważna jak sprawa Big Doga.

– Wie pani coś na temat Susan Turner? – zapytał.

– Kogo?

– Właśnie minęła pani jej gabinet.

– Wiem tylko tyle, ile słyszałam.

– To znaczy?

– Wzięła łapówkę.

– Za co?

– To są chyba zastrzeżone informacje.

– Nie mogą być zastrzeżone. Została tymczasowo aresztowana. Z tego względu w aktach powinny być konkretne zarzuty. Chyba że kiedy mnie tu nie było, porzuciliśmy cywilizowane zasady postępowania sądowego.

– Mówią, że zwlekała z przekazaniem kluczowych informacji. Nikt nie wiedział dlaczego. Teraz wiedzą.

– Jakich informacji?

– Aresztowała kapitana piechoty z Fort Hood. Podobno pod zarzu-

tem szpiegostwa. Kapitan podał jej nazwisko zagranicznego łącznika. Cywila. Major Turner przez dwadzieścia cztery godziny nie przekazała nikomu tej informacji i łącznik wykorzystał to i zwiał.

– Kiedy to dokładnie było?

– Jakieś cztery tygodnie temu.

– Ale aresztowano ją dopiero przedwczoraj.

– Wtedy właśnie łącznik jej zapłacił. Co stanowiło dowód, na który musieli poczekać. Bez tego dowodu zwłokę można by tłumaczyć niekompetencją, a nie motywami przestępczymi.

– Czy decyzja o tymczasowym aresztowaniu została zaskarżona?

– Nie sądzę.

– Kto jej broni?

– Pułkownik Moorcroft z Charlottesville.

– Ma pani na myśli akademię Wojskowego Biura Śledczego?

Edmonds pokiwała głową.

– Wykłada tam obronę w procesie karnym.

– Czy dojeżdża tam z Charlottesville?

– Nie, stacjonuje chyba w Dyer VOQ.

Czyli w hotelu oficerskim Fort Dyer. A raczej w Połączonej Bazie Dyer-Helsington House. Nie był to może Ritz, ale coś o zbliżonym komforcie, na pewno o wiele wyższym niż obskurny motel przy trzypasmówce, półtora kilometra od Rock Creek.

Edmonds wysunęła krzesła dla niego i dla siebie i usiadła przy stole konferencyjnym.

– Candice Dayton – powiedziała.

– Nie wiem, kim jest albo była Candice Dayton – oświadczył Reacher, siadając.

– Obawiam się, że zaprzeczanie nie jest rozsądną taktyką, majorze. To nigdy nie działa.

– Nie mogę udawać, że kogoś pamiętam, skoro go nie pamiętam.

– To robi złe wrażenie. Wzmacnia negatywny stereotyp. Obie te rzeczy obrócą się ostatecznie przeciwko panu.

– Kim była?

Edmonds położyła na stole teczkę, otworzyła ją i wyjęła akta.

– Oddelegowano pana kilka razy do Korei, czy tak?

– Wiele razy.

– Przez krótki okres współpracował pan tam z pięćdziesiątą piątą jednostką żandarmerii.

– Skoro pani tak twierdzi.

– Tak twierdzę. Mam tu wszystko czarno na białym. Działo się to pod sam koniec pańskiej kariery. To była jedna z ostatnich spraw, jakimi się pan zajmował. Stacjonował pan wtedy w obozie Red Cloud. Który leży między Seulem i strefą zdemilitaryzowaną.

– Wiem, gdzie to jest.

– Candice Dayton była obywatelką amerykańską i w tamtym okresie czasowo mieszkała w Seulu.

– Była cywilem?

– Tak. Przypomniał pan ją sobie?

– Nie.

– Mieliście krótki romans.

– Kto miał?

– Pan i pani Dayton oczywiście.

– Nie pamiętam jej.

– Jest pan żonaty?

– Nie.

– Czy miał pan w swoim życiu wiele kontaktów seksualnych?

– To bardzo osobiste pytanie.

– Jestem pańskim adwokatem. Miał pan?

– Ogólnie rzecz biorąc, miałem tyle, ile się dało. Lubię kobiety. To chyba kwestia biologii.

– Tak dużo, że być może niektórych pan nie pamięta?

– Jest kilka, o których staram się zapomnieć.

– Czy pani Dayton zalicza się do tej kategorii?

– Nie. Gdybym starał się o niej zapomnieć, oznaczałoby to, że ją pamiętam. Prawda? A ja jej nie pamiętam.

– Czy są inne, których pan nie pamięta?

– Skąd mam wiedzieć?

– Widzi pan, to właśnie miałam na myśli, mówiąc o negatywnym stereotypie. Nie pomoże to panu w sądzie.

– Jakim sądzie?

– Candice Dayton opuściła Seul wkrótce po panu i wróciła do Los Angeles, skąd pochodziła. Cieszyła się, że wraca. Dostała pracę i przez wiele lat dobrze jej się wiodło. Wkrótce urodziła córkę, która dobrze się chowała i świetnie radziła sobie w szkole. Candice Dayton awansowała w pracy i kupiła większy dom. Wszystko szło znakomicie. Ale potem przyszedł kryzys i Candice straciła pracę, a potem dom. Obecnie razem z córką mieszka w samochodzie i szuka finansowego wsparcia wszędzie, gdzie to możliwe.

– I co?

– W Korei zaszła w ciążę, majorze. Jej córka to pańskie dziecko.

10

Edmonds przekartkowała akta, przerzucając wypielęgnowanymi palcami dokument po dokumencie.

– Wojsko nie podejmuje w takich sprawach aktywnych działań – wyjaśniła. – Nie wysyłamy listów gończych. Robimy tylko adnotację przy nazwisku ojca. Na ogół nic się nie dzieje. Ale jeśli ojciec sam do nas przychodzi, tak jak pan to zrobił, wtedy jesteśmy zobowiązani działać. Dlatego przekażemy informacje o pańskim obecnym statusie i miejscu pobytu sądowi w Los Angeles.

Znalazła kartkę, której szukała, wyjęła ją spomiędzy innych i położyła na stole konferencyjnym.

– Oczywiście jako pański adwokat zalecam przeprowadzenie testu na ojcostwo. Będzie pan musiał za niego zapłacić, ale bez takiego testu zawieranie umowy byłoby skrajnie nierozsądne.

Reacher wziął do ręki kartkę. Była to fotokopia oświadczenia. Tak jak w przypadku Big Doga. Podpisy, adwokaci, pieczątki i pieczęcie, wszystko sporządzone najwyraźniej w kancelarii prawnej w North Hollywood. Powtarzało się tam wielokrotnie nazwisko Reachera. Czasowo zgadzało się to z okresem jego oddelegowania do jednostki pięćdziesiątej piątej. Odnotowano szczegółowo daty, godziny i rodzaj zajęć towarzyskich. Candice Dayton musiała prowadzić bardzo skrupulatny pamiętnik. Odnotowano datę urodzenia dziecka – dokładnie w połowie jego pobytu w Red Cloud. Dziewczynka miała na imię Samantha. W

skrócie najpewniej Sam. Teraz miała czternaście lat. Prawie piętnaście.

Edmonds podała mu kolejny dokument. Fotokopia świadectwa urodzenia.

– Nie podała tutaj pańskiego nazwiska – powiedziała. – Moim zdaniem początkowo chciała wychować ją sama. Ale potem przyszły ciężkie czasy.

Reacher nie odpowiedział.

– Nie wiem oczywiście, jaka jest pańska obecna sytuacja finansowa – podjęła Edmonds. – Ale ma pan w perspektywie trochę ponad trzy lata utrzymywania dziecka. Plus być może studia. Spodziewam się, że sąd skontaktuje się z panem w ciągu miesiąca i jakoś pan to z nimi załatwi.

– Nie pamiętam jej – powtórzył Reacher.

– Nie powinien pan chyba zbyt często tego powtarzać. Tego rodzaju sprawy w naturalny sposób rodzą antagonizmy, a pan powinien starać się nie nastawiać do siebie negatywnie pani Dayton. Właściwie najrozsądniejszym posunięciem może się okazać skontaktowanie się z nią. Żeby okazać dobrą wolę.

Edmonds odebrała mu oświadczenie, a potem świadectwo urodzenia i dołączyła je z powrotem do akt, każde w odpowiednim miejscu. Następnie schowała akta do teczki i zamknęła ją.

– Jak pan wie, majorze, w wojskowym kodeksie karnym cudzołóstwo nadal traktowane jest jako przestępstwo. Zwłaszcza w odniesieniu do osób, które mają certyfikat bezpieczeństwa, ponieważ wiąże się to z poważnym ryzykiem ujawnienia tajnych informacji. Tym bardziej jeśli w sprawę jest zamieszany cywil. Ale moim zdaniem, jeśli okaże się, że pańskie zachowanie względem pani Dayton będzie rozsądne, mogę przekonać prokuratora, by przymknął oko na ten aspekt sprawy. Zwłaszcza jeśli, tak jak już mówiłam, pierwszy zwróci się pan do pani Dayton z jakąś propozycją. Najlepiej od razu. Moim zdaniem zostałoby to dobrze przyjęte. Mam na myśli prokuratora.

Reacher nie odezwał się.

– Minęło w końcu sporo czasu. I bezpieczeństwo narodowe raczej na tym nie ucierpiało. Chyba że na przeszkodzie stanie ta druga sprawa.

Mam na myśli historię z panem Rodriguezem. Mogą wytoczyć przeciwko panu wszystko, co uda im się znaleźć. W takim przypadku nie będę panu mogła pomóc.

Reacher nie odezwał się.

Edmonds wstała od stołu.

– Będę z panem w kontakcie, majorze. Proszę dać mi znać, gdyby pan czegoś potrzebował – powiedziała, po czym wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Reacher usłyszał, jak jej obcasy stukają po linoleum, a potem zapadła cisza.

• • •

Ojcostwo to jedna z najpowszechniejszych rzeczy doświadczanych przez mężczyzn na przestrzeni całych ludzkich dziejów. Jednak Reacherowi zawsze wydawało się czymś mało prawdopodobnym. Czysto teoretycznym. Niczym zdobycie Nagrody Nobla, gra w finale World Series lub umiejętność śpiewania. Czymś, co jest w zasadzie możliwe, ale najpewniej go ominie. Celem, ku któremu podążają inni ludzie, lecz przecież nie on. Znał różnych ojców, poczynając od własnego, znał swoich dziadków i ojców kolegów z dzieciństwa, a także przyjaciół, którzy żenili się i zakładali rodziny. Bycie ojcem wydawało się zarazem proste i nieskończenie skomplikowane. Na pozór dość łatwe. W rzeczywistości zbyt trudne do ogarnięcia, by się tym przejmować. Więc generalnie przypominało to wszystko, co przytrafia się nam codziennie i w kwestii czego trzeba mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze, i iść do przodu. Wydawało się, że jego ojciec zawsze panował nad sytuacją. Ale patrząc wstecz, nie ulegało wątpliwości, że dzień po dniu improwizował.

„Samantha Dayton".

„Sam".

„Czternastolatka".

• • •

Reacherowi nie dane było dłużej o niej myśleć. Nie w tym momencie. Ponieważ drzwi nagle się otworzyły i wszedł Morgan, tak jak poprzednio w mundurze ACU i stalowych okularach, tak jak poprzednio odpicowany, pedantyczny i wypucowany.

– Zwalniam pana do końca dnia, majorze – powiedział.

– Proszę stawić się jutro przed godziną ósmą rano.

Nuda jako rodzaj kary. Nic do roboty przez cały dzień. Niezbyt wyszukana taktyka. Reacher nie odpowiedział. Po prostu siedział, wpatrując się w przestrzeń. Jego sytuacji nie mogło pogorszyć nieprzestrzeganie dobrych manier czy drobna niesubordynacja. Nie na tym etapie. Ale Morgan również nie ruszał się z miejsca, stał nieruchomy jak głaz, przytrzymując drzwi, więc Reacher musiał w końcu wstać z krzesła i wymaszerować z pokoju. Idąc korytarzem, nie spieszył się. Czekał, aż Morgan wróci do swojego gabinetu i zamknie za sobą drzwi.

Wtedy zatrzymał się i zawrócił.

Doszedł do samego końca korytarza i sprawdził ostatni gabinet po lewej stronie. Numer dwieście. Kiedyś urzędował tam Calvin Frans. Dobry kumpel, już nieżyjący. Reacher zajrzał do środka i zobaczył dwóch mężczyzn, których nie znał. Podoficerowie, ale nie ci, którzy przyjechali do motelu wczoraj wieczorem. Nie faceci w podkoszulkach. Siedzieli przy zestawionych biurkach i pracowali pilnie przy komputerach. Obaj spojrzeli na niego.

– Kontynuujcie – powiedział, po czym cofnął się i otworzył drzwi naprzeciwko.

Pokój dwieście dziesięć, niegdyś kwatera Davida O'Donnella. Z tego, co wiedział, O'Donnell nadal żył. Słyszał, że jest prywatnym detektywem w Dystrykcie Columbii. Niedaleko stąd. Zajrzał do środka i zobaczył siedzącą przy biurku kobietę w stopniu porucznika. Miała na sobie mundur ACU. Podniosła wzrok.

– Przepraszam – mruknął.

W pokoju dwieście osiem urzędował kiedyś Tony Swan. Kolejny dobry znajomy, również nieżyjący. Reacher otworzył drzwi i zajrzał do środka. W pokoju nikogo nie było, ale zorientował się, że urzęduje tam jedna osoba, kobieta. Na parapecie leżała damska oficerska czapka, na biurku mały zegarek.

Wnętrze pokoju dwieście siedem już widział. Kiedyś domena Karli Dixon, teraz niczyja. Pokój konferencyjny. Z tego, co wiedział, Dixon żyła. Ostatnio mieszkała w Nowym Jorku. Pracowała jako księgowa sądowa, a to oznaczało, że ma mnóstwo pracy.

Pokój dwieście sześć zajmowała kiedyś Frances Neagley. Dokładnie naprzeciwko jego gabinetu, ponieważ odwalała za niego większość roboty. Najlepsza sierżant, jaką kiedykolwiek miał. Nadal żyła i chyba dobrze prosperowała w Chicago. Wetknął głowę do środka i zobaczył porucznika, który odwiózł go wczoraj wieczorem do motelu. Samochodem prowadzonym przez starszego szeregowca. Facet siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Podniósł wzrok. Reacher potrząsnął głową i wycofał się na korytarz.

Pokój dwieście cztery należał do Stana Lowreya. Twardego faceta i świetnego śledczego. Odszedł wcześnie, jedyny z pierwszego składu jednostki, który był na tyle sprytny, by wycofać się bez strat. Przeniósł się do Montany, żeby hodować bydło i produkować masło. Nikt nie wiedział dlaczego. Był tam jedynym czarnym facetem w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i nie miał żadnego rolniczego doświadczenia. Ale ludzie twierdzili, że był szczęśliwy. A potem potrąciła go ciężarówka. Jego gabinet zajmował kapitan w wyjściowym mundurze. Niski facet, którego najwyraźniej wezwano na przesłuchanie. Jedyna możliwa przyczyna, dla której tak się wystroił.

– Przepraszam – powiedział Reacher i ponownie się wycofał.

W pokoju dwieście trzy był kiedyś magazyn dowodów rzeczowych, jak się okazało, teraz też, w pokoju dwieście jeden archiwum, jak się okazało, teraz też, a w pokoju dwieście dwa kwatera pisarzy kompanii. Jak się okazało, teraz też. Siedział tam jakiś facet, sierżant, dość stary i siwy, prawdopodobnie co rok starający się nie wylecieć ze służby. Re-

acher pozdrowił go skinieniem głowy, wycofał się i zszedł na parter.

Skwaszony facet z nocnej zmiany zniknął z recepcji i jego miejsce ponownie zajęła sierżant Leach. Korytarz za jej plecami prowadził do gabinetów na parterze, od sto jeden do sto dziesięć. Reacher sprawdził je wszystkie. W pokojach sto dziewięć i sto dziesięć rezydowali niegdyś Jorge Sanchez i Manuel Orozco; teraz zobaczył tam podobnych facetów z młodszego pokolenia. W pokojach od sto jeden do sto osiem urzędowali ludzie, którzy nie wzbudzili jego szczególnego zainteresowania, z wyjątkiem sto trzy, gdzie mieścił się posterunek oficera dyżurnego. Siedział tam kapitan, przystojny facet dobiegający trzydziestki. Jego biurko, dwa razy większe od normalnego, zawalone było telefonami, notesami, formularzami i karteluszkami. Zapisane arkusze bloku odwinięte były luźno do tyłu niczym tapirowana fryzura z lat pięćdziesiątych. Arkusz na samej górze pokrywały gniewne bohomazy. Były tam zakreskowane prostokąty, tajemnicze machiny i spiralne labirynty bez wyjścia. Najwyraźniej facet spędzał dużo czasu przy telefonie, często czekając na połączenie i bardzo się nudząc. Kiedy się odezwał, Reacher natychmiast rozpoznał południowy akcent. Rozmawiał z nim kilka razy, dzwoniąc z Dakoty Południowej. To ten facet łączył go z Susan Turner.

– Czy ktoś z personelu znajduje się w tej chwili poza dowództwem? – zapytał go Reacher.

Facet potrząsnął głową.

– Nie. Wszyscy są na miejscu. Mamy ludzi w innych rejonach Stanów i za granicą, ale nikogo w tym okręgu wojskowym.

– Ilu w Afganistanie?

– Dwóch.

– Co tam robią?

– Nie mogę panu podać szczegółów.

– Misja jest niebezpieczna?

– Czy jest jakaś inna? W Afganistanie?

Reacher usłyszał coś w jego głosie.

– Nic im się nie stało?

– Wczoraj nie zameldowali się o ustalonej godzinie przez radio.

– Czy to coś niezwykłego?

– Wcześniej nigdy się to nie zdarzało.

– Wie pan, na czym polega ich misja?

– Nie mogę panu powiedzieć.

– Nie proszę, żeby mi pan powiedział. Pytam, czy pan wie. Innymi słowy, jak bardzo ta misja jest tajna?

– Nie, nie wiem, o co chodzi – odparł po chwili facet.

– Wiem tylko, że są na jakimś zadupiu i przestali się zgłaszać.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział Reacher, po czym wrócił do recepcji i poprosił Leach o samochód. – Do końca dnia jestem zwolniony – dodał, widząc jej wahanie. – Pułkownik Morgan nie powiedział, że mam siedzieć gdzieś w kącie. Prawdopodobnie przez zapomnienie, ale mam prawo interpretować jego rozkazy w jak najkorzystniejszy sposób.

– Dokąd chce pan jechać? – zapytała Leach.

– Do Fort Dyer – odparł Reacher. – Chcę porozmawiać z pułkownikiem Moorcroftem.

– To obrońca major Turner?

Reacher pokiwał głową.

– A Dyer jest zdecydowanie bliżej niż osiem kilometrów stąd. Nie przyłoży pani ręki do poważnego przestępstwa.

Leach przez chwilę się zastanawiała, po czym wysunęła szufladę i wyjęła z niej brudny klucz.

– To stary niebieski chevrolet – powiedziała. – Chcę go mieć z powrotem przed końcem dnia. Nie mogę dać go panu na noc.

– Do kogo należy ten mały sportowy roadster na parkingu?

– To bryka major Ryder.

– Zna pani tych facetów w Afganistanie?

Leach pokiwała głową.

– To moi przyjaciele.

– Są dobrzy?

– Najlepsi pod słońcem.

11

Na parkingu przed dowództwem stały trzy chevrolety, w tym dwa stare, ale tylko jeden stary i niebieski. Był brudny, poobijany, nisko zawieszony i miał na liczniku chyba z milion kilometrów, ale silnik od razu zapalił i pracował bez problemu. Co było ważne, bo w dzień jechało się bardzo powoli. Dużo czerwonych świateł, dużo korków i zatorów. Ale do Dyer Reacher wjechał szybciej niż za pierwszym razem. Strażnicy przy głównej bramie byli dość przyjaźnie nastawieni. Reacher domyślił się, że Leach ponownie zapowiedziała telefonicznie jego wizytę. To oznaczało, że staje się jego sojusznikiem, z czego bardzo się cieszył. Kiedy ma się po swojej stronie sierżanta, wszystko idzie gładko jak po maśle. Za to kiedy ma się go przeciwko sobie, umarł w butach.

Zaparkował samochód i wszedł do budynku, gdzie wszystko znowu zaczęło się komplikować. Kobieta za biurkiem obdzwoniła różne miejsca, ale nie udało jej się zlokalizować Moorcrofta. Nie było go w hotelu oficerskim, w biurze prawnym ani w więzieniu. Co pozostawiało tylko jedną możliwość. Reacher ruszył w głąb bazy i zobaczył drogowskaz z napisem „Klub oficerski". Było dość późno na śniadanie, ale dla dekujących się wyższych oficerów jedzenie późnego śniadania jest czymś naturalnym. Zwłaszcza tych dekujących się wyższych oficerów, którzy są wykładowcami akademickimi i składają w bazie krótką wizytę.

Sala restauracyjna klubu oficerskiego okazała się miłym, bezbarw-

nym miejscem. Była niska, szeroka, długa i niedawno odnowiona, najprawdopodobniej przez tego samego faceta, który projektował wystrój restauracji w niezbyt drogich sieciowych hotelach. Dużo tam było jasnego drewna i jasnozielonych obić. Dużo przecinających się pod kątem prostym ścianek działowych i z tego względu dużo zacisznych, oddzielonych od siebie miejsc. Na podłodze wykładzina dywanowa, w oknach podciągnięte mniej więcej do połowy weneckie żaluzje. Reacher przypomniał sobie kalambur o weneckich żaluzjach, który lubił opowiadać jego dawny kumpel Manuel Orozco: Jak się robi wenecką żaluzję? Wyłupuje się wenecjaninowi oczy. I drugi: Jak się robi szwajcarską roladę? Spycha się Szwajcara z Alp[1]. W tym to momencie David O'Donnell zaznaczał zawsze, że szwajcarska rolada tak naprawdę wcale nie jest szwajcarska. Bardziej brytyjska. Z XIX wieku. Podobna do biszkoptu królowej, tylko inaczej zawijana. O'Donnell to był dopiero pedant. Reacher wydawał się przy nim zupełnie normalny.

Wszedł do środka. Większość wytyczonych przez ścianki działowe miejsc była pusta, ale w jednym z nich zobaczył Moorcrofta. Pułkownik był niskim, korpulentnym mężczyzną w średnim wieku, ubranym w wyjściowy mundur, z wielką i rzucającą się w oczy plakietką z nazwiskiem na klapce prawej kieszeni na piersi. Jadł grzankę, siedząc przy dużym czteroosobowym stoliku.

A naprzeciwko niego siedziała major Sullivan, obrończyni Reachera w sprawie Big Doga. Nie jadła śniadania. Zjadła je wcześniej z Reacherem w greckiej knajpie. Trzymając w dłoniach filiżankę z kawą, siedziała naprzeciwko swojego rozmówcy w pełnej szacunku pozie, typowej dla majorów rozmawiających z pułkownikami albo dla studentów rozmawiających z profesorami.

Reacher wkroczył w ich intymny mały świat, wysunął krzesło i usiadł dokładnie między nimi.

---

[1] Gra słów: ang. *Venetian blind* może oznaczać wenecką żaluzję,ale również ślepego wenecjanina. Podobnie *Swiss roll* to szwajcarska rolada, ale i turlający się Szwajcar.

– Nie będzie państwu przeszkadzało, jeśli się dosiądę? – zapytał.

– Kim pan jest? – zapytał Moorcroft.

– To major Reacher – oświadczyła neutralnym tonem Sullivan. – Mój klient. Ten, o którym panu opowiadałam.

Moorcroft spojrzał na Reachera.

– Jeśli ma pan jakieś sprawy do omówienia, jestem pewien, że major Sullivan wyznaczy panu spotkanie w bardziej odpowiednim czasie – stwierdził.

– To z panem chcę rozmawiać – powiedział Reacher.

– Ze mną? O czym?

– O Susan Turner.

– Jaki pan ma interes prawny?

– Dlaczego nie złożono odwołania od decyzji o tymczasowym aresztowaniu?

– Zanim przejdziemy do konkretów, musi pan wyjaśnić, jaki jest pana interes prawny.

– Każdy obywatel ma uzasadniony interes prawny, żeby pilnować prawidłowego przebiegu procesu, który wytoczono innemu obywatelowi.

– Uważa pan, że moje postępowanie w tej sprawie jest nieprawidłowe?

– Będę mógł to lepiej ocenić, kiedy odpowie pan na moje pytanie.

– Major Turner postawiono poważne zarzuty.

– Ale areszt tymczasowy nie pełni funkcji karnej. Powinien po prostu zagwarantować, że oskarżony stawi się na rozprawę. Tak mówią przepisy.

– Jest pan adwokatem? Nie kojarzę pańskiego nazwiska.

– Służyłem w żandarmerii wojskowej. A właściwie chyba nadal służę. Znowu. Dlatego dość dobrze znam prawo.

– Naprawdę? W taki sam sposób, w jaki hydraulik zna się na mechanice płynów i termodynamice?

– Niech pan sobie nie pochlebia, pułkowniku. To nie jest chirurgia mózgu.

– Więc niech mnie pan oświeci, proszę bardzo.

– W przypadku major Turner nie jest konieczne zastosowanie tymczasowego aresztowania. Major Turner jest oficerem sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Nie ma zamiaru uciec.

– Czy mam to traktować jako osobiste poręczenie?

– Prawie. Major dowodzi sto dziesiątą jednostką żandarmerii. Ja też nią kiedyś dowodziłem. Ja bym nie uciekł. Ona też nie ucieknie.

– Zachodzi tutaj podejrzenie zdrady.

– Może tutaj, ale nie w rzeczywistości. Nikt nie bierze na serio ewentualności zdrady. W takim przypadku nie zamknęliby jej w Dyer. Już dawno wylądowałaby na Karaibach.

– Tak czy inaczej, to nie jest mandat za przekroczenie szybkości.

– Ona nie ucieknie.

– Pytam jeszcze raz, czy to jest osobiste poręczenie?

– To przemyślana ocena sytuacji.

– Czy pan w ogóle zna major Turner?

– Niezbyt dobrze.

– Więc niech pan się odwali, majorze.

– Dlaczego poinstruowała pana, że nie życzy sobie, bym ją odwiedzał?

– Formalnie rzecz biorąc, nie zrobiła tego. Instrukcja została mi przekazana przez obrońcę z urzędu. W bliżej niesprecyzowanym czasie przedwczoraj po południu, dlatego weszła w życie, zanim przejąłem sprawę, co miało miejsce następnego dnia rano. Czyli wczoraj.

– Chcę, żeby pan ją poprosił o zmianę decyzji.

Moorcroft nie odpowiedział. Sullivan popatrzyła na Reachera.

– Kapitan Edmonds poinformowała mnie, że się z panem spotkała – powiedziała, włączając się do rozmowy. – W sprawie Candice Dayton. Powiedziała, że doradziła panu, by wykonał pan pewne kroki. Zrobił to pan?

– Zajmę się tym – odparł Reacher.

– Nie powinien pan z tym zwlekać. W takiej sprawie jak ta ważne są niuanse.

– Zajmę się tym – powtórzył Reacher.

– Mówimy o pańskiej córce. Która mieszka w samochodzie. To ważniejsza sprawa niż teoretyczne rozważania na temat praw obywatelskich major Turner.

– Dziewczyna ma prawie piętnaście lat i mieszka w Los Angeles. Na pewno nocowała w samochodzie już wcześniej. A jeśli rzeczywiście jest moją córką, nic się jej nie stanie, jeśli spędzi tam kilka dni więcej.

– Wydaje mi się, że major Sullivan i kapitan Edmonds próbują dać panu do zrozumienia, że może pan nie mieć do dyspozycji kilku dni – powiedział Moorcroft. – Wszystko zależy od tego, jaką decyzję podejmą prokuratorzy w sprawie Rodrigueza. Wyobrażam sobie, że zacierają ręce z radości. Bo wszystko sprzysięgło się przeciwko panu. Niezbite dowody plus fatalny wydźwięk całej sprawy.

– Niezbite dowody to w rzeczywistości stek bzdur.

Moorcroft uśmiechnął się, pobłażliwie i protekcjonalnie.

– Wie pan co? Nie jest pan pierwszym oskarżonym, który to mówi.

– Facet nie żyje. A ja mam w jakiś sposób podważyć zeznania, które złożył przeciwko mnie. Jak to jest w ogóle możliwe z prawnego punktu widzenia?

– To niefortunna anomalia. Oświadczenie mówi zza grobu. Jest takie, jakie jest. Nie można go obalić.

Reacher spojrzał na Sullivan. Była w końcu jego obrończynią.

– Pułkownik ma rację. Mówiłam już panu, że mogę załatwić ugodę. Powinien pan ją zaakceptować – stwierdziła. Dopiła kawę, wstała, powiedziała „do widzenia" i odeszła. Reacher popatrzył za nią, po czym odwrócił się do Moorcrofta.

– Złoży pan odwołanie od decyzji o tymczasowym aresztowaniu major Turner? – zapytał.

– Tak – odparł Moorcroft. – Tak się składa, że to zrobię. Zamierzam poprosić o wydanie zakazu opuszczania przez nią okręgu wojskowego Dystryktu Columbii i oczekuję, że się na to zgodzą. Wkrótce powinna wyjść na wolność.

– Kiedy rozpocznie pan procedurę?

– Złożę odpowiednie papiery, kiedy tylko pozwoli mi pan skończyć śniadanie.

– Kiedy otrzyma pan decyzję?

– Moim zdaniem w połowie dnia.

– To dobrze.

– Dobrze czy źle, to naprawdę nie pańska sprawa, majorze.

• • •

Moorcroft jeszcze przez minutę zgarniał okruszki grzanki z talerza. W końcu wstał, pożegnał się z Reacherem i wyszedł z sali. Idąc, powłóczył lekko nogami. Chód miał zdecydowanie bardziej akademicki niż wojskowy. Ale generalnie okazał się przyzwoitym facetem. W opinii Reachera miał serce po właściwej stronie.

„Samantha Dayton".

„Sam".

„Czternastolatka".

„Zajmę się tym".

• • •

Reacher przemierzył pieszo całą bazę, kierując się na północ, i wstąpił do aresztu, gdzie dyżurował inny kapitan. Nie Weiss z nocnej zmiany. Facet z dziennej zmiany był chudym jak szczapa, mającym dwa metry dziesięć centymetrów wzrostu czarnym olbrzymem o orlim profilu, skulonym na krześle, które było dla niego zdecydowanie za małe. Reacher poprosił o widzenie z Susan Turner. Facet zajrzał do zielonego segregatora i mu odmówił.

Kto nie ryzykuje, ten traci.

Reacher wrócił więc do starego niebieskiego chevroleta, pojechał z powrotem do dowództwa jednostki sto dziesiątej i zaparkował auto w

tym samym miejscu, z którego je zabrał. Wszedł do budynku i oddał kluczyk Leach. Znowu była pobudzona. Zdenerwowana, w stresie i spięta. Nie na granicy załamania nerwowego, ale dość blisko.

– Co się stało? – zapytał Reacher.

– Nie ma pułkownika Morgana.

– Powiedziała pani to tak, jakby to było coś złego.

– Jest potrzebny.

– Nie mam pojęcia do czego.

– Jest dowódcą.

– Nie, waszym dowódcą jest major Turner.

– Jej też nie ma.

– Co się stało?

– Nasi ludzie w Afganistanie po raz kolejny nie zameldowali się przez radio. Nie mamy od nich sygnału od czterdziestu ośmiu godzin. Musimy coś zrobić, a Morgana nie ma w jednostce.

Reacher pokiwał głową.

– Dopasowuje pewnie nowy pogrzebacz – powiedział.

– Sprawdza, jak głęboko może go sobie wsadzić w dupę. To musi trochę potrwać.

Ruszył korytarzem do drugiego gabinetu po lewej stronie. Pokój sto trzy. Posterunek oficera dyżurnego. Przystojny facet o urodzie południowca siedział zatroskany za ogromnym biurkiem. Jego bohomazy były jeszcze mroczniejsze niż zwykle.

– Morgan nie poinformował was, dokąd jedzie? – zapytał go Reacher.

– Do Pentagonu. Na zebranie.

– To wszystko, co powiedział?

– Żadnych szczegółów.

– Dzwoniliście do niego?

– Oczywiście, że dzwoniłem. Ale to duże miejsce. Nie mogli go nigdzie znaleźć.

– Ma komórkę?

– Wyłączył.

– Od jak dawna go nie ma?

– Od niecałej godziny.

– Co chcecie, żeby zrobił?

– Zatwierdził prośbę o wysłanie grupy poszukiwawczej. To chyba jasne. Liczy się każda minuta. A mamy tam sporo ludzi. Pierwszą dywizję piechoty. Siły specjalne. Helikoptery, drony, satelity, wszelkiego rodzaju środki rozpoznania powietrznego i kosmicznego.

– Ale przecież nie wiecie nawet, gdzie powinni się znajdować wasi ludzie i co powinni robić.

Oficer dyżurny pokiwał głową i wskazał kciukiem sufit.

– Dane na temat misji są w komputerze major Turner. Który należy teraz do pułkownika Morgana. I jest chroniony hasłem.

– Czy meldunki radiowe idą przez Bagram?

Facet znów pokiwał głową.

– Większość zawiera rutynowe dane. Bagram przesyła nam nagranie. Ale jeśli jest coś pilnego, przełączają je od razu do nas, tu, na ten posterunek. Przez zaszyfrowaną linię telefoniczną.

– Ostatni meldunek był rutynowy czy pilny?

– Rutynowy.

– W porządku – mruknął Reacher. – Połączcie się z Bagram i poproście o przybliżoną odległość, z jakiej ostatnio nadawali.

– Skąd w Bagram mają wiedzieć, z jakiej odległości nadawali?

– Łącznościowcy mają na ogół swoje sposoby. Rozpoznają to po dźwięku, po sile sygnału. Czasami intuicyjnie. Na tym polega ich praca. Poproście, żeby podali przybliżoną odległość, z dokładnością do dziesięciu kilometrów.

Facet podniósł słuchawkę telefonu, a Reacher wrócił do Leach, do recepcji.

– Dzwońcie do wszystkich ludzi, których znacie w Pentagonie. Krycie na całym boisku – powiedział. – Trzeba zlokalizować Morgana.

Leach podniosła słuchawkę.

Reacher czekał.

• • •

Dziesięć minut później Leach nadal nie miała żadnych informacji. Co nie było aż takie dziwne. Pentagon ma ponad dwadzieścia siedem kilometrów korytarzy i ponad trzysta siedemdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych powierzchni biurowej. Codziennie pracuje tam ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Próba odnalezienia wśród nich konkretnego osobnika to jak szukanie igły w najbardziej sekretnym stogu siana. Reacher wrócił do pokoju sto trzy.

– Zdaniem łącznościowców z Bagram nasi ludzie nadawali z odległości mniej więcej trzystu pięćdziesięciu kilometrów – powiedział oficer dyżurny. – Może trzystu sześćdziesięciu.

– Na początek dobre i to – stwierdził Reacher.

– Niekoniecznie. Nie wiemy, z jakiego kierunku.

– Jeśli masz wątpliwości, zgaduj. To moja tradycyjna reguła działania.

– Afganistan to duży kraj.

– Wiem o tym – odparł Reacher. – I z tego, co słyszałem, na ogół nieprzyjemny. Ale gdzie jest najgorzej?

– W górach. Przy granicy z Pakistanem. W rejonie zamieszkanym przez Pasztunów. Zasadniczo na północnym wschodzie. Nikt nie wybiera się tam dla przyjemności.

– A więc to dokładnie takie miejsce, do jakiego wysyła się ludzi ze sto dziesiątej. Zadzwońcie do komendanta bazy i poproście, żeby zarządził rekonesans lotniczy w odległości trzystu pięćdziesięciu kilometrów na północny wschód od Bagram.

– To może być niewłaściwe miejsce.

– Jak już powiedziałem, zgaduję. Ma pan jakąś lepszą propozycję?

– I tak tego nie zrobią. Nie na moje polecenie. O taką rzecz może się zwrócić major albo ktoś jeszcze wyższy stopniem.

– Więc powołajcie się na Morgana.

– Nie mogę tego zrobić.

Reacher przez chwilę nasłuchiwał. Cisza. Nikt nie nadjeżdżał. Oficer dyżurny czekał, trzymając zaciśniętą pieść nad słuchawką telefonu.

„Znowu służy pan w wojsku, majorze".

„Zachowa pan swój dawny stopień".

„Jest pan przydzielony do tej jednostki".

– Niech pan się powoła na mnie – powiedział Reacher.

12

Oficer dyżurny wykonał telefon i sprawa wpadła w tryby wojskowej machiny, odległej, niewidzialnej i metodycznej, funkcjonującej po drugiej stronie świata, dziewięć stref czasowych i prawie dwanaście tysięcy kilometrów od Waszyngtonu. Zaczęło się planowanie, wydawanie poleceń, szykowanie, zbrojenie i tankowanie. W starym murowanym budynku w Rock Creek zapadła cisza.

– Ilu jeszcze ludzi macie w terenie? – chciał wiedzieć Reacher.

– W sumie? Czternastu – odparł oficer dyżurny.

– A najbliżej?

– W tym momencie w Fort Hood w Teksasie. Sprzątają po sprawie, którą zajęła się tam major Turner.

– Ilu znajduje się w niebezpiecznym położeniu?

– To się zmienia z godziny na godzinę. Ośmiu, może dziesięciu.

– Czy Morgan oddalał się wcześniej bez wyjaśnienia?

– To dopiero jego trzeci dzień w jednostce.

– Jaka była major Turner jako dowódca?

– Pełniła tę funkcję od niedawna. Spędziła tu tylko kilka tygodni.

– Pierwsze wrażenie?

– Znakomite.

– Czy ta misja w Afganistanie jest jej, czy ją odziedziczyła?

– Jej. To druga sprawa, którą zajęła się po objęciu dowództwa, po Fort Hood.

• • •

Reacher nigdy nie był w Bagram ani w żadnym innym miejscu w Afganistanie, ale wiedział, jak to funkcjonuje. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nikt nie lubi siedzieć bezczynnie na tyłku, kiedy jego rodacy są w opałach. Zwłaszcza na terytoriach plemiennych, gdzie dzieją się rzeczy zbyt drastyczne i prymitywne, by o nich w ogóle myśleć. W związku z tym misja poszukiwawcza powinna zostać zorganizowana szybko i sprawnie. Narażona jednak była na spore niebezpieczeństwo. Potrzebne było bojowe wsparcie z powietrza i zapewnienie przewagi ogniowej. Dużo ruchomego sprzętu. Dlatego planowanie wymagało trochę czasu. Zdaniem Reachera minimum dwóch godzin, żeby zapiąć wszystko na ostatni guzik. A potem dwie godziny na przelot. Wcześniej nic się nie rozstrzygnie.

Reacher spędził część tego czasu, chodząc po okolicy. Wrócił do motelu, minął go i przeszedł najpierw jedną długą przecznicę w lewo, a potem drugą długą przecznicę w prawo, aż do pasażu handlowego i greckiej restauracji, którą zignorował, bo nie był głodny. Zignorował też zakład ramiarski, bo nie miał obrazów do oprawienia, zignorował sklep z bronią, bo nie chciał kupować pistoletu, i zignorował gabinet dentystyczny, bo miał zdrowe zęby. Zajrzał do sklepu z artykułami przemysłowymi i kupił spodnie robocze w ciemnym odcieniu khaki, roboczą koszulę z niebieskiego płótna i brązową polową kurtkę podbitą jakąś mającą cudowne właściwości warstwą izolacyjną. Następnie zajrzał do niesieciowej drogerii i kupił tanie skarpetki, bokserki oraz dwa białe podkoszulki, które zamierzał nosić oba jednocześnie pod roboczą koszulą, ponieważ były uszyte z cienkiego materiału, a nie można się było raczej spodziewać ocieplenia. Kupił również trójpak jednorazowych maszynek do golenia, w najmniejszym rozmiarze, najmniejszy pojemnik pianki do golenia, dwie paczki gumy oraz plastikowy grzebień.

Wrócił z zakupami do motelu i wszedł do swojego pokoju, który podczas jego nieobecności został sprzątnięty. Łóżko było posłane, a

skąpy zestaw kosmetyków w łazience uzupełniony. Świeże ręczniki, suche, ale tak samo cienkie, nowe mydło w opakowaniu, tak samo mikroskopijne, oraz nowa buteleczka z szamponem, pod względem chemicznym nieróżniącym się od płynu do zmywania. Reacher rozebrał się w chłodnym wnętrzu i wcisnął stare ubranie do koszy na śmieci, częściowo w łazience, częściowo w sypialni, ponieważ kosze były małe. Następnie bardzo starannie się ogolił i wziął drugi tego dnia prysznic.

Uruchomił hałaśliwy grzejnik pod oknem w sypialni i wytarł się ręcznikiem do rąk, żeby zachować większy na inną okazję. Ubrał się w nowe rzeczy, założył stare buty i się uczesał. Sprawdził efekt w łazienkowym lustrze i usatysfakcjonowało go to, co zobaczył. Wyglądał czysto i schludnie i to było mniej więcej wszystko, na co było go stać.

„Wkrótce powinna wyjść na wolność".

• • •

Następnie wrócił do siedziby jednostki sto dziesiątej. Cztery warstwy ubrania plus cudowna izolacja spełniły swoje zadanie. Było mu dość ciepło. Brama była otwarta, w budce pełnił wartę facet z dziennego dyżuru. Na parkingu stał samochód Morgana. Zwyczajny sedan. Reacher widział go poprzedniego wieczoru, z Morganem, który siedział sztywny i wymuskany za kierownicą. Podszedł bliżej i położył dłoń na masce. Była ciepła. Prawie gorąca. Morgan dopiero co przyjechał.

Co tłumaczyło stan umysłu Leach. Siedziała milcząca i spięta za biurkiem w holu. W korytarzu za jej plecami stał nieruchomo z pobladłą twarzą oficer dyżurny. Reacher nie czekał, aż powiedzą mu, o co chodzi. Wspiął się od razu po starych betonowych schodach. Trzecie drzwi po lewej. Zapukał i wszedł. Morgan siedział za biurkiem z zaciśniętymi ustami i trząsł się z wściekłości.

– Miło, że pan wpadł, pułkowniku – rzucił Reacher.

– To, co pan właśnie zrobił, kosztowało Pentagon ponad trzydzieści milionów dolarów – oświadczył Morgan.

– Dobrze wydane pieniądze.

– Tylko za to należałoby postawić pana przed sądem polowym.

– Być może, ale nie mnie, tylko pana – odparł Reacher.

– Nie wiem, gdzie pan służył wcześniej, pułkowniku, ale tutaj taka amatorszczyzna nie przejdzie. Miał pan dwóch ludzi, o których wiedział pan, że są w niebezpieczeństwie, i opuścił pan stanowisko na całe dwie godziny. Nie zostawił pan informacji, dokąd pan się wybiera, i wyłączył pan komórkę. To niedopuszczalne.

– Ci ludzie nie są w niebezpieczeństwie. Obijają się, zbierając jakieś trywialne informacje.

– Dwa razy z rzędu nie zameldowali się przez radio.

– Pewnie gdzieś się opieprzają, jak cała reszta tej cholernej jednostki.

– W Afganistanie? Co dokładnie robiąc? Włócząc się po barach i klubach? Odwiedzając burdele? Bycząc się na plaży? Spójrz prawdzie w oczy, idioto. Cisza radiowa w Afganistanie to sygnał, że dzieje się coś złego.

– Taką podjąłem decyzję.

– Nie wiedziałbyś, co to jest decyzja, nawet gdyby podbiegła i ugryzła cię w tyłek.

– Proszę nie mówić do mnie w ten sposób.

– Bo co?

Morgan nie odpowiedział.

– Odwołałeś poszukiwania? – zapytał Reacher.

Morgan nie odpowiedział.

– I nie powiedziałeś mi, że szukali w złym miejscu. To znaczy, że miałem rację. Ci ludzie zaginęli gdzieś na pograniczu, na terytoriach plemiennych. Powinieneś to zrobić dwadzieścia cztery godziny temu. Są w prawdziwych opałach.

– Nie miał pan prawa się wtrącać.

– Zostałem powołany do wojska, przydzielony do tej jednostki i mam stopień majora. Dlatego do niczego się nie wtrącałem. Robiłem to, co do mnie należy, i robiłem to dobrze. Tak jak zawsze. Powinien pan się skupić i wziąć sobie do serca parę wskazówek. Ma pan w terenie

około dwunastu ludzi narażonych na niebezpieczeństwo i przez cały dzień i przez całą noc nie powinien pan myśleć o niczym innym. Powinien pan zawsze zostawiać numer, pod którym można się z panem skontaktować, powinien pan mieć włączoną komórkę i odbierać telefony bez względu na to, co pan robi.

– Skończył pan? – warknął Morgan.

– Dopiero zacząłem.

– Rozumie pan, że to ja jestem pańskim dowódcą?

Reacher pokiwał głową.

– W życiu zdarzają się anomalie.

– Więc niech pan słucha. Rozkazy dla pana się zmieniły. Od tej chwili nie wolno panu opuszczać kwatery. Niech pan wraca do motelu i siedzi tam, aż się do pana odezwę. Nie wolno panu pod żadnym pozorem wychodzić z pokoju. Nie wolno panu kontaktować się z nikim z tej jednostki.

Reacher nie odpowiedział.

– Może pan odejść, majorze – zakończył Morgan.

• • •

Oficer dyżurny nadal tkwił na korytarzu na parterze. Leach nadal siedziała za biurkiem recepcji. Reacher zszedł po schodach, spojrzał na nich i wzruszył ramionami. Po części przepraszającym, po części smutnym, po części uniwersalnym wojskowym gestem: „ten sam syf co zawsze". Następnie wyszedł z budynku i zszedł po kamiennych schodkach. Dzień był zimny, przejaśniło się. Widać było rąbek jasnego błękitu.

Wszedł na szczyt wzniesienia i skręcił w trzypasmówkę. Minął go autobus. Wyjeżdżający z miasta, nie wjeżdżający. Zmierzający gdzieś dalej. Reacher szedł dalej, najpierw trochę w dół, potem pod górę. Po prawej stronie, w odległości mniej więcej stu metrów, zobaczył przed sobą motel.

Zatrzymał się.
Na motelowym parkingu stał samochód z wgniecionymi drzwiami.

13

Samochód łatwo było rozpoznać, nawet z pewnej odległości. Marka, model, kształt, kolor, trochę zdeformowana blacha drzwi od strony kierowcy. Stał samotnie na parkingu, na wysokości, jak się domyślał Reacher, jego pokoju. Podszedł do skraju chodnika, żeby lepiej widzieć, i zobaczył, że z jego pokoju wychodzą czterej mężczyźni.

Dwóch można było rozpoznać równie łatwo jak samochód. To byli faceci z poprzedniego wieczoru. Na sto procent. Tej samej postury i wzrostu, tak samo ubrani. Dwaj pozostali byli nowi. Jeden nie odznaczał się niczym szczególnym. Wysoki, młody, głupi. Wart tyle samo, co jego dwaj kumple.

Czwarty mężczyzna był inny.

Sprawiał wrażenie trochę starszego i był nieco większy od towarzyszy, co zbliżało go rozmiarami do Reachera. Jakieś metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i sto dziesięć kilogramów wagi. Potężne uda, wąska talia, masywna klata – jak w klepsydrze, jak u siłacza z komiksu. Plus wielkie zawęźlone ramiona i ręce odsunięte od boków przez masę mięśni piersiowych i tricepsów. Przypominał mistrza świata w gimnastyce, tyle że dwa razy większego.

Ale naprawdę niesamowite wrażenie robiła jego głowa. Była ogolona i wyglądała jak zespawana z płaskich stalowych płyt. Małe oczka, grube brwi, ostre kości policzkowe i małe żylaste uszy niczym makaronowe muszelki. Był prosty jak struna i potężny. Miał w sobie coś

słowiańskiego. Przypominał chłopaka ze starych plakatów zachęcających do wstępowania do Armii Czerwonej. Ideał męskości. Powinien dzierżyć w ręce sztandar, wysoko i dumnie, z oczyma utkwionymi w świetlanej przyszłości.

Czterej mężczyźni wymaszerowali z pokoju i zamknęli za sobą drzwi. Reacher ruszył dalej. Miał do nich dziewięćdziesiąt, potem osiemdziesiąt metrów. Startujący na olimpiadzie sprinter mógłby pokonać tę odległość w osiem sekund, ale Reacher nie był sprinterem, olimpijskim ani żadnym innym. Czterej mężczyźni podeszli do swojego samochodu. Reacher szedł dalej. Czterej mężczyźni otworzyli drzwi samochodu i wsiedli, dwaj z przodu i dwaj z tyłu. Reacher szedł dalej. Siedemdziesiąt metrów. Sześćdziesiąt. Samochód przejechał przez parking i zatrzymał się przed trzypasmówką, żeby przepuścić jadące nią pojazdy i wyjechać. Reacher chciał, by skręcił w jego stronę. Skręćcie w lewo, pomyślał. Proszę.

Ale samochód skręcił w prawo, włączył się do ruchu i po chwili znikł z pola widzenia.

• • •

Minutę później Reacher otworzył drzwi pokoju i wszedł do środka. Nic nie zostało ruszone, rozdarte, przewrócone ani zdemolowane. A zatem nie przeprowadzono gruntownego przeszukania. Intruzi rozejrzeli się tylko, by wyrobić sobie ogólne zdanie.

Jakie wyciągnęli wnioski?

Zobaczyli mokrą wannę, mokry ręcznik, stare ubrania wyrzucone do koszy, leżące przy umywalce przybory toaletowe. Tak jakby dopiero co wstał i wyszedł. „Wynoś się stąd w podskokach. Jeśli cię tu jeszcze znajdziemy, każdego wieczoru skopiemy ci tyłek".

Może uznali, że zastosował się do ostrzeżenia.

A może nie.

Reacher wyszedł z pokoju i ruszył do recepcji. Recepcjonista był

wiewiórkowatym facetem koło czterdziestki, z fatalną cerą i sterczącymi kośćmi policzkowymi. Siedział na wysokim stołku za kontuarem.

– Wpuścił pan czterech facetów do mojego pokoju – powiedział Reacher.

Recepcjonista cmoknął i pokiwał głową.

– To byli wojskowi? – zapytał Reacher.

Mężczyzna ponownie pokiwał głową.

– Widział pan ich legitymacje?

– Nie musiałem. Poznałem ich po wyglądzie.

– Robi pan dużo interesów z wojskiem?

– Dość dużo.

– Żeby nie zadawać pytań?

– Trafnie pan to ujął, szefie. Jeśli chodzi o wojsko, jestem jak do rany przyłóż. Bo człowiek musi coś jeść. Zrobili coś złego?

– Nie, skądże. Podali jakieś nazwiska?

– Tylko pańskie.

Reacher nic nie powiedział.

– Mogę jeszcze panu czymś służyć? – zapytał recepcjonista.

– Przydałby się świeży ręcznik. I chyba więcej mydła. I więcej szamponu. I mógłby pan wyrzucić śmieci.

– Jak pan sobie życzy – powiedział facet. – Jeśli chodzi o wojsko, jestem jak do rany przyłóż.

• • •

Reacher wrócił do pokoju. Nie było w nim krzesła, co nie stanowiło naruszenia konwencji genewskiej, ale sprawiało, że zakaz opuszczania kwatery mógł się wiązać z pewnymi niedogodnościami dla dużego i niespokojnego mężczyzny. Poza tym był to zwyczajny motel i nie podawano tam posiłków do pokojów. Nie było restauracji ani bistra po drugiej stronie ulicy, a także telefonu, wskutek czego nie można było nic zamówić. W związku z tym Reacher zamknął pokój na klucz i udał się

do greckiej restauracji dwie przecznice dalej. Formalnie rzecz biorąc, złamał rozkaz, ale w ogólnym planie rzeczy podobne drobiazgi nie powinny mieć większego znaczenia.

Po drodze nie zobaczył niczego ciekawego prócz kolejnego lokalnego autobusu, który wyjeżdżał z miasta, oraz kursującej po okolicy śmieciarki. W restauracji dostał stolik w innej części sali niż ta, w której jadł śniadanie, i został obsłużony przez inną kelnerkę. Zamówił kawę, cheeseburgera i kawałek ciasta, i wszystko mu smakowało. W drodze powrotnej nie zobaczył niczego prócz kolejnego wyjeżdżającego z miasta autobusu i kolejnej kursującej po okolicy śmieciarki. Wrócił do pokoju niespełna godzinę po tym, jak z niego wyszedł. Wiewiórkowaty facet dostarczył nowy ręcznik, nowe mydło i nowy szampon. Kosze na śmieci były opróżnione. Lepiej być nie mogło. Reacher położył się na łóżku, skrzyżował nogi, oparł głowę na splecionych dłoniach i postanowił uciąć sobie drzemkę.

Ale nie było mu to pisane. Minutę po tym, jak przyłożył głowę do poduszki, pojawili się trzej podchorążowie z siedemdziesiątej piątej jednostki żandarmerii, żeby go aresztować.

14

Przyjechali samochodem i chyba bardzo się spieszyli. Reacher usłyszał, jak zasuwają drogą, wjeżdżają na parking, zakręcają z poślizgiem i zatrzymują się nieopodal jego pokoju. Usłyszał otwierające się drzwi, jedne, drugie i trzecie, wszystkie w ciągu sekundy, a potem stąpanie trzech par butów, co oznaczało, że facetów jest trzech, a nie czterech, i że nie są to faceci z samochodu z wgniecionymi drzwiami. Po krótkiej pauzie jedne kroki szybko się oddaliły, co, jak się domyślał, oznaczało, że któryś z facetów pobiegł zabezpieczyć tyły. Co było stratą czasu, ponieważ łazienka nie miała okna, ale oni o tym nie wiedzieli i woleli dmuchać na zimne. Co świadczyło o tym, że ma do czynienia z kompetentną ekipą.

Zdjął nogę z nogi, wysunął dłonie spod głowy, usiadł na łóżku, postawił stopy na podłodze i jak na zawołanie rozległo się walenie do drzwi. Nie przypominało grzecznego pukania major Sullivan o szóstej rano: „puk, puk, pukpuk, puk". To było wściekłe łomotanie, „bang, bang, BANG", w wykonaniu silnych facetów szkolonych w wywołaniu paraliżującego pierwszego wrażenia. Nie preferował raczej tej metody. Nigdy nie lubił robić hałasu.

Faceci przestali na chwilę łomotać, żeby krzyknąć coś kilka razy. „Otwierać, otwierać", domyślił się Reacher. Potem znów zaczęli walić. Reacher wstał, podszedł do drzwi i uderzył w nie od środka, dokładnie tak samo mocno i głośno. Na zewnątrz zapadła cisza. Reacher

uśmiechnął się. Nikt nie oczekuje, że drzwi będą się stawiać.

Otworzył je i zobaczył dwóch facetów w bojowych mundurach. Jeden trzymał w ręku pistolet, drugi strzelbę, co wyglądało cholernie poważnie, jak na spokojne przedmieście popołudniową porą. W stojącym za nimi samochodzie troje drzwi było otwartych, silnik pracował.

– Co jest? – zapytał Reacher.

Dowódcą był facet stojący bliżej zawiasów. Bezpieczniejsze miejsce, dla wyższego rangą.

– Pójdzie pan z nami, panie majorze – oświadczył.

– Kto tak twierdzi?

– Ja.

– Z jakiej jednostki?

– Siedemdziesiątej piątej jednostki żandarmerii.

– Na czyje zlecenie?

– Zobaczy pan.

Na naszywce munduru widniało nazwisko Espin. Facet miał posturę boksera wagi piórkowej, ciemne włosy i spłaszczony nos. Twardy i muskularny, Espin sprawiał wrażenie porządnego gościa. Reacher lubił podchorążych. Nie tak bardzo jak sierżantów, ale bardziej niż większość oficerów.

– Czy to jest aresztowanie? – zapytał.

– A chce pan, żeby było? – zapytał Espin. – Jeśli tak, niech pan mówi dalej.

– Zdecyduj się, żołnierzu. Albo jedno, albo drugie.

– Wolałbym, żeby pan współpracował.

– Marzenie ściętej głowy.

– W takim razie jest pan aresztowany.

– Jak się pan nazywa?

– Espin.

– Imię?

– Po co panu moje imię?

– Chcę je zapamiętać do końca życia.

– Czy to jest groźba?

– Jak ma pan na imię?

– Pete – odparł facet.

– Rozumiem. Pete Espin. Dokąd jedziemy?

– Do Fort Dyer – odparł Pete Espin.

– Po co?

– Ktoś chce z panem porozmawiać.

Zza budynku wyszedł trzeci mężczyzna. Młodszy od Espina, ale tylko metrykalnie. Wszyscy trzej robili wrażenie weteranów. Niejedno widzieli, z niejednym mieli do czynienia.

– Najpierw pana przeszukamy – oznajmił Espin.

– Nie krępujcie się – odparł Reacher, rozkładając szeroko ręce. Nie miał nic do ukrycia. W kieszeniach trzymał tylko paszport, kartę bankomatową, szczoteczkę do zębów, trochę gotówki, trochę gumy do żucia i klucz do pokoju. Co zostało szybko potwierdzone. Następnie facet ze strzelbą wskazał samochód, dokładniej rzecz biorąc, miejsce za fotelem pasażera, czyli tam, gdzie najbezpieczniej jest transportować delikwenta w czteroosobowym pojeździe bez ścianki działowej. Najmniejsze ryzyko, że będzie próbował przeszkadzać kierowcy. Facet, który sprawdził pokój od tyłu, usiadł za kierownicą. Espin obok Reachera. Facet ze strzelbą zamknął drzwi od strony Reachera i zajął miejsce obok kierowcy. Wszystko w ustalonym porządku, gładko i profesjonalnie. Kompetentna ekipa.

Było już po przerwie na lunch i przed popołudniowym szczytem, dzięki czemu drogi były puste i jechali szybko, inną trasą niż ta, wybrana poprzedniego dnia przez Reachera, przez plątaninę uliczek do północnej bramy bazy, z której korzystano chyba o wiele rzadziej niż z głównej bramy na południu. Ale która była równie dobrze zabezpieczona. Wjazd zajął tyle samo czasu. Zapory przeciwczołgowe, szlabany i trzy kontrole jedna po drugiej. Następnie objechali fragment bazy i zatrzymali się przy tylnym wejściu do aresztu. Reachera poprowadzono do budynku, do faceta, który urzędował za drzwiami. Niezupełnie więziennego strażnika. Bardziej urzędnika albo administratora. Mężczy-

zna nie był uzbrojony, jak większość personelu więziennego, i miał przy pasie pęk kluczy. Urzędował w małym kwadratowym pomieszczeniu z zamkniętymi drzwiami po lewej i prawej stronie.

Reachera wyprowadzono przez drzwi po lewej do pokoju przesłuchań. Nie było w nim okien. Tylko cztery gołe ściany i przyśrubowany do podłogi stół z dwoma krzesłami po jednej i jednym po drugiej stronie. Wystroju nie projektował facet od klubu oficerskiego. To było oczywiste. Nie było jasnego drewna i wykładzin. Wyłącznie pomalowane łuszczącą się białą farbą bloczki z gazobetonu, popękana betonowa podłoga i osłonięta drucianym koszem jarzeniówka pod sufitem.

Facet z Dyer, którego Reacher wcześniej nie widział, wszedł z plastikową przezroczystą torbą i zabrał wszystkie rzeczy z jego kieszeni. Reacher usiadł po tej stronie stołu, gdzie stało tylko jedno krzesło. Uznał, że to jest miejsce przeznaczone dla niego. Espin usiadł naprzeciwko. Wszyscy inni wyszli. Espin milczał. Żadnych pytań, żadnych uprzejmości, żadnych pierdół, żeby miło spędzić czas.

– Kto chce ze mną mówić? – zapytał Reacher.

– Jest już w drodze – odparł Espin.

– Jak się nazywa?

– Jakieś polskie nazwisko.

– Co to za facet?

– Zobaczy pan.

I Reacher zobaczył, mniej więcej dwadzieścia minut później. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł facet w garniturze. W wieku wczesnośrednim, miał przetykane nitkami siwizny krótkie ciemne włosy, bladą wymiętą i zmęczoną twarz i twarde krępe ciało, zdradzające częste wizyty w siłowni. Garnitur był czarny, niezbyt tani, ale znoszony i miejscami wyświecony. Do kieszonki na piersi przyczepiona była policyjna odznaka. Widniał na niej napis Metro PD. Tak nazywa się działająca w Dystrykcie Columbii policja.

Cywil.

Facet usiadł na krześle obok Espina.

– Jestem detektyw Podolski – przedstawił się.

– Dobrze wiedzieć – mruknął Reacher.

– Chcę, żeby udzielił mi pan kilku odpowiedzi.

– Na jakie pytania?

– Chyba pan wie.

– Nie wiem.

– Pytania dotyczące napaści.

– Sprzed ilu lat tym razem? Dwudziestu? Stu? Dotyczące czegoś, co zdarzyło się w trakcie wojny secesyjnej?

– Niech mi pan powie, co pan robił rano.

– Rano którego dnia?

– Dzisiejszego. Dzisiaj rano.

– Wstałem, odbyłem rozmowę z prawniczką, następnie odbyłem rozmowę z kolejną prawniczką i rozmowę z kolejnym prawnikiem. Cały dzisiejszy ranek wypełniły mi rozmowy z prawnikami.

– Ich nazwiska?

– Sullivan, Edmonds i Moorcroft.

– Wymieniony przez pana Moorcroft to pułkownik Moorcroft z pańskiej szkoły w Charlottenville, czasowo oddelegowany do tej bazy?

– Nie z mojej szkoły – skorygował Reacher. – Ale owszem, chodzi o tego faceta.

– I gdzie pan z nim rozmawiał?

– Tu, w tej bazie. W restauracji klubu oficerskiego.

– Kiedy to było?

– Dziś rano. Tak jak powiedziałem.

– Dokładnie kiedy?

– Czy odbywająca się na terenie bazy wojskowej prywatna rozmowa między dwoma oficerami sił zbrojnych podpada pod pańską jurysdykcję, detektywie?

– Ta podpada – odparł Podolski. – Niech mi pan wierzy. Kiedy pan z nim rozmawiał?

– Podczas jego śniadania – odparł Reacher. – Które jadł później niż ja. Powiedziałbym, że rozmowa rozpoczęła się dwadzieścia trzy minuty po dziewiątej.

– Bardzo dokładne pan to określił.

– Prosił pan o to.

– Czego dotyczyła rozmowa z pułkownikiem Moorcroftem? – zapytał Podolski.

– Kwestii prawnych.

– Objętych tajemnicą zawodową?

– Nie, rozmawialiśmy na temat osoby trzeciej.

– Czy tą osobą trzecią jest major Susan Turner z jednostki sto dziesiątej żandarmerii wojskowej, przeciwko której prowadzone jest obecnie śledztwo w związku z oskarżeniem o korupcję?

– Zgadza się.

– I świadkiem tej rozmowy była major Sullivan?

– Tak, była tam.

– Major Sullivan twierdzi, że chciał pan, żeby pułkownik Moorcroft coś zrobił. Czy tak było?

– Owszem.

– Chciał pan, żeby złożył odwołanie od decyzji o tymczasowym aresztowaniu major Turner?

– Tak, chciałem, żeby je złożył.

– Ale on tego nie zrobił. Zgadza się? I powiedział, żeby się pan odwalił.

– Owszem, w pewnym momencie.

– Właściwie doszło między wami do kłótni. Zaciekłej kłótni.

– To nie była kłótnia. Omawialiśmy kwestie formalne. Bynajmniej nie w zaciekły sposób.

– Ale zasadniczo pan chciał, żeby pułkownik Moorcroft coś dla pana zrobił, a on panu odmówił. Czy nie do tego to się sprowadza?

– O co w tym wszystkim dokładnie chodzi? – zapytał Reacher.

– Chodzi o to – odparł Podolski – że dziś późnym rankiem ktoś o mało nie zatłukł na śmierć pułkownika Moorcrofta w południowowschodniej części Dystryktu Columbii. Na ulicy mojego miasta.

15

Podolski wyjął notes i długopis i położył je przed sobą na stole.

– Powinien panu towarzyszyć adwokat – oznajmił.

– Nie byłem dzisiaj w południowo-wschodniej części Waszyngtonu. I w żadnej innej części. Nie przeszedłem nawet na drugi brzeg rzeki.

– Chce pan adwokata?

– Mam już adwokata. Właściwie dwie adwokatki. Niewiele z nich mam pożytku. Szczególnie jedna wydaje się raczej mało pomocna.

– Ma pan na myśli major Sullivan?

– Wyszła, zanim skończyłem rozmawiać z Moorcroftem. Pułkownik miał zamiar złożyć odpowiednie papiery. Zgodził się to zrobić zaraz po jej odejściu. Takie są fakty.

– Korzystne dla pana.

– Ale prawdziwe. Czy Moorcroft twierdzi, że jest inaczej?

– Moorcroft nic nie twierdzi. Jest w śpiączce. Miał pan do dyspozycji samochód, prawda? – zapytał Podolski. – Niebieskiego chevroleta, wypożyczonego z dowództwa jednostki sto dziesiątej.

– I co z tego?

– Mógł pan porwać Moorcrofta i wywieźć go na drugi brzeg rzeki.

– Pewnie mógłbym, ale nie zrobiłem tego.

– To była brutalna napaść.

– Skoro pan tak twierdzi…

– Tak twierdzę. Wszędzie musiało być dużo krwi. Reacher pokiwał

głową.

– Brutalne ataki i duża ilość krwi chodzą na ogół ze sobą w parze.

– Niech pan mi opowie o swoim ubraniu.

– Jakim ubraniu?

– Tym, które pan nosi.

Reacher spojrzał na siebie.

– Jest nowe. Właśnie je kupiłem.

– Gdzie?

– W pasażu, dwie przecznice od mojego motelu.

– Dlaczego pan je kupił?

„Wkrótce powinna wyjść na wolność".

– Była już na to pora.

– Czy pańskie stare ubranie było brudne?

– Chyba tak.

– Czymś je pan pobrudził?

– Na przykład czym?

– Na przykład krwią.

– Nie, nie było pobrudzone krwią.

– Gdzie jest teraz?

Reacher nie odpowiedział.

– Rozmawialiśmy z recepcjonistą w pańskim motelu. Powiedział, że bardzo panu zależało, żeby opróżnił kosze w pańskim pokoju.

– Tak naprawdę wcale mi na tym tak nie zależało.

– Tak czy owak, opróżnił je. Tak jak go pan prosił. Tuż przed przyjazdem śmieciarki. W rezultacie pańskie stare ubranie zniknęło.

– Zbieg okoliczności.

– Korzystny dla pana – powtórzył Podolski. – Nieprawdaż?

Reacher nie odpowiedział.

– Recepcjonista sprawdził ubranie. To tego rodzaju facet. Na niego było oczywiście za duże, ale mogło mieć pewną wartość. Ale okazało się, że nie. Za brudne, stwierdził. I za bardzo poplamione. W tym także czymś, co wyglądało na krew.

– Nie Moorcofta – powiedział Reacher.

– W takim razie czyją?

– Nosiłem je dość długo. Nie prowadzę łatwego życia.

– Często wdaje się pan w bijatyki?

– Staram się ich unikać. Ale czasami zacinam się przy goleniu.

– Wziął pan również prysznic, czy tak?

– Kiedy?

– Kiedy wyrzucił pan ubranie. Recepcjonista w motelu powiedział, że poprosił pan o świeże ręczniki.

– Tak, wziąłem prysznic.

– Bierze pan normalnie prysznic dwa razy dziennie?

– Czasami.

– Miał pan dzisiaj jakiś szczególny powód, żeby to robić?

„Wkrótce powinna wyjść na wolność".

– Nie miałem żadnego szczególnego powodu – odparł Reacher.

– Może żeby zmyć krew?

– Nie krwawiłem.

– Co znajdziemy, jeśli sprawdzimy kanalizację?

– Brudną wodę.

– Jest pan tego pewien?

– Cały pokój jest brudny.

– Jeśli się nie mylę, oskarżono pana niedawno o zabójstwo? Sprzed szesnastu lat? Na osobie Juana Rodrigueza? Jakiegoś faceta, którego pan pobił?

– To fałszywe oskarżenie.

– Nie pan pierwszy to mówi. To samo chyba usłyszał pan od pułkownika Moorcrofta, prawda? Major Sullivan poinformowała mnie, że wspomniał mu pan o tym. Ale pułkownik wcale panu nie współczuł. Czy to pana tak rozwścieczyło?

– Trochę mnie to sfrustrowało.

– No tak, to musi być frustrujące, kiedy nikt człowieka nie rozumie.

– W jak złym stanie jest Moorcroft? – zapytał Reacher.

– Ma pan wyrzuty sumienia?

– Martwię się o niego i o jego klientkę.

– Słyszałem, że nigdy nie spotkał się pan z tą kobietą.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Lekarze twierdzą, że pułkownik może w którymś momencie odzyskać przytomność. Nikt nie potrafi powiedzieć kiedy i w jakim będzie wtedy stanie. Jeśli w ogóle do tego dojdzie.

– Rano byłem w dowództwie jednostki sto dziesiątej – powiedział Reacher.

Podolski pokiwał głową.

– Przez mniej więcej dwadzieścia minut – powiedział.

– Sprawdziliśmy to. Co pan robił przez resztę poranka?

– Chodziłem.

– Gdzie?

– Tu i tam.

– Czy ktoś widział, jak pan chodził?

– Nie sądzę. Ale takie są fakty.

– Korzystne dla pana – stwierdził po raz trzeci Podolski.

– Rozmawia pan nie z tym facetem, co trzeba, detektywie.

Kiedy ostatni raz widziałem Moorcrofta, wychodził z restauracji klubu oficerskiego radosny jak skowronek. Ktokolwiek na niego napadł, jest na wolności i śmieje się w kułak, podczas gdy pan marnuje tu ze mną czas.

– Innymi słowy, zrobił to jakiś inny koleś?

– Najwyraźniej.

– Nie pan pierwszy to mówi – powiedział znowu Podolski.

– Czy kiedykolwiek się pan pomylił?

– To nieważne. Ważne jest, czy mylę się teraz? Nie wydaje mi się. Mam osobnika z udokumentowaną historią przemocy, którego widziano razem z ofiarą przed popełnieniem przestępstwa, który wyrzucił całe swoje ubranie i wziął drugi tego dnia prysznic po popełnieniu przestępstwa, który miał dostęp do samochodu i o którym nie wiadomo, co robił w ciągu dnia. Był pan, zdaje się, gliniarzem, prawda? Co by pan zrobił?

– Odnalazłbym właściwego faceta. Na pewno widziałem to gdzieś

zapisane.

– A jeśli właściwy facet twierdzi, że to nie on?

– Coś takiego stale się zdarza. Musi pan sam to ocenić.

– Właśnie to robię.

– Szkoda – mruknął Reacher.

– Niech mi pan pokaże swoje dłonie.

Reacher położył dłonie płasko na stole, wnętrzem w dół. Były duże, opalone i twarde. Kłykcie jednej i drugiej lekko zaróżowione i lekko spuchnięte. Po tym, co zdarzyło się poprzedniego wieczoru. Po spotkaniu z dwoma facetami w podkoszulkach. Po lewym sierpowym i prawym haku. Które były mocne. Nie najmocniejsze, jakie w życiu zadał, ale solidne. Podolski długo im się przyglądał.

– Trudno coś przesądzać – mruknął. – Może użył pan broni. Jakiegoś tępego narzędzia. Ustalą to patolodzy.

– I co teraz będzie? – chciał wiedzieć Reacher.

– Decyzja należy do prokuratora okręgowego. Tymczasem pojedzie pan ze mną. Chcę mieć pana pod kluczem u siebie.

W pokoju zapadła cisza, a potem Espin po raz pierwszy się odezwał.

– Nie. To nie do zaakceptowania. On zostaje tutaj. Nasze oskarżenie o zabójstwo ma większy ciężar gatunkowy od waszego oskarżenia o napaść.

– Dzisiejszy ranek ma większy ciężar gatunkowy od czegoś, co zdarzyło się szesnaście lat temu – odparował Podolski.

– W oczach prawa posiadanie to trzy czwarte sukcesu. My go mamy. Wy nie. Niech pan sobie wyobrazi ilość papierkowej roboty.

Podolski nie odpowiedział.

– Ale może pan tu przyjeżdżać i przesłuchiwać go, kiedy dusza zapragnie – dodał Espin.

– Będzie trzymany pod kluczem? – upewnił się Podolski.

– Już my o to zadbamy.

– Zgoda. – Podolski wstał, zabrał długopis i notes i wyszedł z pokoju.

• • •

Potem zostały do wykonania wyłącznie rutynowe czynności. Reachera ponownie przeszukano, zabrano mu sznurowadła i wyprowadzono na wąski pusty korytarz. Minęli dwa bardziej okazałe pokoje przesłuchań, a potem skręciwszy w lewo i w prawo, dotarli do bloku więziennego. Znacznie bardziej cywilizowanego od tych, które Reacher miał okazję poznać wcześniej. Składał się z kilku krótkich korytarzy i holów i bardziej przypominał sieciowy hotel niż więzienie. Sama cela nie różniła się właściwie od motelowego pokoju. Miała oczywiście zasuwy i zamki, stalowe drzwi, które otwierały się na zewnątrz, betonowe ściany, okratowane, wysokie na trzydzieści centymetrów okienko tuż pod sufitem, metalową armaturę w łazience oraz wąską koszarową pryczę, lecz mimo to wydawała się przestronna i względnie wygodna. Generalnie robiła lepsze wrażenie niż pokój przy trzypasmówce. To nie ulegało wątpliwości. Przy łóżku stało nawet krzesło. Połączona Baza Dyer-Helsington House w pełnej krasie. Więźniowie o wysokim statusie mieli tu lepiej niż oficerowie o niskim statusie na zewnątrz.

Reacher usiadł na krześle.

Espin stanął w progu.

Miej nadzieję na najlepsze, szykuj się na najgorsze.

– Muszę jak najszybciej widzieć się z kapitanem dyżurnym – odezwał się Reacher.

– I tak tutaj wpadnie. Musi zapoznać pana z regulaminem – odparł Espin.

– Znam regulamin. Dawno temu sam byłem kapitanem dyżurnym. Ale i tak muszę się z nim jak najszybciej zobaczyć.

– Przekażę wiadomość – powiedział Espin i wyszedł. Drzwi się zatrzasnęły, klucz zazgrzytał w zamku i szczęknęły zasuwy.

• • •

Dwadzieścia minut później te same dźwięki rozległy się w odwrotnej kolejności. Zasuwy się odsunęły, klucz obrócił się w drugą stronę i drzwi się otworzyły. Tyczkowaty kapitan nachylił się, by nie zahaczyć głową o framugę, i wszedł do celi.

– Będziemy mieli z panem kłopoty? – zapytał.

– Nie rozumiem, dlaczego mielibyście mieć kłopoty, jeśli będziecie się wszyscy właściwie zachowywali.

Wysoki facet uśmiechnął się.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Może pan w moim imieniu zadzwonić. Do sierżant Leach z jednostki sto dziesiątej. Proszę jej powiedzieć, gdzie jestem. Może mieć dla mnie wiadomość. Jeśli tak będzie, proszę przyjść i mi ją przekazać.

– Czy mam również nakarmić pańskiego psa i odebrać pańskie rzeczy z pralni?

– Nie oddałem rzeczy do pralni. I nie mam psa. Ale jeśli pan chce, może pan zadzwonić do major Sullivan z wojskowego biura śledczego. Jest moją obrończynią. Niech pan jej powie, że chcę się z nią zobaczyć pod koniec dnia pracy. Że muszę z nią pilnie porozmawiać na temat mojej sytuacji prawnej. I że to bardzo ważne.

– To wszystko?

– Nie. Może pan również zadzwonić do kapitan Edmonds z Dowództwa Zasobów Ludzkich. Jest moją drugą obrończynią. Niech pan jej powie, że chcę się z nią widzieć zaraz po rozmowie z major Sullivan. I że mam bardzo ważne sprawy do omówienia.

– Coś jeszcze?

– Ilu ma pan dzisiaj klientów?

– Tylko pana i jeszcze jedną osobę.

– Ta druga osoba to major Turner, tak?

– Zgadza się.

– Jest gdzieś w pobliżu?

– Mamy tylko jeden blok.

– Major Turner musi zostać poinformowana, że jej adwokat nie jest w stanie jej bronić. Musi załatwić sobie innego. Musi pan się z nią spo-

tkać i zadbać o to, by się tym zajęła.

– Dziwne, że pan to mówi.

– To, co przytrafiło się Moorcroftowi, nie ma nic wspólnego ze mną. Wkrótce pan się o tym przekona. A jeśli ktoś nie chce się obudzić z ręką w nocniku, nie wolno mu niczego zaniedbać.

– Tak czy owak, to dziwne, że akurat pan to mówi. Kto mianował pana rzecznikiem praw obywatelskich?

– Przysięgałem, że będę strzegł konstytucji. Podobnie jak pan. Major Turner przysługuje prawo do kompetentnego obrońcy. Tak to wygląda w teorii. A kiedy dojdzie do apelacji, to, że przez jakiś czas go nie miała, nie będzie najlepiej wyglądało. Więc niech pan jej powie, że musi sobie znaleźć kogoś nowego. Jak najszybciej. Nawet dziś po południu. Niech pan się postara, żeby to do niej dotarło.

– Coś jeszcze?

– Nie, to by było na tyle. Dziękuję, kapitanie.

– Nie ma za co – odparł facet. Odwrócił się, pochylił głowę, żeby nie uderzyć się o framugę, i wyszedł na korytarz. Drzwi zatrzasnęły się, klucz zazgrzytał w zamku i szczęknęły zasuwy.

Reacher siedział dalej na krześle.

• • •

Po piętnastu minutach znowu zabrzmiały znajome odgłosy. Zasuwy, zamek, zawiasy. Tym razem kapitan dyżurny pozostał na korytarzu. Nie chciało mu się nadwyrężać karku.

– Wiadomość od sierżant Leach z waszego dowództwa – powiedział. – Dwaj ludzie w Afganistanie zostali odnalezieni martwi. Na koziej ścieżce w Hindukuszu. Strzały w głowę. Zabici najprawdopodobniej z broni kalibru dziewięć milimetrów. Sądząc po wyglądzie, trzy dni temu.

Reacher przez chwilę milczał.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział w końcu.

Miej nadzieję na najlepsze, szykuj się na najgorsze.
A najgorsze właśnie się wydarzyło.

16

Reacher siedział dalej na krześle, mocno główkując i rzucając w myślach wyimaginowaną monetą. Po raz pierwszy: orzeł czy reszka? Szanse były oczywiście jak pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. Bo moneta była wyimaginowana. Prawdziwa moneta rzucona przez prawdziwego człowieka ma tendencję do rozkładu pięćdziesiąt jeden do czterdziestu dziewięciu na korzyść tej strony, która była na górze na samym początku. Nikt nie potrafi dokładnie wytłumaczyć dlaczego, ale można to łatwo sprawdzić eksperymentalnie. Ma to coś wspólnego z wielokrotnymi osiami ruchu wirowego, aerodynamiką, chybotaniem i generalnie różnicami pomiędzy teorią i praktyką.

Ale moneta Reachera była wyimaginowana. Więc po raz drugi: orzeł czy reszka? Znowu dokładnie pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. I po raz trzeci, i po raz czwarty. Każdy rzut monetą był oddzielnym wydarzeniem, z identycznym rozkładem prawdopodobieństwa, statystycznie niezależnym od tego, co działo się wcześniej. Zawsze pięćdziesiąt do pięćdziesięciu, raz za razem. Ale to wcale nie oznaczało, że szansa wyrzucenia cztery razy reszki jest jak pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. W żadnym razie. Szansa czterokrotnego wyrzucenia reszki była jak sześć do dziewięćdziesięciu czterech. O wiele niższa niż pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. Prosta matematyka.

A Reacher musiał wyrzucić cztery reszki z rzędu. Po pierwsze, czy Susan Turner dostanie nowego adwokata dziś po południu? Odpo-

wiedź: tak lub nie. Pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. Jak orzeł czy reszka, jak rzut monetą. Następnie: Czy ten nowy adwokat będzie białym mężczyzną? Odpowiedź: tak lub nie. Pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. Następnie: Czy major Sullivan albo później kapitan Edmonds będą w budynku w tym samym czasie, gdy zawita tu nowy adwokat Susan Turner? Zakładając, że go jej przydzielą? Odpowiedź: tak lub nie. Pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. I na koniec: Czy cała trójka adwokatów wjedzie do bazy przez tę samą bramę? Odpowiedź: tak lub nie. Pięćdziesiąt do pięćdziesięciu.

Pięć odpowiedzi na tak lub na nie, każda dotycząca niezależnego wydarzenia rządzącego się własnymi prawami. Każda z nich z rozkładem prawdopodobieństwa wynoszącym pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. Ale cztery prawidłowe odpowiedzi z rzędu miały już rozkład sześć do dziewięćdziesięciu czterech. Sześć na sto.

Miej nadzieję na najlepsze. Reacher starał się stosować do tej zasady. Czuł, że w jakimś stopniu słusznie. Prawa statystyki są chłodne i nieubłagane. Niekoniecznie można to powiedzieć o realnym świecie. Armia jest niedoskonałą instytucją. Nawet przy obsadzie stanowisk niebojowych – takich jak te w wojskowym biurze śledczym – płeć ma jednak pewne znaczenie. Wśród oficerów wyższych stopniem jest więcej mężczyzn. A do obrony oskarżonej o korupcję major żandarmerii powinien zostać wyznaczony ktoś wyższy stopniem. Dlatego to, czy nowy adwokat Susan Turner będzie kobietą czy mężczyzną, nie było w równym stopniu prawdopodobne. Rozkład wynosił tutaj bardziej jak siedemdziesiąt do trzydziestu, w pożądanym kierunku. Moorcroft był w końcu mężczyzną. Do tego białym. Czarni są dość licznie reprezentowani w wojsku, ale nie w większej proporcji niż w całej populacji, gdzie na jednego czarnego przypada ośmiu białych. A więc w tym przypadku rozkład wynosił osiemdziesiąt siedem do trzynastu.

Poza tym Reacher mógł praktycznie bez końca przetrzymywać w budynku przynajmniej jedną ze swoich prawniczek. Musiał tylko dostatecznie długo z nimi konferować. Udowadniać swoje racje. Udawać oburzenie. Mógł je tu trzymać do momentu, gdy znudzone bądź znie-

cierpliwione zapomną o prawniczej poprawności i dobrych manierach. Dlatego szanse, że jego prawniczka i prawnik Turner będą jednocześnie przebywali w budynku, były również wyższe niż pół na pół. Znów wynosiły jakieś siedemdziesiąt do trzydziestu. Może jeszcze więcej.

Poza tym osoby, które odwiedzały regularnie Fort Dyer, mogły wiedzieć, że północna brama jest bliżej aresztu, i dlatego można było się spodziewać, że z niej skorzystają. Co sprawiało, że prawdopodobieństwo wjazdu całej trójki przez jedną bramę również było wyższe niż pięćdziesiąt procent. Zakładając, że adwokat Turner był tu stałym gościem. Którym mógł nie być.

Jajogłowi gwiazdorzy z uniwersyteckich sal wykładowych niekoniecznie dużo podróżują. Powiedzmy, że rozkład wynosił tutaj pięćdziesiąt pięć do czterdziestu pięciu. Minimalna przewaga. Nie drugocąca.

Tak czy inaczej, szanse powodzenia całego planu były trochę wyższe niż sześć na sto.

Ale nie zdecydowanie wyższe.

Pod warunkiem że Turner przydzielą nowego adwokata.

Miej nadzieję na najlepsze.

Reacher czekał. Odprężony, cierpliwy, wyciszony. Odliczał w myślach godziny. Piętnasta. Piętnasta trzydzieści. Szesnasta. Krzesło było wygodne. Pokój ciepły. I dźwiękoszczelny. Z zewnątrz prawie nic nie było słychać. Wyłącznie głuchy szum. Choć miejsce w najmniejszym stopniu nie przypominało normalnego więzienia. To było cywilizowane miejsce dla cywilizowanych ludzi.

Reacher miał nadzieję, że wszystko to powinno mu sprzyjać.

• • •

W końcu o szesnastej trzydzieści zasuwy odsunęły się, klucz w zamku obrócił, drzwi się otworzyły.

– Przyjechała do pana major Sullivan – oznajmił tyczkowaty kapitan.

Przedstawienie czas zacząć.

17

Wysoki kapitan cofnął się, puszczając Reachera przodem. Korytarz skręcał w lewo, potem w prawo. Reacher odtwarzał na podstawie tego, co widział, geografię budynku. Domyślił się, że główne biuro jest za trzema kolejnymi zakrętami. Trochę daleko. Wcześniej był mały kwadratowy hol z zamkniętymi drzwiami śluzowymi, strażnikiem i wyjściem na zewnątrz. Jeszcze wcześniej sale przesłuchań po obu stronach krótkiego samodzielnego korytarza. Po prawej obskurne pomieszczenia, w których gliniarze maglowali podejrzanych. Po lewej dwie trochę bardziej okazałe sale, które widział w drodze na blok. Domyślał się, że tam właśnie idą. Konferencje adwokatów i ich klientów odbywały się w nieco lepszych warunkach. W drzwiach były tam szyby – wąskie pionowe tafle zbrojonego szkła osadzone blisko klamek.

Mijając pierwsze drzwi, Reacher zerknął ukradkiem przez szybę i zobaczył w środku Sullivan siedzącą po lewej stronie stołu w schludnym wyjściowym mundurze i trzymającą dłonie na zamkniętej teczce. Następnie podszedł do drugich drzwi, zatrzymał się przy nich i całkiem otwarcie zajrzał do środka.

Drugi pokój był pusty.

Nie było w nim żadnego klienta i żadnego adwokata płci męskiej ani żeńskiej.

Ani orzeł, ani reszka.

Na razie.

– Halo, majorze – odezwał się za nim wysoki kapitan.

– Pańska sala jest tu, z tyłu.

Reacher obejrzał się i zawrócił. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wysoki kapitan nacisnął po prostu klamkę i je otworzył. Reacher słuchał, jakie wydają dźwięki. Solidny metaliczny szczęk klamki, przeciągły precyzyjny zgrzyt zawiasów, plaśnięcie silikonowej uszczelki. Niezbyt głośne, ale wyraźne. Wszedł do środka. Sullivan podniosła wzrok.

– Niech pani zadzwoni, kiedy pani skończy, pani mecenas – powiedział wysoki kapitan.

Reacher usiadł naprzeciwko Sullivan, a wysoki kapitan zamknął drzwi i odszedł. Drzwi nie trzeba było zamykać na klucz, ponieważ od wewnętrznej strony nie miały klamki. Po prostu płaska powierzchnia, na której czegoś brakowało, zupełnie jakby patrzyło się na twarz pozbawioną nosa. Przy framudze był przycisk dzwonka. „Niech pani zadzwoni, kiedy pani skończy". Sam pokój był zwyczajny i bezpretensjonalny. Bez okien, ale czystszy i bardziej porządny od pomieszczenia przeznaczonego dla gliniarzy. Lampy świeciły jaśniej.

Sullivan nie otworzyła teczki. Trzymała na niej zaciśnięte dłonie.

– Nie będę pana reprezentowała w sprawie o pobicie Moorcrofta – powiedziała. – W gruncie rzeczy nie chcę pana w ogóle reprezentować.

Reacher nie odpowiedział. Sprawdzał, co może usłyszeć z korytarza. Niewiele, ale powinno wystarczyć.

– Majorze? – odezwała się Sullivan.

– Przydzielili mnie pani, więc niech się pani z tym pogodzi.

– Pułkownik Moorcroft jest moim przyjacielem.

– To pani dawny nauczyciel?

– Jeden z kilku.

– Więc wie pani, jacy oni są. Zawsze wydaje im się, że są na sali wykładowej. Dialog sokratejski, czy jak go tam nazywają. Droczył się ze mną dla samej zasady. Prowadził spór dla samej przyjemności, bo tak właśnie się zachowują. Kiedy pani odeszła, oznajmił, że złoży odpowiednie papiery, kiedy tylko skończy jeść grzankę. Od początku miał

taki zamiar. Ale proste odpowiedzi nie są w jego stylu.

– Nie wierzę panu. Dziś rano nie zostały złożone żadne dokumenty.

– Ostatni raz widziałem go, jak wychodził z jadalni. Mniej więcej dwie minuty po pani.

– Więc do tego również się pan nie przyznaje?

– Niech pani się zastanowi, pani mecenas. Moim celem było zwolnienie major Turner z aresztu. Co by mi dało pobicie Moorcrofta? Opóźniłoby moje starania co najmniej o dzień, jeśli nie o kilka.

– Dlaczego pan się tak przejmuje major Turner?

– Spodobał mi się jej głos przez telefon.

– Może był pan wściekły na Moorcrofta?

– Czy wyglądałem na wściekłego?

– Trochę.

– Myli się pani. W ogóle nie wyglądałem na wściekłego. Bo nie byłem wściekły. Siedziałem tam całkiem cierpliwie. Nie był pierwszym akademickim typkiem, którego w życiu spotkałem. Ja też w końcu byłem na studiach.

– Czułam się niekomfortowo.

– Co pani powiedziała Podolskiemu?

– Właśnie to. Doszło do sporu i czułam się niekomfortowo.

– Powiedziała mu pani, że spór był zaciekły?

– Sprzeciwiał mu się pan. Kłócił się.

– A co miałem zrobić? Stanąć na baczność i zasalutować?

Nie jest chyba przewodniczącym Sądu Najwyższego.

– Dowody przeciwko panu wydają się poważne. Zwłaszcza ubranie. To klasyczna sytuacja.

Reacher nie odpowiedział. Znowu nasłuchiwał. Usłyszał kroki na korytarzu. Dwie osoby. Obaj mężczyźni. Prowadzona półgłosem rozmowa. Krótkie, pozbawione kontrowersji zdania. Zwięzła wymiana informacji. Kroki się oddaliły. Nie usłyszał odgłosu otwieranych drzwi. Szczęknięcia klamki, zgrzytu zawiasów, plaśnięcia uszczelki.

– Majorze? – odezwała się Sullivan.

– Nosi pani portfel w teczce? – zapytał Reacher.

– Co takiego?

– Słyszała mnie pani.

– Dlaczego miałabym go tam nosić?

– Bo nie ma pani torebki i proszę wybaczyć, ale pani mundur jest dobrze dopasowany do figury i widać, że nie nosi pani nic w kieszeniach.

– Tak, mam tutaj portfel – potwierdziła Sullivan, nadal trzymając dłonie na teczce.

– Ile jest w nim pieniędzy?

– Nie wiem. Może trzydzieści dolarów.

– Ile pobrała pani ostatnim razem z bankomatu?

– Dwieście.

– Nosi pani tam również komórkę?

– Tak.

– W takim razie mamy tyle samo dowodów przeciwko pani co przeciwko mnie. Najwyraźniej zadzwoniła pani do wspólnika i zaproponowała mu pani sto siedemdziesiąt dolarów, żeby skopał tyłek pani dawnego nauczyciela. Może dlatego, że przed wielu laty nie stawiał pani dobrych stopni. Może wciąż ma pani o to do niego żal.

– To śmieszne.

– Właśnie o to mi chodzi.

Sullivan nie odpowiedziała.

– Jakie miała pani stopnie? – zapytał Reacher.

– Nie najlepsze.

Reacher znowu nadstawił uszu. Na korytarzu było cicho.

– Detektyw Podolski zarządzi przeszukanie śmieci. Odnajdzie pańskie ubranie. To nie będzie trudne. Ostatnie odpady będą na wierzchu. Czy badanie DNA okaże się dla pana korzystne?

– Jasne – odparł Reacher. – To nie byłem ja.

Nagle: kolejne kroki na korytarzu. Ciche i miękkie. Dwie osoby. Idące jedna za drugą. Ktoś kogoś prowadzi. Zatrzymanie, udzielone półgłosem zdawkowe wyjaśnienie, czternastotaktowe zdanie. Na przykład: „Tutaj, pułkowniku. Drugi pokój jest zajęty”. Metaliczny

szczęk klamki, cichy zgrzyt zawiasów, plaśnięcie silikonowej uszczelki.

Przybył adwokat. Przydzielony major Turner, to pewne. Była drugą „klientką" tego miejsca. A adwokat Reachera nadal przebywała w budynku. To znaczy jego pierwsza adwokat. Jak na razie idzie dobrze.

Dwie reszki.

Dwa do zera.

– Niech mi pani powie, o co chodzi z tym *affidavitem* Rodrigueza – powiedział.

– *Affidavit* to termin łaciński oznaczający zaprzysiężone oświadczenie potwierdzające jakiś fakt – wyjaśniła Sullivan.

– Wiem o tym. Jak już mówiłem pani staremu kumplowi Moorcroftowi, to nie jest chirurgia mózgu. *Affidavit* znaczy po łacinie „on przysiągł". Ale czy rzeczywiście jest to oświadczenie zza grobu? W praktycznym sensie? W realnym świecie?

Sullivan po raz pierwszy uniosła dłonie znad teczki i zakołysała nimi w prawo i w lewo. Wymijająco. Typowo akademicki gest. Może tak, może nie.

– W amerykańskiej praktyce sądowej dość rzadko przyjmuje się na wiarę niepotwierdzone oświadczenie, zwłaszcza jeśli osoba, która je złożyła, nie może odpowiedzieć na pytania strony przeciwnej – powiedziała. – Ale czasami się je dopuszcza, jeśli wymaga tego interes sprawiedliwości. Albo interes opinii publicznej, jeśli podejść do sprawy bardziej cynicznie. A prokuratura będzie dowodzić, że oświadczenie Rodrigueza nie jest całkowicie bezpodstawne. Dysponują dziennym raportem z jednostki sto dziesiątej, z którego wynika, że złożył mu pan wizytę, i dysponują raportem ze szpitalnej izby przyjęć z tego samego dnia, opisującym skutki tej wizyty. Będą utrzymywali, że te trzy dokumenty tworzą spójną i przekonującą narrację.

– Czy możemy podważyć to, co mówią?

– Oczywiście – odparła Sullivan. – Ale nasze argumenty będą się wydawały w tej sytuacji bardzo słabe. To, co przedstawią oni, będzie sensowne, zdroworozsądkowe. Wydarzyło się to, potem to, a potem to. Będziemy musieli wyciąć środkowe „to" i zastąpić je czymś, co na pozór

wydaje się bardzo mało prawdopodobne. To znaczy, że po pańskim wyjściu tak się akurat złożyło, że w tym samym miejscu i w tym samym czasie pojawił się ktoś inny i stłukł faceta na miazgę.

Reacher nie odpowiedział. Znowu nasłuchiwał.

– Problem polega na tym – kontynuowała Sullivan – że jeśli polegniemy, może to zirytować sąd do tego stopnia, że dostanie pan wyrok wyższy od tego, który mógłby pan uzyskać na mocy ugody sądowej. I to zagrożenie jest całkiem realne. Moja rada jest taka: nie ryzykować i zaakceptować warunki ugody. Dwa lata są lepsze od pięciu albo dziesięciu.

Reacher nie odpowiedział. Nadal nasłuchiwał. Z początku nic. Cisza. Potem: kolejne kroki na korytarzu. Dwie osoby. Jedna idąca za drugą.

– Majorze? – odezwała się Sullivan.

Nagle: odgłosy otwieranych drzwi. Tych samych drzwi. Ten sam metaliczny szczęk klamki, ten sam cichy zgrzyt zawiasów, to samo plaśnięcie silikonowej uszczelki. Krótka przerwa, a potem te same odgłosy w odwrotnej kolejności, kiedy drzwi zamknięto. I po chwili: oddalające się kroki.

A zatem Turner znajdowała się teraz w sąsiednim pokoju ze swoim adwokatem. A na korytarzu nikogo nie ma.

Przedstawienie czas zacząć.

– Mam bardzo poważny problem z moją celą, pani mecenas – powiedział Reacher. – Naprawdę powinna pani tam pójść i to zobaczyć.

18

– Jaki ma pan problem ze swoją celą? – spytała Sullivan.

Powiedziała to lekko znużonym tonem, ale nie wydawała się zniecierpliwiona. Nie uznała z miejsca, że sprawa jest niewarta jej zainteresowania. Obrońcy mają do czynienia z różnego rodzaju bzdurami. Podejrzani zawsze szukają dziury w całym. Na użytek ewentualnej apelacji. Każdy wyimaginowany afront czy zniewaga muszą zostać zbadane i ocenione. Reacher wiedział o tym. Wiedział, jak się gra w te klocki.

– Nie chcę, żeby miała pani jakieś mylne wyobrażenie – powiedział. – Nie chcę w żaden sposób wpływać na pani opinię. Chcę, żeby pani to zobaczyła na własne oczy.

– Teraz?

– Czemu nie?

– No dobrze – odparła i wstała. Podeszła do drzwi. Nacisnęła dzwonek.

Teczkę zostawiła na stole.

Reacher też wstał i czekał za jej plecami.

Minutę.

Dwie minuty.

W końcu światło za wąską szybką w drzwiach pociemniało i drzwi się otworzyły.

– Skończyła pani, pani mecenas? – zapytał kapitan dyżurny.

– Nie, on ma jakiś problem ze swoją celą – odparła Sullivan.

Wysoki kapitan zmierzył Reachera uważnym spojrzeniem, trochę zrezygnowanym, trochę zdziwionym, jakby chciał powiedzieć: „Serio? Masz jakiś problem? Tak chcesz z nami pogrywać?".

– Dobra, nieważne. Chodźmy zobaczyć – powiedział.

Zgodnie z tym, co musiał. Wiedział, jak się gra w te klocki.

Reacher ruszył przodem. Sullivan za nim. Pochód zamykał wysoki kapitan. Szli jedno za drugim, skręcając najpierw w lewo, potem w prawo, do drzwi celi, które nie były zamknięte, ponieważ nie było w niej Reachera. Reacher otworzył je i przytrzymał przed innymi. Wysoki kapitan uśmiechnął się, przejął od niego drzwi i pokazał: pan pierwszy. Był niezbyt bystry, ale nie upośledzony umysłowo.

Reacher wszedł do celi pierwszy. Potem Sullivan. Na końcu wysoki kapitan. Reacher stanął i pokazał palcem.

– Tam – powiedział. – W tej szczelinie.

– Jakiej szczelinie? – zapytała Sullivan.

– W podłodze, blisko ściany. Pod oknem.

Sullivan zrobiła krok do przodu. Wysoki kapitan stanął przy łóżku.

– Nie widzę żadnej szczeliny – mruknęła Sullivan.

– Coś w niej jest – powiedział Reacher. – Wije się.

Sullivan znieruchomiała. Wysoki kapitan się pochylił. Taka już jest ludzka natura. Reacher odchylił się w drugą stronę. Zrobił to niezbyt gwałtownie, ale w rezultacie masa wysokiego kapitana przesuwała się w tym momencie w jedną stronę, a jego w drugą. Reacher pchnął go mocno w ramię, tak jak pływak odpycha się od ściany basenu, i facet runął na pryczę, jakby spadał z wysokich szczudeł. Sullivan odwróciła się na pięcie, a Reacher cofnął się, wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi i je zaryglował.

Następnie, nie czując się zbyt pewnie w niezasznurowanych butach, minął biegiem pokój, w którym była teczka Sullivan, i podszedł do drzwi następnego. Odsunął się od drzwi i zajrzał do środka przez wąskie prostokątne okienko.

I po raz pierwszy zobaczył Susan Turner.

Warto było czekać, pomyślał.

Zdecydowanie warto.

Siedziała po prawej stronie stołu w polowym mundurze, z którego zerwano wszystkie naszywki i dystynkcje, oraz w brązowych wojskowych butach bez sznurowadeł. Trochę więcej niż średniego wzrostu, drobnokoścista i szczupła, miała związane w kucyk ciemne włosy, smagłą cerę i ciemnobrązowe oczy. Na jej twarzy malowało się głównie zmęczenie, ale widać było również determinację, inteligencję i rodzaj figlarnego, ironicznego poczucia humoru.

Zdaniem Reachera była fascynująca.

Warto było czekać, pomyślał znowu.

Jej adwokat siedział po lewej stronie stołu – pułkownik w wyjściowym mundurze, z siwymi włosami i pobrużdżoną zmarszczkami twarzą. W średnim wieku, średniego wzrostu.

Mężczyzna.

Biały mężczyzna.

Reszka.

Trzy do zera.

• • •

Reacher ruszył dalej w stronę śluzowych drzwi prowadzących do tylnego holu. Po wewnętrznej stronie nie było klamki, tylko przycisk dzwonka, podobnie jak w pokojach widzeń. Reacher zdjął buty i energicznie nacisnął kilka razy dzwonek. Niespełna pięć sekund później drzwi się otworzyły i stanął za nimi dyżurny, trzymając rękę na klamce. Jego klucze wisiały na przymocowanym do szlufki paska gwintowanym pierścieniu, który wyglądał jak element sprzętu wspinaczkowego.

– Wasz kapitan dostał jakiegoś ataku – powiedział zdyszanym głosem Reacher. – Albo zawału serca. Ma konwulsje. Musicie go zobaczyć. Pospieszcie się, żołnierzu.

Dominująca osobowość. Bardzo ceniona w wojsku. Facet wahał się tylko przez sekundę, a potem przekroczył próg i ruszył wewnętrznym

korytarzem. Drzwi za nim zaczęły się zamykać. Reacher zablokował je lewym butem i podążył za nim. Stąpając cicho w skarpetkach, wyprzedził dyżurnego i otworzył na oścież drzwi pierwszej celi. Która nie była zamknięta na klucz, bo nikt w niej nie siedział.

Do tej chwili.

– Tutaj – powiedział.

Dyżurny wpadł do środka, szybko i nie tracąc czasu, a Reacher złapał jego klucze, oderwał je od spodni razem ze szlufką i całą resztą, po czym pchnął go mocno, przewracając na podłogę, zamknął drzwi celi i zasunął rygle.

Wdech i wydech.

Teraz trudniejsza część.

19

Reacher poczłapał bez butów do pokoju, w którym leżała na stole teczka Sullivan. Otworzył drzwi na oścież, wbiegł do środka, złapał teczkę i zdążył przytrzymać drzwi, zanim się zatrzasnęły. Następnie ukląkł na korytarzu i otworzył teczkę. Odsunąwszy na bok wszystkie akta i papiery, odszukał klucz do samochodu i schował go do kieszeni spodni. Znalazł też portfel i wyjął z niego wojskową legitymację. Sullivan miała na imię Helen. Schował legitymację do kieszeni koszuli. Wyjął pieniądze i wsadził je do kieszeni spodni. Znalazł długopis, oddarł trójkątny kawałek papieru ze skserowanego formularza i napisał:

Droga Helen, jestem ci winien 30$, Jack Reacher.

Wsunął karteluszek do przegródki na pieniądze, po czym złożył portfel i zamknął teczkę.

Następnie wstał i wziął ją do ręki.

Wdech i wydech.

Przedstawienie czas zacząć.

Pokonał trzy metry dzielące go od następnego pokoju i zerknął przez wąskie okienko. Susan Turner mówiła, cierpliwie przedstawiając argumenty, gestami podkreślając poszczególne punkty. Adwokat słuchał jej z przechyloną głową, notując coś w żółtym bloku. Jego otwarta teczka leżała na stole, odsunięta na bok. Nie była taka pełna jak teczka

Sullivan, ale facet poupychał więcej rzeczy w kieszeniach. Jego mundur nie był dobrze skrojony. Był workowaty i obszerny. Nazwisko na plakietce brzmiało Temple.

Reacher ruszył z powrotem do drzwi prowadzących do holu, zastąpił swój lewy but, który je blokował, kluczykiem do samochodu Sullivan, i założył buty, luźne i pozbawione sznurowadeł. Następnie wrócił pod drzwi pokoju, w którym siedziała Turner.

Wdech i wydech.

A potem otworzył szybkim płynnym ruchem drzwi i wszedł do środka. Odwrócił się, pochylił i postawił teczkę Sullivan przy framudze, żeby drzwi się nie zatrzasnęły. Gdy się wyprostował, zobaczył, że oboje, Turner i jej adwokat, patrzą na niego, pułkownik pustym wzrokiem, ale Turner tak, jakby coś podejrzewała.

– Chciałbym zobaczyć pańską legitymację, pułkowniku – powiedział.

– Kim pan jest? – zapytał adwokat.

– Wojskowa Agencja Wywiadu. To rutynowe czynności, pułkowniku.

Dominująca osobowość. Bardzo ceniona w wojsku. Facet ociągał się przez chwilę, a potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął legitymację. Reacher podszedł bliżej, wziął ją i uważnie jej się przyjrzał. John James Temple. Uniósł brwi, jakby coś go zaskoczyło, jeszcze raz przyjrzał się legitymacji, po czym wsunął ją do kieszonki koszuli, tuż obok legitymacji Sullivan.

– Przykro mi, pułkowniku, ale muszę zająć panu minutę – powiedział, po czym cofnął się do drzwi i otworzył je szerzej. – Pan przodem. – Facet zrobił niezdecydowaną minę, a potem powoli wstał od stołu. Reacher zerknął przez ramię na Turner. – Proszę tutaj zaczekać. Zaraz wracamy.

– Adwokat przystanął na sekundę w progu, po czym powłócząc nogami, wyszedł na korytarz. – Proszę w prawo, pułkowniku – powiedział Reacher i ruszył za nim, również powłócząc nogami, dosłownie, ponieważ miał niezasznurowane buty. Co było problemem. Adwokaci są nie-

koniecznie najbardziej spostrzegawczymi ludźmi na świecie, ale mają trochę oleju w głowie i na ogół rozumują logicznie. A ta faza planu przebiegała powoli. Niespiesznie. Bez paniki i pośpiechu. Praktycznie w zwolnionym tempie. Facet miał czas się zastanowić.

I najwyraźniej to zrobił.

Mniej więcej sześć metrów przed pierwszą pustą celą nagle się zatrzymał, odwrócił i spojrzał w dół. Prosto na buty Reachera. Reacher natychmiast obrócił go z powrotem i założył mu specjalny chwyt, stosowany przy aresztowaniu wyższego oficera. Każdy wojskowy żandarm uczy się go na samym początku służby, mimo że nie ma o nim mowy w żadnym podręczniku i można go opanować, jedynie naśladując innych i słuchając uważnie ich wskazówek. Złapał od tyłu lewą ręką za prawy łokieć pułkownika, mocno go ścisnął, pociągnął w dół i pchnął do przodu. I jak zawsze mężczyzna tak bardzo starał się nie upaść, że zapomniał o tym, by nie dać się popychać do przodu. Zgięty wpół i nienaturalnie wykręcony, pokuśtykał po prostu korytarzem, lekko przy tym posapując, tak naprawdę nie z bólu, lecz z powodu urażonej godności. Z czego Reacher raczej się cieszył. Nie chciał robić mu krzywdy. Facet nie był przecież niczemu winien.

Wepchnął go do pustej i otwartej celi, w której, sądząc po wyglądzie, mogła siedzieć wcześniej Turner, po czym zatrzasnął drzwi i je zaryglował.

Następnie przystanął na krótką chwilę na korytarzu. Wdech i wydech.

Można iść.

Poczłapał do drugiego pokoju i wszedł do środka. Susan Turner stała między stołem i drzwiami. Podał jej rękę.

– Jestem Jack Reacher – powiedział.

– Wiem – odparła. – Widziałam pańską fotografię. Kiedy zaglądałam do pańskich akt. I rozpoznałam pański głos. Z telefonu.

On też rozpoznał jej głos. Z telefonu. Ciepły, lekko schrypnięty, trochę zdyszany, trochę intymny. I sympatyczny, dokładnie tak, jak zapamiętał. Na żywo i w bezpośrednim kontakcie może nawet bardziej.

– Bardzo mi miło panią poznać – powiedział.

Uścisnęła jego dłoń. Niezbyt mocno, ale i nie miękko.

Miała ciepłą rękę.

– Mnie też jest bardzo miło pana poznać – odparła. – Ale co pan tu dokładnie robi?

– Wie pani, co robię. I dlaczego. Taką mam przynajmniej nadzieję. Ponieważ jeśli pani nie wie, nie warto było tego dla pani robić.

– Nie chciałam pana w to angażować.

– Stąd ta historia z zakazem odwiedzin?

– Pomyślałam, że może się pan pojawić. Dopuszczałam taką możliwość. Gdyby pan to zrobił, chciałam, żeby podkulił pan ogon i natychmiast wiał. Dla własnego dobra.

– Nie zadziałało.

– Jakie mamy szanse się stąd wydostać?

– Na razie mieliśmy szczęście.

Reacher wyjął z kieszeni legitymację Sullivan. Porównał zdjęcie z twarzą Turner. Ta sama płeć. Z grubsza ten sam kolor włosów. I to wszystko. Dał jej legitymację.

– Kto to jest? – zapytała.

– Moja adwokatka. Jedna z moich adwokatek. Poznałem ją dziś rano.

– Gdzie teraz jest?

– W celi. Prawdopodobnie wali w drzwi. Musimy się pospieszyć.

– Zabrał pan legitymację mojego adwokata?

Reacher poklepał się po kieszeni.

– Mam ją tutaj.

– Ale w ogóle nie jest pan do niego podobny.

– Dlatego to pani będzie prowadziła samochód.

– Czy na dworze jest już ciemno?

– Ściemnia się.

– W takim razie chodźmy.

Wyszli na korytarz i ruszyli w stronę śluzowych drzwi, które nadal blokował kluczyk Sullivan. Reacher otworzył je szerzej, Turner zabrała

kluczyk i weszli do małego kwadratowego holu. Drzwi zamknęły się za nimi z cichym plaśnięciem. Drzwi na zewnątrz zamykał mały elegancki mechanizm, bez wątpienia drogi i niezawodny. Reacher wyjął z kieszeni klucze dyżurnego i zaczął je jeden po drugim wkładać do dziurki. Razem było ich osiem. Pierwszy nie pasował. Drugi też. Ani trzeci i czwarty.

Ale piąty klucz był dobry. Zamek ustąpił. Reacher nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Z zewnątrz wpadło do środka zimne powietrze. Zaczynało zmierzchać.

– Jakiego szukamy samochodu? – zapytała Turner.

– Ciemnozielonego sedana.

– To bardzo pomocna informacja. W bazie wojskowej – powiedziała.

Ciepłym, lekko schrypniętym, trochę zdyszanym, trochę intymnym głosem.

Wyszli na dwór. Reacher zatrzasnął za nimi drzwi i zamknął je na klucz. Uznał, że dzięki temu mogą zyskać dodatkową minutę. Przed nimi po lewej stronie był niewielki asfaltowy parking. Stało na nim siedemnaście samochodów. W większości prywatnych. Tylko dwa zwykłe sedany, ale żaden z nich zielonego koloru. Za parkingiem droga skręcała na zachód. Po prawej stronie ta sama droga znikała za rogiem budynku.

– W którą stronę? – zapytała Turner.

– Jeśli masz wątpliwości, skręcaj w lewo – odparł Reacher. – Taką mam zasadę działania.

Skręcili w lewo i odkryli kolejny parking, za rogiem budynku. Był niewielki, po prostu kilka przylegających do drogi ukośnych stanowisk. Stało tam sześć samochodów, wszystkie przodem do budynku. Same zielone sedany.

– Tak już lepiej – mruknęła Turner.

Stanęła przed sześcioma tylnymi zderzakami i nacisnęła przycisk na breloczku klucza.

Nic się nie wydarzyło.

Spróbowała jeszcze raz. Nic.

– Może bateria się wyczerpała? – mruknęła.

– W samochodzie? – zapytał Reacher.

– Nie. W pilocie.

– W takim razie, jak Sullivan tutaj dotarła?

– Włożyła klucz do zamka w drzwiach. Tak jak robiliśmy to kiedyś wszyscy. Musimy je sprawdzić jeden po drugim.

– Nie możemy. Wezmą nas za złodziei samochodów.

– Jesteśmy złodziejami samochodów.

– Może żaden z tych pojazdów nie jest nasz – powiedział Reacher. – Nie widziałem numerów rejestracyjnych. Rano było ciemno.

– Nie możemy za długo kręcić się po bazie.

– Może powinniśmy byli skręcić w prawo – uznał Reacher.

Ruszyli z powrotem, tak szybko i dyskretnie, jak tylko mogli w niezasznurowanych butach. Minęli tylne drzwi aresztu i skręcili za rogiem. Dobrze było rozprostować nogi. Wolność, świeże powietrze. Reacher zawsze uważał, że po wyjściu z więzienia najlepsze jest pierwsze trzydzieści metrów. I był zadowolony, że ma przy sobie Turner. Była spięta jak kot, ale panowała nad emocjami. Wydawała się pewna siebie. Wyglądali jak dwoje zwyczajnych, idących dokądś ludzi, jak kanciarze na całym świecie: zachowuj się tak, jakbyś miał tu prawo być.

Za wschodnim rogiem budynku była kolejna zatoczka parkingowa, sześć ukośnych stanowisk podobnych do tych po drugiej stronie. Stało tam sześć samochodów. Tylko jeden z nich to był sedan. Ciemnozielony. Turner wcisnęła przycisk na pilocie.

Nic się nie wydarzyło.

Podeszła bliżej i włożyła klucz do zamka.

Nie pasował.

– Którędy wchodzi adwokat, kiedy przyjeżdża z wizytą do aresztu? – zapytała. – Chyba frontowym wejściem? Czy jest parking od frontu?

– Musi być – odparł Reacher. – Ale wolałbym, żeby go nie było. Od frontu będziemy bardzo odsłonięci.

– Nie możemy tu tkwić. Stoimy na widoku.

Podeszli do kolejnego rogu budynku i zatrzymali się na chwilę w

półmroku. Reacher wyczuwał przed sobą otwartą przestrzeń, być może światła, być może nawet jadące samochody.

– Na trzy – rzuciła Turner. – Raz, dwa, trzy.

Skręcili za rogiem. Zachowuj się tak, jakbyś miał tu prawo być. Szli szybko, jak spieszący się dokądś zapracowani ludzie. Wzdłuż frontowej ściany budynku biegła droga przeciwpożarowa. Przylegał do niej oddzielony krawężnikiem, pełen samochodów parking. Tylko jedno miejsce było puste. Obok niego, po lewej, stał ciemnozielony sedan.

– To ten – powiedział Reacher. – Chyba go poznaję.

Turner podeszła prosto do samochodu i wcisnęła przycisk pilota. W samochodzie zapaliło się światło, kierunkowskazy błysnęły i zwolniły się blokady zamka. Po lewej stronie, mniej więcej w odległości stu metrów, zobaczyli jadące z niewielką, dozwoloną w bazie szybkością auto z zapalonymi światłami. Reacher i Turner rozdzielili się, Reacher skręcił w prawo, Turner w lewo. Przeszli wzdłuż boków ciemnozielonego sedana, Reacher od strony pasażera, Turner od strony kierowcy, otworzyli drzwi i jednocześnie wsiedli, bez marudzenia i wahania. Sunący powoli samochód był coraz bliżej. Zatrzasnęli drzwi, trzask, prask, jak zapracowani ludzie, którzy za kilka minut mają kolejne ważne spotkanie. Turner włożyła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik.

Nadjeżdżający samochód skręcił na parking i zbliżał się z lewej strony, oświetlając ich reflektorami.

– Ruszaj – syknął Reacher. – Już.

Turner nie ruszyła. Wrzuciła wsteczny bieg i wcisnęła gaz, ale samochód nigdzie nie pojechał. Uniósł się tylko lekko w miejscu na ręcznym hamulcu.

– Cholera – zaklęła Turner i opuściła dźwignię hamulca, ale w tym momencie było już za późno. Nadjeżdżający samochód był tuż za nimi. Zatrzymał się, blokując im wyjazd, a kierowca przekręcił ostro kierownicę i pomalutku ruszył do przodu, zamierzając zaparkować na pustym miejscu obok nich.

Za kierownicą siedziała kapitan Tracy Edmonds z Dowództwa Za-

sobów Ludzkich, adwokatka Reachera. Od sprawy Candice Dayton. Druga prawniczka, z którą umówił się tego popołudnia.

Reacher zsunął się na fotelu i zasłonił twarz dłonią jak ktoś, kogo rozbolała głowa.

– Co jest? – zapytała Turner.

– To moja druga adwokatka, kapitan Edmonds. Poprosiłem dzisiaj o dwa spotkania, jedno po drugim.

– Po co?

– Chciałem być pewien, że będę poza celą, kiedy pojawi się twój adwokat.

– Nie pozwól, żeby cię zobaczyła.

– To najmniejszy problem. Afera zacznie się mniej więcej minutę po tym, jak wejdzie do budynku. Nie sądzisz?

– Powinieneś się domyślić, że wystarczy jedna adwokatka.

– Ty byś się domyśliła?

– Pewnie nie.

Obok nich Edmonds podjechała dwa razy do przodu i do tyłu, aż jej samochód znalazł się dokładnie pośrodku miejsca parkingowego. Zgasiła reflektory, a Turner zapaliła swoje i cofnęła się, skręcając ostro kierownicą. Edmonds otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Reacher zakrył twarz obiema dłońmi. Turner wrzuciła przedni bieg, wyrównała kierownicę i powoli odjechała. Edmonds czekała cierpliwie, aż zakończy manewr. Turner uniosła rękę w geście podziękowania.

– Południowa brama – powiedział Reacher. – Nie sądzisz? Moim zdaniem wszyscy ci obrońcy wjeżdżają północną.

– Zgadzam się – odparła Turner i ruszyła na południe, szybko, ale nie z samobójczą szybkością, przecinając cały kompleks, mijając duże i małe budynki, tu i tam skręcając, tu i tam zwalniając, zatrzymując się na znakach stopu, zerkając w lewo i w prawo, znów ruszając, aż w końcu zostawili za sobą ostatnie zabudowania i wjechali na drogę wyjazdową, kierując się w stronę pierwszej wartowni.

Pierwszej z trzech.

20

Przejazd przez pierwszy punkt kontrolny okazał się łatwy. Zachowuj się tak, jakbyś miał prawo tu być. Turner wzięła od Reachera jego pożyczoną legitymację, dołożyła do niej swoją, ułożyła je jak parę asów, zwolniła do prędkości pieszego, opuściła szybę i zatrzymawszy się, pociągnęła za wajchę otwierającą bagażnik, wszystko w płynny, naturalny sposób, jakby robiła to codziennie przez całe życie.

A żołnierz na wartowni odpowiedział na jej zachowanie idealnie tak, jak należało, tak jak zdaniem Reachera miała nadzieję, że zrobi. Niecałą sekundę przyglądał się rozłożonym legitymacjom, niecałe dwie sekundy poświęcił na sprawdzenie bagażnika i zatrzaśnięcie klapy.

Turner wcisnęła gaz i ruszyli.

Odetchnęli głęboko.

– Edmonds musi być już w środku – powiedział Reacher.

– Masz jakieś genialne pomysły?

– Jeśli wyłoni się jakiś problem, wciśnij gaz do dechy i wal prosto w szlaban. Rozbicie kawałka pomalowanego w paski metalu nie wpędzi nas w większe kłopoty.

– Możemy potrącić wartownika.

– Odskoczy. Wartownicy to tylko ludzie, jak wszyscy.

– Możemy uszkodzić wojskowy samochód.

– Uszkodziłem już jeden wojskowy samochód. Wczoraj wieczorem. Wgniotłem drzwi głowami dwóch facetów.

– Najwyraźniej masz skłonność do dewastowania wojskowej własności cudzymi głowami – powiedziała.

Ciepłym, lekko schrypniętym, trochę zdyszanym, trochę intymnym głosem.

Reacher pokiwał głową. Opowiedział jej tę historię przez telefon. Dzwoniąc z Dakoty Południowej. Stare śledztwo i nieco frustrujący rezultat. Mówiąc w skrócie. Opowiedział jej, żeby podtrzymać rozmowę. Żeby dłużej słuchać jej głosu.

– Kim byli ci dwaj faceci wczoraj wieczorem? – zapytała.

– To skomplikowane. Opowiem ci później.

– Mam nadzieję, że będziesz miał okazję – odparła.

Podjechali pod drugi punkt kontrolny, gdzie okazało się, że rozwalenie szlabanu nie wchodzi w grę. Mijała właśnie siedemnasta. Godzina szczytu w militarnym wydaniu. Niewielka kolejka pojazdów oczekiwała na wyjazd, niewielka kolejka oczekiwała na wjazd. Na pasie wyjazdowym dwa samochody, na pasie wjazdowym trzy. Punkt obsługiwało dwóch wartowników. Jeden biegał w prawo i w lewo, wpuszczając jeden samochód do bazy i wypuszczając jeden na zewnątrz, na przemian, w tę i z powrotem, według ścisłego rozkładu.

Drugi facet siedział w wartowni. Ze słuchawką telefonu przy uchu. Uważnie słuchając.

Turner zatrzymała się jako trzecia na zwężającym się pasie, mając po lewej stronie wartownię, a po prawej rząd stojących obok siebie metrowych zapór przeciwczołgowych, z których każda zrobiona była bez wątpienia ze zbrojonego betonu i wkopana głęboko w ziemię.

Drugi wartownik wciąż rozmawiał przez telefon.

Na drodze wjazdowej szlaban podniósł się i samochód wjechał na teren bazy. Pierwszy wartownik przeszedł na drugą stronę, sprawdził legitymację, sprawdził bagażnik i wcisnął przycisk. Szlaban na drodze wyjazdowej podniósł się i samochód wyjechał na zewnątrz.

– Może godzina szczytu będzie nam sprzyjać. Kontrola wydaje się pobieżna – stwierdził Reacher.

– To zależy, w jakiej sprawie dzwonią – odparła Turner.

Reacher wyobraził sobie Tracy Edmonds wchodzącą głównym wejściem do aresztu, zaglądającą do biura i odkrywającą, że kapitan dyżurny jest nieobecny. Jakiś kapral jej zasalutuje i pójdzie go poszukać. Jak cierpliwa okaże się Edmonds? Jak cierpliwy okaże się kapral? Pewne znaczenie miał tu piastowany stopień. Edmonds też była kapitanem. Tak samo jak oficer dyżurny. Byli równi rangą. Będzie skłonna chwilę poczekać. Nie będzie od razu stawiać wszystkich do pionu, jak zrobiłby to major albo pułkownik. A kapral z pewnością nie będzie się spieszył.

Drugi wartownik nadal rozmawiał przez telefon. Pierwszy nadal biegał to w jedną, to w drugą stronę. Do bazy wjechał drugi samochód i drugi samochód z niej wyjechał. Turner podjechała kawałek i zatrzymała się. Teraz była pierwsza w kolejce do wyjazdu i jednocześnie kompletnie zablokowana po lewej i prawej stronie. Za sobą miała dwa samochody, przed sobą metalowy szlaban. Odetchnęła głęboko, otworzyła bagażnik, ułożyła w wachlarzyk legitymacje i opuściła szybę.

Drugi wartownik przestał rozmawiać przez telefon, odłożył słuchawkę, popatrzył na drogę wyjazdową i omiótł wzrokiem czekające samochody, od pierwszego do ostatniego i od ostatniego do pierwszego, zaczynając od Turner i na niej kończąc. Następnie wyszedł z budki i podszedł do jej okna.

– Przepraszamy za zwłokę – powiedział.

Zerknął na legitymacje, cofnął się, zerknął do bagażnika, zamknął klapę i wcisnął przycisk z boku wartowni. Szlaban podniósł się i Turner ruszyła do przodu.

I wypuściła z płuc powietrze.

– Jeszcze jedna kontrola. A szczęśliwe trafy chodzą trójkami – powiedział Reacher.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie, nie wierzę. Szanse, że będziemy mieli szczęście trzy razy są mniej więcej jak dwanaście do stu.

Trzeci punkt kontrolny wydawał się dokładnym powtórzeniem drugiego. Ta sama kolejka tych samych trzech samochodów, podobna kolejka po drugiej stronie, dwóch facetów na służbie, jeden biegający w tę i z

powrotem i drugi w budce, rozmawiający przez telefon.

I uważnie słuchający rozmówcy.

– Te telefony muszą być chyba ważne – zastanawiała się Turner. – Chodzi mi o to, że ci faceci mają w tym momencie coś innego do roboty. A tłum wyższych oficerów musi czekać w kolejce. A niektórzy z nich są pewnie z piechoty morskiej. Oni nie lubią takich rzeczy.

– A my je lubimy?

– Oni nie lubią ich jeszcze bardziej niż my. My nie musimy codziennie zbawiać świata.

– Mój tato służył w piechocie morskiej.

– Zbawił świat?

– Nie dosłużył się zbyt wysokiego stopnia.

– Chciałabym wiedzieć, kto tak wydzwania do tych strażników.

Reacher cofnął się myślami do czasów, gdy był kapitanem. Jak długo czekałby na innego kapitana, żeby załatwić swoją sprawę? Chyba niezbyt długo. Ale może Edmonds była od niego sympatyczniejsza. Bardziej cierpliwa. Może czuła się trochę nieswojo w budynku aresztu. Mimo że była prawniczką. Musiała widzieć w życiu dużo aresztów. Chyba że pracowała głównie przy biurku. I była prawniczką od papierkowej roboty, co wydawało się dość prawdopodobne. Służyła w końcu w zasobach ludzkich. To musiało coś znaczyć. Ile spraw z tego działu załatwia się w więziennych celach?

– To duża baza – powiedział. – Nie muszą do nich dzwonić akurat z aresztu.

– A co innego byłoby takie ważne?

– Może przygotowują się do wizyty generała. Albo zamawiają pizzę. Albo mówią swoim dziewczynom, że niedługo wrócą do domu.

– Miejmy nadzieję – odparła Turner – że to jedna z tych rzeczy. Albo wszystkie.

Po drugiej stronie szlaban podniósł się i do środka wjechał samochód. Wartownik, który sprawdzał pojazdy, przeszedł na ich stronę, skontrolował legitymację, skontrolował bagażnik, podniósł szlaban i samochód wyjechał. Turner przesunęła się o jedno miejsce do przodu.

Wartownik, który siedział w budce, nadal trzymał w ręku słuchawkę.

I nadal uważnie słuchał swojego rozmówcy.

– Nie potrzebują nawet telefonu – powiedziała Turner.

– Nie mam żadnych naszywek i dystynkcji. Zabrali mi je. Wyglądam dokładnie jak zbiegły więzień.

– Albo twardzielka z sił specjalnych. Anonimowa i pod przykrywką. Spójrz na to od jaśniejszej strony. Nie pokazuj im tylko butów.

Kolejny samochód wjechał i kolejny samochód wyjechał. Turner ruszyła do przodu i stanęła pierwsza w kolejce. Otworzyła bagażnik, ułożyła legitymacje w wachlarzyk i opuściła szybę. Wartownik nadal rozmawiał przez telefon. Ten na zewnątrz był zajęty po drugiej stronie. Za ostatnim szlabanem kończyły się zapory przeciwczołgowe, a droga wyjazdowa robiła się szersza i zmieniała w zwykłą miejską ulicę.

Stał na niej radiowóz z hrabstwa Arlington.

– Nadal chcesz, żebym rozwaliła szlaban? – zapytała Turner.

– Tylko jeżeli będziesz musiała – odparł Reacher.

Wartownik zakończył kontrolę i podniósł szlaban. Ten w wartowni zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Wyszedł z budki i spojrzał na legitymacje, które trzymała Turner. To nie było krótkie zerknięcie. Jego wzrok przesunął się z fotografii na twarze. Reacher odwrócił głowę i wpatrywał się w przednią szybę. Siedząc nisko w fotelu, próbował udawać faceta w średnim wieku i średniego wzrostu. Facet za szybą cofnął się i zajrzał do bagażnika. To nie było krótkie zerknięcie. A potem położył rękę na klapie i delikatnie, powoli ją zamknął.

Podszedł do wartowni.

I wcisnął przycisk na ścianie.

Bariera uniosła się w górę, a Turner wcisnęła gaz i samochód przejechał pod szlabanem, obok ostatnich zapór przeciwczołgowych, i ruszył elegancką podmiejską ulicą, szeroką, dobrze utrzymaną i wysadzaną drzewami. Minęli stojący z boku radiowóz policji Arlington i odjechali.

Kapitan Tracy Edmonds musi być cholernie cierpliwą kobietą, pomyślał Reacher.

21

Susan Turner najwyraźniej dobrze znała lokalne drogi. Skręciła w lewo, potem w prawo, ominęła północny skraj cmentarza, a potem skręciła jeszcze raz i przejechała wzdłuż jego wschodniego skraju.

– Zakładam, że jedziemy na Union Station – powiedziała.

– Żeby porzucić samochód i zasugerować im, że pojechaliśmy pociągiem.

– To mi pasuje – odparł Reacher.

– Jak chcesz się tam dostać?

– Jaka jest najgłupsza trasa?

– O tej porze dnia? Chyba przez centrum. Na przykład Constitution Avenue. Będziemy tam przez cały czas widoczni i nie zdołamy się rozpędzić.

– W takim razie tak właśnie zrobimy. Będą się spodziewali czegoś innego.

Turner zjechała na jedną z estakad prowadzących na drugi brzeg Potomacu. Ruch był duży. W cywilnym świecie również trwała godzina szczytu. Samochody sunęły zderzak przy zderzaku. Turner bębniła palcami w kierownicę, zerkała w lusterko i przeskakiwała z pasa na pas, starając się wyprzedzić innych.

– Odpręż się – powiedział Reacher. – Godzina szczytu wyraźnie nam sprzyja. Nie pozwala zorganizować pościgu.

– Chyba że użyją helikoptera.

– Nie zrobią tego. Za bardzo się boją, że spadnie i zabije jakiegoś kongresmena. Obcięliby im wtedy budżet.

Wjechali powoli na most i sunąc nad wodą, zostawili za sobą hrabstwo Arlington.

– *A* propos budżetu, nie mam pieniędzy – powiedziała Turner. – Zabrali mi wszystkie rzeczy i wsadzili do plastikowej torebki.

– Mnie też zabrali. Ale pożyczyłem trzydzieści dolców od mojej adwokatki.

– Dlaczego miałaby pożyczać ci pieniądze?

– Nie wie, że to zrobiła. Jeszcze nie. Ale wkrótce się zorientuje. Zostawiłem jej weksel.

– Będziemy potrzebowali więcej niż trzydziestu dolców. Przede wszystkim muszę sobie kupić cywilne ciuchy.

– A ja sznurowadła – stwierdził Reacher. – Musimy znaleźć jakiś bankomat.

– Nie mamy kart bankowych.

– Są różne rodzaje bankomatów.

Zatrzymując się i znowu ruszając, zjechali powoli z mostu i znaleźli się w Dystrykcie Columbii. Na terenie działania Metro PD. I Reacher natychmiast zobaczył ich dwa radiowozy, zaparkowane na chodniku za pomnikiem Lincolna. Stały z pracującymi silnikami i miały razem około tuzina anten. W każdym siedział w ciepłych i komfortowych warunkach jeden gliniarz. Reacher miał nadzieję, że to standardowe środki bezpieczeństwa. Turner zmieniła pas na zewnętrzny i minęli ich oddzieleni rzędem stojących zderzak przy zderzaku samochodów. Gliniarze w ogóle nie zareagowali.

Jechali w zapadających ciemnościach, powoli i co chwila się zatrzymując, anonimowi wśród tysięcy pojazdów sunących tymi samymi kilkoma kilometrami ulic. Skręcili na północ w Dwudziestą Trzecią, pokonali tę samą przecznicę, którą Reacher przeszedł pieszo dzień wcześniej, a potem skręcili w prawo, w Constitution Avenue, która biegła przed nimi prosta i długa – niekończąca się rzeka czerwonych tylnych świateł.

– Opowiedz o tych dwóch facetach z wczorajszego wieczoru – po-

prosiła Turner.

– Przyjechałem autobusem i poszedłem prosto do Rock Creek – odparł Reacher. – Miałem zamiar zaprosić cię na kolację. Ale ciebie oczywiście tam nie było. A facet, który cię zastępował, zaczął coś bredzić o zarzutach o napaść, które wniesiono jakoby przeciwko mnie. Chodziło o gangstera, którego namierzyliśmy przed szesnastu laty. Nie zrobiło to na mnie wrażenia, więc wyciągnął jakiś paragraf z działu dziesiątego Kodeksu Stanów Zjednoczonych i powołał mnie z powrotem do służby.

– Co takiego? Jesteś znowu w wojsku?

– Od wczorajszego wieczoru.

– Niesamowite.

– Nie odniosłem takiego wrażenia. Na razie.

– Kto mnie zastępuje?

– Podpułkownik o nazwisku Morgan. Sądząc po wyglądzie, typowy urzędas. Zakwaterował mnie w motelu na północny zachód od dowództwa i mniej więcej pięć minut po tym, jak się tam zameldowałem, pojawiło się dwóch facetów w samochodzie. Dobiegający trzydziestki podoficerowie, z gębami pełnymi frazesów o tym, że okryłem hańbą jednostkę, że powinienem wynosić się w podskokach, żeby oszczędzić im wstydu związanego z sądem polowym, i że jeśli tego nie zrobię, skopią mi tyłek. Więc wgniotłem ich głowami bok samochodu.

– Co to, do diabła, za jedni? Znasz ich nazwiska? Nie chcę, żeby tacy ludzie służyli w mojej jednostce.

– Nie byli ze sto dziesiątej. To nie ulega wątpliwości. W samochodzie było ciepło. Przejechali nim znacznie więcej niż półtora kilometra z bazy do Rock Creek. Poza tym ich umiejętności walki były raczej poniżej normy. To nie byli twoi ludzie. Wiem to na pewno, bo policzyłem nieoficjalnie cały personel. Obszedłem wszystkie pokoje. I nie znalazłem tych facetów.

– Więc co to za jedni?

– To dwa małe fragmenty dużej układanki.

– Jaki obrazek widnieje na pudełku?

– Tego nie wiem, ale dziś znowu ich widziałem. Z pewnej od-

ległości. Przyjechali do motelu z posiłkami. Byli z nimi dwaj inni faceci, co zwiększało ich stan osobowy do czterech. Domyślam się, że chcieli sprawdzić, czy już się wyniosłem. Gdyby okazało się, że tego nie zrobiłem, zamierzali pomóc mi podjąć decyzję.

– Skoro nie są ze sto dziesiątej, dlaczego miałoby im zależeć, żebyś wyjechał?

– No właśnie – odparł Reacher. – Nawet nie zdążyliśmy się lepiej poznać. Na ogół ludzie dopiero później chcą, żebym wyjechał.

Wlekli się powoli do przodu, mijając mur z nazwiskami poległych w Wietnamie. Stał przy nim kolejny radiowóz. Z zapalonym silnikiem, najeżony antenami.

– Powinniśmy chyba uznać, że mleko się wylało? – powiedział Reacher.

– Chyba że kapitan Edmonds zasnęła w poczekalni – odparła.

Minęli zaparkowany radiowóz, na tyle blisko, że Reacher zobaczył siedzącego w środku gliniarza, wysokiego czarnego mężczyznę, chudego jak szczapa. Mógł być bratem dyżurnego kapitana z Fort Dyer. Co byłoby niefortunnym zbiegiem okoliczności.

– O co chodziło z tym oskarżeniem o napaść sprzed szesnastu lat? – zapytała Turner.

– Jakiś gangster w LA sprzedawał na czarnym rynku wojskowy sprzęt wycofany z operacji Pustynna Burza. Wielki gruby debil, który miał ksywkę Dog. Pamiętam, że z nim rozmawiałem. Trudno o czymś takim zapomnieć. Był wielkości domu. Wygląda na to, że zmarł. Zostawił oświadczenie, w którym wiele razy wymienia moje nazwisko. Ale ja wcale go nie uderzyłem. Nie tknąłem go nawet palcem. Trudno sobie wyobrazić, jak mógłbym to zrobić. Musiałbym zanurzyć rękę po łokieć w sadle, żeby dotknąć czegoś solidnego.

– Więc jak to naprawdę wyglądało?

– Domyślam się, że jakiś rozczarowany klient pojawił się z bandą swoich kumpli i kolekcją kijów baseballowych. A po pewnym czasie grubas zaczął kombinować, jak by to sobie wynagrodzić. Rozumiesz, coś za nic, w naszym skłonnym do procesowania się społeczeństwie. Po-

szedł więc do jakiegoś kauzyperdy, który stwierdził, że nie ma sensu ścigać facetów z kijami. Ale może grubas wspomniał coś o wizycie wojskowego i adwokat doszedł do wniosku, że Wuj Sam ma masę szmalu, i wysmażyli bzdurny pozew. Podobnych pozwów przez wszystkie te lata złożono pewnie setki tysięcy. Nasze akta muszą od nich puchnąć. Ktoś rzuca na nie okiem, wyśmiewa i całkiem słusznie odkłada na półkę. Tyle że akurat ten jeden został wyciągnięty ponownie i nadano sprawie bieg.

– Dlaczego?

– To kolejny fragment układanki. Morgan powiedział, że moje akta były opatrzone adnotacją i że kiedy je wyciągnęłaś, nikt nie zwrócił na to uwagi. Zauważono to, dopiero gdy je zwróciłaś. Nie wierzę w to. Nasza biurokracja nie działa aż tak źle. Moim zdaniem nie było żadnej adnotacji. Moim zdaniem w ostatniej chwili ostro majstrowano przy tych aktach. Ktoś wpadł w wielką panikę.

– W związku z tobą?

Reacher potrząsnął głową.

– Nie, początkowo w związku z tobą. Z tobą i z Afganistanem.

I nagle przestał mówić, bo samochód wypełniło niebieskie i czerwone światło, odbijające się we wstecznych lusterkach. Z tyłu przebijał się przez korek policyjny radiowóz. Miał włączoną syrenę, która wydawała kolejno wszystkie warianty urozmaiconych i natarczywych dźwięków. Najpierw piała, potem maniakalnie rechotała i na koniec żałośnie zawodziła. Reacher obrócił się w swoim fotelu. Radiowóz był mniej więcej dwadzieścia samochodów za nimi. Pojazdy z przodu skręcały w stronę chodnika, zjeżdżały w prawo i w lewo, próbując wygospodarować dodatkowy pas.

Turner też się obejrzała.

– Odpręż się – powiedziała. – To miejscowa policja. Armia będzie się starała dorwać nas sama. Nigdy nie korzystamy z ich usług. Czasami współpracujemy z FBI, ale nie z tymi klaunami.

– Metro PD poszukuje mnie w związku z Moorcroftem – odparł Reacher. – Twoim adwokatem. Detektyw o nazwisku Podolski uważa, że to ja go pobiłem.

– Dlaczego miałby tak uważać?

– Byłem ostatnim facetem, który z nim rozmawiał, a potem wyrzuciłem swoje ubranie i nie potrafiłem udowodnić, gdzie byłem w krytycznym czasie.

– Dlaczego wyrzuciłeś ubranie?

– Generalnie wychodzi taniej niż pralnia.

– O czym rozmawiałeś z Moorcroftem?

– Chciałem, żeby wyciągnął cię z aresztu.

Gliniarz był teraz mniej więcej dziesięć samochodów od nich; przebijanie się przez korek szło mu całkiem nieźle.

– Zdejmij kurtkę – powiedział Reacher.

– Normalnie rozbieram się dopiero po koktajlu i kinie – odparła.

– Nie chcę, żeby zobaczył cię w mundurze. Jeśli szuka mnie, szuka również ciebie.

– Na pewno ma nasz numer rejestracyjny.

– Może go nie zobaczyć. Auta stoją zderzak w zderzak.

Samochody przed nimi zaczęły zjeżdżać na bok. Turner zrobiła to samo, jedną ręką kierując, a drugą rozpinając kurtkę. Następnie pochyliła się do przodu i ściągnęła rękaw najpierw z jednej, a potem z drugiej ręki. Reacher wyciągnął kurtkę zza jej pleców i cisnął do tyłu. Pod spodem Susan miała ciemnooliwkowy podkoszulek z krótkimi rękawami. Zdaniem Reachera chyba w rozmiarze XS, który świetnie na nią pasował, tyle że był trochę krótki. Nie sięgał do paska spodni. Reacher zobaczył dwa centymetry gołej skóry, gładkiej, jędrnej i opalonej.

Znów się obejrzał. Gliniarz był teraz tylko dwa samochody za nimi i wciąż się zbliżał, wciąż błyskał czerwonymi i niebieskimi światłami, wciąż piał, rechotał i zawodził.

– Poszłabyś ze mną na kolację, gdybym zastał cię wczoraj w biurze? – zapytał Reacher. – Albo dzisiaj, gdyby Moorcroft wyciągnął cię z aresztu?

– Musisz to teraz wiedzieć? – odparła. Wzrok miała utkwiony we wstecznym lusterku.

Do Siedemnastej Ulicy zostało im tylko kilka metrów. Przed nimi,

po prawej stronie, stał iluminowany po zmroku pomnik Waszyngtona.

Policyjny samochód znalazł się na ich wysokości. I się zatrzymał.

22

Zatrzymał się, ponieważ stojące przed nimi auto nie usunęło się do końca z drogi, a na sąsiednim pasie stał szeroki pick-up z potężnymi wystającymi błotnikami nad podwójnymi tylnymi kołami. Gliniarz nie miał dość miejsca, żeby przejechać. Był białym mężczyzną o byczym karku. Reacher zobaczył, że zerka na Turner, przelotnie i bez większego zainteresowania, a potem spogląda na tablicę rozdzielczą, gdzie najwyraźniej miał przełączniki syreny, ponieważ w tym samym momencie jej dźwięk zmienił się w ciągły maniakalny rechot, nieustający i niesamowicie głośny.

Ale najwyraźniej między fotelami miał coś więcej i najwyraźniej zainteresowało go to bardziej od przełącznika syreny. Ponieważ głowa faceta była nadal pochylona. Czemuś się intensywnie przyglądał. Miał przed sobą prawdopodobnie ekran laptopa. Albo jakiegoś innego nowoczesnego urządzenia elektronicznego. Reacher widywał już takie rzeczy wcześniej. Od czasu do czasu zdarzało mu się wsiadać do radiowozów cywilnej policji. Niektóre z nich miały cienkie szare panele na ruchomych uchwytach, na których wyświetlały się informacje, listy gończe i ostrzeżenia.

– Mamy problem – powiedział.

– Jakiego rodzaju? – zapytała Turner.

– Myślę, że ten facet też jest w drodze do Union Station. Albo na dworzec autobusowy. Żeby nas szukać. Sądzę, że ma informacje na nasz

temat i zdjęcia. Nietrudno było je zdobyć, prawda? Z wojskowych archiwów. Myślę, że patrzy na nie w tej chwili. Widzisz, jak bardzo stara się nas nie zauważać?

Turner zerknęła w lewo. Gliniarz nadal miał opuszczoną głowę. Poruszał prawą ręką. Może majstrował przy mikrofonie. Samochody przed nim ruszyły do przodu. Pick-up przesunął się dwadzieścia centymetrów w bok. Nic już nie blokowało drogi radiowozowi.

Ale gliniarz nie podniósł wzroku. Jego samochód stał w miejscu.

Syrena nadal wyła. Facet zaczął coś mówić. Nie sposób było tego usłyszeć. Po chwili przymknął się i słuchał. Zadawano mu pytanie. Być może zgodne z jakąś wymyślną procedurą i oznaczające: Czy jesteś pewien? Ponieważ w którymś momencie odwrócił się twarzą do szyby i przysunął do niej głowę, żeby lepiej widzieć. Przez sekundę przyglądał się Turner, a potem skierował wzrok na Reachera.

Poruszył wargami.

Pojedyncza sylaba, krótka, niesłyszalna, ale z całą pewnością zakończona zwartą miękkopodniebienną spółgłoską. Prawie na pewno: „Tak".

Gliniarz rozpiął pas i jego prawa ręka powędrowała w okolice biodra.

– Ewakuujemy się – rzucił Reacher.

Otworzył energicznie drzwi i częściowo wyturlał się, a częściowo wypadł na chodnik. Turner wygramoliła się za nim, przełażąc przez konsolę i jego fotel. Ich samochód potoczył się do przodu i oparł łagodnie o następne auto, dając mu całusa. Turner wyskoczyła na czworakach na jezdnię, potykając się w niezasznurowanych butach. Reacher pomógł jej wstać, razem przecięli chodnik i wbiegli między bezlistne drzewa do pogrążonego w mroku parku. Za sobą słyszeli rechotliwy dźwięk syreny. Zataczając łuk, kierowali się w stronę bliższego końca sadzawki przed pomnikiem Lincolna. Turner miała na sobie tylko podkoszulek, a było dość zimno. Reacher zdjął kurtkę i podał jej.

– Włóż to – powiedział. – Rozdzielimy się. Tak będzie bezpieczniej. Spotykamy się za piętnaście minut przy pomniku Weteranów Wietna-

mu. Jeśli mnie tam nie będzie, wiej.

– Ty też wiej, jeśli nie przyjdę – odparła, po czym ruszyła w jedną stronę, a on w drugą.

• • •

Reacher wyróżniał się w każdym kontekście z powodu swojego wzrostu, więc przede wszystkim rozglądał się za jakąś ławką. Zmusił się, by iść powoli i swobodnym krokiem, z rękami w kieszeniach, jakby nie miał żadnych trosk, ponieważ biegnący człowiek przyciąga wzrok tysiąc razy bardziej niż człowiek, który idzie. Kolejne ewolucyjne dziedzictwo. Drapieżca i zwierzyna, ruch i bezruch. I nie oglądał się za siebie. Żadnych ukradkowych spojrzeń. Patrzył prosto przed siebie i szedł tam, gdzie patrzył. Wkrótce miało się zrobić zupełnie ciemno, ale w parku był jeszcze spory tłumek. Nie tak duży jak w lecie, lecz spacerowało po nim dużo kończących zwiedzanie zimowych turystów, a przy samym murze z nazwiskami poległych kłębił się jak zwykle tłum ludzi, z których część opłakiwała bliskich, część oddawała ogólny hołd, a część stanowiła zbieraninę dziwaków, których zawsze przyciągało to miejsce. Nigdzie w zasięgu wzroku nie widział Turner. Syrena umilkła i teraz słyszał głośne trąbienie. Gliniarz prawdopodobnie wyskoczył z radiowozu i teraz jego auto oraz wóz Sullivan blokowały ruch.

Dwadzieścia metrów przed sobą zobaczył w półmroku stojącą przy brzegu sadzawki pustą ławkę. Ruszył w jej stronę, powoli i swobodnym krokiem, a potem zatrzymał się, jakby podjął nagłą decyzję, usiadł i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Patrzył w ziemię, niczym ktoś skłonny do kontemplacji, kto ma wiele spraw do przemyślenia. Osoba, która przyglądałaby mu się dłużej i uważniej, mogłaby odkryć prawdę, ale na pierwszy rzut oka nic w jego sylwetce nie zdradzało, że jest wysoki, i nic nie zdradzało, że jest zbiegiem. Jedyną zastanawiającą rzeczą był brak kurtki. Pogoda nie zachęcała raczej do chodzenia w samej koszuli.

Trzydzieści metrów za nim wciąż trąbiły samochody.

Reacher czekał z opuszczoną głową, cichy i zastygły w bezruchu.

I nagle w odległości czterdziestu metrów zobaczył kątem oka gliniarza z byczym karkiem, który szedł szybko z latarką w ręku, ale bez broni. Rozglądał się nerwowo na wszystkie strony; prawdopodobnie podpadł szefowi za to, że był tak blisko i skrewił. Reacher usłyszał dwie nowe syreny, obie dobiegające z oddali, jedna z południa, może nawet z C Street, a druga z północy, z Piętnastej albo z Szesnastej, gdzieś na wysokości Białego Domu albo Aquarium.

Czekał.

Gliniarz z byczym karkiem zmierzał w stronę muru. Nagle w połowie drogi zatrzymał się i obrócił o trzysta sześćdziesiąt stopni. Reacher poczuł, jak omiata go wzrokiem. Facet siedzący nieruchomo i gapiący się w wodę nie budził żadnego zainteresowania, skoro wszędzie naokoło tyle było ciekawszych obiektów, jak choćby trzydzieści albo czterdzieści osób zmierzających w kierunku cokołu pomnika, ewentualnie cała wycieczka lub tłum obcych ludzi, którzy przypadkiem wszyscy szli w tę samą stronę. Ruchome cele. Ewolucja. Gliniarz ruszył za nimi. Facet nieźle kombinuje, pomyślał Reacher.

Każdy spodziewałby się ruchu. Siedzenie nieruchomo jest trudne.

Syreny zbliżyły się, ale nadal dobiegały z daleka. Jakaś siła grawitacyjna ciągnęła je na wschód, co ponownie stanowiło przejaw przemyślanej taktyki. Waszyngtońska policja chyba dobrze znała swój teren. Na wschodzie były muzea i galerie, a co za tym idzie, więcej ludzi. Trochę dalej był Kapitol i najlepsze drogi wyjazdowe na północ i południe, autostrady i linie kolejowe.

Reacher czekał, nie ruszając się i nie rozglądając, po prostu gapiąc się w wodę. W momencie kiedy stoper w jego głowie pokazał dziesięć minut, wstał i wykonał tyle, ile tylko zdołał wymyślić, gestów, raczej niekojarzących się z kimś, kto ucieka przed policją. Ziewnął, pomasował obiema dłońmi kręgosłup, przeciągnął się i znowu ziewnął. Następnie ruszył na zachód niespiesznym krokiem, jakby miał tyle czasu, ile dusza zapragnie. Mijając sadzawkę po lewej stronie, zatoczył między bezlist-

nymi drzewami długi łuk, który po czterech minutach zawiódł go w pobliże muru. Stanął niczym kolejny pielgrzym na skraju tłumu i rozejrzał się za Susan Turner.

Nigdzie jej nie zobaczył.

23

Reacher przeszedł wzdłuż muru, który najpierw rósł, a potem malał, od roku 1959 do 1975, i z powrotem, od roku 1975 do 1959, mijając dwa razy ponad pięćdziesiąt osiem tysięcy nazwisk, i nigdzie nie zauważył Susan Turner. „Jeśli mnie tam nie będzie, wiej", powiedział, a ona odparła: „Ty też wiej, jeśli się nie pojawię". Minęło już grubo ponad piętnaście minut, które sobie wyznaczyli. Ale nie zamierzał wiać. Jeszcze raz przedefilował wzdłuż muru, mijając najpierw tych, którzy polegli na samym początku i których nazwiska wyryto na niskich, dwudziestocentymetrowych tablicach, potem tych ze szczytowych lat 1968 i 1969, na ponadtrzymetrowych panelach, i późniejsze, nie tak już liczne ofiary, znowu na niskich dwudziestocentymetrowych tablicach. Po drodze przyglądał się każdej mijanej osobie, albo jej odbiciu w czarnym kamieniu, ale żadna z nich nie była podobna do Susan Turner. Dotarł do końca wojny i zobaczył przed sobą na chodniku tę samą co zwykle grupę sprzedawców pamiątek i memorabiliów, wśród których byli prawdziwi i udawani weterani, wszyscy oferujący stare naszywki oddziałów, insygnia rodzajów broni, zapalniczki Zippo z wygrawerowanymi napisami i tysiące innych rzeczy posiadających wyłącznie wartość sentymentalną. Turyści jak zwykle podchodzili, wybierali, płacili i odchodzili, i jak zwykle towarzyszyła im grupka kręcących się tam mniej lub bardziej malowniczych malkontentów.

Reacher uśmiechnął się.

Bo w grupce malkontentów zauważył chudą dziewczynę z rozpuszczonymi ciemnymi włosami, ubraną w za dużą, sięgającą kolan kurtkę, którą owinęła się dwa razy, a niżej w spodnie moro i buty ze zwisającymi językami. Rękawy kurtki miała zawinięte do nadgarstków, ręce trzymała w kieszeniach. Stała skulona ze spuszczoną głową, przestępując ledwo dostrzegalnie z nogi na nogę, całkowicie nieobecna duchem, pogrążona w stuporze.

Susan Turner w życiowej roli, dopasowująca się do otoczenia, ukrywająca się na widoku.

• • •

Reacher podszedł do niej.

– Jesteś naprawdę dobra – stwierdził.

– Musiałam być – odparła. – Gliniarz przeszedł tuż obok mnie. Był tak blisko jak ty teraz. Facet, którego widzieliśmy wcześniej w zaparkowanym radiowozie.

– Gdzie jest teraz?

– Poszedł na wschód. Coś w rodzaju ruchomego kordonu. Który mnie minął. Ciebie chyba też.

– Nie widziałem go.

– Szedł po drugiej stronie sadzawki. W ogóle nie podniosłeś głowy.

– Obserwowałaś mnie?

– Owszem. Ty też byłeś całkiem dobry.

– Dlaczego mnie obserwowałaś?

– Na wypadek gdybyś potrzebował pomocy.

– Skoro przeczesują teren, kierując się na wschód, lepiej żebyśmy skierowali się na zachód – powiedział Reacher.

– Pieszo?

– Nie, taksówką – odparł. – W tym mieście nie ma czegoś bardziej niewidzialnego niż taksówki.

Przy każdej atrakcji turystycznej w parku czekały dwie albo trzy ta-

ryfy. Mur poległych w Wietnamie nie stanowił pod tym względem wyjątku. Za ostatnią budką z pamiątkami stały poobijane, obdrapane taksówki z kogutami na dachach. Reacher i Turner wsiedli do pierwszej z nich.

– Cmentarz Arlington – powiedział Reacher. – Pod główną bramę.

Przeczytał wydrukowaną na drzwiach informację. Opłata wynosiła trzy dolce za złamanie taksometru i dwa dolary i szesnaście centów za każdą milę. Plus napiwek. Co oznaczało, że łącznie będą do tyłu jakieś siedem dolców. I zostanie im dwadzieścia trzy. Nie oznaczało to końca świata, ale w żadnym wypadku nie zaspokajało ich potrzeb.

Siedli na zapadającym się tylnym siedzeniu, a taksówka ruszyła z łomotem, jakby miała kwadratowe koła. Ale dojechała tam, gdzie trzeba. Omijając z drugiej strony pomnik Lincolna, przeprawiając się przez rzekę mostem Memorial i wjeżdżając z powrotem do hrabstwa Arlington. Wysiedli na przystanku autobusowym przy bramie cmentarza. W tym samym miejscu, gdzie prawie dokładnie dwadzieścia cztery godziny wcześniej Reacher wystartował z bloków.

Co było raczej dziwnym rodzajem postępu.

• • •

Na przystanku przy bramie cmentarza stał niewielki tłumek, sami smagli niewysocy Latynosi, sami robotnicy, wszyscy zmęczeni, cierpliwi i zrezygnowani. Reacher i Turner stanęli między nimi. Turner wtopiła się w tłum całkiem nieźle, Reacher gorzej. Był o ponad głowę wyższy i prawie dwa razy szerszy od każdego z nich. I o wiele bledszy. Wyglądał jak latarnia morska na ciemnym skalistym wybrzeżu. Dlatego czekanie na autobus było trudne. I długie. Ale obok nich nie przejechał żaden radiowóz i w końcu pojawił się autobus. Reacher zapłacił za bilety, Turner usiadła przy oknie, on obok niej, przy przejściu, starając się maksymalnie zgarbić. Autobus ruszył powoli i dostojnie i potoczył się trasą pokonaną przez Reachera dzień wcześniej, mijając przystanek, na

którym wysiadł u stóp wzniesienia, i dalej, stromym podjazdem w kierunku dowództwa sto dziesiątej.

– Zwrócą się do FBI, bo dojdą do wniosku, że chcemy przekroczyć granicę stanu – powiedziała Turner. – Pytanie tylko, kto zrobi to pierwszy. Stawiałabym na Metro PD. Wojsko najprawdopodobniej poczeka z tym do rana.

– Nic nam nie zrobią – odparł Reacher. – FBI nie będzie ustawiać blokad drogowych, nie tu, na Wschodnim Wybrzeżu. W gruncie rzeczy prawdopodobnie w ogóle nie ruszą tyłków. Umieszczą tylko nasze legitymacje i karty bankowe na liście poszukiwanych, co i tak nie ma znaczenia, bo nie mamy legitymacji i kart bankowych.

– Mogą poprosić oddziały lokalnej policji, żeby obserwowali dworce autobusowe.

– Będziemy uważali.

– Tak czy owak, potrzebne mi ubranie – stwierdziła Turner. – Przynajmniej kurtka i spodnie.

– Mamy dziewiętnaście dolarów. Możesz mieć jedno albo drugie.

– W takim razie spodnie. I przehandluję twoją kurtkę za twoją koszulę.

– Moja koszula będzie na tobie wyglądała jak namiot cyrkowy.

– Widziałam kobiety, które noszą męskie koszule.

Wyglądają w nich bardzo szykownie.

– Będzie ci zimno.

– Urodziłam się w Montanie. Nigdy nie jest mi zimno.

Autobus wspinał się mozolnie pod górkę, mijając dowództwo sto dziesiątej. Stary murowany budynek. Brama była otwarta. Wartownik dyżurował w budce. Facet z dziennej zmiany. Samochód Morgana nadal stał na parkingu. Pomalowane drzwi były zamknięte. We wszystkich oknach paliły się światła. Turner obróciła się w fotelu, by móc jak najdłużej patrzeć na budynek. Aż do ostatniej możliwej chwili. Potem sobie odpuściła i spojrzała przed siebie.

– Mam nadzieję, że jeszcze tam wrócę – powiedziała.

– Wrócisz – zapewnił ją Reacher.

– Tak ciężko pracowałam, żeby tam w ogóle trafić. To wspaniała jednostka. Ale ty przecież o tym wiesz.

– Wszyscy inni nas nienawidzą.

– Tylko jeśli wykonujemy właściwie naszą robotę.

Na szczycie wzniesienia autobus skręcił w inną trzypasmówkę, która prowadziła do motelu Reachera. W powietrzu wisiał deszcz. Siąpiło słabo, ale wystarczająco, by kierowca włączył wycieraczki.

– Powtórz jeszcze raz, dlaczego to wszystko może być moją winą – poprosiła Turner. – Moją i Afganistanu.

Teren zrobił się płaski i autobus nabrał prędkości. Turkocząc, przejechał obok motelu Reachera. Parking był pusty. Nie było samochodu z wgniecionymi drzwiami.

– To jedyne logiczne wytłumaczenie – odparł. – Wpuściłaś lisa do czyjegoś kurnika i ten ktoś chciał cię zamknąć. Co okazało się dość łatwe, ponieważ tak się złożyło, że nikt inny w jednostce nie wiedział, co jest grane. Twój kapitan dyżurny nie wiedział. Sierżant Leach też nie. I nikt inny. Więc byłaś jedyna. Wrobili cię, zakładając ci to konto na Kajmanach, i natychmiast cię zgarnęli, co sprawiło, że nie mogłaś się z nikim kontaktować. Zadbali, żeby ta sytuacja trwała, katując twojego prawnika Moorcrofta zaraz po tym, jak spróbował wyciągnąć cię z aresztu. Problem rozwiązano. Byłaś odizolowana. Odcięta od świata. I wszystko było super. Tyle że z raportów wynikało, że przez kilka godzin rozmawiałaś przez telefon z jakimś facetem w Dakocie Południowej. A w jednostce rozniosło się, że facet był kiedyś komendantem sto dziesiątej. Twój kapitan dyżurny wiedział o tym na pewno, bo sam mu powiedziałem, dzwoniąc tu po raz pierwszy. Może wiedziało o tym dużo ludzi. Kiedy tu wczoraj wparowałem, wszyscy najwyraźniej znali moje nazwisko. I można było domniemywać, że ciebie i mnie łączą jakieś wspólne interesy. Mogliśmy rozmawiać o kluczowych sprawach. Może zupełnie niezobowiązująco, a może prosiłaś, żebym przedstawił ci mój punkt widzenia.

– Ale przecież w rozmowie z tobą w ogóle nie wspominałam o Afganistanie.

– Tyle że oni o tym nie wiedzieli. Billingi pokazywały długość rozmowy, nie jej treść. Nie mieli nagrań. W związku z czym teoretycznie mogłem w to być zamieszany. Mogłem wiedzieć to samo co ty. Nie stanowiło to wielkiego problemu, bo było mało prawdopodobne, że się pojawię. Najwyraźniej mnie prześwietlili, wiedzą, jak żyję. Ale na wszelki wypadek się przygotowali. Wyciągnęli na przykład tę historię z Big Dogiem.

– Nie rozumiem, w czym miałoby im to pomóc. Wchodząc z powrotem w system, miałbyś sporo czasu, żeby puścić farbę.

– Miałem od razu zwiać – odparł Reacher. – Miałem zniknąć i do końca życia trzymać się z daleka od wojska. Taki był plan. O to w tym wszystkim chodziło. Przyjechali nawet do mojego motelu, żeby się upewnić, że to do mnie dotarło. A ta historia z Big Dogiem była świetnie wybrana. Facet nie żyje i zostawił oświadczenie. Tak naprawdę nie sposób go podważyć. Ucieczka byłaby jak najbardziej racjonalna. Sierżant Leach uważała, że jeśli tylko znajdzie sposób, by mnie ostrzec, zwieję, gdzie pieprz rośnie.

– Dlaczego nie zwiałeś?

– Chciałem cię zaprosić na kolację.

– Nie, serio.

– To nie w moim stylu. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy miałem pięć lat. Człowiek albo ucieka, albo walczy. To binarny wybór, a ja jestem wojownikiem. Poza tym mieli jeszcze coś w tylnej kieszeni.

– Co takiego?

– Coś, co również miało mnie skłonić do ucieczki, ale nie skłoniło.

– Czyli?

„Samantha Dayton”.

„Czternastolatka”.

„Zajmę się tym”.

– Opowiem ci później – powiedział Reacher. – To skomplikowana historia.

• • •

Autobus jechał dalej, terkocząc, mijając znany Reacherowi pasaż ze sklepem przemysłowym, apteką, zakładem oprawy obrazów, sklepem z bronią, gabinetem dentystycznym i grecką restauracją. Potem wjechał na terytorium, którego Reacher nie znał. I jechał dalej. Coraz dalej.

– Spójrz na to od jaśniejszej strony – powiedział Reacher.

– Twój problem to nie jest chirurgia mózgu. Za tym wszystkim stoi królik, którego ścigasz w Afganistanie. Więc musimy się cofnąć do niego. Musimy odkryć, kim są jego przyjaciele, musimy odkryć kto, co, jak i dlaczego, a potem musimy wymierzyć sprawiedliwość.

– Będzie z tym pewien problem – odparła Turner.

Reacher pokiwał głową.

– Wiem – powiedział. – To nie będzie łatwe. Nie będzie łatwe z zewnątrz. To będzie tak, jakbyśmy jedną rękę mieli związaną z tyłu. Ale damy z siebie wszystko.

– Niestety, nie na tym polega problem, o którym mówię.

– Więc na czym?

– Ktoś uważa, że wiem coś, czego nie wiem. Na tym polega problem.

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem, kim jest królik – odparła Turner. – I co, do diabła, robi. Nie wiem kto, gdzie i dlaczego. W gruncie rzeczy nie mam pojęcia, co się dzieje w Afganistanie.

– Ale wysłałaś tam dwóch facetów.

– Znacznie wcześniej. Z zupełnie innego powodu. Do Kandaharu. To była rutynowa misja. Zupełnie niezwiązana z tym, o czym mówimy. I nagle dostali cynk od pasztuńskiego informatora, że widziano amerykańskiego oficera, który zmierzał na północ na spotkanie z członkiem starszyzny. Tożsamość Amerykanina była nieznana i nieznany był cel jego podróży, ale panowało ogólne przekonanie, że to nie może być nic dobrego. Wycofujemy się z Afganistanu. Zanim się stamtąd wyniesie-

my, powinniśmy zmierzać na południe, nie na północ, w kierunku Bagram i Kabulu. Nie powinniśmy szwendać się na północy i spotykać ukradkiem z turbaniarzami. Więc wysłałam moich ludzi, żeby sprawdzili, co jest grane. To wszystko.

– Kiedy?

– Dzień przed moim aresztowaniem. Więc nie będę znała nawet nazwiska, dopóki nie złożą mi raportu. Czego nie będą mogli zrobić, jeśli nie obejmę z powrotem dowództwa.

Reacher milczał.

– Co jest? – zapytała Turner.

– Jest jeszcze gorzej, niż myślisz – powiedział.

– Jak to możliwe?

– Nie będą mogli złożyć ci raportu – stwierdził Reacher.

– Ponieważ nie żyją.

24

Reacher opowiedział jej o nieotrzymanych sygnałach radiowych, o niepokoju w jednostce, o nie do końca autoryzowanym rekonesansie lotniczym z Bagram i o dwóch trupach odnalezionych na koziej ścieżce. Turner znieruchomiała.

– To byli dobrzy żołnierze – powiedziała. – Natty Weeks i Duncan Edwards. Weeks był starym wygą, a Edwards dobrze się zapowiadał. Nie powinnam była ich tam wysyłać. Hindukusz jest zbyt niebezpieczny dla dwóch ludzi bez żadnego wsparcia.

– Nie zabili ich miejscowi – stwierdził Reacher. – Oberwali w głowę pociskami dziewięć milimetrów. Najprawdopodobniej z broni będącej na wyposażeniu amerykańskiej armii. Prawie na pewno z beretty M-dziewięć. Miejscowi ucięliby im głowy. Albo użyli AK-czterdzieści siedem, który robi zupełnie innego rodzaju dziury.

– Więc musieli znaleźć się za blisko złego Amerykanina.

– W ogóle o tym nie wiedząc – dodał Reacher. – Nie sądzisz? Strzał z pistoletu w głowę to coś, co przytrafia się ludziom z małej odległości. Gdyby mieli najmniejsze podejrzenia, z pewnością by do tego nie dopuścili.

– Sprytnie pomyślane – mruknęła Turner. – Wzięli mnie w dwa ognie. Tutaj i tam. Zanim w ogóle zdobyłam jakiekolwiek informacje. W rezultacie w tym momencie nie mam nic. Zupełnie nic. Jestem udupiona. Idę na dno, Reacher. Nie widzę sposobu, żeby się z tego wykaraskać.

Reacher nie odpowiedział.

• • •

Wysiedli w Berryville w Wirginii, które było przedostatnim miasteczkiem na trasie autobusu. Uznali, że tak będzie lepiej. Kierowca mógł zapamiętać dwójkę nietypowych pasażerów, którzy jechali aż do samego końca. Zwłaszcza gdyby wspomniano o nich w radiu i telewizji, ich fotografie wywieszono w urzędzie pocztowym, a policja zaczęła zbierać rutynowe informacje.

Deszcz przestał padać, ale nadal było wilgotno i zimno. Śródmieście Berryville wydawało się dość sympatyczne, lecz oni cofnęli się pieszo tą samą drogą, którą pokonał autobus, mijając przejazd kolejowy i pizzerię, aż do sklepu przemysłowego, który widzieli przez okno. Sklep właśnie zamykano, co nie było dobre, ponieważ ekspedienci zapamiętują na ogół pierwszych i ostatnich klientów. Uznali jednak, że jeszcze gorsze byłoby dalsze paradowanie Turner w spodniach od munduru. Weszli więc do środka i znalazła robocze spodnie podobne do tych, które nosił Reacher. Najmniejszy rozmiar, jaki mieli w sklepie, był na nią za luźny w pasie i miał zbyt długie nogawki, ale Turner stwierdziła, że to dobrze. To nie wada, lecz zaleta, powiedziała. Bo nogawki zakryją w dużej części jej wojskowe buty, które nie będą dzięki temu tak bardzo rzucać się w oczy.

Kupili spodnie i trzy pary długich sznurowadeł, jedne do butów Reachera, drugie do butów Turner, a trzecie, by związać je razem i użyć jako paska. Robili zakupy, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Nie byli ani grzeczni, ani niegrzeczni, nie spieszyli się zbytnio, ale i nie ociągali, i niewiele mówili. Turner nie skorzystała z przymierzalni. Chciała się przebrać, lecz uznali, że ekspedient łatwiej zapamięta ostatnią klientkę, która weszła tam w wojskowych spodniach i wyszła w dopiero co kupionych.

Do sklepu przylegał duży parking, pusty i ciemny, i Turner zmieniła

tam spodnie i wyrzuciła stare do kontenera na tyłach budynku. Następnie zamieniła kurtkę na koszulę, a potem usiedli razem na krawężniku i założyli sznurowadła.

Mogli teraz ruszać dalej, z czterema dolarami, które zostały Reacherowi w kieszeni.

• • •

W niektórych krajach świata cztery dolary to wynagrodzenie za tydzień pracy, ale w Berryville w Wirginii niewiele mogli za nie kupić. Nie mogli wyjechać ze stanu, nie mogli przenocować w motelu i nie mogli zjeść porządnego posiłku dla dwóch osób – w każdym razie nie w żadnej knajpie ani restauracji znanej człowiekowi.

– Mówiłeś, że są różne rodzaje bankomatów – przypomniała Turner.

– To prawda – odparł Reacher. – Pięćdziesiąt kilometrów dalej. Albo pięćdziesiąt kilometrów bliżej. Ale nie tutaj.

– Jestem głodna.

– Ja też.

– Nie ma sensu oszczędzać na później czterech dolarów.

– Zgadzam się. Zaszalejmy – odparł.

Ruszyli więc z powrotem w stronę torów kolejowych, szybkim i pewnym krokiem, już w zasznurowanych butach, do pizzerii, którą widzieli po drodze. Nie był to jakiś wyszukany lokal, ale raczej im to nie przeszkadzało. Kupili po kawałku pizzy na wynos, pepperoni dla Reachera i prostej z serem dla Turner, a także puszkę coli dla dwojga. Zostało im osiemdziesiąt centów drobniakami. Jedli pizzę i pili colę, siedząc obok siebie na barierce przy przejeździe kolejowym.

– Straciłeś jakichś ludzi, kiedy byłeś komendantem? – zapytała Turner.

– Czterech… – odparł. – W tym jedną kobietę.

– Źle się z tym czułeś?

– Nie skakałem z radości. Ale tak to wygląda w tej branży. Wiedzie-

liśmy wszyscy, na co się piszemy.

– Żałuję, że sama tam nie pojechałam – powiedziała.

– Byłaś kiedyś na Kajmanach? – chciał wiedzieć Reacher.

– Nie.

– Miałaś kiedyś konto za granicą?

– Żartujesz? Po co miałabym je zakładać? W siatce płac mam pozycję O-cztery. Zarabiam mniej niż niektórzy nauczyciele akademiccy.

– Dlaczego czekałaś cały dzień z przekazaniem nazwiska łącznika tego faceta z Fort Hood?

– Co to jest, przesłuchanie?

– Tylko się zastanawiam – odparł Reacher.

– Wiesz dlaczego. Chciałam sama go zgarnąć. Żeby mieć pewność, że to będzie porządnie zrobione. Dałam sobie dwadzieścia cztery godziny. Ale nie udało mi się go przyskrzynić. Więc przekazałam nazwisko FBI. Powinni się uważać za szczęściarzy. Mogłam dać sobie tydzień.

– Ja bym dał sobie tydzień – powiedział Reacher. – Albo miesiąc.

Zjedli pizzę i wypili puszkę coli. Reacher otarł usta wierzchem dłoni i wytarł ją o spodnie.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Turner.

– Przejdziemy przez miasto i pojedziemy stopem na zachód.

– Dziś w nocy?

– Lepsze to niż spanie pod krzakiem.

– Jak daleko na zachód?

– Aż do końca – odparł. – Jedziemy do Los Angeles.

– Dlaczego?

„Samantha Dayton".

„Sam".

„Czternastolatka".

• • •

Przeszli przez śródmieście ulicą o nazwie East Main, która za

głównym skrzyżowaniem zmieniła nazwę na West Main. Wszystkie wystawy sklepowe były ciemne, wszystkie drzwi zaryglowane. Berryville było bez wątpienia wspaniałym amerykańskim miasteczkiem, miłym i bezpretensjonalnym, ale raczej nie tętniło życiem. To nie ulegało wątpliwości. Wszystko było pozamykane i senne, mimo że wieczór jeszcze się nie skończył.

Szli dalej. Turner wyglądała dobrze w koszuli, choć mogłaby się nią owinąć razem ze swoją siostrą. Podwinęła rękawy, a potem w charakterystyczny dla kobiet sposób zakręciła się i koszula przybrała na niej odpowiedni kształt. Jej rozmiary podkreślały, jaka była szczupła. Włosy miała nadal rozpuszczone. Poruszała się z gibką, sprężystą energią, a w jej oczach malowała się czujność i rodzaj ostrożnego zdziwienia, ale nie było w nich strachu. Nie było też napięcia. Wyłącznie coś w rodzaju apetytu. Reacher nie wiedział dokładnie na co.

Zdecydowanie warto było czekać, pomyślał.

Szli dalej.

Na zachodnim skraju miasteczka zobaczyli motel.

Na jego parkingu stał samochód z wgniecionymi drzwiami.

25

Motel był porządny i schludny, podobnie jak całe miasteczko. Czerwona cegła, białe tynki, flaga i orzeł nad drzwiami recepcji. Był tam automat z colą, automat z lodem i prawdopodobnie ze dwadzieścia pokojów w dwóch niskich budynkach, tworzących szeroki dziedziniec i stojących prostopadle do drogi.

Samochód z wgniecionymi drzwiami stał na ukos przed recepcją, zaparkowany niedbale i tymczasowo, jakby ktoś wstąpił tam, żeby o coś zapytać.

– Jesteś pewien? – zapytała cicho Turner.

– Na sto procent – odparł Reacher. – To ich samochód.

– Jak to w ogóle możliwe?

– Mocodawca tych facetów ma dostęp do wszystkich informacji i jest dość sprytny. Dzięki temu to jest możliwe. Nie ma innego wytłumaczenia. Dowiedział się, że uciekliśmy, dowiedział się, że zabraliśmy trzydzieści dolców, i dowiedział się, że policja widziała nas na Constitution Avenue. I przeanalizował wszystkie te informacje. Dokąd możesz się udać z trzydziestoma dolcami? Są tylko cztery możliwości. Albo zaszyjesz się gdzieś w mieście i spędzisz noc w parku, albo spróbujesz dostać się na Union Station ewentualnie duży dworzec autobusowy tuż obok i pojechać do Baltimore, Filadelfii lub Richmond, albo ruszysz w drugą stronę, na zachód, małym podmiejskim autobusem. I ten, kto to wszystko rozważał, uznał, że mały podmiejski autobus jest najbardziej praw-

dopodobny. Ponieważ bilet jest tam tańszy, a policji łatwiej obserwować Union Station, duży dworzec autobusowy, a także docelowe przystanki i dworce w Baltimore, Filadelfii i Richmond. I ponieważ nocleg w parku oznacza tak naprawdę, że zgarną cię jutro zamiast dzisiaj. Poza tym ci ludzie utrzymują, że znają mój styl życia, a ja nie spędzam dużo czasu na Wschodnim Wybrzeżu. Zawsze ciągnęło mnie na zachód.

– Ale zgodziłeś się jechać na Union Station.

– Starałem się podejść demokratycznie do twojej propozycji. Nie chciałem być więźniem własnych nawyków.

– Ale skąd wiedzieli, że wysiądziemy z autobusu w Berryville?

– Nie wiedzieli. Moim zdaniem sprawdzili już wszystkie miejscowości po drodze, zaczynając od Leesburga. Każdy motel. Hamilton, Purcellville, Berryville, Winchester. Jeśli nas tu nie znajdą, tam właśnie pojadą w następnej kolejności.

– A znajdą nas?

– Mam taką nadzieję – odparł Reacher.

• • •

W recepcji motelu były małe okienka pełniące funkcję dekoracyjną, jak w dawnym kolonialnym domu. Wisiały w nich firanki. Trudno było dostrzec, kto jest w środku. Turner podeszła do okna, przyłożyła twarz do szyby i rozejrzała się na wszystkie strony.

– Nikogo tam nie ma – powiedziała. – Poza recepcjonistą. Albo właścicielem. Siedzi w głębi.

Reacher sprawdził drzwi samochodu. Były zamknięte. Podobnie jak bagażnik. Przyłożył rękę do maski, nad chromowaną kratką chłodnicy. Metal był gorący. Samochód nie stał tu zbyt długo. Reacher skręcił w lewo i wszedł na dziedziniec między budynkami. Nikogo tam nie było. Nikt nie chodził od pokoju do pokoju, nikt nie sprawdzał drzwi ani nie zaglądał przez okna. Cofnął się do Turner.

– Pogadajmy z recepcjonistą – powiedział.

Turner otworzyła drzwi, a Reacher wszedł pierwszy do środka. Pomieszczenie robiło o wiele lepsze wrażenie niż recepcje moteli, w których zwykle nocował. O wiele lepsze wrażenie niż na przykład ta niedaleko Rock Creek. Na podłodze była porządna winylowa wykładzina, na ścianach tapeta i przeróżne rekomendacje od organizacji turystycznych. Za kontuar służyło autentyczne biurko, nieróżniące się od mebla, przy którym mógł pisać listy Thomas Jefferson. Siedzący za nim w skórzanym czerwonym fotelu sześćdziesięcioletni facet był wysoki, siwy i dystyngowany. Wyglądał, jakby kierował wielką korporacją, a nie małym motelem.

– Szukamy znajomych – powiedziała Turner. – Ich samochód stoi na parkingu.

– Czterech dżentelmenów? – zapytał facet, zawieszając sceptycznie głos przed słowem „dżentelmenów".

– Tak – odparła Turner.

– Obawiam się, że właśnie się państwo z nimi minęli. Szukali was mniej więcej dziesięć minut temu. Zakładając, że to właśnie o was pytali. Mężczyzna i kobieta, powiedzieli. Pytali, czy już się państwo zameldowali.

– I co im pan powiedział? – zapytał Reacher.

– No cóż, oczywiście, że jeszcze państwo nie przyjechali.

– Rozumiem.

– Czy teraz możecie się już państwo zameldować? – zapytał facet tonem, który sugerował, jeśli tego nie zrobią, pęknie mu serce.

– Najpierw musimy odnaleźć naszych znajomych – powiedział Reacher. – Musimy z nimi porozmawiać. Dokąd poszli?

– Zastanawiali się, czy przypadkiem nie poszli państwo czegoś zjeść. Skierowałem ich do Berryville Grill. To jedyna restauracja otwarta do późnego wieczora.

– Pizzeria się nie liczy?

– Trudno ją chyba uznać za restaurację, prawda?

– Więc gdzie jest Berryville Grill?

– Dwie przecznice za motelem. Krótki spacerek.

– Dziękuję – rzuciła Turner.

• • •

Pokonać dwie przecznice można było albo poprzeczną ulicą po lewej stronie, albo poprzeczną ulicą po prawej. Żeby mieć na oku obie, musieliby się rozdzielić, a to groziło, że jedno z nich będzie musiało stawić czoło czterem przeciwnikom. Reachera raczej nie przerażała taka perspektywa, ale nie był pewien co do Turner. Była o połowę mniejsza od niego, dosłownie, i nie miała broni. Ani pistoletu, ani noża.

– Powinniśmy tu zaczekać – uznał. – Niech oni przyjdą do nas.

Ale nie przyszli. Reacher i Turner stali w ciemności przez pięć długich minut i nic się nie wydarzyło. Turner przesunęła się trochę, żeby lepiej widzieć bok samochodu.

– Wgniecenia są całkiem pokaźne – zauważyła.

– Ile czasu może zająć sprawdzenie jednej cholernej restauracji? – mruknął Reacher.

– Może wybrali się dokądś jeszcze? Może jest tam bar z hamburgerami. Albo kilka barów, które według faceta z motelu trudno uznać za restauracje.

– Nie słyszę żadnych barów.

– Jak można usłyszeć bar?

– Gwar głosów, brzęk szkła, szum wentylatorów. To bardzo charakterystyczne dźwięki.

– Może są zbyt daleko, żeby je usłyszeć?

– W takim wypadku wróciliby po samochód.

– Muszą gdzieś być.

– Może jedzą w restauracji? Może dostali stolik i nagle zdecydowali się coś zjeść. My byliśmy głodni, oni też mogli być głodni.

– Ja nadal jestem głodna.

– Być może łatwiej będzie ich dopaść w restauracji. Dużo ludzi, będą trochę skrępowani. No i można by skorzystać z noży na stolikach. Po-

tem moglibyśmy zjeść to, co zamówili na kolację. Musieli już coś zamówić. Najlepsze byłyby steki.

– Kelner wezwałby policję.

Reacher sprawdził poprzeczną ulicę po prawej stronie. Nic tam się nie działo. Sprawdził poprzeczną ulicę po lewej stronie. Pusta. Wrócił do Turner.

– Jedzą – powiedziała. – Na pewno. Co innego mieliby robić? W tym czasie zdążyliby przeszukać całe Berryville. Dwa razy. Więc na pewno siedzą w restauracji. Mogą tam sterczeć jeszcze przez godzinę. A my nie możemy tutaj długo stać. Jesteśmy na cudzym terenie. W Berryville mają na pewno przepisy, które to regulują. I mają swoją policję. Za dwie minuty facet z motelu sięgnie po telefon.

– Dobrze – ustąpił Reacher. – Poszukajmy ich.

– Idziemy w lewo czy w prawo?

– W lewo.

Wyjrzeli ostrożnie zza rogu. Ale poprzeczna ulica po lewej stronie nadal była pusta. Właściwie bardziej alejka niż ulica. Z jednej strony ciągnął się wzdłuż niej drewniany płot motelu, z drugiej tylna ściana domu towarowego. Sto metrów dalej przecinała ją szersza ulica biegnąca równolegle do West Main.

Następny odcinek alejki był krótszy i bardziej urozmaicony. Było tam kilka wolno stojących budynków i kilka wąskich pustych działek, a potem tylne ściany domów, stojących przy następnej przecznicy, w tym jeden, po prawej stronie, z wysokim metalowym kominem, z którego unosiły się kłęby pary. Z pewnością Berryville Grill, który miał najwyraźniej sporą klientelę.

– Wchodzimy od tyłu czy od frontu? – zapytała Turner.

– Sprawdzamy okno od frontu – odparł Reacher. – Rekonesans to podstawa.

Skręcili z alejki w prawo, zachowując dużą ostrożność. Przy samym rogu mieściła się chyba kwiaciarnia, w której pogaszono już światła. W następnym lokalu była restauracja, całkiem duża, ciągnąca się bardziej w głąb niż wszerz. Od frontu miała cztery okna, dwa po lewej i dwa po

prawej stronie centralnie usytuowanych drzwi. Okna sięgały aż do podłogi. Być może w lecie je otwierano i ustawiano stoliki na chodniku.

Trzymając się blisko ściany, Reacher podszedł do skraju pierwszego okna. Z miejsca, w którym stanął, widział około jednej trzeciej wnętrza, które było przestronne i w miarę wypełnione. Małe stoliki stały blisko siebie. Restaurację urządzono w rodzinnym stylu. Nic wyszukanego. Gości obsługiwały wyłącznie dziewczyny w studenckim wieku. Stoliki były z prostego drewna. Mniej więcej połowa z nich zajęta. Przez pary, trzyosobowe grupy i całe rodziny. Starsze osoby i ich dorosłe dzieci, niektórzy świetnie się bawiący, inni milczący i trochę spięci.

Ale przy żadnym ze stolików nie siedzieli czterej mężczyźni. Przynajmniej w tej części restauracji, którą widział. Cofnął się. Turner wyminęła go, przeszła, patrząc prosto przed siebie, wzdłuż restauracji i zatrzymała się za ostatnim oknem. Reacher obserwował drzwi. Żadnej reakcji. Nikt nie wyszedł. Turner przysunęła się do samej ściany, cofnęła i stojąc przy skraju ostatniego okna, zajrzała do środka. Reacher uznał, że podobnie jak on widzi stamtąd jedną trzecią sali, po przeciwnej stronie. Do sprawdzenia pozostała im środkowa jedna trzecia.

Turner potrząsnęła głową. Reacher ruszył w jej stronę, ona ruszyła w jego stronę i spotkali się przy drzwiach. Otworzył je przed nią i weszła pierwsza do środka. W środkowej części było dużo stolików, ale przy żadnym nie siedzieli czterej mężczyźni. Przy wejściu nie było pulpitu szefa sali ani hostessy, po prostu pusty kawałek podłogi. Podeszła do nich szybko młoda kobieta. A właściwie dziewczyna. Mogła mieć siedemnaście lat. Wyznaczona do witania gości. Była ubrana w czarne spodnie i czarną koszulkę polo z krótkimi rękawami i wyhaftowanym z przodu emblematem Berryville Grill. Na przedramieniu miała wyraźne czerwone znamię.

– Dwie osoby na kolację? – zapytała.

– Szukamy pewnych ludzi – powiedziała Turner. – Mogli o nas pytać.

Dziewczyna znieruchomiała. Zmierzyła wzrokiem najpierw Turner, a potem Reachera i nagle skojarzyła: mężczyzna i kobieta.

– Byli tutaj? – zapytał Reacher. – Czterej mężczyźni, trzej duzi, a czwarty jeszcze większy?

Dziewczyna pokiwała głową i machinalnie potarła przedramię. Machinalnie albo nerwowo. Reacher przyjrzał mu się uważniej.

To nie było znamię.

Plama na skórze zmieniała kształt. I zmieniała kolor.

To był siniak.

– Oni to zrobili? – zapytał.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Ten duży – powiedziała.

– Z ogoloną głową i małymi uszami?

– Tak – odparła dziewczyna. – Ścisnął mnie za rękę.

– Dlaczego?

– Chciał wiedzieć, gdzie jeszcze możecie być. A ja nie potrafiłam mu powiedzieć.

To był duży ślad. Zostawiony przez dużą rękę. Ponad dwanaście centymetrów szerokości.

– Naprawdę mnie przestraszył – dodała dziewczyna. – Miał okrutne oczy.

– Kiedy tutaj byli? – zapytał Reacher.

– Mniej więcej dziesięć minut temu.

– Dokąd poszli?

– Nie wiem. Nie potrafiłam im powiedzieć, gdzie mają szukać.

– Żadnych barów, żadnych knajp z hamburgerami?

– Pytał mnie dokładnie o to samo. Ale nie ma tutaj nic takiego.

Dziewczyna miała łzy w oczach.

– Już tu nie przyjdą – zapewnił ją Reacher.

To było wszystko, co przyszło mu do głowy.

• • •

Zostawili dziewczynę stojącą i pocierającą ramię i wrócili po-

przeczną ulicą, którą nie szli wcześniej. Była podobna do poprzedniej, wąska, nieoświetlona, z początku nieregularna, w drugiej części biegnąca równo wzdłuż płotu motelu. Wyjrzeli ostrożnie zza rogu i sprawdzili teren.

Parking przed motelem był pusty.

Samochód z wgniecionymi drzwiami zniknął.

26

Trzysta metrów dalej Reacher i Turner dotarli do granicy miasta i West Main stała się z powrotem zwykłą drogą stanową numer siedem.

– Skoro ci faceci byli w stanie się domyślić, dokąd pojechaliśmy, musimy zakładać, że wojsko też na to wpadło – odezwała się Turner. – A nawet FBI.

To zmieniło łapanie stopa w koszmar. Było ciemno, choć oko wykol. Zimowa noc pośrodku pustkowia. Długa prosta droga. Światła nadjeżdżającego samochodu pojawiały się w odległości półtora kilometra, ale nie sposób było zgadnąć, co się za nimi kryje. Kto siedzi za kierownicą. Cywil czy wojskowy? Przyjaciel czy wróg?

Zbyt wielkie zagrożenie, by ryzykować.

Znaleźli więc kompromisowe wyjście, które zdaniem Reachera miało tyle samo minusów co plusów. Wrócili po swoich śladach i Turner stanęła na poboczu mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed ostatnią oświetloną miejską przecznicą, a Reacher cofnął się dalej aż do skrzyżowania, tam, gdzie na asfalt padało trochę światła i gdzie mógł się schować za rogiem budynku. Pomysł nie był najlepszy, ponieważ każdy pojazd, który skręcał na zachód za nimi, był straconą okazją, ale dobry dlatego, że Reacher mógł dokonać szybkiej pobieżnej oceny jadących przez miasto kierowców. Uzgodnili, że będzie dmuchał na zimne, ale jeśli uzna, że kierowca jest w porządku, wyjdzie zza rogu i da sygnał Turner, która stanie przy skraju jezdni i podniesie kciuk.

Ta taktyka, kiedy ją planowali, wydawała się mieć więcej plusów niż minusów, ponieważ tak się złożyło, że powielała starą sztuczkę autostopowiczów. Ładna dziewczyna podnosi kciuk, rozentuzjazmowany kierowca zatrzymuje samochód, a z krzaków wyskakuje jej wielki i szpetny chłopak.

Jednak trzydzieści minut później Reacher skłonny był widzieć w całej sytuacji więcej minusów niż plusów. Samochodów było jak na lekarstwo, a jemu brakowało czasu, by dokonać oceny. Widział zbliżające się reflektory, czekał, potem samochód mijał go w ułamku sekundy, a jego umysł analizował dane: sedan, krajowej produkcji, model z roku takiego i takiego, specyfikacja taka i taka, i zanim zdążył dojść do jakiejś konkluzji, samochód mijał Turner i pędził dalej.

Zdecydował się więc na preselekcję. Postanowił odrzucać wszystkie sedany i wszystkie SUV-y mające mniej niż pięć lat, i akceptować wszystkie pick-upy i wszystkie starsze SUV-y. Nigdy nie widział, żeby wojskowi ścigali kogoś pick-upem, i domyślał się, że pozbywają się wszystkich pojazdów starszych niż pięcioletnie. To samo dotyczyło z pewnością FBI. Nadal ryzykował, że przeoczy miejscowych zastępców szeryfa, którzy dołączyli do pościgu dla zabawy w prywatnych samochodach. Ale jakieś ryzyko trzeba było podjąć, w przeciwnym razie mogli tu sterczeć przez całą noc, co skończyłoby się tak samo jak nocleg w waszyngtońskim parku. Zamiast dzisiaj w nocy zgarną ich jutro o brzasku.

Czekał. Przez minutę nie widział nic, a potem zobaczył światła zbliżające się od wschodu, niezbyt szybko, z porządną, bezpieczną, miejską prędkością. Wychylił się zza rogu. Czekał. Mignął mu przed oczami samochód.

Sedan.

Nie zatrzymujemy.

Oparł się o mur budynku.

Znowu czekał. Pięć minut. Siedem. Osiem. Nagle: kolejne światła. Wychylił się. Zobaczył pick-upa.

Wyszedł zza rogu, uniósł wysoko lewą pięść i pięćdziesiąt metrów

dalej Turner podbiegła do krawężnika i podniosła kciuk w górę. Totalna precyzja. Jak w idealnie rozegranej podwójnej grze w posezonowych rozgrywkach baseballu: szybko i zdecydowanie w mroźnym nocnym powietrzu. Reflektory pick-upa omiotły Turner, która zastygła w bezruchu, jakby stała tam od dawna.

Pick-up nie zatrzymał się.

Cholera, zaklął w duchu Reacher.

Następnym możliwym do zaakceptowania kandydatem był wiekowy ford bronco, ale też się nie zatrzymał. Podobnie jak ford F150 w średnim wieku i nowy dodge ram. Potem droga znowu opustoszała. Zegar w głowie Reachera wybił wpół do jedenastej. Zrobiło się zimniej. Miał na sobie dwa podkoszulki i kurtkę z jej cudowną warstwą izolacyjną. Zaczynał się martwić o Turner. Miała tylko jeden podkoszulek i normalną koszulę. A podkoszulek sprawiał wrażenie cienkiego i spranego. „Urodziłam się w Montanie, powiedziała. Nigdy nie jest mi zimno". Miał nadzieję, że mówiła prawdę.

Przez pięć kolejnych minut nie pojawił się żaden pojazd. A potem Reacher zobaczył kolejne światła, szerokie i sunące wolno do przodu, miękko podnoszące się i opadające w ślad za ukształtowaniem drogi. Prawdopodobnie sedan. Reacher wychylił się zza rogu, nie robiąc sobie większych nadziei.

I szybko się cofnął. Rzeczywiście sedan, szybki i smukły. Ford crown victoria w ciemnym metalicznym kolorze, z czarnymi szybami i antenami na pokrywie bagażnika. Niewykluczone, że z żandarmerii wojskowej, FBI, biura szeryfów federalnych lub policji stanowej. Albo i nie. Może z zupełnie innej agencji, w niezwiązanej z nimi misji. Reacher ponownie się wychylił i patrzył, jak znika. Ford minął ukrytą w ciemności Turner i dodał gazu.

Reacher czekał. Minutę. Potem dwie. Nic nie nadjeżdżało.

A potem kolejne światła, daleko, może jeszcze na East Main, przed skrzyżowaniem w środku miasta, sunące równo, teraz już West Main, coraz bliżej i bliżej. Były żółte i słabe. Staroświeckie i niewyraźne. Nic nowoczesnego. Na pewno nie halogeny. Reacher wychylił się zza rogu.

Światła zbliżały się, powoli i ze stałą szybkością. Minęły go.

To był pick-up.

Ta sama podwójna gra. Jego lewa pięść, jej kciuk.

Pick-up od razu zwolnił.

Zatrzymał się.

Turner weszła na jezdnię, nachyliła się do okna i zaczęła mówić, a Reacher puścił się kłusem w jej stronę.

• • •

Tym razem Juliet zadzwonił do Romea, co było czymś niezwykłym. Na ogół to Romeo miał ważne wiadomości. Ale pracowali na różnych odcinkach, więc czasami Juliet miał nowe informacje.

– Nie ma po nich śladu aż do Winchesteru – oznajmił.

– Są tego pewni? – zapytał Romeo.

– Sprawdzili bardzo dokładnie.

– Dobrze, ale nie wycofuj ich stamtąd. Ta linia autobusowa to nasza najlepsza opcja.

– Zgadza się.

• • •

Reacher dobiegł do pick-upa lekko zdyszany i zobaczył, że to stary chevrolet, najprostszy model, skonstruowany i kupiony po to, by służyć, a nie na pokaz. Kierowcą był szczwany dziadek koło siedemdziesiątki, sama skóra, kości i przerzedzająca się siwizna.

– Ten dżentelmen – przedstawiła go Turner – jedzie do hrabstwa Mineral w Wirginii Zachodniej. Niedaleko miejscowości o nazwie Keyser, w pobliżu granicy stanu Maryland.

Co nic nie mówiło Reacherowi poza tym, że Wirginia Zachodnia brzmiała o wiele lepiej od właściwej Wirginii.

– Naprawdę będziemy bardzo zobowiązani, jeśli nas pan podwiezie – dodał, nachylając się do okna obok Turner.

– W takim razie wskakujcie i jedźmy – odparł dziadek.

Nie było oddzielnych siedzeń, ale szoferka była wąska.

Turner wsiadła pierwsza i Reacher musiał się mocno oprzeć o drzwi, żeby zmieściła się między nim a dziadkiem. Jednak kanapa była miękka, w szoferce było ciepło i pick-up był całkiem sprawny. Bez trudu zasuwał dziewięćdziesiąt na godzinę. Miało się wrażenie, że może tak mknąć bez końca.

– Więc dokąd w ogóle zmierzacie, kochani? – zapytał dziadek.

– Szukamy pracy – odparł Reacher, przypominając sobie młodą parę z Ohio w czerwonym silverado, z liniejącym psem. – Więc w zasadzie może nam pasować każde miejsce.

– A jakiego rodzaju to ma być praca?

I tak zaczęła się typowa rozmowa autostopowiczów z kierowcą, w której każdy z uczestników snuł opowieści oparte na półprawdach i własnych podkoloryzowanych doświadczeniach. Reacher dawno już odszedł z wojska i kiedy musiał, imał się każdego zajęcia, które mógł znaleźć. Stawał na bramce w nocnych klubach, kopał baseny, układał drewno, pracował przy rozbiórce domów, zbiorze jabłek i załadunku ciężarówek i mówił o tym tak, jakby robił to przez całe życie. Turner opowiadała o kelnerowaniu, pracy biurowej i obnośnej sprzedaży garnków, opierając się, jak zgadywał Reacher, na tym, co robiła w weekendy i wieczory w szkole średniej i podczas studiów. Dziadek opowiadał o uprawie tytoniu w Karolinie Południowej i Północnej, o hodowli koni w Kentucky i wożeniu węgla osiemnastokołowymi ciężarówkami w Wirginii Zachodniej.

Przejechali przez Winchester, przecinając dwa razy międzystanową autostradę I-81, a potem sunęli dalej w stronę granicy stanu, w Appalachy, mijając północne zbocza gór Shenandoah. Droga wznosiła się zakosami w stronę Georges Peak, silnik wył na wysokich obrotach, słabe żółte światła reflektorów podrygiwały na ostrych zakrętach. O północy byli już w Wirginii Zachodniej i wspinali się przez zalesione przełęcze w

kierunku odległych gór Allegheny.

Nagle daleko na zachodzie Reacher zobaczył ogień płonący na zalesionym zboczu, trochę na południe od drogi. Na czarnym niebie widać było żółtopomarańczową poświatę, zupełnie jakby ktoś rozpalił ognisko na wzgórzu. Przejechali przez senne miasteczko o nazwie Capon Bridge i poświata się zbliżyła. Paliło się w odległości kilometra albo dalej, a potem nagle bliżej, bo skręcili w tamtą stronę.

– Czy mógłby nas pan wysadzić, jeśli nie zrobi to panu większej różnicy? – zapytał nagle Reacher.

– Tutaj? – zdziwił się dziadek.

– To dobre miejsce.

– Na co?

– Myślę, że zaspokoi nasze potrzeby.

– Na pewno?

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni.

Dziadek wymamrotał coś pod nosem, najwyraźniej nieprzekonany, w ogóle nie rozumiejąc, o co chodzi, ale zdjął nogę z gazu i pick-up zwolnił. Turner też nic nie rozumiała. Patrzyła na Reachera, jakby zwariował. Pick-up zatrzymał się pośrodku górskiej drogi. Lasy po lewej, lasy po prawej, nic z przodu i nic z tyłu. Reacher otworzył drzwi i wygramolił się z auta. Turner wyślizgnęła się w ślad za nim, po czym podziękowali dziadkowi i pomachali mu na pożegnanie. A potem stanęli razem w kompletnych ciemnościach, głuchej ciszy i nocnym chłodzie.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego właściwie wysiedliśmy z ciepłego samochodu pośrodku pustkowia? – zapytała.

Reacher wskazał ręką przed siebie, w stronę pożaru.

– Widzisz? – zapytał. – To nasz bankomat.

27

Ruszyli asfaltową drogą na południowy zachód, zbliżając się przez cały czas do pożaru, aż znaleźli się dokładnie na jego wysokości. Dziesięć metrów przed nimi od drogi odchodził w lewo kamienisty trakt. Coś w rodzaju wjazdu, który prowadził przez las pod górę. Turner owinęła się ciaśniej koszulą Reachera.

– To po prostu przypadkowy pożar zarośli – powiedziała.

– Nie ta pora roku – odparł. – I nie to miejsce. Tutaj nie zdarzają się pożary zarośli.

– Więc co to jest?

– Gdzie jesteśmy?

– W Wirginii Zachodniej.

– Zgadza się. Dziesiątki kilometrów od najbliższej ludzkiej osady, w samym środku puszczy. Ten pożar jest tym, na co czekaliśmy. Ale zachowuj się jak najciszej. Tam na górze może ktoś być.

– Prawdopodobnie strażacy.

– To jedyna rzecz, której raczej bym się nie spodziewał – odparł.

Ruszyli pod górę kamienistym traktem. Pod ich stopami chrzęścił skalny rumosz. Trakt bardziej nadawał się do jazdy samochodem niż do pieszej wędrówki. Po obu stronach gęsto rosły drzewa, po części sosny, po części liściaste, o nagich gałęziach. Trakt skręcił w prawo, a potem w lewo, stale się wznosząc. Po jakichś dwustu metrach dotarli do ostatniego zakrętu, za którym szalał pożar. Czuli już w powietrzu żar i słyszeli

niewyraźny szum i łoskot przerywany głośnymi trzaskami.

– Teraz bądź naprawdę cicho – szepnął Reacher.

Za ostatnim zakrętem była wyrąbana w lesie polana. Dokładnie przed sobą zobaczyli popadającą w ruinę starą szopę, a po lewej stronie popadającą w ruinę starą chatę. Oba budynki zbito z desek, które przez sto lat wystawione były na słońce, śnieg i słotę. Trochę dalej po prawej stronie płonęła szeroka, niska, prostokątna buda na kołach. Żółte, niebieskie i pomarańczowe płomienie strzelały w górę i na boki, osmalając pobliskie drzewa. Kłęby gęstego szarego dymu snuły się przy ziemi, a potem porwane przez wstępujący prąd powietrza unosiły się i znikały w ciemności.

– Co to jest? – zapytała szeptem Turner.

– Jak w tym starym dowcipie – odparł Reacher. – Jaka jest różnica między pożarem wytwórni metamfetaminy a rozwodem dwojga kmiotków?

– Nie wiem.

– Żadna. I tu, i tam ktoś straci przyczepę.

– To jest wytwórnia metamfetaminy?

– Była.

– Dlatego nie ma strażaków – domyśliła się Turner. – Nielegalna produkcja. Nie mogli ich wezwać.

– Strażacy i tak by nie przyjechali. Gdyby przyjeżdżali do każdej wytwórni metamfetaminy, która zajęła się ogniem, nie mieliby czasu na nic innego. Wytwórnie metamfetaminy to beczki prochu z palącym się lontem.

– Gdzie są ludzie? – zastanawiała się Susan.

– Prawdopodobnie jest tylko jedna osoba. Gdzieś tu musi być.

Weszli na polanę i trzymając się blisko drzew, ruszyli w stronę chaty. Przy ziemi snuł się dym, wokół nich tańczyły rozbłyski światła i cienie, pogańskie i pierwotne. Pożar szalał pięćdziesiąt metrów dalej, przez nikogo niegaszony. Chata była nieduża i niska, za nią stała wygódka. Obie puste. Szopa była dość szeroka, by zmieściły się w niej dwa pojazdy. I stały w niej dwa pojazdy: fabrycznie nowy, duży, czerwony pick-

up Dodge'a z wielkimi oponami i całymi połaciami wypukłych chromów, oraz czerwony sportowy Chevrolet Corvette z opuszczanym dachem, nawoskowany i lśniący, z rurami wydechowymi szerokimi jak pięści Reachera. Również fabrycznie nowy albo prawie fabrycznie nowy.

– Temu kmiotkowi nieźle się wiedzie – stwierdził Reacher.

– Nie tak świetnie – odparła, wskazując ogień.

Wciąż było widać szkielet przyczepy, wyginający się i podrygujący w płomieniach i wszędzie dookoła płonęły odpadłe od niej szczątki, ale regularny prostokątny kształt zakłócała płaska wypukłość przy samej ziemi, podobna do wystającego z ust języka, coś niskiego, zaokrąglonego i palącego się bardzo gwałtownie – płomienie były innego koloru i o innej intensywności. Takie, jakie widać, jeśli zostawi się za długo na grillu jagnięce kotlety, tyle że sto razy większe.

– Pewnie próbował to ratować – stwierdził Reacher. – Co było głupotą. Zawsze lepiej pozwolić, żeby wytwórnia spłonęła.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Turner.

– Wypłacimy pieniądze – odparł Reacher. – Z bankomatu. To była całkiem duża wytwórnia i miał dwie fajne bryki, więc sądzę, że nasz limit kredytowy będzie dość pokaźny.

– Chcesz zabrać pieniądze nieboszczykowi?

– Już ich nie potrzebuje. A my mamy wszystkiego osiemdziesiąt centów.

– To przestępstwo.

– Przestępstwo zostało popełnione już wcześniej. Facet był handlarzem narkotyków. I jeśli nie zabierzemy tej forsy, zrobią to gliniarze. Kiedy tutaj jutro dotrą. Albo pojutrze.

– Gdzie jest ta forsa?

– To jest najzabawniejsze. Szukanie jej.

– Robiłeś to już wcześniej, prawda?

– Na ogół, kiedy jeszcze żyli. Miałem zamiar wybrać się na przechadzkę za Union Station. Wyobraź sobie, że jesteśmy urzędem skarbowym. W końcu pracujemy dla rządu.

– To straszne.

– Chcesz spędzić dzisiaj noc w łóżku? Chcesz mieć coś jutro do jedzenia?

– Jezu – mruknęła Turner.

• • •

Ale szukała tak samo wytrwale jak Reacher. Zaczęli od chaty. W środku czuć było stęchlizną. W kuchni nie udało im się niczego znaleźć. Żadnych skrytek z tyłu szafek, żadnych fałszywych puszek z fasolą, żadnych rzeczy schowanych w pojemnikach z farbą, żadnych pustych miejsc za ścianami. W pokoju dziennym też nie znaleźli niczego. Żadnych włazów w podłodze, żadnych wydrążonych książek, nic w poduchach sofy, nic w kominie. Tak samo w sypialni. Żadnych szpar w materacu, żadnych zamkniętych szuflad w nocnej szafce, nic na pawlaczu i żadnych pudeł pod łóżkiem.

– Gdzie teraz? – zapytała Turner.

– Powinienem wpaść na to wcześniej – mruknął Reacher.

– To znaczy?

– Gdzie ten facet się czuł naprawdę swobodnie?

– Wszędzie tutaj mógł się czuć absolutnie swobodnie.

– Ale gdzie najbardziej?

Turner zrozumiała. Pokiwała głową.

– W wygódce.

• • •

Pieniądze były w suficie wygódki. Dokładnie nad sedesem był fałszywy panel, który Reacher wysunął i podał Turner. Następnie włożył rękę do schowka, pomacał dokoła i znalazł plastikową miedniczkę. Wyciągnął ją. W środku było mniej więcej cztery tysiące dolarów

w dwudziestkach, zapasowe kluczyki do dodge'a i corvette, akt własności ziemi i świadectwo urodzenia dziecka płci męskiej, niejakiego Williama Roberta Claughtona, który przed czterdziestu siedmiu laty przyszedł na świat w Wirginii Zachodniej.

– Billy Bob – powiedziała Turner. – Odpoczywaj w pokoju.

Reacher podrzucił kluczyki w dłoni.

– Bierzemy pick-upa czy kabriolet? – zapytał.

– Ukradniemy również jego samochód?

– Już wcześniej został skradziony – odparł. – W miedniczce nie ma dowodów sprzedaży. Prawdopodobnie jakiś ćpun kradł bryki, żeby spłacić długi. Ale możemy oczywiście iść dalej pieszo.

Turner przez chwilę milczała, jakby to był dla niej o jeden most za daleko, ale potem potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

– Oczywiście kabriolet – powiedziała.

Zatrzymali więc pieniądze i kluczyk do corvette, a resztę odłożyli do schowka w suficie. Podeszli do stodoły i schowali pieniądze w bagażniku auta. Przyczepa nadal paliła się na skraju polany. Reacher rzucił kluczyk Turner i usiadł na miejscu pasażera. Turner uruchomiła silnik, znalazła włącznik świateł i zapięła pasy.

Minutę później byli na drodze, jadąc na zachód w samym środku nocy, rozparci wygodnie w ciepłym wnętrzu samochodu, zrelaksowani, szybcy i bogaci.

28

Przez pierwszy kilometr Turner oswajała się z samochodem, a potem przyspieszyła i odnalazła właściwy rytm, pokonując kolejne zakręty. Samochód był duży i niski, twardy i brutalny. Rzucał daleko w przód długie snopy jaskrawobiałego światła i zostawiał daleko za sobą głośny pomruk widlastego silnika.

– Powinniśmy gdzieś szybko skręcić – powiedziała Turner. – Nie możemy długo jechać tą drogą. Jeden z samochodów, które przejeżdżały przez Berryville, był moim zdaniem z FBI. Widziałeś go?

– Ten crown vic?

– Tak – odparła. – Dlatego musimy oddalić się od tego, co stanowi logiczne przedłużenie tej linii autobusowej. Zwłaszcza że dziadek z pick-upa może im powiedzieć, gdzie dokładnie nas wysadził. Nie zapomni, że tak nagle kazaliśmy mu się zatrzymać.

– Nie będzie gadał z glinami. Woził węgiel w Wirginii Zachodniej.

– Może porozmawiać z facetami z samochodu z wgniecionymi drzwiami. Mogą go zastraszyć. Albo przekupić.

– Dobrze, jedźmy na południe – zgodził się Reacher. – Zimą zawsze lepiej jechać na południe.

Turner dodała trochę gazu i rury wydechowe zagrały głośniej. Świetny samochód, uznał Reacher. Być może najlepszy na amerykańskie drogi. Co było logiczne, ponieważ był to amerykański samochód.

– Podkręćmy ogrzewanie na maksa i podnieśmy dach – zapropono-

wał, nagle się uśmiechając.

– Właściwie świetnie się bawisz, prawda? – odparła.

– Dlaczego miałbym się świetnie nie bawić? To jak rockandrollowa piosenka, która leci przez radio. Raz w życiu mam szybki wóz, trochę kasy w kieszeni i miłe towarzystwo.

W związku z tym Turner przesunęła dźwignię ogrzewania na najwyższą pozycję, stanęła na poboczu, razem znaleźli odpowiednie zatrzaski i przełączniki i dach schował się z tyłu. Owionęło ich nocne powietrze, zimne i rześkie. Usiedli trochę niżej w fotelach i ponownie ruszyli z miejsca. Wszystkie doznania stały się dwa razy bardziej intensywne. Szybkość, światła, hałas.

– To jest życie – stwierdził z uśmiechem Reacher.

– Mogłabym się do tego przyzwyczaić – powiedziała Turner. – Ale wolałabym mieć możliwość wyboru.

– Możesz go mieć.

– Jakim cudem? Nie mamy żadnych informacji, na których moglibyśmy bazować.

– Niekoniecznie – odparł. – Mamy widoczną anomalię i mamy wyraźną informację dotyczącą procedury. Co łącznie może nam pomóc wyciągnąć pewne wstępne wnioski.

– To znaczy?

– Weeksa i Edwardsa zamordowano w Afganistanie, ale ciebie tutaj nie zamordowano. Nie zamordowano również mnie i Moorcrofta. A można go było zamordować. Strzał z przejeżdżającego samochodu byłby tak samo przekonujący jak pobicie. Mnie też można było zabić, bo kto by w ogóle zwrócił na to uwagę? Ciebie też. Wypadek podczas treningu, nieostrożne obchodzenie się z bronią. Postanowili jednak nie iść tą drogą. A zatem w Dystrykcie Columbii charakteryzują się pewną wstrzemięźliwością. Co daje do myślenia, jeśli porówna się to z tą drugą sprawą.

– Jaką sprawą?

– Wiedziałabyś, jak otworzyć konto na Kajmanach?

– Mogłabym się dowiedzieć.

– No właśnie. Poszukałabyś w internecie, zadzwoniła, gdzie trzeba, zdobyła wszelkie potrzebne informacje i wszystko byś załatwiła. Ale jak długo by to trwało?

– Może tydzień.

– A ci ludzie załatwili to w niecały dzień. Być może w godzinę. Twoje konto zostało założone o dziesiątej rano. Co musiało wymagać wcześniejszych dobrych relacji. Powiedzieli bankowi, co trzeba, i sprawę załatwiono od ręki, natychmiast, bez zadawania żadnych pytań. To oznacza, że mamy do czynienia z klientami klasy premium, dysponującymi grubą forsą. Co i tak wiemy, bo byli gotowi poświęcić sto tysięcy, żeby tylko cię wrobić. Sto tysięcy to duża suma, ale nie dbali o to. Przelali je na twoje konto, choć nie ma gwarancji, że kiedykolwiek je odzyskają. Pieniądze mogą zostać zajęte jako dowód rzeczowy. A nawet jeśli nie, raczej nie wyobrażam sobie, żeby mogli odwrócić transfer i powiedzieć: tak à propos, te sto patoli było przez cały czas nasze i chcemy je dostać z powrotem.

– Więc kim oni są? – zapytała Turner.

– To bardzo dokładni ludzie, organizujący przekręt, który generuje duże pieniądze, gotowi zarządzić krwawą jatkę kilkanaście tysięcy kilometrów stąd w Afganistanie, ale nieżyczący sobie żadnej chryi na progu ich domu. Będący na „ty" z zagranicznymi bankierami, zdolni przeprowadzić skomplikowane operacje finansowe w godzinę, a nie w tydzień, a także odszukać i odpowiednio przykroić dawne akta w dowolnej agencji rządowej. I dysponujący dość skutecznymi osiłkami, którzy pilnują, żeby nikt im nie podskoczył. To prawie z całą pewnością ludzie na wysokich szczeblach władzy w Dystrykcie Columbii.

• • •

Turner odbiła w lewo tuż za miasteczkiem o nazwie Romney, skręcając w drugorzędną drogę, która prowadziła na południe, nadal przez górzysty teren. Uznali, że tak będzie bezpieczniej. Nie chcieli za

bardzo zbliżać się do autostrady numer siedemdziesiąt dziewięć, która była często patrolowana, nawet w nocy. Zbyt wielu było tam miejscowych gliniarzy, którzy chcieli podreperować gminne budżety mandatami za przekroczenie szybkości. Jedynym minusem drugorzędnej drogi był całkowity brak cywilizowanej infrastruktury. Żadnych stacji benzynowych, kafejek ani restauracji. Żadnych moteli. A oni byli głodni, spragnieni i zmęczeni. A samochód miał gigantyczny silnik, który żarł benzynę bez opamiętania. Drogowskaz przy skręcie zapowiadał, że za trzydzieści kilometrów dotrą do jakiegoś miasteczka. Przy szybkości, z jaką można było jechać taką drugorzędną drogą, oznaczało to mniej więcej pół godziny.

– Mogłabym zabić za prysznic i jakiś posiłek – odezwała się Turner.

– Prawdopodobnie będziesz musiała to zrobić – odparł Reacher. – To nie będzie miasto, które nigdy nie zasypia. Prędzej wiocha, która nigdy się nie budzi.

Nie mieli okazji się o tym przekonać. Nie dojechali tam. Ponieważ minutę później musieli się zmierzyć z innym problemem, charakterystycznym dla drugorzędnej drogi.

29

Po kolejnym zakręcie Turner musiała nagle ostro hamować, ponieważ w asfalt wbita była czerwona flara drogowa. Trochę dalej wbita była następna, a w oddali widać było skierowane w dziwne strony snopy przednich reflektorów, jedne pionowo w nocne niebo, a drugie poziomo, ale prostopadle do drogi.

Turner wyminęła flary, a potem zwolniła i stanęła. Rury wydechowe corvette dudniły i pyrkotały. Świecące w górę reflektory należały do pick-upa, który stoczył się tyłem do rowu i stał mniej więcej pionowo na tylnej klapie. Widać było całe jego podwozie, bardzo skomplikowane i brudne.

Reflektory świecące poziomo należały do innego pick-upa, przysadzistej półtonówki, stojącej w poprzek drogi tuż przy jej skraju. Do jej haka holowniczego przyczepiono krótki ciężki łańcuch, który biegł w dół pod ostrym kątem. Jego drugi koniec owinięty był wokół belki przedniego zawieszenia wywróconego pick-upa. Reacher domyślił się, że tym, którzy zaczepili łańcuch, chodziło o to, by wywróconego pick-upa postawić na kołach, a następnie wyciągnąć z rowu. Ale geometria przysparzała trochę kłopotów. Łańcuch musiał być krótki, ponieważ droga była wąska. Jego krótkość oznaczała jednak, że przód pick-upa opadnie na tył półtonówki – chyba że półtonówka będzie przez cały czas w odpowiednim tempie przesuwała się do przodu. I nie wpadnie do rowu po drugiej stronie. Zapowiadał się misterny motoryzacyjny ba-

let.

W zdarzeniu uczestniczyło trzech mężczyzn. Jeden siedział skołowany na poboczu, z łokciami na kolanach i spuszczoną głową. Reacher domyślił się, że to kierowca wywróconego pick-upa, nadal oszołomiony po wypadku i być może nadal pijany lub naćpany, ewentualnie jedno i drugie. Pozostali dwaj byli jego ratownikami. Jeden siedział w szoferce półtonówki, z łokciem w oknie, oglądając się do tyłu, a drugi chodził z jednej strony na drugą, szykując się do operacji.

Historia, która zdarza się każdego dnia, uznał Reacher. Albo każdej nocy. Za dużo piw, za dużo maryśki albo za dużo jednego i drugiego, a potem ciemna kręta droga, za szybko wzięty zakręt, wdepnięty w panice hamulec, zablokowane tylne koła, być może oblodzony kawałek asfaltu, poślizg i lądowanie w rowie. A później gramolenie się na zewnątrz, zjazd w dół po karoserii, dzwonienie z komórki i czekanie na życzliwych przyjaciół.

Nic szczególnego, jakkolwiek na to spojrzeć. Praktycznie rutyna. Mimo geometrycznych trudności miejscowi zachowywali się, jakby wiedzieli, co robią. Może robili to już wcześniej, niewykluczone, że wiele razy. Reacher i Turner musieli tylko poczekać pięć minut. Może dziesięć. I na tym koniec.

Ale nagle okazało się, że to nie koniec.

Oszołomiony facet na poboczu zdał sobie powoli sprawę, że pojawiły się nowe światła. Mrużąc oczy, spojrzał na drogę, i odwrócił od nich wzrok.

A potem spojrzał jeszcze raz.

Dźwignął się na nogi i dał krok w ich stronę.

– To bryka Billy'ego Boba – powiedział.

Dał kolejny krok, a potem jeszcze jeden, zmierzył groźnym wzrokiem Turner i Reachera, tupnął w ziemię i machnął ręką, jakby przeganiał olbrzymią chmurę owadów.

– Co wy w niej robicie?! – ryknął.

Co zabrzmiało jak „Cywy nym orbicie", może wskutek braków w uzębieniu, może pod wpływem wypitej gorzały, może w wyniku

oszołomienia albo wszystkich tych powodów jednocześnie. Reacher nie miał pewności. Chwilę później facet, który miał kierować całą operacją, również się nimi zainteresował, a facet, który siedział w szoferce, wysiadł i wszyscy trzej sformowali nierówny krąg mniej więcej trzy metry przed przednim zderzakiem corvette. Wszyscy byli żylaści i ogorzali. Wszyscy w niebieskich dżinsach, wysokich butach i roboczych flanelowych koszulach włożonych na nieokreślonego koloru bluzy. Wszyscy mieli na głowach wełniane czapki. Skołowany facet miał może metr siedemdziesiąt wzrostu, facet kierujący operacją może metr siedemdziesiąt pięć, a kierowca półtonówki metr osiemdziesiąt pięć. Niczym rozmiary S, M i L w katalogu wiejskiej odzieży. Przeznaczonym dla niezbyt zamożnej klienteli.

– Przejedź ich – syknął Reacher.

Turner nie posłuchała go.

– To bryka Billy'ego Boba – powiedział kierowca półtonówki.

– Właśnie to powiedziałem! – ryknął ten skołowany.

„Waśnie to owdziałem".

Naprawdę głośno.

Może podczas wypadku uszkodził sobie słuch.

– Dlaczego jeździcie samochodem Billy'ego Boba? – chciał wiedzieć facet z półtonówki.

– To mój samochód – odparł Reacher.

– Nieprawda. Poznaję tablice rejestracyjne.

Reacher rozpiął pasy.

Turner rozpięła swoje.

– Dlaczego tak się przejmujecie, kto jeździ samochodem Billy'ego Boba? – zapytał Reacher.

– Bo Billy Bob jest naszym kuzynem – odparł facet.

– Naprawdę?

– Żebyś wiedział. Claughtonowie mieszkają w hrabstwie Hampshire od dobrych trzystu lat.

– Macie ciemne garnitury?

– Bo co?

– Bo niedługo wybierzecie się na pogrzeb. Billy Bob nie potrzebuje już samochodu. Dziś w nocy spłonęło jego laboratorium. Nie zdążył z niego wybiec. Przejeżdżaliśmy akurat obok. Nie mogliśmy mu pomóc.

Trzej faceci przez chwilę milczeli. Podreptali w miejscu, wzruszyli ramionami, potem znów podreptali i splunęli na jezdnię.

– Nie mogliście mu pomóc, ale ukradliście jego samochód? – zainteresował się facet z półtonówki.

– Potraktujcie to jako ekspropriację.

– Zanim jeszcze ostygł?

– Nie mogliśmy czekać tak długo. Hajcowało się jak wszyscy diabli. Minie dzień albo dwa, nim ostygnie.

– Jak się nazywasz, dupku?

– Reacher – odparł Reacher. – Reacherowie przebywają w hrabstwie Hampshire od dobrych pięciu minut.

– Robisz sobie jaja?

– Nie muszę. Sam się o to prosisz.

– Może to wy podpaliliście laboratorium?

– Nie podpaliliśmy. Stary Billy Bob wybrał sobie po prostu niebezpieczny proceder. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. To samo dotyczy samochodu. Kradzione nie tuczy.

– Nie możecie go zatrzymać. Należy do nas.

Reacher otworzył drzwi corvette, wystawił stopy na zewnątrz i szybko wysiadł, w ciągu sekundy podnosząc się z wysokości dwudziestu centymetrów nad jezdnią do metra dziewięćdziesięciu pięciu. Obszedł otwarte drzwi i stanął w samym środku półokręgu, który sformowali trzej faceci.

– Nie traćmy czasu na dyskusję o prawach spadkowych – powiedział.

– A co z jego pieniędzmi? – zapytał facet z półtonówki.

– W oczach prawa posiadanie to trzy czwarte sukcesu – powiedział Reacher, powtarzając maksymę Espina z pokoju przesłuchań w Fort Dyer.

– Zabraliście też jego pieniądze?

– Tyle, ile zdołaliśmy znaleźć.

W tym momencie skołowany facet skoczył do przodu i zamachnął się gwałtownie prawą pięścią. Reacher odchylił się do tyłu i pięść śmignęła przed jego nosem, nie wyrządzając żadnej krzywdy. A potem Reacher machnął prawą ręką w tył i w przód, jakby odganiał kolejne niewidzialne owady, i kiedy skołowany facet przyglądał się tej pantomimie, trzepnął go w głowę otwartą lewą dłonią, tuż pod ściągaczem czapki, niczym staroświecki policjant udzielający reprymendy łobuzowi z sąsiedztwa. Tylko trzepnął, nic więcej, lecz mimo to facet padł, jakby ktoś odstrzelił mu głowę z wysokokalibrowej strzelby, i legł bez ruchu na jezdni.

– Taki z ciebie chojrak? – zapytał facet z półtonówki.

– Bijesz najmniejszego?

– Wcale nie chciałem go bić – odparł Reacher. – To on próbował mnie uderzyć. Zamierzasz popełnić ten sam błąd?

– To może nie być błąd.

– To będzie błąd. – Reacher spojrzał na stojącego pionowo pick-upa. – Kurczę, ta bryka zaraz się przewróci – stwierdził.

Facet nie odwrócił się. Nie obejrzał. Oczy miał utkwione w Reacherze.

– Cwany jesteś – mruknął. – Ale ja nie urodziłem się wczoraj.

– Nie żartuję, kretynie – odparł Reacher. I rzeczywiście nie żartował. Może półtonówka miała luźne sprzęgło. Może przesunęła się dziesięć centymetrów do przodu, kiedy facet wyłączył silnik. Tak czy inaczej łańcuch był teraz o wiele bardziej naprężony. Sztywny jak struna. Praktycznie brzęczał. A stojący pionowo pick-up kołysał się i brakowało zaledwie kilku centymetrów, by runął na bok jak drzewo. Mógł go przewrócić byle powiew wiatru.

I w tym momencie wiatr powiał.

Gałęzie rosnących w pobliżu drzew westchnęły i lekko się poruszyły, tylko raz, nie więcej, i nagle tylna klapa stojącego pionowo pick-upa zachrobotała, szorując po uwięzionych pod spodem kamykach. Łańcuch obluzował się i pick-up zaczął się przechylać do przodu, naj-

pierw prawie niedostrzegalnie, milimetr po milimetrze, a potem, dotarłszy do punktu, z którego nie ma powrotu, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu, niczym olbrzymi młot, walnął w skrzynię półtonówki. Żelazny blok jego silnika wbił się w podłogę z blachy falistej, łamiąc znajdującą się pod nią oś. Koła półtonówki rozjechały się niczym koślawe kolana albo szczenięce łapy, a koła mniejszego pick-upa wygięły się w drugą stronę na połamanych drążkach kierowniczych. Łańcuch zagrzechotał o ziemię i mniejsza półciężarówka spoczęła na większej, obie wyczerpane, nieruchome i spokojne.

– Wygląda, jakby uprawiały ze sobą seks – zauważył Reacher. – Prawda?

Nikt nie odpowiedział. Mały facet nadal leżał na ziemi, a pozostali dwaj mieli zupełnie nowy problem. Żaden z pojazdów nie miał stąd szybko odjechać, nie bez dużego dźwigu i lawety. Reacher wsiadł do corvette. Wraki tarasowały całą jezdnię, od rowu do rowu, i Turner nie miała innego wyjścia, musiała zawrócić. Wyminęła dwie płonące flary i ruszyła tą samą drogą, którą przyjechali.

30

– Ci faceci zakablują nas, kiedy tylko dowiedzą się, że jesteśmy ścigani – stwierdziła. – Natychmiast złapią za telefon i zaczną dzwonić do swoich kuratorów sądowych. Będą się starali ubić z nimi najprzeróżniejsze interesy. Będą nas używali jako karty przetargowej przy swoich dziesięciu następnych wykroczeniach.

Reacher pokiwał głową. Droga nie mogła być zablokowana bez końca. Wcześniej czy później wypadek zgłosi ktoś inny, albo zrobią to sami kuzynowie Claughtona, wyczerpawszy wszystkie inne możliwości. I wkrótce pojawią się gliniarze, a ich nieuniknione pytania doprowadzą do zwalenia winy na innych, targowania się, obietnic i wzajemnej wymiany usług.

– Skręć w następną drogę na południe – powiedział. – Nie mamy innego wyjścia.

– Nadal świetnie się bawisz?

– Jak nigdy.

Skręcili z powrotem w dwupasmówkę, z której zjechali dwadzieścia minut wcześniej. Była kompletnie pusta. Lasy po lewej, lasy po prawej, nic z przodu i nic z tyłu. Przejechali mostem przez Potomac, który w tym miejscu był wąski, nie rzucał się w oczy i płynął na północ, dopiero później skręcał na wschód i zmieniał się w toczącą leniwie wody szeroką rzekę, jaką jest przy ujściu. Na drodze nie było żadnego ruchu. Nic nie jechało w ich stronę, nic z naprzeciwka. Żadnych świateł i dźwięków

oprócz tych, jakie wydawali oni.

– Gdyby to był film, dokładnie w tym momencie kowboj podrapałby się po policzku i powiedział: „Coś tu za spokojnie" – odezwał się Reacher.

– To wcale nie jest zabawne – prychnęła Turner. – Mogli zamknąć tę drogę. Za następnym zakrętem może stać policja stanowa.

Ale nie stała. Za następnym też nie i tak samo za kolejnym. Jednak zakręty wcale się nie kończyły. Wyłaniały się przed nimi niczym znaki zapytania.

– Skąd wiedzieli, jak żyjesz? – zapytała Turner.

– Kto?

– Ludzie na wysokich szczeblach władzy.

– To bardzo dobre pytanie.

– Wiedzą, jak żyjesz?

„Wcześniej nie mogli cię znaleźć. Teraz też cię nie znajdą. Wojsko nie korzysta z usług łowców ludzi. A żaden łowca i tak nie trafi na twój ślad".

– Najwyraźniej wiedzą, że nie kupiłem miłego domku na przedmieściach. Wiedzą, że nie trenuję dzieciaków w Małej Lidze i nie uprawiam warzyw. Wiedzą, że nie zrobiłem drugiej kariery.

– Ale skąd?

– Nie mam pojęcia.

– Przeczytałam twoje akta. Było tam o tobie dużo dobrego.

– I dużo złego.

– Ale może te złe rzeczy też są dobre? Mogą być dla kogoś interesujące. Jeśli chodzi o osobowość. Obserwowali cię od szóstego roku życia. Przejawiałeś unikalne cechy.

– Nie takie znów unikalne.

– No to rzadkie. Chodzi mi o agresywną reakcję na zagrożenie.

Reacher pokiwał głową. W wieku sześciu lat poszedł na film w bazie piechoty morskiej gdzieś na Pacyfiku. To był popołudniowy seans dla dzieci. Wyświetlano jakąś tandetną ramotę science fiction. Nagle z mulistej laguny wynurzył się potwór. Młodocianą widownię filmowano po-

tajemnie kamerą o wysokiej światłoczułości. Wszystko odbywało się w ramach eksperymentu psychologicznego. Kiedy pojawił się potwór, większość dzieciaków cofnęła się przerażona. Ale nie Reacher. On skoczył w stronę ekranu, gotowy do walki, z wyciągniętą sprężynówką. Stwierdzono, że czas jego reakcji wynosił trzy czwarte sekundy.

U sześciolatka.

Zabrano mu nóż.

Czuł się potem jak psychopata.

– Dobrze sobie radziłeś w West Point – dodała Turner.

– I masz imponujący przebieg służby.

– Jeśli popatrzeć na to przez palce. Pamiętam dużo awantur i krzyków. Wiele razy byłem wzywany na dywanik.

– Ale może te złe rzeczy są dobre? Z określonej perspektywy. Przypuśćmy, że istnieje jakaś komórka, być może w Pentagonie. Przypuśćmy, że ktoś zajmuje się wyszukiwaniem pewnego typu osób, które mogą się okazać przydatne w przyszłości, w pewnych szczególnych okolicznościach. Coś w rodzaju długofalowego planowania na rzecz nowej, supertajnej jednostki. Planowania, którego można łatwo się wyprzeć. W którym chodzi o tworzenie listy nadających się kandydatów.

– Teraz mam wrażenie, jakbyś to ty naoglądała się filmów.

– W filmach nie dzieje się nic, co nie działoby się w realnym świecie. Tego jednego się nauczyłam. Nikt by nie wymyślił takich rzeczy.

– To są spekulacje – uciął Reacher.

– Uważasz, że nie dałoby się stworzyć bazy danych, w której jest sto, dwieście albo tysiąc nazwisk ludzi, których wojskowi chcą śledzić, po prostu na wszelki wypadek?

– Chybaby się dało.

– To musiałaby być bardzo tajna baza danych. Z wielu oczywistych przyczyn. Co oznacza, że jeśli ci faceci ją widzieli i dzięki temu wiedzą, jak żyjesz, to nie są jakimiś tam ludźmi z wysokich szczebli władzy. To są ludzie z bardzo wysokich szczebli władzy. Sam to powiedziałeś. Mają dostęp do akt dowolnej tajnej służby.

– To są spekulacje – powtórzył Reacher.

– Ale logiczne.

– Niewykluczone.

– Ludzie z bardzo wysokich szczebli władzy – powtórzyła Turner.

Reacher pokiwał głową. Jak rzut monetą. Pół na pół. Albo prawda, albo nie.

• • •

Następne skrzyżowanie było z drogą numer dwieście dwadzieścia, nieco szerszą, bardziej równą, prostą i generalnie pod każdym względem ważniejszą niż ta, którą jechali. Czuło się, że to główna arteria. Może niezupełnie autostrada, ale w porównaniu z ich drogą coś zupełnie innego.

– Nie – powiedziała Turner.

– Zgadzam się – odparł Reacher.

Przy tej drodze na pewno była benzyna i kawa, restauracje i motele, ale mogła tam być również policja, miejscowa lub stanowa. A nawet federalna. Ponieważ była to droga, którą dobrze widać na mapie. Reacher wyobraził sobie zwołaną gdzieś w pośpiechu konferencję, niecierpliwe palce dźgające papier, ponaglające głosy mówiące: „Blokady drogowe tutaj, tutaj i tutaj".

– Skręcimy na następnym skrzyżowaniu – zdecydował.

Co oznaczało kolejnych siedem minut stresu. Droga nadal była pusta. Lasy po lewej, lasy po prawej, nic z przodu i nic z tyłu. Żadnych świateł, żadnych dźwięków. Ale nic się nie wydarzyło. I następny skręt był lepszy. Na mapie drogę widać było najwyżej jako szarą kreskę, a może w ogóle jej nie oznaczono. Prowadziła przez góry i była podobna do tej, w którą skręcili wcześniej: wąska, wyboista i kręta, z nierównym poboczem i wąskimi rowami po obu stronach. Skręcili w nią z ulgą i pochłonął ich mrok. Turner weszła w odpowiedni rytm, utrzymując właściwą szybkość i sprawnie pokonując zakręty. Reacher odprężył się i ją obserwował. Siedziała odchylona do tyłu, z wyprostowanymi rękami,

zaciskając palce na kierownicy, wyczulona na najdrobniejsze drgnienia, które przekazywała droga. Włosy miała założone za uszy i widział napinające się smukłe mięśnie jej uda, kiedy naciskała najpierw jeden, a potem drugi pedał.

– Ile pieniędzy zarabiał Big Dog? – zapytała.

– Dużo – odparł Reacher. – Ale nie aż tak dużo, żeby wrobić cię, wyrzucając w błoto sto patoli, jeśli to ci chodzi po głowie.

– Ale był ostatnim ogniwem łańcucha. Nie był w tym wszystkim najważniejszy. Nie był hurtownikiem. I trafiała do niego tylko mała część zysków. Poza tym to było szesnaście lat temu. Sytuacja się zmieniła.

– Myślisz, że chodzi o kradzież uzbrojenia?

– Niewykluczone. Wtedy wycofywaliśmy się po Pustynnej Burzy, teraz wycofujemy się z Afganistanu. Podobne okoliczności. Podobna okazja, żeby zarobić. Ale inny towar. Co sprzedawał Big Dog?

– Kiedy się o nim dowiedzieliśmy, miał do zbycia jedenaście skrzyń SAW.

– Na ulicach LA? To straszne.

– To był problem policji Los Angeles, nie mój. Ja chciałem tylko poznać nazwisko.

– Można sprzedawać SAW talibom – stwierdziła Turner.

– Ale za ile?

– No więc drony. Albo pociski ziemia–powietrze. Bardzo cenione uzbrojenie. Albo MOAB[2]. Mieliście coś takiego za waszych czasów?

– Mówisz tak, jakbyśmy walczyli za pomocą łuków i strzał.

– Więc jej nie mieliście.

– Nie, ale wiem, co to takiego. Bomba paliwowo-powietrzna. Matka wszystkich bomb.

– Paliwowo-powietrzna bomba wielkiego kalibru potężniejsza od wszystkiego z wyjątkiem broni nuklearnej. Na Bliskim Wschodzie znajdziesz wielu chętnych do jej kupna. Nie ma co do tego wątpliwości. I ci

[2] MOAB – Massive Ordnance Air Bomb lub Mother of All Bombs.

kontrahenci mają masę forsy. Co do tego też nie ma wątpliwości.

– Ta bomba ma dziesięć metrów długości. Nie schowasz jej raczej za pazuchą.

– Zdarzały się dziwniejsze rzeczy – stwierdziła Turner i przez cały następny kilometr milczała.

– Co jest? – zapytał Reacher.

– Może to element polityki rządu? Może zbroimy jedną frakcję przeciwko drugiej? Stale robimy takie rzeczy – zastanawiała się Turner.

Reacher nie odpowiedział.

– Nie podzielasz mojego zdania? – zapytała.

– Nie widzę, po co mieliby tak kombinować. Rząd może robić, co chce, więc dlaczego mieliby cię wrabiać, wydając sto tysięcy dolców? Dlaczego po prostu nie zniknęłaś? Dlaczego ja nie zniknąłem? I Moorcroft? Dlaczego nie siedzimy w Guantanamo? Albo nie jesteśmy martwi? I dlaczego faceci, którzy przyjechali pierwszej nocy do motelu, okazali się takimi dupkami? To nie była rządowa ekipa od mokrej roboty. Nawet się nie spociłem. I dlaczego w ogóle zaszło to tak daleko? Mogli cię powstrzymać w inny sposób. Mogli ci kazać wycofać stamtąd Weeksa i Edwardsa. Mogli ci kazać przestać się zajmować tą sprawą.

– Ale to wzbudziłoby oczywiście moje podejrzenia. I postawiłoby całą operację w świetle jupiterów. To ryzyko, którego nie chcieli podejmować.

– W takim razie znaleźliby jakiś lepszy sposób. Wydaliby na przykład rozkaz strategicznego odwrotu z terytorium całego kraju do Zielonej Strefy. Z jakiegoś wydumanego politycznego powodu. Żeby respektować suwerenność Afganistanu czy coś w tym stylu. To byłoby pieprzone tsunami. Objęłoby twoich ludzi razem z całą resztą i w ogóle nie poświęciłabyś temu uwagi. Uznałabyś to za jedną z tych rzeczy, które stale się zdarzają. „Ten sam syf co zawsze".

– Więc nie jesteś przekonany?

– To wszystko pachnie mi amatorszczyzną – powiedział Reacher. – Dokładni, skryci, trochę nieśmiali ludzie, którzy trochę się teraz pogubili i dlatego szukają wsparcia u raczej przeciętnych zbirów, którzy mają

ich ochraniać. Co oznacza dla nas jeden mały problem i jedną dużą korzyść. Mały problem polega na tym, że ci czterej faceci wiedzą, że muszą nas dopaść pierwsi, zanim zrobi to żandarmeria wojskowa albo FBI. Bo technicznie rzecz biorąc, tkwimy teraz po same uszy w gównie, mając na sumieniu ucieczkę z więzienia i tak dalej, więc można się spodziewać, że powiemy wszystko, żeby poprawić jakoś swoją sytuację. I nawet jeśli nikt nam nie uwierzy, to, co powiemy, zostanie w aktach jako pewna możliwość albo plotka, a ci goście nie mogą sobie pozwolić na żadną dodatkową kontrolę, nawet jeśli zostanie odfajkowana byle jak i zgodnie z procedurą. Więc na tym polega nasz mały problem. Ci czterej będą nam ostro deptali po piętach. To mamy jak w banku.

– A na czym polega duża korzyść?

– Na tym samym – odparł Reacher. – Bez tych czterech facetów ich szefowie będą poważnie osłabieni. Nie będą mieli żadnej możliwości manewru. Będą bezbronni i odizolowani. A my dobierzemy się im do skóry.

– Więc taki mamy plan? – prychnęła Turner. – Mamy dać się odnaleźć tym czterem facetom, spuścić im lanie, a potem poszukać ich szefów?

– Z tą różnicą, że nie spuścimy im lania – sprostował Reacher. – Zrobimy z nimi to, co oni mają zamiar zrobić z nami.

– To znaczy?

– Wyeliminujemy ich z gry. I usłyszymy, jak ich osamotnieni szefowie wyją do księżyca. Wtedy damy im odczuć, jak bardzo nierozsądnie jest zadzierać ze sto dziesiątą.

31

Po jakimś czasie przekroczyli granicę hrabstwa Grant. Górska droga nadal była pusta i kręta, kilometr po kilometrze. Strzałka szybkościomierza podnosiła się czasami do stu kilometrów na godzinę, czasami opadała do osiemdziesięciu, ale wskaźnik paliwa przesuwał się tylko w jedną stronę, i to szybko. A potem zobaczyli drogowskaz informujący, że za trzydzieści kilometrów jest lotnisko hrabstwa Grant oraz miasto o nazwie Petersburg.

– Miejscowość z własnym lotniskiem musi mieć stację benzynową, prawda? – odezwała się Turner. – I motel. A miejscowość z lotniskiem, stacją benzynową i motelem musi mieć restaurację.

– I posterunek policji – dodał Reacher.

– Miej nadzieję na najlepsze.

– Zawsze tak robię.

• • •

Wjechali do miasta jeszcze przed lotniskiem. Większość mieszkańców spała. Ale nie wszyscy. Reacher i Turner zjechali ze wzgórz i ich droga połączyła się z drogą stanową, która sto metrów dalej zmieniła się w North Main Street, zabudowaną po obu stronach. W środku miasteczka było skrzyżowanie z drogą numer dwieście dwadzieścia, której nie

wybrali wcześniej. Za skrzyżowaniem North Main Street zmieniała się w South Main Street. Lotnisko leżało nieopodal, na zachód od miasta. Na ulicach nie było ruchu, ale w niektórych oknach paliły się światła.

Turner skręciła na południe i przejechała ponownie przez wąski Potomac, a potem skręciła w prawo, w kierunku lotniska, które obsługiwało tylko małe samoloty i było zamknięte i pogrążone w mroku. Zawróciła więc o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyła z powrotem przez rzekę w stronę skrzyżowania.

– Skręć w prawo w dwieściedwudziestkę – powiedział Reacher. – Założę się, że tam będzie to, czego szukamy.

Na wschód od skrzyżowania dwieściedwudziestka nosiła nazwę Virginia Avenue i przez pierwsze dwieście metrów wydawało się, że są bliscy celu. Minęli zamknięty bar kanapkowy i pizzerię, również zamkniętą. Minęli opuszczoną stację benzynową Chevronu i dwa fastfoody, oba zamknięte w nocy. A także zabity deskami i popadający w ruinę zajazd, z parkingiem zarośniętym chwastami.

– Na razie nie znaleźliśmy tego, czego szukamy – stwierdziła Turner.

– Wolny rynek – odparł Reacher. – Ktoś wygryzł tę stację z interesu. I ten motel. Pozostaje nam tylko odkryć kto.

Przejechali kolejną przecznicę, a potem następną, minęli granicę miejscowości i na tańszym gruncie za miastem zobaczyli idealną triadę. Najpierw po lewej stronie drogi otwartą przez całą noc kafejkę z szerokim żwirowanym parkingiem, na którym stały trzy ciężarówki. Sto metrów dalej po prawej był motel, mieszczący się w nowoczesnym dwukondygnacyjnym budynku stojącym na skraju pola. A daleko za motelem widać było czerwony blask stacji Exxon.

Znakomicie. Tyle że pomiędzy kafejką i motelem znajdował się posterunek policji stanowej.

Mieścił się w zbudowanym z klinkieru długim niskim budynku z różnymi antenami. Od frontu stały zaparkowane dwa radiowozy i w dwóch oknach paliło się światło. Dyspozytor i sierżant, domyślił się Reacher, dyżurujący w ciepłych, komfortowych warunkach.

– Czy wiedzą już o tym samochodzie? – zastanawiała się Turner.

– Albo czy dowiedzą się o nim, zanim obudzimy się rano? – odpowiedział pytaniem Reacher.

– Musimy przynajmniej zatankować.

– Dobrze, zróbmy to. Spróbujemy zorientować się w sytuacji.

Turner ruszyła zatem dalej, tak dyskretnie, jak można w czerwonym kabriolecie o mocy sześciuset koni mechanicznych, i zajechała na stację Exxon, w której były dwie wysepki, cztery dystrybutory i kasa. Ta ostatnia, ze ścianami ze świeżych białych desek, wyglądała jak mały domek, ale na jej dachu także sterczały anteny.

Turner zaparkowała przy dystrybutorze, a Reacher przeczytał instrukcję, z której wynikało, że jeśli nie używa karty kredytowej, musi zapłacić za paliwo z góry.

– Ile tu wejdzie galonów? – zapytał.

– Nie wiem, jak duży jest bak – odparła Turner.

– Pewnie dość duży.

– W takim razie piętnaście.

Co przy wywieszonej cenie powinno kosztować pięćdziesiąt dziewięć dolarów i osiemdziesiąt pięć centów. Reacher wyłuskał trzy dwudziestki z jednego z plików Billy'ego Boba i ruszył do kasy. W środku, za kuloodporną szybą siedziała mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Na wysokości lady w szybie był półkolisty otwór do podawania pieniędzy. Płynęły stamtąd słodkie nosowe melodie z nastawionego na muzykę country radia, a także rozmowy i trzaski z nastawionego na kanał awaryjny policyjnego skanera.

Reacher wsunął pieniądze pod szybą i kobieta zrobiła coś, co, jak się domyślał, pozwoliło im nalać benzyny za sześćdziesiąt dolców i ani kropli więcej. Skończyła się jedna piosenka country i zaczęła następna. W przerwie między jedną i drugą słyszał tylko stłumiony szum płynący z kanału awaryjnego. Zerknął na skaner.

– Dzieje się coś tej nocy? – zagadnął, robiąc minę znużonego podróżnego.

– Na razie spokój – odparła kobieta.

Reacher zerknął w drugą stronę, na radio.

– Nie wystarczy muzyka country?

– Mój brat ma lawetę pomocy drogowej. A w tej branży grunt to być pierwszym na miejscu zdarzenia. Daje mi dziesięć dolców za każdy zgłoszony wypadek.

– Więc dzisiaj nikt się nie rozkraczył?

– Nikt.

– Żadnych emocji?

– Macie fajny wóz – zauważyła kobieta.

– Dlaczego pani tak mówi?

– Bo zawsze chciałam mieć corvette.

– Słyszała pani coś o nas przez skaner?

– Przekroczyliście szybkość?

– Trudno nie przekroczyć.

– W takim razie mieliście szczęście. Uszło wam to na sucho.

– I niech tak zostanie – odparł Reacher, po czym posłał jej coś w rodzaju konspiracyjnego uśmiechu i wrócił do samochodu. Turner już tankowała. Włożyła dyszę pompy do otworu wlewu paliwa i stała odwrócona do niego bokiem, opierając się udem o samochód i trzymając stopę na krawężniku wysepki. Ręce trzymała za sobą i wygięła plecy, jakby starała się złagodzić ból. Twarz miała zwróconą w stronę nocnego nieba. Reacher wyobraził sobie jej ciało wygięte w smukłą literę S pod wielką koszulą.

Zdecydowanie warto było czekać.

– Kasjerka słucha policyjnego skanera – powiedział. – Na razie nic o nas nie było.

– Zapytałeś ją. Teraz na pewno nas zapamięta.

– I tak by zapamiętała. Zawsze chciała mieć corvette.

– Powinniśmy się z nią zamienić. Wziąć w zamian to, czym jeździ.

– Wtedy zapamiętałaby nas do końca życia.

– Może te ćwoki nie zawiadomiły policji. Może ich pick-upy też były kradzione. Może ukryli się w lasach.

– Możliwe – odparł Reacher. – Nie bardzo rozumiem, dlaczego mie-

liby z tym tak długo zwlekać.

– Moglibyśmy zaparkować za motelem. Nie na widoku. Moim zdaniem powinniśmy zaryzykować. Naprawdę musimy coś zjeść i się przespać.

Pompa wyłączyła się po wlaniu niecałych dwunastu galonów. Albo bak był mniejszy, niż myśleli, albo wskaźnik okazał się pesymistyczny.

– Teraz będzie wiedziała, że to nie nasz samochód – powiedziała Turner. – Nie wiemy, ile wchodzi do niego benzyny.

– Wyda nam resztę?

– Może powinniśmy jej zostawić.

– Chodzi o dwanaście dolców. Jesteśmy w Wirginii Zachodniej. Zachowalibyśmy się bardzo nietypowo.

– Powiedz jej, że jedziemy na południe drogą numer dwieście dwadzieścia. I że mamy jeszcze sporo do przejechania przed brzaskiem. Kiedy usłyszy o nas przez skaner, poda im mylne informacje.

Reacher odebrał dwanaście dolarów i pięćdziesiąt dwa centy reszty i bąknął, że przed świtem będą próbowali dotrzeć do międzystanowej sześćdziesiątkiczwórki. Radio nadal grało, policyjny skaner milczał. Kobieta wyjrzała przez okienko i uśmiechnęła się ze smutkiem, jakby zdawała sobie sprawę, że nieprędko znowu zobaczy corvette.

Turner zabrała Reachera spod kasy, po czym ruszyli w stronę miasta i zatrzymali się trzysta metrów dalej, przy motelu.

– Najpierw się zameldujemy, a potem coś zjemy? – spytała.

– Jasne – odparł Reacher.

Przez chwilę milczała, po czym spojrzała mu w oczy.

– Ile bierzemy pokojów?

On też przez chwilę milczał.

– Najpierw coś zjedzmy. Potem się zameldujemy.

– Dlaczego?

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

– Co takiego?

„Samantha Dayton".

„Sam".

„Czternastolatka”.
– Powiem ci, kiedy już zamówimy – odparł. – To długa historia.

32

Kafejka była wiejską knajpą, dokładnie taką, jakich wiele już Reacher widział w życiu. Był tam czarny facet w białym podkoszulku, który stał przy posmarowanej smalcem, szerokiej na sześćdziesiąt centymetrów i długiej na metr dwadzieścia blasze do pieczenia. Były poobijane sosnowe stoliki i niedopasowane krzesła. W powietrzu unosił się zapach starego tłuszczu i świeżej kawy. Dwaj biali dziadkowie w bejsbolówkach siedzieli jeden daleko po prawej stronie drzwi, drugi daleko po lewej. Może się nie lubili. Może byli ofiarami ciągnącego się od trzystu lat zatargu.

Turner wybrała stolik pośrodku sali. Wysunęli z hurgotem krzesła i usiedli. Nie było menu. Ani tablicy z wypisanymi kredą daniami dnia. To nie był tego rodzaju lokal. Zamawianie odbywało się najwyraźniej telepatycznie między kucharzem i jego stałymi gośćmi. W przypadku nowych gości trzeba było zapytać na głos, w prosty i niewyszukany sposób. Co kucharz potwierdził, unosząc podbródek i przekręcając lekko głowę, tak że zobaczyli jego prawe ucho.

– Omlet – powiedziała Turner. – Z grzybami, dymką i serem cheddar.

Żadnej reakcji ze strony kucharza.

Nic.

Turner powtórzyła zamówienie trochę głośniej.

Nadal zero reakcji. Żadnego gestu. Po prostu totalny bezruch, unie-

siony podbródek, odwrócony wzrok oraz pełne godności i nieprzejednane milczenie, jak u doświadczonego sprzedawcy urażonego kontrofertą. Turner zerknęła na Reachera.

– Co jest nie tak z tą knajpą? – szepnęła.

– Jesteś detektywem – odparł. – Widzisz tu gdzieś patelnię, na której można usmażyć omlet?

– Nie, chyba nie. Widzę tylko blachę do pieczenia.

– Więc prawdopodobnie najlepszym sposobem, żeby wykrzesać entuzjazm z tego faceta, jest zamówienie czegoś, co można upiec na blasze.

Turner przez chwilę milczała.

– Dwa lekko wysmażone jajka na grzance, z bekonem osobno – powiedziała.

– Tak jest, proszę pani – odparł kucharz.

– Dla mnie to samo – powiedział Reacher. – I kawę.

– Tak jest, proszę pana – mruknął facet i natychmiast odwrócił się i zabrał do pracy, biorąc nowy blok smalcu i łopatkę, polerując metalową powierzchnię i ją wygładzając, sześćdziesiąt centymetrów wszerz i sto dwadzieścia od lewej do prawej. Co oznaczało, że w głębi duszy jest mistrzem blachy. Z doświadczenia Reachera wynikało, że tacy ludzie są albo mistrzami blachy, albo właścicielami, nigdy jednym i drugim. Pierwszym impulsem mistrza blachy jest zadbanie o metal, wypolerowanie go do poziomu molekularnego, wygładzenie do tego stopnia, że teflon będzie przy nim wyglądał jak papier ścierny. Natomiast pierwszym impulsem właściciela będzie podanie kawy. Ponieważ pierwsza filiżanka kawy oznacza zawarcie kontraktu. Klient nie jest do niczego zobowiązany, dopóki czegoś nie skonsumuje. Zawsze może wstać i wyjść, jeśli zniecierpliwi się długim czekaniem albo przypomni sobie o pilnym spotkaniu. Nie zrobi tego jednak, jeśli zaczął pić pierwszą filiżankę kawy. Ponieważ w takim przypadku będzie musiał zapłacić, a kto wie, ile kosztuje kawa do posiłku? Pięćdziesiąt centów? Dolara? Dwa dolary?

– No dobrze, zamówiliśmy – mruknęła Turner. – Więc co chciałeś mi powiedzieć?

– Zaczekajmy na kawę – poprosił Reacher. – Nie chcę, żeby mi przeszkadzał.

– W takim razie ja mam parę pytań. Chcę na przykład dowiedzieć się czegoś o tym Morganie. Chcę wiedzieć, kto mu oddał moją jednostkę.

– I moją. Zawsze wydawało mi się, że będę najgorszym komendantem w historii, ale okazało się, że nie. Twoi ludzie w Afganistanie dwa razy nie zgłosili się przez radio, a on nie ruszył w tej sprawie palcem.

– Wiemy, skąd jest?

– Nie mamy pojęcia.

– Czy jest jednym z nich?

– Trudno powiedzieć.

– Jednostka potrzebowała tymczasowego komendanta. To, że nim został, nie jest jeszcze dowodem winy.

– Co im daje przywrócenie cię do służby? – zastanawiała się Turner. – Powinni chcieć się ciebie pozbyć, a nie trzymać na smyczy.

– Moim zdaniem to wszystko miało mnie skłonić do ucieczki. Co mogłem zrobić? Mogłem zdezerterować. Bardzo wyraźnie dali mi do zrozumienia, że nikt nie będzie mnie ścigał. Nikogo za mną nie wyślą. Razem z oświadczeniem Big Doga sprawia to wrażenie skoordynowanej akcji. Oskarżenie, którego nie mogłem podważyć, i rozkaz, żebym był do dyspozycji sądu. Większość ludzi w mojej sytuacji dałaby chyba nogę. Wydaje mi się, że strategicznie rzecz biorąc, tego właśnie się po mnie spodziewali. Ale mechanizm nie zadziałał.

– Bo kiedy potwór wynurza się z mułu, musisz z nim walczyć.

– Choć mogło to też wynikać z rozkazu biura śledczego. W moich aktach mogła być adnotacja mówiąca, że jeśli nie będę współpracował, trzeba mnie przygwoździć. Z powodu jakiegoś politycznego nacisku w biurze sekretarza obrony. Z całą pewnością nie była to decyzja Morgana. Podpułkownik nie decyduje o tego rodzaju sprawach. To musiało wyjść z wyższego szczebla.

– Z bardzo wysokiego szczebla władzy.

– Zgoda, ale od kogo dokładnie?

Turner nie odpowiedziała na to pytanie. Mistrz blachy przyniósł im w końcu kawę. Dwa duże fajansowe kubki, różowy plastikowy koszyczek z torebkami cukru i pojemnikami ze śmietanką oraz dwie metalowe łyżeczki tak cienkie, że wydawało się, iż nic nie ważą. Reacher wziął kubek z kawą, powąchał ją i upił łyk. Krawędź kubka była zimna i gruba, ale kawa odpowiednia. Gorąca i wcale nie słaba.

Odstawił kubek na stół, objął go dłońmi, jakby chciał go chronić, i spojrzał Turner prosto w oczy.

– No więc tak… – zaczął.

– Jeszcze jedno – przerwała mu. – I niełatwo będzie mi to przyznać. Przykro mi.

– O co chodzi?

– Nie powinnam była pytać, ile bierzemy pokojów.

– Nie przejąłem się tym.

– Ale ja się przejęłam. Nie wiem, czy jestem gotowa na jeden pokój. Mam poczucie, że jestem ci coś winna. Za to, co dla mnie dzisiaj zrobiłeś. Nie wydaje mi się, żeby w tych okolicznościach był to najlepszy stan ducha. Mówiąc o okolicznościach, mam na myśli jeden pokój.

– Nic mi nie jesteś winna. Moje motywy były czysto egoistyczne. Chciałem cię zaprosić na kolację. Co właśnie teraz robię. W pewnym sensie. Może nie tak, jak planowałem. Ale tak czy inaczej mam to, czego chciałem. Cała reszta to straty uboczne. Więc nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

– Jestem wytrącona z równowagi – wyznała Turner.

– Właśnie cię aresztowano i uciekłaś z aresztu. A teraz jesteś ścigana i kradniesz samochody oraz pieniądze.

– Nie, jestem wytrącona z równowagi z twojego powodu.

– Dlaczego?

– Czuję się przy tobie nieswojo.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina – powiedziała. – Taki po prostu jesteś.

– To znaczy jaki?

– Nie chcę zranić twoich uczuć.

– Nie możesz – zapewnił Reacher. – Jestem wojskowym gliniarzem. I mężczyzną. Nie mam żadnych uczuć.

– Właśnie o to mi chodzi.

– Żartowałem.

– Nie, nie żartowałeś. Nie do końca.

Turner przez dłuższą chwilę milczała.

– Jest w tobie coś feralnego – powiedziała w końcu. Reacher nic na to nie odpowiedział. Feralny, od łacińskiego przymiotnika *ferus*, dziki, jak w *bestia fera*, dzikie zwierzę. Ogólnie rzecz biorąc, oznacza niepoddanie się udomowieniu, powrót do stanu naturalnego.

– Jakbyś został oszlifowany do prostego „tak" lub „nie". To jestem ja, a to są oni. To jest czarne, a to białe. Żyć lub umrzeć. Zastanawiam się, co może tak oszlifować człowieka?

– Życie – odparł Reacher. – W każdym razie moje życie.

– Jesteś niczym drapieżca. Zimny i twardy. Weźmy całą tę sytuację. Wszystko sobie rozrysowałeś. Czterej faceci w samochodzie i ich szefowie. W tym momencie płyniesz w ich stronę i woda zabarwi się krwią. Twoją albo ich, ale się zabarwi.

– Akurat w tym momencie mam nadzieję, że od nich odpływam. Nie wiem nawet, kim są ani gdzie się znajdują.

– Ale się dowiesz. Cały czas się nad tym zastanawiasz. Widzę, jak to robisz. Ciągle próbujesz to rozgryźć, próbujesz złapać trop.

– A co innego mam robić? Kupić nam bilety do Fort Leavenworth?

– Czy to jedyne wyjście?

– A jak myślisz?

Turner upiła pierwszy łyk kawy, powoli i w zamyśleniu.

– Zgadzam się z tobą. I na tym właśnie polega problem. To sprawia, że czuję się nieswojo. Jestem do ciebie podobna. Jeszcze nie do końca. I o to chodzi. Kiedy patrzę na ciebie, to tak, jakbym patrzyła w przyszłość. Jesteś tym, czym stanę się któregoś dnia. Kiedy ja też dam się oszlifować.

– Więc jestem do ciebie zbyt podobny? Większość kobiet mówi nie, bo za bardzo się od nich różnię.

– Przerażasz mnie. A właściwie przeraża mnie perspektywa, że stanę się tobą. Nie wiem, czy jestem na to gotowa. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę.

– Nie musi do tego dojść. To chwilowe zawirowanie. Nadal możesz zrobić karierę.

– Jeśli wygramy.

– Wygramy.

– Więc w najlepszym razie zejdę na chwilę z prostej ścieżki, żeby na nią wrócić. W najgorszym nigdy na nią nie wrócę.

– Nie, w najgorszym razie zginiesz albo cię zapuszkują. Najgorszy raz jest wtedy, gdy wygrywają ci źli.

– Więc według ciebie zawsze się wygrywa albo przegrywa, prawda?

– Jest jakaś trzecia opcja?

– Czy wściekasz się, kiedy przegrywasz?

– Oczywiście.

– To rodzaj paraliżującej arogancji. Normalni ludzie nie wściekają się, kiedy przegrywają.

– Może powinni – odparł Reacher. – Ale tak naprawdę nie jesteś taka jak ja. Patrząc na mnie, nie patrzysz na siebie. Dlatego przejechałem taki szmat drogi. Jesteś lepszą wersją. To właśnie wyczułem przez telefon. Robisz to tak, jak powinno być zrobione.

– Co robię?

– Wszystko. Mówię o twojej pracy. O twoim życiu. O tym, kim jesteś.

– Nie mam takiego poczucia. Nie w tej chwili. I nie uważam się za lepszą wersję. Skoro patrząc na ciebie, nie mogę zobaczyć, co będzie, ty, patrząc na mnie, nie możesz zobaczyć, co być powinno.

W tym momencie podszedł do nich mistrz blachy, tym razem z talerzami, na których były jajka, grzanki i bekon – wszystko wyglądało zachęcająco i wydawało się idealnie usmażone. Jajka miały czyste, chrupiące krawędzie. Najwyraźniej facet dbał o swoją blachę.

– Wszystko to ma jakiekolwiek znaczenie tylko przy założeniu, że masz zdecydowane preferencje co do liczby pokojów – powiedziała

Turner.

– Mam odpowiedzieć szczerze? – zapytał Reacher.

– Oczywiście.

– Mam zdecydowane preferencje.

– Jakie?

– Najpierw musisz wysłuchać tego, co chcę ci opowiedzieć.

– O czym chciałeś mi opowiedzieć?

– O tej innej sprawie, która miała mnie skłonić do ucieczki.

– Czyli?

– O pozwie o ojcostwo – odparł Reacher. – Wygląda na to, że mam córkę w Los Angeles. Z kobietą, której nie pamiętam.

33

Reacher mówił, a Turner jadła. Opowiedział jej o rzeczach, o których go poinformowano. O obozie Red Cloud między Seulem i strefą zdemilitaryzowaną, o Candice Dayton i jej pamiętniku, o jej domu i bezdomności w LA, o jej córce, samochodzie i wizycie u adwokata.

– Jak ma na imię ta mała? – spytała Turner.

– Samantha – odparł Reacher. – W skrócie najpewniej Sam.

– Ile ma lat?

– Czternaście. Prawie piętnaście.

– Jak się z tym czujesz?

– Źle. Jeśli to moja córka, powinienem uczestniczyć w jej życiu.

– Naprawdę nie pamiętasz jej matki?

– Naprawdę.

– To u ciebie normalne?

– Pytasz, co dokładnie jest we mnie feralnego?

– Chyba tak.

– Nie sądzę, żebym zapominał ludzi. Mam nadzieję, że nie zapominam. Zwłaszcza kobiet, z którymi spałem. Ale jeśli ją zapomniałem, z samej definicji nie zdawałbym sobie z tego sprawy. Nie można zdawać sobie sprawy z tego, że się o czymś zapomniało.

– To dlatego jedziemy do Los Angeles?

– Muszę wiedzieć – powiedział Reacher.

– Ale to samobójstwo. Będą tam na ciebie czekali. To jedyne miejsce,

w którym mogą być pewni, że się pojawisz.

– Muszę wiedzieć – powtórzył Reacher.

Turner nie odezwała się.

– Tak czy inaczej, to jest ta historia – podjął Reacher.

– To jest to, co musiałem ci opowiedzieć. Żebyś miała pełną jasność. Na wypadek, gdyby miało to jakieś znaczenie. Na przykład w kwestii pokojów.

Turner nie odpowiedziała.

• • •

Skończyli jeść i dostali rachunek – sumę nagryzmolono pod trzema linijkami tekstu. Ile kosztowała kawa do posiłku? Nikt nie wiedział, bo nikt tego nigdy nie odkrył. Może kawa była za darmo. Może musiała być za darmo, bo łączna suma była niewysoka. Reacher miał w kieszeni trzynaście dolarów i trzydzieści dwa centy, na które składały się osiemdziesiąt centów Sullivan oraz reszta, którą dostał na stacji benzynowej. Zostawił to wszystko na stole, dając tym samym pokaźny napiwek. Facet, który pracował przez całą noc przy gorącej blasze, zasługiwał na to.

Samochód stał tam, gdzie go zostawili, nienaruszony, nieoświetlony przez reflektory i nieotoczony przez antyterrorystów. Na posterunku policji po lewej panował spokój. Dwa radiowozy nadal stały przed głównym wejściem. W oknach nadal paliły się światła.

– Zostajemy czy jedziemy? – zapytała Turner.

– Zostajemy – zdecydował Reacher. – To miejsce jest tak samo dobre jak każde inne. Mimo że sąsiaduje ze stanowymi gliniarzami. Dopóki się to nie skończy, nie znajdziemy niczego lepszego.

– Masz na myśli, dopóki nie wygramy.

– To jedno i to samo.

Usadowili się z powrotem w niskich fotelach corvette, a Turner odpaliła silnik, podjechała pod motel i zatrzymała się przy recepcji.

– Zaczekam tutaj – powiedziała. – Ty to załatw.

– Dobrze – odparł i wziął kilka dwudziestek z oszczędności Billy'ego Boba.

– Dwa pokoje – dodała.

• • •

Nocny recepcjonista drzemał w fotelu, ale obudzenie go nie było trudne. Wystarczyło skrzypienie otwieranych drzwi, a potem grzeczne zabębnienie kłykciami w kontuar. Facet był młody. Może motel prowadziła rodzina. Może to był syn albo siostrzeniec.

– Ma pan dwa pokoje? – spytał Reacher.

Facet, podobnie jak wielu mu podobnych, urządził wielkie przedstawienie, sprawdzając dane na ekranie komputera, co zdaniem Reachera było głupotą. On i jemu podobni nie prowadzili globalnych operacji dla wielkich sieci hotelowych. Pracowali w motelach, których pokoje można policzyć na palcach rąk i nóg. Jeśli zapomnieli, ile z nich jest zajętych, mogli się odwrócić i zerknąć na klucze wiszące na ścianie.

Facet oderwał oczy od ekranu.

– Tak, proszę pana, może pan wynająć dwa pokoje – powiedział.

– Ile to będzie kosztowało?

– Trzydzieści dolarów za pokój. Z kuponem na śniadanie w kafejce po drugiej tronie ulicy.

– Załatwione – odparł Reacher, po czym zamienił trzy dwudziestki Billy'ego Boba na dwa klucze. Pokoje numer jedenaście i dwanaście. Przylegające do siebie. Uprzejmość ze strony młodzieńca. Rano pokojówce będzie łatwiej. Nie będzie musiała daleko pchać ciężkiego wózka. – Dziękuję – powiedział Reacher.

Wrócił do samochodu, a Turner objechała motel i za ostatnim budynkiem znalazła spłachetek nierównej trawiastej ziemi. Wjechała tam, zamknęli dach i samochód, i zostawili go w niewidocznym z ulicy miejscu.

Wrócili do motelu i znaleźli swoje pokoje, które znajdowały się na

pierwszym piętrze. Wchodziło się tam po zewnętrznych betonowych schodach. Reacher dał Turner klucz do pokoju numer jedenaście i zostawił sobie klucz do dwunastki.

– O której godzinie jutro? – zapytała.

– W południe – odparł. – Jeśli chcesz, jutro ja mogę poprowadzić.

– Zobaczymy. Śpij dobrze.

– Ty też.

Zaczekał, aż zamknęła się bezpiecznie, po czym otworzył drzwi do swojego pokoju. Był to betonowy sześcian z cementowo-wapiennym sufitem i winylowymi tapetami na ścianach. Lepszy od tego w motelu półtora kilometra od Rock Creek, lecz tylko trochę. Grzejnik był cichszy, ale i tak było go słychać. Dywan czystszy, lecz niewiele. Podobnie jak narzuta na łóżku. Prysznic wyglądał porządnie, a ręczniki były cienkie, choć nie przezroczyste. Mydło i szampon miały nalepkę z nazwą firmy, która kojarzyła się ze starą bostońską kancelarią prawniczą. Meble były z jasnego drewna, a telewizor nieznanej firmy miał płaski ekran wielkości podręcznej walizki. Nie było telefonu, lodówki z minibarkiem, darmowej butelki wody ani czekoladki na poduszce.

Reacher nastawił CNN i oglądał pasek na dole ekranu, aż przewinęły się wszystkie wiadomości. Nie było wzmianki o dwóch zbiegach z bazy wojskowej w Wirginii. Udał się więc do łazienki, odkręcił prysznic i stał pod nim długo po tym, jak woda spłukała z niego mydło. Bez przerwy wracały do niego fragmenty rozmowy, którą odbyli przy porysowanym stoliku w kafejce. „Jest w tobie coś feralnego, powiedziała Turner. Jesteś niczym drapieżca. Zimny i twardy".

Ostatecznie jednak bardziej wrył mu się w pamięć wcześniejszy fragment rozmowy. Turner zapytała go o Morgana, a on powiedział: „Twoi ludzie w Afganistanie dwa razy nie zgłosili się przez radio, a on nie ruszył w tej sprawie palcem". Powracał do tego zdania wiele razy, powtarzając je w myślach, poruszając wargami, mówiąc je na głos, dzieląc na fragmenty, wyrzucając je z siebie w strumieniu wody, badając dokładnie każdą jego część.

„Twoi ludzie w Afganistanie".

„Dwa razy nie zgłosili się przez radio”.

„A on nie ruszył w tej sprawie palcem”.

W końcu zakręcił wodę, wyszedł spod prysznica i wziął do ręki ręcznik. A potem, nadal mokry, włożył spodnie i podkoszulek, wyszedł na werandę, poczłapał na bosaka do pokoju numer jedenaście i zapukał do drzwi.

34

Musiał poczekać chwilę na chłodzie, ponieważ Turner nie od razu otworzyła. Wiedział jednak, że nie śpi. Przez wizjer widział, że w jej pokoju pali się światło. Potem wizjer na chwilę pociemniał, kiedy zerknęła, żeby sprawdzić, kto puka. I Reacher musiał poczekać trochę dłużej. Domyślał się, że się ubiera. Na pewno też wzięła prysznic.

W końcu drzwi się otworzyły. Turner stała w progu, opierając jedną dłoń na klamce, drugą na framudze, zagradzając mu świadomie, a może nieświadomie, drogę. Odgarnęła z oczu mokre włosy. Miała na sobie wojskowy podkoszulek i nowe robocze spodnie. Była na bosaka.

– Zadzwoniłbym, ale w moim pokoju nie ma telefonu – odezwał się Reacher.

– W moim też. O co chodzi?

– O to, co powiedziałem ci o Morganie. Uświadomiłem sobie właśnie, co to oznacza.

– Co takiego mi powiedziałeś?

– Że twoi ludzie w Afganistanie dwa razy nie zgłosili się przez radio, a on nie ruszył w tej sprawie palcem.

– Ja też się nad tym zastanawiałam. Moim zdaniem to świadczy, że jest jednym z nich. Nic nie zrobił, bo wiedział, że nic nie da się zrobić. Wiedział, że nie żyją. Nie było sensu organizować poszukiwań.

– Mogę wejść? – zapytał Reacher. – Na dworze jest zimno.

Bez odpowiedzi.

– Albo chodźmy do mnie – zaproponował. – Jeśli wolisz.

– Nie, wejdź – powiedziała, po czym zdjęła rękę z framugi i odsunęła się na bok. Reacher wszedł, a ona zamknęła za nim drzwi. Jej pokój był taki sam jak jego. Jego koszula wisiała na oparciu krzesła. Jej buty stały pod krzesłem, schludnie, jeden obok drugiego.

– Myślę, że stać mnie teraz na nowe buty – powiedziała.

– Jeśli chcesz, możesz mieć wszystko nowe – odparł.

– Zgadzasz się ze mną, że to świadczy o tym, że jest jednym z nich?

– To może świadczyć, że jest leniwy i niekompetentny.

– Żaden dowódca nie może być aż tak głupi – stwierdziła Turner.

– Od jak dawna jesteś w wojsku?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– No dobrze, niejeden dowódca może być aż tak głupi.

– Nie wydaje mi się, żeby to, że nic nie zrobił, było najważniejsze – stwierdził Reacher.

Turner usiadła na łóżku. Reacher nadal stał przy oknie. Jej spodnie były luźne, podkoszulek obcisły. Nic pod nim nie miała. To było jasne. Widział żebra i smukłe kształty. Rozmawiając z nią przez telefon w Dakocie Południowej, wyobraził ją sobie jako blondynkę z niebieskimi oczami, pochodzącą być może z północnej Kalifornii, lecz wszystko to okazało się nieprawdą. Była ciemnowłosa, ciemnooka i pochodziła z Montany. Ale miał rację w innych kwestiach.

„Masz metr sześćdziesiąt pięć albo metr siedemdziesiąt wzrostu, zgadywał głośno. Chuda. Cały głos idzie z gardła". Turner roześmiała się. „Chcesz powiedzieć, że jestem płaska?" – zapytała. On też się roześmiał. „Rozmiar najwyżej trzydzieści cztery A", powiedział. „Cholera", zaklęła na to.

Jednak rzeczywistość przerosła jego wyobrażenia. Na żywo to była zupełnie inna jakość.

Zdecydowanie warto było czekać.

– Co było najważniejsze w tym, co powiedział Morgan? – zapytała.

– To, że twoi ludzie dwa razy nie zgłosili się przez radio.

– Dlaczego?

– Twoi ludzie złożyli meldunek w dniu, w którym zostałaś aresztowana, ale nie zgłosili się nazajutrz ani następnego dnia.

– Ja też się nie zgłosiłam, bo mnie przymknęli. Wiesz o tym. To był skoordynowany plan. Odcięli nas z obu stron, tu i tam jednocześnie.

– Ale to nie odbyło się jednocześnie – zauważył Reacher.

– O to właśnie mi chodzi. Afganistan jest dziewięć godzin do przodu w stosunku do Rock Creek. W zimie to praktycznie cały dzień od świtu do nocy. A nikt nie chodzi po zmierzchu kozią ścieżką po Hindukuszu. To byłby zły pomysł z wielu powodów, między innymi dlatego, że można spaść i złamać sobie nogę. Więc twoi ludzie oberwali kulką w głowę w ciągu dnia. Co do tego nie ma wątpliwości. A dzień kończy się tam mniej więcej o osiemnastej miejscowego czasu.

– Rozumiem.

– Osiemnasta w Afganistanie to dziewiąta rano tutaj.

– Rozumiem.

– Ale moja adwokat powiedziała, że otworzyłaś konto na Kajmanach o dziesiątej rano, sto tysięcy wpłynęło na nie o jedenastej, a aresztowali cię w południe.

– Pamiętam tylko to ostatnie.

– Co oznacza, że zanim zaczęto się do ciebie dobierać, twoi ludzie byli co najmniej od godziny martwi. Najprawdopodobniej od wielu godzin. W najlepszym razie od jednej godziny, w najgorszym od ośmiu lub dziewięciu.

– No więc dobrze, to się nie odbyło równocześnie. Nie dwie rzeczy równolegle, ale jedna po drugiej. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Moim zdaniem ma – odparł Reacher. – Ale najpierw musimy się cofnąć o jeden dzień. Wysłałaś Weeksa i Edwardsa w góry i reakcja była natychmiastowa. Cała sprawa skończyła się w południe następnego dnia. Jak udało im się zareagować tak szybko?

– Mieli fart?

– Przypuśćmy, że to było coś innego.

– Uważasz, że mają kreta w sto dziesiątej?

– Wątpię. Nie kiedy się weźmie pod uwagę, jakich mamy ludzi. Za

moich czasów to byłoby niemożliwe i mogę domniemywać, że pod tym względem może być tylko lepiej.

– Więc jak?

– Uważam, że kontrolowali twoją łączność.

– Podsłuch na telefonach w Rock Creek? Nie sądzę, żeby to było możliwe. Mamy systemy kodujące.

– Nie w Rock Creek. Nie ma sensu zakładać podsłuchu na lokalnych odgałęzieniach sieci. Jest ich zbyt wiele – tłumaczył Reacher. – Lepiej skoncentrować się na tym, co jest pośrodku. Tam, gdzie żyje pająk. Moim zdaniem sprawdzają wszystko, co przychodzi i wychodzi z Bagram. Ludzie z bardzo wysokich szczebli władzy, z dostępem do wszystkiego, czego zapragną. Co na tym wcześniejszym etapie oznacza naprawdę wszystko. Przesiewali całą łączność i trafili na pierwszy sygnał, a potem na twoje rozkazy, odpowiedź twoich ludzi. Całą łączność w tę i z powrotem.

– Możliwe – mruknęła Turner.

– I to ma znaczenie.

– Ale tylko jako element tła.

– Nie, nie tylko – nie zgodził się z nią Reacher. – Unieszkodliwili Weeksa i Edwardsa od jednej do dziewięciu godzin wcześniej. Więc dlaczego nie odpuścili i dobrali się do ciebie?

– Wiesz dlaczego. Doszli do wniosku, że wiem coś, czego w rzeczywistości nie wiedziałam.

– Ale oni nie musieli wyciągać żadnych wniosków. Nie musieli zgadywać ani szykować się na najgorsze. Nie musieli tego robić, skoro kontrolowali całą łączność wychodzącą z Bagram i tam przychodzącą. Niepotrzebne były żadne spekulacje. Wiedzieli, co przekazali ci Weeks i Edwards. Mieli to czarno na białym. Wiedzieli, co wiesz, Susan.

– Ale ja nic nie wiedziałam, bo Weeks i Edwards nic mi nie powiedzieli.

– Jeśli tak było, dlaczego nie odpuścili i dobrali ci się do skóry? Po co mieliby to robić? Po co mieliby montować bardzo skomplikowaną i kosztowną operację, skoro nie było żadnego powodu, żeby to robić?

Dlaczego mieliby wyrzucać w błoto sto kafli?

– Więc co sugerujesz?

– Sugeruję, że Weeks i Edwards coś ci powiedzieli. Sugeruję, że coś wiesz. Może nie przywiązywałaś do tego żadnej wagi i może teraz tego nie pamiętasz, ale Weeks i Edwards przekazali ci jakąś ważną informację i w rezultacie ktoś bardzo się zdenerwował.

35

Turner położyła bose stopy na łóżku i oparła się o poduszkę.

– Nie mam sklerozy, Reacher – oświadczyła. – Pamiętam, co mi powiedzieli. Opłacamy pewnego Pasztuna. Nasi ludzie spotkali się z nim, a on poinformował ich, że widziano amerykańskiego oficera, który podążał na północ na spotkanie z członkiem starszyzny. Ale w tamtym momencie na pewno nie była znana tożsamość tego amerykańskiego oficera i na pewno nie był znany cel spotkania.

– Oficer został w jakiś sposób opisany? – zapytał Reacher.

– Nie, wiadomo tylko, że to był Amerykanin.

– Mężczyzna czy kobieta?

– To musiał być mężczyzna. Pasztuńska starszyzna nie spotyka się z kobietami.

– Czarny czy biały?

– Nie wiadomo.

– Z sił lądowych? Piechoty morskiej? Sił powietrznych?

– Wszyscy wyglądamy dla nich tak samo.

– Stopień? Wiek?

– Żadnych konkretów. Amerykański oficer. To wszystko, co wiemy.

– Musi być coś jeszcze.

– Wiem, co wiem, Reacher. I wiem, czego nie wiem.

– Jesteś pewna?

– Co to w ogóle ma znaczyć? To taka sama sytuacja jak z tobą i tą ko-

bietą w Korei. Nikt nie zdaje sobie sprawy, że zapomina. Tyle że ja nie zapomniałam. Pamiętam, co powiedzieli.

– Ile wiadomości krążyło w tę i z powrotem?

– Było tak, jak ci mówiłam, wiadomość o pogłosce, a potem moje rozkazy, żeby ją sprawdzić. To wszystko. Jedna depesza stamtąd, jedna odpowiedź.

– A ich ostatni meldunek radiowy? Widziałaś go?

– To była ostatnia rzecz, jaką widziałam, zanim po mnie przyszli. Rutynowy meldunek. Brak postępów. Niczego nie odkryliśmy, idziemy dalej. Tak to wyglądało.

– Więc to musiało być w pierwszej depeszy. O pogłosce. Będziesz musiała ją sobie przypomnieć, słowo po słowie.

– Nieznany amerykański oficer był widziany, gdy podążał na północ na spotkanie z członkiem starszyzny. W nieustalonym celu. Tak to brzmiało, słowo po słowie. Nie muszę sobie przypominać, dobrze to pamiętam.

– Jaka część tej depeszy jest warta sto tysięcy dolarów?

I spisania na straty ciebie, mnie oraz Moorcrofta? A także siniaka na ramieniu tej studentki w Berryville w Wirginii? – zastanawiał się Reacher.

– Nie wiem – odpowiedziała Turner.

• • •

Potem przez dłuższy czas milczeli. Koniec gadania. Koniec dyskusji. Turner leżała na łóżku, gapiąc się w sufit. Reacher oparł się o parapet i analizował w myślach treść depeszy, czternaście słów, idealne zdanie, z podmiotem i orzeczeniem, charakteryzujące się właściwym rytmem i przyjemną kadencją: „Nieznany amerykański oficer był widziany, gdy podążał na północ na spotkanie z członkiem starszyzny". Powtarzał je w myślach po wielokroć, a potem podzielił na trzy części i analizował każdą z nich po kolei.

„Nieznany amerykański oficer".

„Był widziany, gdy podążał na północ".

„Na spotkanie z członkiem starszyzny".

Trzydzieści trzy sylaby. Dwa razy więcej niż w haiku.

Czyli?

Nie był pewien, ale wyczuwał pewną niespójność między początkiem i końcem zdania – niczym ziarnko piasku zgrzytające w idealnym mechanizmie.

Nieznany amerykański oficer.

Członek starszyzny.

Czyli?

Nie wiedział.

– Pójdę już – powiedział. – Wrócimy do tego jutro. Może coś przyjdzie ci w nocy do głowy. To się zdarza. Ma coś wspólnego z tym, jak umysł reaguje na sen. Przetwarzanie pamięci, portal do podświadomości albo coś w tym w rodzaju. Czytałem o tym kiedyś artykuł w czasopiśmie znalezionym w autobusie.

– Nie – odparła. – Nie rób tego.

– Czego mam nie robić?

– Nie idź. Zostań.

Reacher przez chwilę milczał.

– Naprawdę? – zapytał.

– Chcesz zostać?

– A wyglądam, jakbym nie chciał?

– W takim razie zdejmij podkoszulek.

– Naprawdę?

– Zdejmij go, Reacher – powiedziała.

Więc go zdjął. Przeciągnął cienką elastyczną bawełnę przez ramiona, a potem przez głowę i rzucił podkoszulek na podłogę.

– Dziękuję – mruknęła Turner.

Przez chwilę oczekiwał, tak jak zawsze, że będzie liczyła jego blizny.

– Pomyliłam się – stwierdziła. – Coś feralnego to mało powiedziane. Jesteś prawdziwym dzikim zwierzęciem.

– Wszyscy jesteśmy zwierzętami – odparł. – Dzięki temu to takie interesujące.

– Dużo ćwiczysz? – zapytała.

– Nie ćwiczę. To u mnie genetyczne – odrzekł i rzeczywiście tak było. W okresie dojrzewania dostał od losu wiele rzeczy, o które wcale nie prosił, między innymi wysoki wzrost, sporą wagę i mezomorficzną budowę ciała, z sześciopakami niczym brukowana ulica, klatką piersiową niczym pancerz futbolisty, bicepsami niczym piłki do koszykówki i warstwą podskórnego tłuszczu niczym bibułka kleenexu. Nigdy o to nie dbał. Żadnej diety. Żadnego podnoszenia ciężarów. Żadnych ćwiczeń na siłowni. Uważał, że nie należy naprawiać czegoś, co się nie psuje.

– Teraz spodnie – powiedziała.

– Nie mam nic pod spodem.

Uśmiechnęła się.

– Ja też nie.

Rozpiął guzik. Przesunął w dół zamek błyskawiczny. Ściągnął materiał z bioder. Zrobił krok do przodu, wyciągając nogi z nogawek. Krok w stronę łóżka.

– Teraz twoja kolej – powiedział.

Uśmiechnęła się.

Zdjęła podkoszulek.

Była wszystkim, czym spodziewał się, że będzie, wszystkim, czego kiedykolwiek pragnął.

Nazajutrz obudzili się bardzo późno, rozgrzani, senni, nasyceni, wyrwani ze snu przez warkot silników na parkingu pod oknem. Poziewując, przeciągnęli się i długo, powoli i delikatnie się pocałowali.

– Zmarnowaliśmy pieniądze Billy'ego Boba – powiedziała Turner. – Biorąc te dwa pokoje. To wyłącznie moja wina. Przepraszam.

– Co skłoniło cię do zmiany zdania? – chciał wiedzieć Reacher.

– Chyba żądza. W więzieniu myśli się o różnych rzeczach.

– Serio.

– Twój podkoszulek. Nigdy nie widziałam czegoś tak cienkiego. Jest

albo bardzo drogi, albo bardzo tani.

– Serio.

– Zagięłam na ciebie parol od naszej rozmowy telefonicznej. Spodobał mi się twój głos. I widziałam twoje zdjęcie.

– Nie wierzę ci.

– Wspomniałeś o tej dziewczynie z Berryville. To sprawiło, że zmieniłam zdanie. Siniak na jej ręce. Osobiście cię to dotknęło. I zajmowałeś się wyłącznie moim problemem. Ignorując swój z Big Dogiem, który jest tak samo poważny. A zatem nadal troszczysz się o innych. I tak naprawdę nie ma w tobie nic feralnego. Domyślam się, że przede wszystkim troszczysz się o innych. I nadal odróżniasz dobro od zła. Wszystko to oznacza, że jesteś w porządku. I że ja w przyszłości też będę w porządku. Nie będzie tak źle.

– Jeśli zechcesz, zostaniesz dwugwiazdkowym generałem.

– Tylko dwugwiazdkowym?

– Więcej gwiazdek oznacza, że ubiegałabyś się o stanowisko. A to wcale nie jest zabawne.

Turner nie odpowiedziała. Z parkingu nadal dochodził głośny warkot silników. Brzmiało to tak, jakby kilka pojazdów jeździło w kółko, zataczając wielkie kręgi. Trzy albo cztery, jeden za drugim. Najpierw z jednej, a potem z drugiej strony budynku. Niekończąca się pętla.

– Która godzina? – zapytała Turner.

– Za dziewięć dwunasta.

– Skąd wiesz?

– Zawsze wiem, która jest godzina.

– O której musimy opuścić pokój? – zapytała.

I zaraz potem usłyszeli kroki na werandzie za drzwiami. Ktoś wsunął kopertę pod drzwi i kroki zmieniły kierunek i się oddaliły.

– Opuścić pokój trzeba chyba o dwunastej – uznał Reacher. – Ponieważ zakładam, że w tej kopercie jest kopia naszego rachunku.

– Bardzo oficjalne podejście.

– Mają komputer.

Na dworze nadal słychać było silniki. Reacher zakładał, że jego jasz-

czurczy mózg ocenił już te odgłosy pod kątem zagrożeń. Czy to pojazdy wojskowe? Policyjne? Należące do FBI? Jaszczurczy mózg najwyraźniej wstrzymał się od komentarza. W tym przypadku słusznie, ponieważ pojazdy były w oczywisty sposób cywilne. Wszystkie wyposażone w silniki benzynowe, w tym jeden w widlasty, ośmiocylindrowy z przewierconym tłumikiem, i co najmniej jeden w słaby czterocylindrowy z taniej oferty specjalnej. Poza tym zdezelowane zawieszenie i grzechoczące błotniki. Zdecydowanie nie były to wojskowe ani paramilitarne dźwięki.

– Co tam się dzieje? – zastanawiała się Turner.

– Zobacz – odparł Reacher, a ona podeszła, smukła i naga, do okna i uchyliła lekko zasłony. – Cztery pick-upy – zameldowała. – Różnych rozmiarów, w różnym stanie technicznym i w różnym wieku. W każdym siedzą po dwie osoby i wszystkie jeżdżą dokoła budynku.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– W jakim jesteśmy mieście?

– W Petersburgu. W Wirginii Zachodniej.

– Więc może to jest stary wirginijski obyczaj ludowy. Święto wiosny albo coś w tym rodzaju. Jak bieg z bykami w Pampelunie. Tyle że tutaj w Petersburgu robią to w pick-upach.

– Ale to robi groźne wrażenie. Jak na tych filmach, o których wspominałeś. Na których kowboj mówi, że coś tu za spokojnie. Mówię o tej sekwencji, kiedy Indianie jeżdżą dokoła wozu ze złamanym kołem. Coraz szybciej i szybciej.

Reacher oderwał od niej wzrok i spojrzał na drzwi.

– Zaczekaj – rzucił.

Wstał z łóżka i podniósł kopertę. Nie była zaklejona. W środku była kartka. Nic podejrzanego. Bo i dlaczego. Po prostu złożona na trzy faktura opiewająca na trzydzieści dolarów. Jak najbardziej prawidłowo. Pokój numer jedenaście, należy się trzydzieści dolców, zapłacone z góry.

Tyle że…

Na dole rachunku było wydrukowane podziękowanie za skorzystanie z usług motelu, pod spodem pieczątka z podpisem właściciela, a jeszcze niżej zupełnie zbędna informacja.

– Cholera – mruknął Reacher.

– Co jest?

Podszedł do Turner i pokazał fakturę.

Jesteśmy wdzięczni, że się państwo u nas zatrzymali.

John Claughton, właściciel

Claughtonowie mieszkają w hrabstwie Grant od trzystu lat!

36

– Chyba potraktowali sprawę tej corvette bardzo poważnie – powiedział Reacher. – Zeszłego wieczoru musieli odbyć jakiś rodzaj telekonferencji. Naradę wojenną. Rozpuścili wici. Claughtonowie z hrabstwa Hampshire, Claughtonowie z hrabstwa Grant i jestem tego pewien, Claughtonowie ze wszystkich innych hrabstw. Pewnie kilkunastu. Prawdopodobnie z całego stanu. A jeśli śpiący królewicz z recepcji jest synem albo siostrzeńcem właściciela, w takim razie jest również kuzynem. A teraz znacznie awansował w hierarchii. Bo to on nas zakablował.

– Ta corvette przysparza nam więcej kłopotów, niż jest warta. To był zły wybór.

– Ale dopóki była nasza, fajnie się nią jeździło.

– Masz jakieś pomysły?

– Będziemy musieli przemówić im do rozsądku.

– Mówisz serio?

– Traktuj ludzi z miłością i zrozumieniem. Używaj siły tylko wtedy, gdy to konieczne.

– Kto tak powiedział?

– Chyba Lew Trocki.

– Zadźgano go podobno szpikulcem do lodu. W Meksyku.

– To wcale nie podważa jego ogólnej filozofii życiowej.

– Jaka była jego ogólna filozofia życiowa?

– Trzeźwa. Stwierdził również: Jeśli nie przekonasz przeciwnika racjonalnymi argumentami, musisz to zrobić, waląc jego głową o chodnik.

Był człowiekiem kierującym się zdrowymi zasadami. W życiu prywatnym. Abstrahując od tego, że zadźgano go szpikulcem do lodu w Meksyku.

– Co teraz zrobimy?

– Najpierw powinniśmy się chyba ubrać. Tyle że moje ubranie jest w drugim pokoju.

– To moja wina – powiedziała Turner. – Przepraszam.

– Nie musisz się tym tak bardzo przejmować. Przeżyjemy. Ubierzesz się, a potem przejdziemy do pokoju obok i ja się ubiorę. Nic nam się nie stanie. Będziemy na zewnątrz tylko przez kilka sekund. Ale najpierw weź prysznic. Nie ma pośpiechu. Zaczekają. Nie wyważą drzwi należących do kuzyna. Jestem pewien, że to jedna z zasad kodeksu rodzinnego Claughtonów.

• • •

Turner myła się i szykowała dokładnie tak samo długo jak Reacher: jedenaście minut, od dotknięcia dłonią kranu do wyjścia. W tym przypadku obejmowało to również dłuższą chwilę poświęconą na próbę wyliczenia, czy zdołają przejść do sąsiedniego pokoju, tak by nie zostać zauważonymi z któregoś z jeżdżących w kółko pick-upów, i ustalenie, że przy czterech pojazdach poruszających się z szybkością zbliżoną do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę ten wariant jest niestety niewykonalny. Zaryzykowali więc i przez pierwsze trzy z sześciu metrów byli górą, lecz potem jeden z pick-upów wyjechał zza rogu i Reacher usłyszał ryk silnika, kiedy jego kierowca wcisnął gaz, reagując instynktownie na pojawienie się zwierzyny. Pragnąc ją dopaść i przejechać, podejrzewał Reacher. Mechanizm ewolucyjny jak tyle innych rzeczy. Otworzył kluczem drzwi do swojego pokoju i wskoczyli do środka.

– Teraz wiedzą już na pewno, że tu jesteśmy – powiedział. – Nie żeby wcześniej nie wiedzieli. Kuzyn komputerowiec na pewno dokładnie ich poinformował. – W jego pokoju niczego nie ruszono. Buty stały

przy oknie, obok leżały skarpetki i bielizna, drugi podkoszulek wisiał na krześle, a kurtka na wieszaku. – Ja też powinienem wziąć prysznic – stwierdził. – Jeśli będą tak nadal jeździli w kółko, zakręci im się w głowach, zanim wyjdziemy.

• • •

Jedenaście minut później był gotów. Usiadł na łóżku i zasznurował buty, a potem włożył kurtkę i ją zapiął.

– Jeśli pozwolisz, sam to załatwię – powiedział.

– A co z policją po drugiej stronie ulicy? – zapytała Turner. – Nie możemy dopuścić, żeby tu się zjawili.

– Założę się, że gliniarze pozwolą Claughtonom robić, co im się żywnie podoba. Bo sami też są w większości Claughtonami. Ale jestem przekonany, że i tak załatwimy to bez świadków. Tak to się na ogół odbywa.

– Pójdę z tobą.

– Brałaś wcześniej udział w czymś takim?

– Tak. Ale niezbyt często.

– Wszyscy nie będą walczyli jednocześnie. Problemem będzie między innymi zator przy schodach. I możemy pohamować ich entuzjazm, nokautując ostro kilku pierwszych. Najważniejsze, żeby nie poświęcać zbyt dużo czasu każdemu z osobna. Co oznacza jeden cios i przejście do następnego. Łokcie są lepsze od dłoni, kopniaki lepsze od łokci.

– W porządku.

– Ale najpierw z nimi porozmawiam. W końcu mają trochę racji.

• • •

Otworzyli drzwi, wyszli na werandę i stanęli w jasnym świetle dnia.

Zgodnie z tym, czego spodziewał się Reacher, zobaczyli, że cztery pickupy ustawiły się ciasno jeden obok drugiego u stóp betonowych schodów. Ośmiu facetów opierało się o drzwi, błotniki i skrzynie pojazdów, czekając tak cierpliwie, jakby mieli mnóstwo czasu, co było poniekąd prawdą, ponieważ z werandy na piętrze można było zejść tylko po betonowych schodach. Reacher rozpoznał trzech mężczyzn z nocy na górskiej drodze, małego, średniego i dużego. Ostatni dwaj wyglądali mniej więcej tak samo jak wtedy, ale mały facet o niebo lepiej, jakby zupełnie doszedł do siebie po epizodzie z używkami, które doprowadziły do wypadku. Pozostała piątka była podobna, wszystko ciężko pracujący faceci, najmniejszy cały żylasty i ogorzały, największy trochę nalany, prawdopodobnie od piwa i hamburgerów. Żaden nie był uzbrojony. Reacher widział wszystkie ich szesnaście dłoni i wszystkie były puste. Żadnej broni palnej, żadnych noży, żadnych kluczy francuskich ani łańcuchów.

Amatorzy.

Oparł ręce o balustradę i omiótł ich dobrotliwym spojrzeniem, niczym dyktator ze starego filmu, szykujący się, by przemówić do tłumu.

– Musimy znaleźć jakiś sposób – zaczął – żebyście mogli wrócić do domu, zanim stanie wam się krzywda. Chcecie nad tym ze mną popracować?

Podsłuchał kiedyś faceta w garniturze rozmawiającego przez komórkę, który pytał co chwila swojego rozmówcę: „Chcesz nad tym ze mną popracować?". Domyślał się, że to technika, której uczą na drogich seminariach w zapyziałych hotelowych salach balowych. Prawdopodobnie dlatego, że wymagała pozytywnej odpowiedzi. Cywilizowani ludzie czują się zobowiązani popracować ze sobą, jeśli im się to proponuje. Nikt nigdy nie mówi: „Nie, nie popracuję".

Ale facet od półtonówki to powiedział:

– Nikt nie będzie tutaj z tobą pracował, chłopie – oznajmił. – Przyjechaliśmy skopać ci tyłek i odebrać nasz samochód i pieniądze.

– W porządku – odparł Reacher. – Możemy pójść tą drogą, jeśli chcecie. Ale nie ma powodu, żebyście wszyscy trafili do szpitala. Słyszeliście

kiedyś o Gallupie?

– O kim?

– To taki instytut badania opinii publicznej. Robią to przed wyborami. Mówią ci, że ten facet dostanie pięćdziesiąt jeden procent głosów, a tamten czterdzieści dziewięć.

– Słyszałem o nich.

– Wiecie, jak to robią? Nie dzwonią do wszystkich w Stanach. To by za długo trwało. Więc badają próbkę. Dzwonią do niewielkiej liczby ludzi i na tej podstawie prognozują wyniki.

– I co z tego?

– Tak właśnie powinniśmy zrobić, wybrać próbkę. Jedna osoba z naszej strony i jedna z waszej. I powinniśmy uznać, że wynik odzwierciedla to, co zdarzyłoby się, gdybyśmy wzięli w tym udział wszyscy. Tak jak to robi Instytut Gallupa.

Bez odpowiedzi.

– Jeśli wygra wasz człowiek, oddamy wam corvette za waszego najgorszego pick-upa – ciągnął Reacher. – I dostaniecie połowę pieniędzy Billy'ego Boba.

Bez odpowiedzi.

– Ale jeśli wygra nasza strona, wymienimy corvette na waszego najlepszego pick-upa. I zatrzymamy wszystkie pieniądze Billy'ego Boba.

Bez odpowiedzi.

– To wszystko, co mogę dla was zrobić, panowie – dodał Reacher. – To jest Ameryka. Potrzebujemy czterech kółek i kasy. Na pewno to rozumiecie.

Bez odpowiedzi.

– Moja przyjaciółka jest chętna i gotowa – oznajmił Reacher. – Macie jakieś preferencje? Wolicie walczyć z kobietą?

– Nie, to nie byłoby w porządku – odparł facet z półtonówki.

– W takim razie zostaję wam tylko ja. Ale osłodzę wam wybór. Możecie zwiększyć swoją reprezentację. Ja przeciwko wam dwóm. Chcecie nad tym ze mną popracować?

Bez odpowiedzi.

– I będę walczył, trzymając ręce na plecach.

– Co takiego?

– Słyszeliście.

– Z rękami na plecach?

– Na warunkach, które właśnie uzgodniliśmy. To są bardzo korzystne warunki, panowie. Tak czy owak, będziecie mieli corvette. Wychodzę wam naprzeciw.

– Nas będzie dwóch i będziesz trzymał ręce za sobą?

– Gdybym miał torbę, założyłbym ją sobie na głowę.

– W porządku, możemy się na to zgodzić.

– To świetnie – ucieszył się Reacher. – Któryś z was ma ubezpieczenie zdrowotne? Bo to może być ważne, kiedy będziemy wybierali skład.

– Właśnie sobie przypomniałam, o czym zapomniałam – szepnęła nagle przy jego boku Turner. – Mam na myśli to, o czym mówiliśmy wczoraj wieczorem. To, co było w pierwszym raporcie.

– Chodziło o członka starszyzny? – zapytał Reacher.

Nieznany amerykański oficer. Członek starszyzny. Ziarnko piasku. Amerykanin był określony jako nieznany, ale członek starszyzny nie. – Podali ci jego nazwisko?

– Właściwie nie nazwisko. Ich nazwiska są zbyt skomplikowane, by je zapamiętać. Posługujemy się zamiast tego numerami referencyjnymi. Przydzielonymi, kiedy delikwent miał po raz pierwszy do czynienia z amerykańskimi władzami. I numer tego faceta był w raporcie. Co oznacza, że już wcześniej figurował w systemie. Ktoś go zna.

– Jaki był ten numer?

– Nie pamiętam. A.M. i coś dalej.

– Co znaczy A.M…?

– Afgańczyk płci męskiej.

– Zawsze to coś.

– W porządku, jesteśmy gotowi! – krzyknął facet z półtonówki.

Reacher zerknął w dół. Grupa podzieliła się na dwie części. Osobno stanęło dwóch i sześciu mężczyzn. Tymi dwoma byli facet z półtonówki i nalany facet, stołujący się w McDonaldzie i żłopiący piwo.

– Na pewno dasz sobie radę? – zapytała Turner.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – odparł Reacher i zszedł po schodach.

37

Sześciu widzów cofnęło się, a Reacher i jego dwaj przeciwnicy przeszli razem nieco dalej, wzajemnie się szachując, w ciasnym trójkącie, dwaj cofając się, jeden idąc do przodu, wszyscy czujni, ostrożni i nieufni. Za zaparkowanymi pick-upami był kawałek ubitej ziemi szerokości ulicy. Po prawej stronie była tylna ściana budynku, za którym stała corvette, a po lewej droga numer dwieście dwadzieścia, ale prześwit był wąski i widać było sam asfalt i rosnącą po drugiej stronie kępę drzew. Posterunek stanowej policji znajdował się daleko na zachód. Nikt ze stojących na ubitej ziemi go nie widział, więc policjanci nie mogli zobaczyć nikogo, kto stał na ubitej ziemi.

W miarę bezpiecznie.

Można zaczynać.

Normalnie, mając do czynienia z dwoma durnymi przeciwnikami, Reacher od samego początku by oszukiwał. Ręce za plecami? Rąbnąłby ich łokciami w szczęki zaraz po zejściu z ostatniego schodka. Ale nie kiedy tuż obok stały posiłki w postaci sześciu kolesiów. To byłoby nieskuteczne. Rzuciliby się na niego wszyscy, rozjuszeni przez jakiś szczególny ekwiwalent moralnego oburzenia, i dlatego niebezpieczni bardziej niż zwykle. Reacher pozwolił więc, by wszyscy zajęli pozycje, i kiedy byli gotowi, wsunął ręce do tylnych kieszeni spodni, obejmując dłońmi pośladki.

– Piłka w grze – oznajmił.

I w tym momencie zobaczył, że dwaj faceci przybierają, jak zrozumiał, to, co uznają za postawę bojową, i zachodzi w nich radykalna zmiana. Powiedz komuś, że będziesz z nim walczył z rękami na plecach, a on usłyszy tylko to i nic więcej. Ten człowiek będzie walczył z rękami na plecach! – myśli. A potem wyobraża sobie pierwszych kilka sekund walki i ten obraz jest tak dziwaczny, że całkowicie zaprząta jego uwagę. Bez użycia rąk! Odsłonięty tors! Zupełnie jak worek treningowy w siłowni!

W takiej sytuacji faceci widzą tylko tułów, tułów, tułów, a także głowę i twarz, widzą je jako łatwe, wystawione na młóckę cele, widzą szkody, które trzeba wyrządzić, widzą nieparowane uderzenia, które aż się proszą, by je zadać, i odsłaniają się, podnoszą wyżej pięści, wysuwają do przodu podbródki i mrużą oczy, w których widać dziką radość, gdy zezują na brzuch, żebra, nos, wszystkie te miejsca, które zamierzają zasypać pierwszymi ciosami. Nie widzą nic poza tym.

Na przykład stóp.

Reacher zrobił krok do przodu i kopnął grubego faceta w jaja, solidnie, prawą stopą, na tyle mocno, by posłać piłkę przez całe boisko. Facet padł na twarz tak nagle i z takim impetem, jakby założył się z kimś o milion dolarów, że uda mu się zrobić nosem dziurę w ziemi. Rozległ się hałas, jakby ciężki worek walnął o podłogę, i facet zwinął się w kłębek. Sadło, którym obrósł, zatrzęsło się i znieruchomiało.

Reacher się cofnął.

– Marny wybór – powiedział. – Najwyraźniej lepiej było zostawić go na ławce rezerwowych. Teraz zostaliśmy tylko ty i ja.

Facet z półtonówki też się cofnął. Reacher obserwował jego twarz i zorientował się, że wszystkie jego poprzednie założenia są w pośpiechu rewidowane. Co było do przewidzenia. No tak, stopy, myślał. Zapomniałem o stopach. To sprawiło, że jego środek ciężkości znalazł się teraz bardzo nisko, uwagę zaprzątały tylko stopy, stopy, stopy. Nic poza stopami. Facet opuścił ręce, wysunął do przodu jedną nogę i skulił ramiona tak, że wyglądał jak mały chłopiec, który dostał kolki.

– Możesz teraz odejść i uznamy, że sprawa jest załatwiona – zapro-

ponował Reacher. – Dajcie nam pick-upa, zabierzcie corvette i wynoście się stąd.

– Nie – warknął facet z półtonówki.

– Proszę cię jeszcze raz – powiedział Reacher. – Ale nie będę prosił trzy razy.

– Nie – powtórzył facet.

– Więc rusz się, przyjacielu. Pokaż, co potrafisz. Bo chyba coś potrafisz? Poza jeżdżeniem w kółko?

Reacher wiedział, na co się szykować. Facet był najwyraźniej praworęczny. Więc to powinien być krótki prawy sierpowy, zaczynający się dość nisko i niewymierzony zbyt wysoko, niczym boczny rzut piłką, niczym rękawica bokserska przytwierdzona do drzwi, które zatrzaskują się, podczas gdy przeciwnik stoi w progu. Tak to miało wyglądać. Kiedy cios zostanie wyprowadzony. Facet wciąż przestępował z nogi na nogę, wciąż starając się wyczuć odpowiedni moment.

Wreszcie go wyczuł i cios został wyprowadzony. Niczym przytwierdzona do drzwi rękawica bokserska. I co teraz zrobi przeciwnik? Większość ludzi cofnie się i zrobi unik. Ale pewien sześciolatek na filmie science fiction bynajmniej się nie cofnie. Odwróci się bokiem, wykona, ze zgiętych kolan, mocne pchnięcie do przodu i wyrżnie w drzwi barkiem mniej więcej w połowie ich szerokości, bliżej zawiasów: mocne agresywne pchnięcie tam, gdzie moment pędu jest mniejszy, po wewnętrznej stronie łuku zataczanego przez rękawicę.

Coś takiego Reacher zrobił z facetem z półtonówki. Obrócił się, wysunął do przodu bark i walnął go nim w sam środek piersi. Zadająca cios pięść zatoczyła krąg w powietrzu i zsunęła się bezwładnie po plecach Reachera, jakby tamten chciał się o niego ukradkiem otrzeć. I zaraz potem facet zrobił długi, chwiejny krok do tyłu i nie chcąc stracić równowagi, rozpostarł szeroko ręce i zupełnie się odsłonił, z czego musiał zdać sobie natychmiast sprawę, ponieważ spojrzał z przerażeniem na poruszające się stopy Reachera.

Niespodzianka, przyjacielu.

To nie będą stopy.

To będzie głowa.

Stopy poruszały się w bokserskim tańcu, przygotowując pozycję, i nagle tułów śmignął do przodu, kark zgiął się w dół, czoło zmiażdżyło nos faceta i szybko się cofnęło, zadanie wykonane, Reacher wyprostował się, a facet z półtonówki zachwiał się na miękkich nogach, zrobił pół kroku w przód, pół kroku w tył, i w końcu, słaby i bezbronny, osunął się niczym mdlejąca wiktoriańska dama w krynolinie.

Reacher spojrzał na stojącą na werandzie Turner.

– Który pick-up jest twoim zdaniem najlepszy? – spytał.

38

Kodeks honorowy Claughtonów był czymś wspaniałym. To nie ulegało wątpliwości. Żaden z sześciu widzów nie wtrącił się do walki ani w żaden sposób nie interweniował. Albo tak silnie go im wpojono, albo obawiali się, co może im zrobić Reacher, kiedy już wyjmie ręce z kieszeni.

Ostatecznie Turner najbardziej spodobał się pick-up grubasa. Miał silnik widlasty, ale bez przewierconego tłumika, w baku sporo benzyny i robił wrażenie wygodnego. Podjechała nim do schowanej za budynkiem corvette i przełożyli pieniądze Billy'ego Boba z jej bagażnika do schowka na rękawiczki w pick-upie. Dwie przestrzenie ładunkowe były mniej więcej tej samej wielkości. Następnie przejechała obok strapionych Claughtonów, skręciła w lewo w dwieściedwójkę, minęła posterunek stanowej policji, knajpę z blachą do pieczenia i pojechała w stronę skrzyżowania w centrum miasta.

• • •

Trzydzieści minut później Petersburg był trzydzieści kilometrów za nimi. Jechali na zachód, drugorzędną drogą biegnącą wzdłuż leśnego parku narodowego. Pick-up marki Toyota nie był zbyt nowy, ale prowadziło się go całkiem dobrze. Był tak ciężki, że nie czuło się wcale wy-

bojów. Miał nawigację satelitarną, poduchowate skórzane siedzenia i bardzo przestronne, świetnie wyciszone wnętrze. Turner wydawała się w nim malutka. Ale szczęśliwa. Miała coś, nad czym mogła popracować. Cały scenariusz działań.

– Rozumiem, dlaczego ci faceci się zaniepokoili – odezwała się. – Numer A.M. wszystko zmienia. Facet jest nam z jakiegoś powodu znany. Albo ze względu na swoje działania, albo ze względu na swoje poglądy. I jedno, i drugie dokądś nas doprowadzi.

– Jak wejdziemy do bazy danych? – zapytał Reacher.

– Zmiana planu. Jedziemy do Pittsburgha.

– Baza danych jest w Pittsburghu?

– Nie, ale jest tam duże lotnisko.

– Byłem niedawno w Pittsburghu.

– Na lotnisku?

– Nie, przejeżdżałem drogą.

– Różnorodność dodaje życiu pikanterii.

• • •

Fakt, że zmierzali do Pittsburgha, oznaczał, że muszą przeciąć w poprzek stan i wjechać na siedemdziesiątkędziewiątkę gdzieś między Clarksburgiem i Morgantown. Potem droga była prosta, w zasadzie wiodąca na północ i zdaniem Reachera dość bezpieczna. Toyota była wielka jak dom i ważyła trzy tony, ale nie rzucała się w oczy. Gdzie najlepiej ukryć ziarnko piasku? Na plaży. Jeśli toyota była ziarnkiem piasku, to drogi Wirginii Zachodniej były plażą. Prawie każdy widziany przez nich pojazd był pełnowymiarowym pick-upem. W zachodniej Pensylwanii powinno być podobnie. Przybysz z kosmosu mógłby dojść do wniosku, że pomyślność Stanów Zjednoczonych jest całkowicie uzależniona od zdolności ich obywateli do wożenia bezpiecznie i w dużych ilościach dwumetrowych arkuszy płyty wiórowej.

• • •

Późny start okazał się plusem. Nie wadą, lecz zaletą, jak powiedziałaby Turner. Oznaczał, że autostradą będą jechali po zmierzchu. To było lepsze niż jazda w biały dzień. Autostrady są częściej patrolowane przez policję, ale z drugiej strony gliniarze nie mogą zobaczyć tego, czego nie widzą, a nie ma czegoś bardziej niewidocznego od dwóch przednich reflektorów sunących w nocy z dozwoloną szybkością autostradą międzystanową.

– Jak zdobędziemy dokładny numer A.M…? – zapytał Reacher.

– Weźmiemy głęboki oddech i zaryzykujemy. Musimy poprosić kogoś, żeby wziął udział w przestępczym spisku i nam pomógł.

– Kogo?

– Mam nadzieję, że to będzie sierżant Leach. Jest dość solidna i ma serce po właściwej stronie.

– Zgadzam się – powiedział Reacher. – Polubiłem ją.

– Wszystkie transkrypty i raporty są w archiwum. Musi tam tylko pójść i je przejrzeć.

– A potem co?

– Potem zaczną się schody. Będziemy mieli numer referencyjny, ale nie nazwisko i biogram. A sierżant nie może wejść do bazy danych. Jestem jedyną osobą w Rock Creek, która ma takie uprawnienia. Teraz przejął je chyba Morgan, ale nie możemy go raczej o to poprosić.

– Zostaw to mnie – odrzekł Reacher.

– Nie masz dostępu do bazy danych.

– Znam kogoś, kto ma.

– Kogo?

– Naczelnego prokuratora wojskowego.

– Znasz go?

– Nie osobiście. Ale wiem, jakie zajmuje miejsce w systemie. Zmusza mnie, bym bronił się przed absurdalnymi zarzutami. Robiąc to, mam prawo zarzucić sieć bardzo szeroko. Praktycznie mogę prosić o wszyst-

ko, co chcę. W moim imieniu może się tym zająć major Sullivan.

– Nie, w takim przypadku powinien to zrobić mój adwokat. Absurdalne zarzuty, które mi postawiono, są bardziej związane z tą sprawą niż twoje.

– To będzie dla niego zbyt niebezpieczne. Moorcrofta o mało nie zatłukli na śmierć za to, że próbował wyciągnąć cię z mamra. Nie pozwolą twojemu adwokatowi zbliżyć się nawet na sto kilometrów do tych informacji.

– W takim razie to będzie niebezpieczne również dla Sullivan.

– Nie sądzę, żeby ją w tym momencie obserwowali. Później oczywiście się zorientują, ale wtedy będzie już za późno. Nie ma sensu zamykać drzwi stajni, skoro konie już się spłoszyły.

– Czy Sullivan to dla ciebie zrobi?

– Będzie musiała. Zobowiązuje ją do tego prawo.

Jechali w ciszy i komforcie, cały czas przez terytorium Wirginii Zachodniej, objeżdżając południowy koniuszek Maryland, a potem biorąc kurs na miasto o nazwie Grafton. Stamtąd nawigacja toyoty wskazała drogę, która biegła na północny zachód i łączyła się z I-79 trochę na południe od Fairmont.

– Martwiłeś się? – zapytała Turner.

– Czym?

– Tymi ośmioma facetami.

– Nieszczególnie.

– W takim razie to opracowanie, które sporządzono na twój temat, kiedy miałeś sześć lat, trafiało w samo sedno.

– Prawidłowy wniosek – odparł Reacher. – Wadliwe rozumowanie.

– To znaczy?

– Uznali, że mój umysł jest źle podłączony. Strasznie ich podnieciło moje DNA. Może chcieli wyhodować nową rasę wojowników? Wiesz, jakie mieli wtedy pomysły w Pentagonie. Ale byłem zbyt młody, żeby się mną na poważnie zainteresowali. Zresztą i tak byli w błędzie. Jeśli chodzi o strach, moje DNA jest takie samo jak u innych. Po prostu nauczyłem się zmieniać strach w agresję, automatycznie.

– W wieku sześciu lat?

– Nie, w wieku czterech i pięciu. Mówiłem ci o tym przez telefon. Uznałem, że nie mam wyboru. Albo się spietram, albo dobiorę im się do skóry.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś walczył bez użycia rąk.

– Oni też nie. I o to chodziło.

• • •

Zatrzymali się, żeby zatankować i coś zjeść w miejscowości o nazwie Macomber, a potem ruszyli dalej, cały czas podążając na zachód. Minęli Grafton, skręcili w prawo, przejechali przez wioskę McGee i w końcu wjechali na siedemdziesiątkędziewiątkę, w miejscu oddalonym według nawigacji toyoty o godzinę jazdy od międzynarodowego lotniska w Pittsburghu, co oznaczało, że powinni tam dotrzeć mniej więcej o dwudziestej. Niebo pociemniało. Zapadła noc, opiekuńcza, dyskretna i bezpieczna.

– Dlaczego lubisz takie życie? – zagadnęła Turner.

– Bo mój umysł jest źle podłączony. Tego właśnie nie zauważyli dawno, dawno temu. Badali nie tę część mnie, co trzeba. Nie lubię tego, co lubią normalni ludzie. Mały domek z kominem, ogródkiem i płotem? Ludzie lubią takie rzeczy.

Pracują całe życie tylko po to, żeby móc za nie zapłacić. Biorą kredyt na trzydzieści lat. I bardzo dobrze. Jeśli to im odpowiada, czemu nie. Ale ja wolałbym się raczej powiesić.

– Dlaczego?

– Mam swoją własną teorię. Związaną z DNA. Ale jest zdecydowanie zbyt nudna, żeby o niej mówić.

– Nie, powiedz mi.

– Kiedy indziej.

– Spaliśmy ze sobą, Reacher. Nie szarpnąłeś się nawet na koktajl ani kino. Możesz mi przynajmniej przedstawić kilka swoich teorii.

– A ty przedstawisz mi swoje?

– Niewykluczone. Ale ty pierwszy.

– No dobrze. Pomyśl o Ameryce dawno temu. Kończy się dziewiętnasty wiek, trwa migracja na zachód. Pomyśl o ryzyku, jakie podejmowali ci ludzie. Jakby coś ich do tego zmuszało.

– Zmuszały ich względy ekonomiczne – odparła Turner.

– Potrzebowali ziemi, farm, pracy.

– Ale było w tym coś więcej – stwierdził Reacher. – Przynajmniej dla niektórych. Niektórzy nigdy się nie zatrzymali. I pomyśl o Brytyjczykach, sto lat wcześniej. Opłynęli cały świat. Wybierali się w rejsy, które trwały pięć lat.

– Tu też chodziło o sprawy ekonomiczne. Szukali rynków i surowców.

– Ale niektórzy nie potrafili się zatrzymać. A jeszcze wcześniej byli wikingowie. I Polinezyjczycy. Moim zdaniem to jest zakodowane w DNA, dosłownie. Moim zdaniem miliony lat temu wszyscy żyliśmy w małych grupkach. Istniało niebezpieczeństwo chowu wsobnego. Wykształcił się więc gen zapewniający, że w każdym pokoleniu i w każdej małej grupie znajdzie się przynajmniej jedna osoba, która musi wędrować. Dzięki temu pula genowa się wzbogaci. To pod każdym względem zdrowsze.

– I ty jesteś taką osobą?

– Myślę, że dziewięćdziesięciu dziewięciu z nas zaczyna z wiekiem kochać obozowe ognisko, a jeden zaczyna go nienawidzić. Dziewięćdziesięciu dziewięciu z nas boi się wycia wilka, a jeden mu zazdrości. Ja jestem tym facetem.

– Którego coś popycha, żeby rozsiewał swoje DNA na całym świecie. Wyłącznie dla dobra gatunku.

– To jest w tym najfajniejsze.

– Nie jest to chyba argument, którego mógłbyś użyć w procesie o ojcostwo.

• • •

Wjechali z Wirginii Zachodniej do Pensylwanii i osiem kilometrów dalej zobaczyli billboard reklamujący centrum handlowe. Był podświetlony, więc uznali, że jest czynne. Zjechali z drogi i znaleźli podupadającą galerię handlową z dużym domem towarowym. Turner ruszyła z plikiem gotówki do działu damskiego. Reacher podążył za nią, ale poradziła mu, żeby zajrzał do działu męskiego.

– Niczego nie potrzebuję – mruknął.

– Wydaje mi się, że jednak potrzebujesz – odparła.

– Czego na przykład?

– Koszuli. I chyba swetra w serek. Przynajmniej tych dwóch rzeczy.

– Jeśli coś kupisz, możesz mi oddać moją starą koszulę.

– Wyrzucę ją. Potrzebujesz czegoś lepszego.

– Po co?

– Chcę, żebyś ładnie wyglądał.

Wyruszył więc sam na zwiady i znalazł koszulę. Z niebieskiej flaneli z białymi guzikami. Za piętnaście dolarów. I bawełniany sweter w serek, w granatowym kolorze. Też za piętnaście dolarów. Przebrał się w przymierzalni, wyrzucił swoje bliźniacze podkoszulki i przejrzał się w lustrze. Spodnie wydawały się w porządku. Podobnie jak kurtka. W nowej koszuli i swetrze wyglądał elegancko. Czy ładnie? Nie był tego pewien. Może i ładniej niż wcześniej, ale nie był gotów na dalsze ustępstwa.

Dwadzieścia minut później pojawiła się Turner, odmieniona od stóp do głów. Nowe zapinane na zamek błyskawiczny czarne botki, nowe niebieskie dżinsy, obcisły sweter i bawełniana ocieplana kurtka. Miała puste ręce. Żadnych toreb z zakupami. Wyrzuciła stare rzeczy i nie kupiła nic na zmianę. Zorientowała się, że to zauważył.

– Zdziwiony? – zapytała.

– Trochę.

– Doszłam do wniosku, że powinniśmy być teraz mobilni.

– Teraz i zawsze.

Penetrując dalsze rejony galerii, znaleźli aptekę. Kupili składane szczoteczki do zębów i małą tubkę pasty i wrócili do pick-upa.

• • •

Międzynarodowe lotnisko w Pittsburghu leżało dość daleko od miasta i prowadziła do niego międzystanowa autostrada. Zajmowało rozległy teren i otaczało je wiele hoteli. Turner wybrała jeden z nich i zaparkowała na przylegającym do niego parkingu. Podzielili to, co zostało z pieniędzy Billy'ego Boba, na dziewięć części i poupychali we wszystkich kieszeniach, jakie mieli. Następnie zamknęli pick-upa i weszli do recepcji. Brak bagażu nie stanowił problemu. Nie w hotelu przy lotnisku. W takich hotelach pełno jest ludzi bez bagażu. Na tym między innymi polega urok nowoczesnych podróży. Śniadanie w Nowym Jorku, kolacja w Paryżu, bagaż w Stambule. I tak dalej.

– Pani nazwisko? – zapytał recepcjonista.

– Helen Sullivan – odparła Turner.

– A pańskie?

– John Temple – powiedział Reacher.

– Mogę zobaczyć państwa dowody tożsamości ze zdjęciami?

Reacher przesunął po blacie pożyczone wojskowe legitymacje. Recepcjonista przyglądał im się wystarczająco długo, by ustalić, że faktycznie są to dowody tożsamości ze zdjęciami, i owszem, figurują na nich nazwiska Sullivan i Temple. Nie przyszło mu do głowy, żeby porównać fotografie z fizjonomiami gości. Reacher wiedział z doświadczenia, że robi to niewielu jego kolegów i koleżanek. Prawdopodobnie przekraczało to ich obowiązki albo zdolności.

– Mogę prosić o kartę kredytową? – zapytał recepcjonista.

– Płacimy gotówką – odparł Reacher.

Co ponownie nie stanowiło problemu w hotelu przy lotnisku. Karty kredytowe i czeki podróżne też giną, bo nawet jeśli obsługa bagażu jest

fatalna, złodzieje kieszonkowi zawsze stają na wysokości zadania. Reacher odliczył pieniądze za pokój, a także – o co został poproszony – sto dolarów na nieprzewidziane wydatki, i facet chętnie je wziął. W zamian dał im dwa elektroniczne klucze i powiedział, jak trafić do windy.

Pokój był w porządku, choć nie różnił się zbytnio od celi w areszcie w Dyer. Oprócz podstawowego wyposażenia miał jednak lodówkę z minibarem, darmowe butelki wody, szlafroki, kapcie i czekoladki na poduszkach.

Oraz telefon, z którego Turner natychmiast skorzystała.

39

Reacher słyszał sygnał terkoczący w słuchawce. Turner trzymała ją między głową i ramieniem.

– Dzwonię do Leach na komórkę – powiedziała bezgłośnie, a potem ktoś odebrał i jej oczy zmieniły wyraz.

– Mówi Susan Turner – powiedziała. – Jako wasz dowódca oficjalnie zalecam, żebyście się natychmiast rozłączyli i poinformowali o tej rozmowie pułkownika Morgana. Czy zamierzacie to zrobić, sierżant Leach?

Reacher nie słyszał odpowiedzi Leach, ale była najwyraźniej odmowna, ponieważ rozmowa trwała dalej.

– Dziękuję, sierżant – powiedziała Turner. – Chciałabym, żebyś zrobiła dla mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, potrzebuję numeru A.M. z pierwszej depeszy Weeksa i Edwardsa. Transkrypcja powinna być w archiwum. Czy pułkownik Morgan nadal jest na terenie jednostki?

Reacher nie słyszał odpowiedzi Leach, ale była najwyraźniej twierdząca.

– W porządku, lepiej teraz nie ryzykować. Będę dzwoniła co godzinę – oznajmiła Turner, lecz się nie rozłączyła. Miała chyba zamiar poprosić Leach o drugą rzecz, którą tamta mogła dla niej zrobić, ale Reacher nie dowiedział się, co to takiego, ponieważ w tym samym momencie rozległo się pukanie. Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi i zobaczył stojącego za nimi faceta w garniturze. W ręku trzymał walkie-talkie, w klapie marynarki miał korporacyjny znaczek. Wyglądał na hote-

lowego menedżera.

– Przepraszam pana, ale zaszła pomyłka – powiedział.

– Jakiego rodzaju? – zapytał Reacher.

– Depozyt na nieprzewidziane wydatki powinien wynosić nie sto, ale pięćdziesiąt dolarów. To znaczy, kiedy płaci się gotówką. Te wydatki obejmują telefon i minibar. Jeśli zamówią państwo posiłek do pokoju, należność przyjmie kelner.

– W porządku – odparł Reacher.

Facet sięgnął do kieszeni i wyjął pięćdziesiąt dolarów, dwie dwudziestki i dziesiątkę, rozłożone w wachlarzyk, zupełnie jakby Reacher wygrał nagrodę w teleturnieju.

– Jeszcze raz przepraszam za nieporozumienie – powiedział.

Reacher wziął od niego pieniądze i je sprawdził. Amerykańska waluta. Pięćdziesiąt dolarów.

– Nie ma sprawy – mruknął i facet oddalił się korytarzem. Reacher zamknął za nim drzwi.

– O co chodziło? – zapytała Turner, odkładając słuchawkę.

– Faceta w recepcji chyba niewłaściwie poinstruowano. Mieliśmy zostawić mu w depozycie pięćdziesiąt, a nie sto dolarów, bo za posiłki do pokoju zapłacimy gotówką.

– Niech będzie.

– Jak ci poszło z sierżant Leach?

– To dzielna kobieta.

– Znasz jej numer na pamięć? Sierżant, którą dopiero co poznałaś, obejmując nowe dowództwo?

– Znam na pamięć wszystkie ich numery.

– Jesteś dobrym dowódcą.

– Dziękuję.

– O co poprosiłaś ją później?

– Zobaczysz – odparła Turner. – Mam nadzieję.

• • •

Romeo wybrał numer, ale Juliet nie odpowiedział od razu. Romeo potarł ręką poręcz fotela, na którym siedział. Miał suchą dłoń, a skóra fotela, polerowana od pięćdziesięciu lat przez rękawy garniturów, była gładka i lśniąca. Nagle usłyszał przy uchu głos Juliet.

– Tak?

– W pewnym hotelu przy lotnisku w Pittsburghu wypłynęły właśnie nazwiska Sullivan i Temple. Na szczęście dla nas departament bezpieczeństwa krajowego kontroluje ich listę gości. Ponieważ hotel jest przy lotnisku.

– Uważasz, że to oni?

– Wkrótce będziemy mieli ich rysopisy. Hotel wysyła kogoś, żeby im się przyjrzał. Ale moim zdaniem to muszą być oni. Bo jakie jest prawdopodobieństwo, żeby te dwa nazwiska pojawiły się razem? Z tego, co wiemy, to jedyne dowody tożsamości, jakie mają.

– Ale dlaczego akurat na lotnisku w Pittsburghu?

– To nie ma znaczenia. Gdzie są nasi chłopcy?

– W drodze do Los Angeles.

– Sprawdź, jak szybko możesz ich zawrócić.

• • •

W pokoju było ciepło, więc Reacher zdjął swoją cudowną, a Turner swoją nową kurtkę.

– Chcesz zamówić posiłek do pokoju? – zapytała.

– Oczywiście.

– Przed czy po?

– Przed czym albo po czym?

– Przed czy po tym, jak będziemy uprawiali seks.

Reacher uśmiechnął się. Z doświadczenia wiedział, że drugi raz jest zawsze lepszy. Nadal coś nowego, ale już trochę mniej. Nadal coś nieznanego, ale już trochę mniej. Drugi raz jest zawsze lepszy od pierwszego, a z Turner pierwszy raz był niesamowity.

– Po – odparł.

– W takim razie rozbierz się.

– Nie, tym razem ty pierwsza.

– Dlaczego?

– Bo różnorodność dodaje życiu pikanterii.

Turner uśmiechnęła się. Ściągnęła sweter przez głowę. Nic pod nim nie miała. Żadnego biustonosza. Tak naprawdę wcale go nie potrzebowała i nie miała zamiaru udawać, że jest inaczej. Za to ją lubił. Zasadniczo lubił ją za wszystko. Nie żeby miał jakiś wielki problem z jakąkolwiek półnagą kobietą w swoim pokoju. Ale ona była wyjątkowa. Mentalnie i fizycznie. Fizycznie była nieskazitelna. Była smukła i silna, ale wydawała się miękka i drobna. Jedna krągłość przechodziła w kolejną, bez końca i gładko, jak pojedynczy kontur, jak wstęga Mobiusa, od pupy do ramienia, do talii, do bioder i z powrotem do pleców, gdzie zaczynała się od początku. Jej skóra miała kolor miodu. Jej uśmiech był szelmowski, a śmiech zaraźliwy.

• • •

Romeo wybrał numer i tym razem Juliet odebrał natychmiast.

– To oni – powiedział Romeo. – Wysoki, ciężki, jasnowłosy mężczyzna i młodsza ciemnowłosa kobieta, o wiele niższa. Tak opisał ich menedżer hotelu.

– Jak długo zamierzają tam zostać?

– Zapłacili gotówką za jedną noc.

– Zamówili poranne budzenie?

– Nie. Nie uda im się nigdzie polecieć. Nie za gotówkę i nie z tymi legitymacjami. Reacher jest w ogóle niepodobny do Temple'a. Zauważą to nawet ludzie z Agencji Bezpieczeństwa Transportu. Moim zdaniem po prostu się zaszyli. I całkiem nieźle wybrali. Hotele przy lotniskach są anonimowe, a Pittsburgh nie jest pępkiem znanego wszechświata. Chciałbym jednak wiedzieć, skąd wzięli tyle kasy.

– Nasi chłopcy dotrą tam tak szybko, jak zdołają.

– Menedżer twierdzi, że Turner gdzieś telefonowała.

– Do kogo?

– Właśnie to ustalam.

• • •

Leżeli wyczerpani i spoceni w skotłowanej pościeli, oddychając najpierw szybko, a po jakimś czasie wolniej. Turner oparła się na łokciu i wpatrywała się w twarz Reachera, a potem zaczęła wodzić palcem po jego czole, powoli i uważnie.

– Nie ma nawet małego zasinienia – stwierdziła.

– Lita kość – odparł. – Na całej szerokości.

Jej palec dotknął jego nosa.

– Ale tu już nie na całej szerokości – mruknęła. – To zdarzyło się niedawno?

– W Nebrasce – odparł. – Jakiś facet bardzo się czymś podekscytował.

Koniuszek jej palca przesunął się po skaleczeniach, które zdążyły się już zagoić, i po zgrubieniach kości, które sprawiały, że jego nos był teraz lekko przekrzywiony w prawo. Co nadal było czymś zaskakującym dla niego, ale całkowicie naturalnym dla niej. Powiodła palcem wokół jego ucha, a potem po karku i piersi. Włożyła koniuszek małego palca w bliznę po kuli. Pasował akurat.

– Kaliber trzydzieści osiem – powiedział. – Słaby nabój.

– Miałeś szczęście.

– Zawsze mam szczęście. Spójrz na mnie teraz.

Jej palce przesunęły się niżej i dotknęły starej blizny po szrapnelu.

– Bejrut – powiedziała. – Czytałam twoje akta. Dostałeś Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce. Nieźle, ale mimo to założę się, że więcej metalu masz w brzuchu niż w klatce piersiowej.

– To była kość – odparł. – Fragmenty głowy kogoś, kto stał bliżej.

– W aktach napisali, że to szrapnel.

– Ile razy czytałaś te akta?

– Ciągle do nich zaglądałam.

– Wiesz, skąd pochodzi słowo „szrapnel"?

– Skąd?

– Od nazwiska żyjącego w osiemnastym wieku Brytyjczyka, niejakiego Henry'ego Shrapnela.

– Naprawdę?

– Przez osiem lat był kapitanem artylerii. A potem wynalazł pocisk eksplodujący i awansowali go na majora. Książę Wellington użył tych pocisków w wojnie na Półwyspie Iberyjskim i w bitwie pod Waterloo.

– Niesamowite.

– Ale dzięki, że czytałaś te akta. To wiele dla mnie znaczy.

– Dlaczego?

– Bo teraz nie muszę już tracić czasu na opowiadanie ci starych historii. Już je znasz.

– Opowiadanie sobie starych historii ma pewien urok.

– Ty nie opowiedziałaś mi żadnej.

– Ale opowiem – odparła. – Opowiem ci tyle historii, ile tylko zechcesz wysłuchać.

Romeo zatelefonował do Juliet.

– Zadzwoniła na komórkę na kartę prawie na pewno kupioną w Wal-Marcie. Jeśli zapłacono za nią gotówką, jest nie do namierzenia. A założę się, że tak właśnie było.

– Warto było spróbować – odparł Juliet.

– Ale pamiętaj, że wiele telefonów na kartę kupują wojskowi. Ponieważ niektórzy z nich nie zarabiają wystarczająco dużo, żeby stać ich było na abonament. Co, szczerze mówiąc, woła o pomstę do nieba. A także dlatego, że niektórzy prowadzą niezbyt zorganizowane życie i telefony na kartę bardziej im odpowiadają.

– To krok do przodu.

– Telefon został namierzony przez trzy stacje bazowe na północny zachód od Pentagonu.

– Rozumiem.

– Rock Creek leży na północny zachód od Pentagonu.

– Zgadza się.

– Moim zdaniem Turner dzwoniła do swojej macierzystej jednostki. I ktoś odebrał jej telefon.

– Nasi chłopcy są w drodze do Pittsburgha.

– To nie ma znaczenia. Nikt w Rock Creek nie może jej teraz pomóc.

40

Turner wzięła prysznic, ale Reacher nie zawracał sobie tym głowy. Włożył szlafrok i rozsiadł się w fotelu, rozgrzany, głęboko zaspokojony, odprężony jak chyba nigdy wcześniej. Po jakimś czasie Turner wyszła z łazienki w drugim szlafroku.

– Która jest godzina? – zapytała.

– Zostały ci cztery minuty – odparł. – Żeby zadzwonić do Leach. Czy ona wie, że z tobą jestem?

Turner pokiwała głową.

– Wie o tym chyba cały świat. Ale i tak jej powiedziałam.

– Nie miała nic przeciwko?

– Jest sierżantem amerykańskiej armii. Nie sądzę, żeby była pruderyjna.

– Nie o to mi chodzi. Jeśli udowodnisz, że jesteś niewinna, nikt jej nie tknie za to, że ci pomagała. Wyjdzie z tego czysta jak łza. Ale jeśli ja nie udowodnię, że jestem niewinny, wtedy będzie miała kłopoty, dlatego że mi pomogła. Albo vice versa. I tak dalej. Bierze na siebie dwukrotnie większe ryzyko i dwukrotnie zmniejsza swoje szanse.

– Nie zgłaszała sprzeciwu.

– Nie powinnaś się jej nigdy pozbywać.

– Nie pozbędę się jej. Jeśli kiedykolwiek tam wrócę – odparła, po czym podniosła słuchawkę i wybrała numer.

• • •

Nieco ponad dwadzieścia kilometrów dalej telefon zadzwonił w terenowym biurze FBI w Pittsburghu przy East Carson Street, na południowy wschód od centrum miasta. Agent dyżurny, który go odebrał, zorientował się, że dzwonią do niego z Budynku Hoovera w Dystrykcie Columbii. Poinformowano go, że w komputerach departamentu bezpieczeństwa krajowego pojawiły się nazwiska Sullivan i Temple, którzy zameldowali się w pobliskim hotelu przy lotnisku. Agent dyżurny przejrzał listy gończe i komunikaty i odkrył, że gliniarze z Waszyngtonu i żandarmeria wojskowa poszukują dwojga zbiegów, którzy mogą podróżować pod tymi nazwiskami.

W związku z tym zadzwonił do dowodzącego agenta specjalnego.

– Chcesz, żebym zawiadomił policję w Waszyngtonie i wojsko? – zapytał.

Agent dowodzący przez chwilę milczał.

– Nie ma potrzeby komplikować sytuacji – stwierdził w końcu.

Nie ma potrzeby dzielić się z kimś zasługą, pomyślał agent dyżurny.

– Wyślij jednego z naszych, żeby to sprawdził – powiedział agent dowodzący.

– Teraz?

– Kiedy będziesz mógł. Nie ma pośpiechu. Mamy czas do rana. W tym momencie na pewno nigdzie się nie wybierają.

• • •

Turner tak jak poprzednio wcisnęła słuchawkę między głowę i ramię i Reacher usłyszał powtarzający się sygnał. A potem Leach odebrała. Nie rozumiał, co mówi, ale zorientował się, w jakim jest nastroju. Niezbyt dobrym. W jej szybkim monologu, który słuchawka zredukowała do cichych plastikowych trzasków, słychać było frustrację i złość.

– Tak czy owak dziękuję – powiedziała Turner i odłożyła słuchawkę. Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej i głęboko zawiedzionej.

– Co jest? – zapytał Reacher.

– Zgadnij.

– Nie było żadnego numeru.

– Brakuje zapisu rozmowy. Ktoś zwinął go z archiwum.

– Morgan?

– To musiał być on. Nikt inny nie zrobiłby tego i nie mógł tego zrobić.

– Więc albo należy do szajki, albo ślepo wypełnia rozkazy.

Turner pokiwała głową.

– Dokładnie po sobie sprzątają. I zabezpieczają się na każdą ewentualność. Są cwańsi, niż myślałam. I dlatego tkwię po uszy w gównie. Nie uda mi się z tego wykaraskać. Nie bez numeru A.M.

– Nie ma go gdzieś w komputerze?

– Tak naprawdę nie ufamy komputerom. Panuje przekonanie, że równie dobrze moglibyśmy wysłać dane prosto do „New York Timesa". Albo do Chin.

– Więc transkrypcja rozmowy na papierze to jedyny zachowany zapis?

Turner znowu pokiwała głową.

– Jedyny, o którym wiem. Może w Bagram zachowali kopię. Dlaczego pytasz? Chcesz zwrócić się do biura śledczego, żeby wydali nakaz? Życzę powodzenia.

– Czy transkrypcja mogła zostać mylnie zaksięgowana?

– Nie, zresztą Leach i tak wszędzie sprawdziła. Nie jest taka głupia.

– Musi być jakiś inny sposób, żeby zdobyć tę informację.

– Obudź mnie, jeśli coś wymyślisz – odparła. – Bo w tym momencie mam dosyć główkowania. Muszę się trochę przespać.

Rzuciła szlafrok na podłogę, obeszła pokój, zasuwając zasłony i gasząc światła, po czym wskoczyła pod kołdrę, obróciła się na drugi bok, wydała długie smutne westchnienie i znieruchomiała. Reacher przez chwilę ją obserwował, a potem wrócił na fotel i przez jakiś czas

siedział po ciemku. Wyobraził sobie archiwum Rock Creek usytuowane na pierwszym piętrze w pokoju dwieście jeden, pierwszym z lewej. Wyobraził sobie dyżurnego kapitana siedzącego na parterze w pokoju sto trzy, przyjmującego wiadomość od Weeksa i Edwardsa, zapisującego jej treść, niosącego drogocenną kartkę po starych betonowych schodach, pokazującego ją Turner, odbierającego jej odpowiedź, wysyłającego ją, zapisującego jej treść i wracającego na piętro, żeby złożyć w archiwum zarówno wiadomość, jak i odpowiedź, w odpowiedniej szufladzie, po kolei, jedną przy drugiej.

A potem wyobraził sobie Morgana, wychodzącego ze swojego gabinetu, dwa pomieszczenia dalej, i zerkającego w lewo i w prawo. To była kwestia chwili. Dwie kartki, spalone, podarte albo wrzucone do niszczarki. Albo schowane do kieszeni i przekazane później nieznanym osobom w zamian za sztywne skinienie głową i luźną sugestię wzięcia pod uwagę przy przyszłych awansach.

Musi być jakiś inny sposób, żeby zdobyć tę informację. Reacher pewnie zapamiętałby ten numer. Lubił liczby. Ta akurat mogła mieć w sobie coś szczególnego. Mogła być liczbą pierwszą. Albo prawie pierwszą. Mogła mieć interesujące dzielniki. Niestety nie widział tej liczby. Ale nie ma rzeczy niemożliwych. Żaden system nie jest idealny, żadne zabezpieczenia nie są na sto procent szczelne, zawsze są jakieś nieprzewidziane luki.

Musi być jakiś inny sposób, żeby zdobyć tę informację.

Nic nie przychodziło mu jednak do głowy. Nie w tym momencie. Wstał, ziewnął, przeciągnął się, a potem rzucił swój szlafrok na szlafrok Turner i wślizgnął się do łóżka obok niej. Zapadła już w głęboki sen. Oddychała powoli. Ciepła i miękka. Siadły jej bezpieczniki. Nastąpiło przeciążenie. Jak w tym starym filmie: *Pomyślę o tym jutro*. Reacher gapił się w sufit, który wisiał nad nim szary i ciemny. A potem zamknął oczy, nabrał powietrza, wypuścił je i zasnął.

Spał smacznie przez całych pięć godzin.

I obudził się o czwartej nad ranem.

Ponieważ ktoś walił w drzwi ich pokoju.

41

Turner też natychmiast się obudziła, ale Reacher położył rękę na jej ramieniu.

– Ja pójdę – szepnął.

Zamrugał, wyślizgnął się z łóżka, znalazł na podłodze szlafrok i idąc, włożył go. Walenie nie ustawało. To nie był grzeczny, przepraszający odgłos. Taki, jaki można usłyszeć w hotelu w środku nocy. To było łomotanie, mocne i natarczywe. Aroganckie i napastliwe. To był odgłos nieznoszący sprzeciwu. Odgłos stróżów prawa. Albo kogoś, kto się pod nich podszywa.

Reacher nie zerknął przez wizjer. Nie lubił wizjerów. Nie lubił ich, odkąd sięgał pamięcią. Napastnik musiał tylko zaczekać, aż soczewka pociemnieje, i strzelić z pistoletu w wywierconą wcześniej dziurę. Bez celowania. Lepiej zignorować wizjer, otworzyć szarpnięciem drzwi i uderzyć w gardło napastnika lub napastników. Albo nie. W zależności od tego, kim są i ilu ich jest.

Za jego plecami Turner wstała z łóżka i też włożyła szlafrok. Wskazał jej łazienkę. Nic by nie zyskali, tworząc jeden cel. Nie miała zresztą wyboru. Z pokoju można było się wydostać wyłącznie przez drzwi. Znajdowali się na wysokim piętrze, a okna i tak się nie otwierały. Prawdopodobnie ze względu na dociekliwe dzieci i dlatego, że hotel stał przy lotnisku, gdzie od wczesnego ranka do późnego wieczora słyszy się ryk odrzutowców i wdycha opary lotniczego paliwa.

Turner weszła do łazienki, a Reacher położył rękę na klamce. Odetchnął głęboko. Wojskowi żandarmi i agenci federalni staliby z bronią gotową do strzału. To oczywiste. Ale nie strzelaliby. Nie od razu. Za długo ich szkolono. Mieli za dużo procedur. I musieliby potem wypełniać za dużo papierów. Ale czterej faceci z samochodu z wgniecionymi drzwiami mogli strzelać bez ostrzeżenia. Byli wyszkoleni, ale nie mieli procedur i nie musieliby wypełniać żadnych papierów.

Więc najlepiej było otworzyć drzwi, ale się zza nich nie wychylać. Drzwi, które same się uchylają, aż się proszą, by wyciągnąć szyję i zajrzeć do środka. Z kolei wsadzona do środka głowa aż się prosi o szybki cios w skroń. Następnie trzeba natychmiast zamknąć kopniakiem drzwi i ma się na podłodze zakładnika po jednej stronie i jego kumpli po drugiej. Ma się kartę przetargową do negocjacji.

Reacher nacisnął klamkę. O dziesięć stopni. Potem o dwadzieścia. Trzydzieści. Żadnej reakcji. Nacisnął ją więc szybko do końca i pociągnął do siebie tak, że drzwi otworzyły się na szerokość może pół metra. Odchylił ramię, zacisnął pięść i czekał.

Czekał bardzo długo.

Drzwi zablokował czyjś but i ten, kto to zrobił, podejmował decyzję. Co trwało zastanawiająco długo.

Minęła prawie cała minuta.

Nagle do środka wpadł jakiś przedmiot.

Reacher nie przyjrzał mu się. Nie śledził go wzrokiem. Nie urodził się wczoraj. Ale to, co uchwycił kątem oka, powiedziało mu, że to koperta. Brązowa, formatu C5, zabezpieczona metalowym klipsem. Coś, w co wyposażone jest każde biuro. Niezbyt ciężka i niezbyt gruba. Dźwięk, jaki wydała, lądując na wykładzinie dywanowej, wzmacniał pierwsze wrażenie. Szelest sztywnego papieru, cichy brzęk, gdy uderzyła kantem w podłogę, i równie cichy chrobot, jakby w środku było kilka przesuwających się przedmiotów, każdy z nich lekki i cienki.

Reacher czekał.

A potem zza drzwi wychyliła się głowa.

Należąca do sierżant Leach.

• • •

Była w mundurze ACU i wyglądała na bardzo zmęczoną. Weszła do pokoju, Turner wyszła z łazienki, a Reacher zamknął drzwi. Turner zobaczyła leżącą na wykładzinie kopertę.

– Jest tam wszystko? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała Leach.

– Myślałam, że wyślesz to kurierem.

– Uznałam, że będzie pani tego potrzebowała wcześniej, niż zdoła to dostarczyć FedEx.

– Więc przyjechałaś tu aż z Waszyngtonu?

– Cóż, nie przyszłam piechotą i nie przyleciałam.

– Ile ci to zajęło?

– Mniej więcej cztery godziny.

– Dziękuję, sierżant.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Kiedy obejmujesz rano dyżur?

– Wystarczająco wcześnie, by zaraz ruszać z powrotem.

– Ale?

– Jestem w sytuacji, w której wolałabym się nie znajdować.

– To znaczy?

– Będę musiała skrytykować kolegę z jednostki i starszego rangą oficera.

– Chodzi o jedną czy o dwie osoby?

– O jedną, pani major.

– O mnie?

– Nie, pani major.

– O Morgana?

– Nie, pani major. O kogoś innego. Ale dowodzi pani tą jednostką, a ja nie jestem kapusiem.

– Więc powiedz Reacherowi. On nie jest niczyim dowódcą.

Leach przez chwilę milczała, rozważając wszystkie za i przeciw. I ar-

gument Turner chyba trafił jej do przekonania, bo zwróciła się do Reachera:

– Panie majorze, od dawna niepokoi mnie zachowanie kapitana dyżurnego.

– Od jak dawna?

– Od samego początku.

– Dlaczego nic nie zrobiliście w tej sprawie?

– Nie bardzo wiedziałam jak. On jest kapitanem, ja jestem sierżantem.

– W czym leży problem?

– To bazgracz. Bazgrze i gryzmoli przez cały czas, kiedy siedzi przy telefonie.

Reacher pokiwał głową.

– Widziałem rezultaty – powiedział. – Na jego biurku. Na żółtym bloku do pisania.

– Pan major wie, dlaczego on to robi?

– Bo jest znudzony.

– Ale czasami wcale nie jest znudzony. Na przykład kiedy dostaje ważne wiadomości. Wtedy się zmienia. Nagle jest szczęśliwy.

– Przepisy tego nie zabraniają.

– Ale nadal trzyma w ręku długopis. On się zmienia i zmieniają się również jego bazgroły. Czasami to nawet nie są bazgroły. Niekiedy coś zapisuje. Kluczowe słowa.

Reacher nie odezwał się.

– Nie rozumie pan? – zapytała Leach. – Kapitan ma do czynienia z poufnymi informacjami, a te w fizycznej formie mają prawo znajdować się tylko w jednym miejscu, którym jest archiwum Rock Creek. Ich istnienie w fizycznej formie w jakimkolwiek innym miejscu jest niezgodne z przepisami.

– No już, powiedz mi – przerwała jej Turner.

– Kapitan zapisał ten numer? – zapytał Reacher.

– Tak jest, pani major – odparła Leach. – Zapisał ten numer.

• • •

Leach wyjęła z kieszeni zmięty arkusz papieru. To była kartka wyrwana z żółtego bloku, który Reacher widział wcześniej. Zgięta na górze, bo przez kilka dni była podwinięta. Praktycznie cała zamazana długopisem. Były tam fantastyczne kształty, zawijasy, sześciany i spirale, a gdzieniegdzie zapisane zwykłym tekstem godziny, nazwiska i słowa, niekiedy kilka razy podkreślone, czasami w ramkach, a jeszcze gdzie indziej zakreskowane tak mocno, że trudno je było odczytać.

Leach dźgnęła palcem pierwsze dające się odczytać słowo, które znajdowało się mniej więcej w jednej trzeciej kartki. Tym słowem było Kandahar. Rzeczownik własny. Nazwa miejscowości. Obok niej narysowana była wyraźna strzałka skierowana na zewnątrz.

– To ostatnia depesza przed tą, której brakuje – wyjaśniła.

– Weeks i Edwards wyruszają z Kandaharu i wracają do Bagram, żeby zgodnie z rozkazem być w pogotowiu. Wszystko to jest w archiwum, dokładnie tak, jak powinno.

Następnie przesunęła palec w dół, gdzie zapisane były dwa rozdzielone myślnikiem słowa: *Hood – kilka dni*. Litera H została później ozdobiona barokowymi zawijasami przez znudzonego faceta dyżurującego przy telefonie.

– To następna depesza po tej, której brakuje – ciągnęła Leach. – Ona też jest w archiwum, zaraz po tej z Kandaharu. Nasi ludzie zgłaszają się z Fort Hood w Teksasie i meldują, że będą musieli tam zostać przez kilka dni.

Następnie przesunęła rękę w górę i objęła palcami środkową część kartki.

– Ta część odpowiada luce w raportach – powiedziała. Środkową część kartki wypełniały czarne gryzmoły, wśród których powtarzały się bez końca kwadraty, labirynty i spirale. Ale w samym jej środku widniały litery A i M, a obok czterocyfrowa liczba. Litery i cyfry zostały najpierw niedbale nagryzmolone, a potem zapisane wyraźniej, pogrubione,

wyrównane, podkreślone i w końcu porzucone.

A.M. 3435.

Turner uśmiechnęła się.

– Z formalnego punktu widzenia kapitan zachował się niewłaściwie, ale ten jedyny raz mu darujemy, pani sierżant – powiedziała.

A.M. 3435.

Była to liczba, którą Reacher powinien raczej zapamiętać, ponieważ suma liczb 3, 4, 3 i 5 podniesionych odpowiednio do potęgi trzeciej, czwartej, trzeciej i piątej daje liczbę 3435. Co jest ciekawe. Podobne liczby bardzo fascynowały faceta, który nazywał się Joseph Madachy i dawno temu był właścicielem, wydawcą oraz redaktorem czasopisma pod tytułem „Recreational Mathematics". W dzieciństwie Reacher czytał stare numery tego czasopisma w bibliotece bazy piechoty morskiej na Pacyfiku.

– W jaki sposób mogę najszybciej skontaktować się z major Sullivan z Wojskowego Biura Śledczego, pani sierżant? – zapytał.

– Bezpośrednio, panie majorze?

– Osobiście.

– Kiedy, panie majorze?

– W tej chwili.

– W środku nocy?

– W tej minucie.

Leach wyjęła z kieszeni kolejny papier. Mniejszy. Była to przedarta w połowie kartka z bloczku.

– To numer prywatnej komórki major Sullivan – powiedziała. – Na pewno leży teraz na jej nocnej szafce.

– Skąd pani wiedziała, że będę jej potrzebował?

– Domyśliłam się, że tak właśnie będzie pan chciał to załatwić. Wnioski obrony mogą obejmować bardzo szeroki zakres spraw. Ale czy pozwoli mi pan na osobistą uwagę?

– Jasne.

Leach wyjęła z kieszeni drugą kartkę. Kolejna przedarta w połowie kartka z bloczku, dokładnie taka sama jak poprzednia.

– To jest numer prywatnej komórki kapitan Edmonds. Pańskiej drugiej obrończyni. Która moim zdaniem jest w tym przypadku bardziej odpowiednią osobą. Będzie działała w tej sprawie z większym przekonaniem. Kapitan lubi dopilnować, żeby wszystko było załatwione, jak należy.

– Nawet po tym, jak uciekłem z więzienia?

– Tak uważam.

– To znaczy, że jest idealistką?

– Niech pan korzysta, kiedy to jeszcze możliwe. To nie potrwa długo. W przypadku major Sullivan nie potrwało.

– Czy FBI bierze udział w obławie? – zapytał Reacher.

– Zostali powiadomieni.

– Kto koordynuje akcję ze strony armii?

– Siedemdziesiąta piąta jednostka żandarmerii. Ekipą dowodzi chorąży Espin. Którego pan poznał. To on przywiózł pana do Dyer. Ludzie mówią, że potraktował to jako osobistą zniewagę. Twierdzi, że nadużył pan jego zaufania. Uważa, że wyświadczył panu przysługę i w ten sposób nieumyślnie uruchomił całą intrygę.

– Jaką przysługę?

– Zatrzymał pana w Dyer. Detektyw Podolski chciał pana zabrać do cywilnego komisariatu, a Espin się nie zgodził. A potem na domiar złego poprosił go pan, żeby wysłał do pana jak najszybciej kapitana dyżurnego, co Espin zrobił i co traktuje jako kolejną przysługę, którą pan wykorzystał.

– Kapitan dyżurny przyszedłby tak czy siak.

– Ale niekoniecznie tak szybko. A cały pański plan mógł się powieść tylko pod warunkiem, że wszystko będzie gotowe po południu. Więc musiał pan wcześnie zacząć. A Espin uważa, że nieumyślnie to panu ułatwił.

– Czy robi jakieś postępy?

– Na razie nie. Ale nie dlatego, że się nie stara.

– Może mu pani przekazać wiadomość?

– Być może.

– Niech mu pani powie, żeby nie chował urazy. I zapyta, co by zrobił na naszym miejscu.

– Zrobię to, panie majorze. Jeśli zdołam.

– Jak się pani nazywa, sierżant?

– Leach, panie majorze.

– Chodzi mi o imię.

– Chris, panie majorze.

– To skrót od Christine, Christiny czy czegoś podobnego?

– Po prostu Chris, panie majorze. Takie imię mam na świadectwie urodzenia.

– Cóż, Chris, gdybym nadal był dowódcą sto dziesiątej, poruszyłbym niebo i ziemię, żebyś tam została. Ta jednostka miała wielu wspaniałych podoficerów, ale ciebie można zaliczyć do najlepszych.

– Dziękuję, panie majorze.

– Nie, to ja pani dziękuję, pani sierżant.

• • •

Zaraz potem Leach wyszła. Czekała ją czterogodzinna jazda z powrotem, a następnie całodzienna służba. Reacher spojrzał na Turner.

– Musisz być cholernie dobrym dowódcą, skoro są wobec ciebie tacy lojalni.

– Nie bardziej lojalni niż kiedyś wobec ciebie – odparła.

– Ty miałeś Frances Neagley.

– Jej teczkę osobową też czytałaś?

– Czytałam wszystkie teczki osobowe. I wszystkie raporty operacyjne. Chciałam poznać sto dziesiątą od podszewki.

– Jak już mówiłem, jesteś wspaniałym dowódcą.

Reacher położył na biurku arkusz wyrwany z bloku, a obok jedną z przedartych w połowie karteczek. Następnie wziął do ręki słuchawkę i wybrał numer prywatnej komórki kapitan Tracy Edmonds.

42

Telefon dzwonił bardzo długo, ale Reacher się tego spodziewał. Sieci komórkowe potrzebują czasami ośmiu sekund, by nawiązać połączenie. I bardzo mało śpiących osób zrywa się tak szybko, jak to pokazują w filmach. Większość budzi się powoli, grzebie się i przeciera oczy.

Edmonds w końcu jednak odebrała.

– Halo? – zapytała. W jej głosie słychać było lekki niepokój i mówiła trochę niewyraźnie, jakby spuchł jej język albo miała coś w ustach.

– Kapitan Edmonds? – zapytał Reacher.

– Kto mówi?

– Pani klient, Jack Reacher, major armii Stanów Zjednoczonych. Niedawno przywrócony do służby. Obecnie na manewrach sto dziesiątej jednostki żandarmerii wojskowej. Jest pani sama?

– Co to za pytanie?

– Nasza rozmowa jest objęta tajemnicą zawodową, pani mecenas. Mamy do omówienia kwestie prawne.

– Zgadza się, do cholery.

– Proszę się uspokoić, pani kapitan.

– Uciekł pan z więzienia.

– To już nie wolno tego robić?

– Musimy porozmawiać.

– Właśnie to robimy.

– Mam na myśli poważną rozmowę.

– Jest pani sama?

– Tak, jestem sama. I co z tego?

– Ma pani długopis?

– Teraz już mam – odparła po chwili.

– Dobrze, niech pani uważa. Żeby bronić się skutecznie przed zarzutami, potrzebuję papierowych kopii wszystkich informacji, jakie ktokolwiek ma na temat obywatela Afganistanu znanego pod numerem referencyjnym A.M. trzy tysiące czterysta trzydzieści pięć.

– Te dane są prawdopodobnie tajne.

– Mam prawo do sprawiedliwego procesu. Sądy traktują te bzdury bardzo poważnie.

– Tak czy inaczej, prosi mnie pan o bardzo wiele.

– Wet za wet. Oni wytoczyli przeciwko mnie to bzdurne oświadczenie.

– Reprezentuję pana w sprawie o ojcostwo, Reacher, nie w sprawie Juana Rodrigueza. Tym zajmuje się major Sullivan. A wydobycie papierowych kopii materiałów wywiadowczych z Afganistanu nie jest łatwe, nawet gdyby chodziło o sprawę kryminalną.

– Powiedziała pani, że w wojskowym kodeksie karnym cudzołóstwo nadal jest uważane za przestępstwo. Jaką karą jest zagrożone?

– Potencjalnie wysoką.

– Więc nie chodzi tylko o ustalenie ojcostwa. To również sprawa kryminalna.

– To lekka przesada.

– Nie można zjeść ciastka i mieć ciastka, pani mecenas.

Wymienili cudzołóstwo jako przestępstwo. Albo to coś znaczy, albo nie.

– Musimy porozmawiać, Reacher.

– Czy za chwilę usłyszę od pani, że zgłoszenie się na policję to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić?

– Bo to najlepsza rzecz.

– Być może. Ale ja wybrałem plan B. Dlatego potrzebuję tych infor-

macji.

– Ale jaki to ma związek? Kiedy był pan w Korei, wojna w Afganistanie jeszcze się nie zaczęła. I kiedy spotkał się pan z Big Dogiem, też nie.

Reacher nie odpowiedział.

– Aha – mruknęła Edmonds.

– Zgadza się – powiedział Reacher. – Jak na adwokatkę, jest pani dość bystra. Tu chodzi o major Turner, nie o mnie. A może o major Turner i o mnie, ponieważ mamy do czynienia z wyzwaniem, które ktoś rzucił dwojgu komendantom sto dziesiątej jednostki specjalnej. Co oznacza, że w tej sprawie będą wygrani i przegrani, a pani powinna się znaleźć po stronie wygranych, bo w tej armii znalezienie się po stronie wygranych przynosi niewyobrażalne korzyści.

– I to wy będziecie tymi, którzy wygrają?

– Może pani być tego pewna. Załatwimy ich z palcem w nosie. I musimy to zrobić, pani kapitan. Zabili dwóch naszych w Afganistanie. I o mało nie zatłukli na śmierć jednego z pani kolegów.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparła Edmonds.

• • •

Turner nadal była w szlafroku i raczej nie miała ochoty wracać do łóżka.

– Co jest w tej kopercie? – zapytał Reacher.

– Druga rzecz, o którą poprosiłam sierżant Leach.

– Już się tego domyśliłem. Ale o co ją poprosiłaś?

– Lecimy teraz do Los Angeles.

– Naprawdę?

Turner pokiwała głową.

– Musisz załatwić tę sprawę z Samanthą.

– Zajmę się tym.

– Nie można wykluczyć, że tutaj przerżniemy, a wtedy nas zamkną i

wyrzucą klucz. Nie mogę pozwolić, żeby to się stało, nim spotkasz się z córką. Do końca życia nie będziesz myślał o niczym innym. Więc możesz na chwilę odstawić mój problem na tylny palnik i zająć się swoim.

– Kiedy to zaplanowałaś?

– Jakiś czas temu. Miałam do tego pełne prawo. Służysz w mojej jednostce. Jestem twoim dowódcą. Lecimy teraz do Los Angeles.

– Co jest w tej kopercie? – zapytał Reacher.

Zamiast odpowiedzieć, wysypała zawartość na łóżko.

Dwie karty kredytowe.

I dwa prawa jazdy.

Zachowała jeden komplet dla siebie, a drugi wręczyła Reacherowi. Wydane w stanie Nowy Jork prawo jazdy i karta kredytowa Visa. Prawo na nazwisko Michaela Dennisa Kehoe, lat czterdzieści pięć, zamieszkałego w Queens. Niebieskie oczy, wzrost metr dziewięćdziesiąt pięć. Dawca narządów. Na zdjęciu widać było faceta z kwadratową twarzą i byczym karkiem. Kartę kredytową wystawiono na to samo nazwisko.

– Są prawdziwe? – zapytał Reacher.

– Moje tak.

– Moje nie?

– W pewnym sensie. Wypożyczone z sejfu dla przykrywkowców.

Reacher pokiwał głową. Sto dziesiąta stale wysyłała gdzieś przykrywkowców. Ci ludzie potrzebowali dokumentów. Rząd dostarczał je i były autentyczne pod każdym możliwym względem, tyle że nigdy nie wydano ich rzeczywistej osobie.

– Skąd pochodzą twoje dokumenty? – zapytał.

– Należą do przyjaciółki Leach. Powiedziała, że zna kobietę, która jest do mnie podobna.

– Więc jak się teraz nazywasz?

Turner odpowiedziała, kładąc mu swoje prawo jazdy na kolanach, jakby pokazywała karcianą sztuczkę.

Margaret Vega, zamieszkała w Illinois, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, brązowe oczy, wiek trzydzieści jeden lat. Niebędąca

dawczynią organów. Na fotografii widać było niezbyt smagłą Latynoskę. Na pierwszy rzut oka trochę podobną do Turner, ale nie do końca.

Reacher oddał jej prawo jazdy.

– I pani Vega tak chętnie oddała swoje prawko? Ot tak? I kartę kredytową?

– Musimy je oddać. I musimy zwrócić wszystkie wydatki, które opłacimy kartą. Musiałam to oczywiście obiecać. Ale przeznaczymy na to pieniądze Billy'ego Boba.

– Nie o to mi chodziło. Pani Vega wzięła na siebie duże ryzyko.

– Domyślam się, że Leach potrafi być przekonująca.

– Tylko ponieważ uważa, że jesteś tego warta.

– Nie miała żadnych przyjaciół, którzy są do ciebie podobni. Nawet odrobinę. Dlatego musieliśmy wyciągnąć dokumenty z sejfu. Pan Kehoe był prawdopodobnie celem akcji w jakimś scenariuszu szkoleniowym. Wygląda jak facet z piłą łańcuchową z filmowego horroru.

– Więc powinien pasować. Kiedy wychodzimy?

– Jak najszybciej – odparła Turner. – Chcę, żebyśmy zdążyli na wczesny samolot.

• • •

Wzięli prysznic i się ubrali. Spakowanie się polegało na schowaniu do kieszeni nowych szczoteczek do zębów. Zostawili zasunięte zasłony i zgaszone światła, Reacher zawiesił na klamce zawieszkę z napisem *Nie przeszkadzać* i ruszyli szybko korytarzem w stronę windy. Minęła właśnie piąta i spodziewał się, że pierwsze samoloty na Zachodnie Wybrzeże zaczną startować koło szóstej. Z Pittsburgh International nie będą mieli zbyt wielkiego wyboru, ale kilka lotów na pewno się znajdzie. W najgorszym razie będą musieli przesiąść się w San Francisco, Phoenix lub Las Vegas.

Winda zjechała na parter i znaleźli się w pustym holu. Nikogo w re-

cepcji. Nikogo nigdzie. Reacher wrzucił więc ich elektroniczne klucze do kosza i ruszyli w stronę wyjścia, gdzie odegrali scenkę rodzajową w stylu „pani pierwsza, nie, pan pierwszy" z udziałem samotnego faceta, który wybrał akurat ten moment, by wyłonić się z mroku po drugiej stronie. Był to krępy mężczyzna w granatowym garniturze, białej koszuli i granatowym krawacie, z obciętymi w konserwatywnym stylu włosami i świeżo ogolonymi różowymi policzkami. W końcu ustalili trójfazowy porządek dziobania: facet przytrzymał drzwi przed Turner, która wyszła, potem Reacher cofnął się i facet wszedł, i na koniec Reacher wyszedł na zewnątrz.

Przy krawężniku nie było taksówek, ale stał tam hotelowy autobus dowożący gości na lotnisko, z otwartymi drzwiami i silnikiem na chodzie. Nikt nie siedział za kierownicą. Być może kierowca wszedł do hotelu, żeby się odlać.

Na pasie awaryjnym dziesięć metrów dalej stał chevrolet crown vic. Granatowy i lśniący, z antenami na pokrywie bagażnika. Reacher odwrócił się i spojrzał przez oszklone drzwi w głąb holu. Facet, który wszedł do środka, czekał na recepcjonistę. Granatowy garnitur. Biała koszula. Granatowy krawat. Krótko obcięte włosy, ogolone różowe policzki.

– FBI – mruknął Reacher.

– Śledzili te nazwiska – odparła Turner. – Sullivan i Temple.

– Przeszedł tuż obok nas. Ile potrwa, zanim w jego głowie zapali się światełko?

– Jest z FBI, więc to nie będzie natychmiast.

– Moglibyśmy wrócić do pick-upa i odjechać.

– Nie, pick-up powinien tu zostać. Musimy zacierać za sobą ślady. Wsiądźmy do autobusu. Kierowca za chwilę wróci. Musi wrócić. Zostawił silnik na chodzie.

– Będziemy jak cele na strzelnicy – zauważył Reacher.

– Nie, będziemy niewidzialni – odparła Turner. – Zwykli ludzie w autobusie.

Reacher rozejrzał się. Facet nadal czekał przy biurku recepcji. Za

którym nikogo nie było. Hotelowy autobus był ozdobiony chromowanymi listwami i miał czarne okna. Niczym limuzyna gwiazdora. Odrobina blichtru na użytek szarego podróżnego.

Czarne okna. Zwykli ludzie w autobusie. Drapieżca i ofiara, ruch i bezruch. Pradawne ewolucyjne dziedzictwo.

– Dobrze, pojedziemy autobusem – ustąpił Reacher.

Wsiedli, resory ugięły się pod ich ciężarem, ruszyli wąskim przejściem i zajęli miejsca po drugiej stronie, w połowie autobusu.

Siedzieli nieruchomo, czekając.

Nie czuli się zbyt komfortowo.

Widok na hotelowy hol nie był zbyt wyraźny z powodu sporej odległości, wielu warstw szkła oraz ciemnego odcienia szyby, ale Reacher wciąż widział faceta. Który zaczynał się niecierpliwić. Odwrócił się na pięcie, by mieć przed sobą cały hol, i odsunął dwa kroki od kontuaru recepcji. Zawłaszczając większą przestrzeń, wyrażając swoje niezadowolenie, ale pozostając dość blisko kontuaru, by zachować pierwsze miejsce w kolejce. Nie żeby ktoś chciał mu odebrać ten zaszczyt. Nikt nie powinien tego zrobić przez najbliższą godzinę. Pierwsze nocne przyloty również zaczynały się koło szóstej rano.

A potem facet zrobił nagle długi krok przed siebie, skwapliwie, jakby chciał się z kimś przywitać. Albo kogoś zagadnąć. W polu widzenia pojawiła się kolejna postać. Mężczyzna w czarnym uniformie, składającym się między innymi z przykrótkiej kurtki. Być może boy hotelowy. Facet z FBI zadał mu pytanie, któremu towarzyszył szeroki gest ręki, oznaczający prawdopodobnie „Gdzie, do diabła, wszyscy się podziali?", a facet w przykrótkiej kurtce przystanął zmieszany, jakby to była sprawa, która wykracza poza jego zwykłe obowiązki, następnie wcisnął się za kontuar recepcji i zapukał do drzwi, bezskutecznie, w związku z czym uchylił je lekko i zawołał coś ponaglająco. Piętnaście sekund później wyszła przez nie młoda kobieta, przeczesując palcami włosy. Facet z FBI podszedł do kontuaru, młoda kobieta spojrzała na niego wyczekująco, a facet w przykrótkiej czarnej kurtce wyszedł na zewnątrz.

To nie był boy hotelowy.

To był kierowca autobusu.

Wsiadł do pojazdu i zobaczył, że ma pasażerów. Zerknął w stronę hotelu, żeby sprawdzić, czy nie widać kolejnych, i uznał, że nie powinien chyba na to liczyć.

– Krajowe czy międzynarodowe? – zapytał.

– Krajowe – odparła Turner.

Kierowca usiadł za kierownicą, wyciągnął pas, ciasno go zapiął, drzwi zamknęły się z chrapliwym poświstem, i autobus ruszył z miejsca.

I zaraz potem musiał się zatrzymać, ponieważ wokół zaparkowanego chevroleta manewrował, blokując im drogę, samochód, który właśnie podjechał pod hotel.

Samochód z wgniecionymi drzwiami.

43

Samochód z wgniecionymi drzwiami przecisnął się obok zaparkowanego chevroleta, po czym zwolnił do prędkości pieszego i szykował się, by stanąć tuż przy wejściu do hotelu. Autobus powoli i mozolnie wjechał na zwolnione przez niego miejsce i minął go blisko, bok przy boku. Reacher uniósł się ze swojego fotela i wbił wzrok w szybę. W samochodzie byli wszyscy czterej faceci. Dwóch, których poznał pierwszego wieczoru, a także trzeci facet i duży facet z małymi uszami. Stawiła się cała ekipa.

– Daj sobie spokój – powiedziała Turner.

– Musimy ich wyłączyć z gry.

– Ale nie tutaj i nie teraz. Odstawiliśmy ich na tylny palnik, pamiętasz?

– Najlepiej zrobić to od razu.

– W hotelowym holu? Na oczach agenta FBI?

Reacher odwrócił głowę i zobaczył, że czterej faceci wysiadają z samochodu. Rozejrzeli się szybko w prawo i lewo, a potem weszli do hotelu, gęsiego, w idealnie równej linii, pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, niczym ludzie, którzy mają do załatwienia coś pilnego.

– Odpuść sobie, majorze – powiedziała Turner. – Innym razem, w innym miejscu. Lecimy do LA.

Autobus rozpędził się i zostawił hotel z tyłu. Reacher nie spuszczał go z oczu tak długo, jak długo było coś widać, po czym odwrócił się do

przodu.

– Powiedz mi, co wiesz o tym, jak FBI śledziło nasze nazwiska – poprosił.

– Współczesny świat. – Turner westchnęła. – Departament bezpieczeństwa krajowego. Którego działalność polega głównie na pozyskiwaniu informacji. Spływających z różnych źródeł. Z pewnością od linii lotniczych, ale także z hoteli przy lotniskach. W takim przypadku dość łatwo jest wszcząć alarm, jeśli dwa określone nazwiska pojawią się jednocześnie w tym samym miejscu.

– Czy FBI podzieliłoby się z kimś tymi informacjami?

– Chyba żartujesz.

– W takim razie musimy zrewidować to, co powiedzieliśmy o naszych mocodawcach. To nie są ludzie z bardzo wysokich szczebli władzy. To są ludzie z najwyższych szczebli władzy. Nie sądzisz? Żeby mieć dostęp do baz danych Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, niezależnie, w realnym czasie.

– Może nie do końca w realnym czasie. Facet z FBI jednak ich wyprzedził.

– Bo przyjechał tu z biura terenowego w Pittsburghu. Nasi chłopcy mieli dłuższą drogę do pokonania. Musieli zostać zawiadomieni wcześniej. Ich alarm zadziałał niezależnie.

• • •

Wysiedli przed terminalem. Weszli do środka i zerknęli na tablicę odlotów. W ciągu najbliższej godziny na Zachodnie Wybrzeże odlatywały dwa samoloty, U.S. Airways do Long Beach i kilka minut później American Airlines do hrabstwa Orange.

– Masz jakieś preferencje? – zapytała Turner.

– Long Beach – odparł Reacher. – Możemy wynająć samochód i pojechać najpierw autostradą numer siedemset dziesięć, a potem stojedynką. Oświadczenie matki sporządzone zostało w kancelarii prawnej

w North Hollywood. Domyślam się, że tam właśnie przebywa.

– Jak zamierzasz ją odnaleźć?

– Zacznę od parkingu jej prawnika. To jedyne miejsce, z którego jej nie usuną.

– Kancelaria jej prawnika będzie z pewnością obserwowana. Przez ludzi z siedemdziesiątej piątej i przez FBI. A nasi czterej nieoficjalni przyjaciele pojawią się tam sześć godzin po tym, jak odkryją, że nie ma nas w hotelu.

– Więc musimy być bardzo ostrożni.

Otwierano właśnie kasę U.S. Airways. Pogodna, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta przez minutę odpalała komputery, sortowała nalepki, papiery i pisaki, a potem odwróciła się do nich z uśmiechem. Turner zapytała o bilety do Long Beach, na poranny lot. Kobieta postukała w klawiaturę, układając poziomo opuszki palców z powodu długich paznokci, i oświadczyła, że nie ma ich zbyt dużo. Ale dwa na pewno się znajdą. Więc najpierw Turner, a potem Reacher podali jej prawo jazdy i karty kredytowe, w zamyśleniu i machinalnie, jakby właśnie wyciągnęli je z całej talii dokumentów. Kobieta położyła je przed sobą niczym odpowiedniki miejsca przy oknie i miejsca przy przejściu, następnie wpisała nazwiska, podnosząc i opuszczając głowę, gdy zerkała na prawa jazdy i na ekran, następnie wsunęła karty do terminalu, jeszcze trochę postukała w klawisze i poklikała, maszyna drgnęła i wydrukowała karty pokładowe. Kobieta wzięła je, dopasowała do odpowiednich praw jazdy i odpowiednich kart kredytowych, powiedziała „Pani Vega, panie Kehoe, proszę bardzo", po czym wręczyła im je, robiąc z tego małą ceremonię.

– To dlatego kazałaś mi kupić sweter, tak? – zapytał Reacher.

– Spotykasz się ze swoją córką – przypomniała mu Turner. – A pierwsze wrażenie jest bardzo ważne.

• • •

Juliet zadzwonił do Romea, bo pracowali na różnych odcinkach i pewne obowiązki należały do niego.

– Nasi chłopcy są w tym momencie na korytarzu, dokładnie przed drzwiami ich pokoju – poinformował podekscytowany.

– Na korytarzu? – zdziwił się Romeo.

– Hotelowym korytarzu. Przed drzwiami pokoju. Nasi chłopcy mówią, że w środku jest ciemno i cicho. Na drzwiach wisi zawieszka *Nie przeszkadzać*. Jeszcze nie weszli do środka.

– Więc tamci są w pokoju?

– Muszą być.

– Więc dlaczego nasi chłopcy są na korytarzu?

– Wyłonił się pewien problem.

– Jaki problem? – zapytał Romeo.

– Jest tam FBI.

– Gdzie?

– Razem z naszymi chłopcami. Dosłownie. Na korytarzu. Po prostu tam stoi. Jeden facet. Nie może nic zrobić, bo wydaje mu się, że ma czterech cywilnych świadków. My nie możemy nic zrobić, bo wiemy, że mamy jednego świadka z FBI. Wszyscy utknęliśmy w miejscu.

– Na korytarzu?

– Tuż przy ich pokoju.

– Czy wiemy na pewno, że tam są?

– A gdzie indziej mieliby być?

– Czy są tam oboje?

– Dlaczego pytasz?

– Zabawiałem się przez chwilę w wycinanie i wklejanie.

– Czego?

– Danych. Po tym telefonie do jednostki macierzystej. Wytrącił mnie trochę z równowagi. Uznałem, że dobrze będzie przedsięwziąć pewne środki zapobiegawcze. Wśród rzeczy, które wciągnąłem na listę alarmową, była lista fikcyjnych tożsamości dla przykrywkowców w sto dziesiątej. Zrobiłem to bez określonego powodu. Po prostu, żeby mieć świadomość, że robię wszystko, co mogę. Ale przed chwilą otrzymałem

wiadomość zwrotną. Jedna z osób legitymujących się spreparowanym dowodem tożsamości kupiła właśnie bilet na lot U.S. Airways z Pittsburgha do Long Beach w Kalifornii.

– Na kiedy?

– Na dziś rano. Startuje mniej więcej za pół godziny.

– Tylko jedna osoba?

– Nie wypłynęło żadne z innych nazwisk.

– Które to z nich?

– Michael Dennis Kahoe. Innymi słowy, mężczyzna. To oznacza, że się rozdzielili. Musieli to zrobić. Kobieta ma wyłącznie dowód tożsamości Helen Sullivan i w tym momencie zdali sobie sprawę, że nikt, kto nazywa się Helen Sullivan, nie wejdzie w najbliższym czasie na pokład samolotu. Nie bez dokładnej kontroli, na którą Turner nie może sobie pozwolić. Dlatego Reacher sam wybrał się do Kalifornii. Co ma sens. On musi tam jechać. Ona nie.

– Więc Turner jest w pokoju sama – podsumował Juliet.

– To wydaje się logiczne. Jeśli Reacher jest w drodze do Kalifornii.

– Jak najbardziej logiczne. Jeśli tak jest.

– Ale nie, jeśli tak nie jest. Musimy to natychmiast sprawdzić. I dobić targu z FBI. My nie zakablujemy ich, oni nie zakablują nas. Albo jakoś inaczej. Ale nasi chłopcy muszą wejść do pokoju w tej chwili. Nawet jeśli to oznacza, że wejdzie tam również FBI.

• • •

Turner była dowódcą i chciała przejść jak najszybciej przez kontrolę bezpieczeństwa. Uważała, że lotniskowa kontrola stanowi pewien rodzaj bariery. Przynajmniej dla czterech facetów. Jeśli w ogóle zjawią się na lotnisku. Co mogło się zdarzyć, jeśli pogadali z kierowcą autobusu. Dwójka pasażerów? Tak, proszę pana, wysiedli przy odlotach krajowych. Kontrola bezpieczeństwa nie stanowiła jednak żadnej przeszkody dla FBI i wojska. Ci idą od razu na początek kolejki, a potem przechodzą

bocznymi drzwiami.

Więc tak naprawdę nie była to żadna bariera. Bardziej coś w rodzaju filtru.

W kieszeniach nie mieli niczego metalowego z wyjątkiem monet, które wysypali na czarną porysowaną tackę. Następnie jedno po drugim przeszli bez butów i bez kurtek przez bramkę wykrywacza – dwie niewyróżniające się osoby w gęstniejącym powoli tłumie. Włożyli z powrotem kurtki, zasznurowali buty, podzielili między sobą drobne i ruszyli na poszukiwanie kawy.

• • •

Juliet zadzwonił do Romea.

– Naszym chłopcom udało się zajrzeć do pokoju – oznajmił. – Powiedzieli, że martwią się o znajomego, i facet z FBI natychmiast dał się przekonać. Otwarcie drzwi stało się dzięki temu czymś w rodzaju usługi publicznej.

– I co? – zapytał Romeo.

– W pokoju nikogo nie było.

– Są na lotnisku.

– Oboje?

– Jedna z pasażerek tego samego lotu U.S. Airways użyła karty kredytowej wydanej przez bank działający w hrabstwie Arlington. Na nazwisko Margaret Vega.

– I co? – chciał wiedzieć Juliet.

– Zarezerwowała bilet bardzo późno. Godzinę przed odlotem.

– I co?

– Tylko dwoje pasażerów kupiło bilety tuż przed odlotem. Drugim jest Michael Dennis Kehoe. Ich karty zostały obciążone w tej samej minucie.

– Gdzie Turner dostała kartę kredytową na nazwisko Margaret Vega?

– Jeszcze tego nie wiem.

– Karta nie pochodzi z sejfu dla przykrywkowców?

– Nie. Możliwe, że należy do prawdziwej osoby. Być może do kogoś z jednostki macierzystej. Sprawdzę to.

– Kiedy startuje samolot?

– Zaczną wpuszczać na pokład za mniej więcej piętnaście minut.

– Dobrze, posyłam naszych chłopców prosto do terminalu. Będą mogli przynajmniej sprawdzić teren przed strefą zastrzeżoną.

– Pomyślałem o tym wcześniej. Będą mogli wejść do strefy zastrzeżonej. A nawet wsiąść do samolotu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kupiłem im dwa miejsca i dwa miejsca rezerwowe. Co, swoją drogą, nie było łatwe. Wygląda na to, że samolot będzie miał komplet pasażerów. Powiedz im, że karty pokładowe będą na nich czekały w kasie.

• • •

Poczekalnia przed wejściem na pokład samolotu była duża, z wykładziną dywanową na podłodze i pomalowanymi na kojące pastelowe kolory ścianami, ale trudno było się w niej odprężyć, ponieważ kłębił się tam ponadstuosobowy tłum. Trasa z Pittsburgha do Long Beach cieszyła się, jak widać, wielkim powodzeniem. Reacher nie bardzo wiedział dlaczego. Czytał, że w Pittsburghu coraz częściej kręci się filmy, ponieważ zaczęło się to opłacać. Zaoferowano odpowiednie zachęty finansowe i wytwórnie filmowe zareagowały. Nakręcono tu już całkiem sporo najróżniejszego rodzaju filmów i planowano następne. Więc może miał do czynienia z ludźmi z show-biznesu, którzy wracali do domu. Do Hollywood i Beverley Hills można było równie łatwo dostać się z Long Beach, jak i z lotniska LAX. I tu, i tam trzeba było przedrzeć się przez plątaninę autostrad. Tak czy inaczej tłum był gęsty i niezdyscyplinowany. A Reacher jak zawsze wolałby trzymać się na uboczu, lecz dowódcą była Turner, a ona chciała jak najprędzej dostać się na pokład samolotu. Jakby wąska kabina stanowiła suwerenne terytorium, coś w

rodzaju ambasady w obcym kraju, w której obowiązują inne prawa aniżeli w otaczającym ją mieście. Ich rząd miał wysoki numer, co oznaczało, że siedzą bliżej ogona i powinni wejść na pokład na samym początku, zaraz po ułomnych i chromych, po rodzinach z małymi dziećmi, pasażerach pierwszej klasy i uczestnikach programów lojalnościowych. W związku z tym Turner uznała, że powinni się przepchać na początek kolejki. Odznaczając się typową dla małych osób zwinnością, potrafiła przecisnąć się tam, gdzie nie mógł tego zrobić o wiele potężniejszy Reacher. Ale sunął za nią posłusznie i dotarł na miejsce, które zajęła, mniej więcej minutę po niej.

I mniej więcej w tym samym momencie zaczęło się wpuszczanie na pokład. Kobieta z obsługi lotniska otworzyła drzwi, skorzystała z mikrofonu na spiralnym kablu i tłum ruszył do przodu. Pierwsze potoczyły się wózki inwalidzkie, za nimi ruszyli starsi faceci o laskach, potem pary z dziećmi na rękach i niesamowicie skomplikowanym sprzętem do siedzenia, następnie szybkim krokiem smukli mężczyźni w garniturach i kobiety w żakietach, a za nimi niesiony falą Reacher, w dół rękawem, wdychając przesycone odorem paliwa chłodne powietrze i na koniec wchodząc do kabiny. Zgarbiony podreptał przejściem do swojego fotela, który był raczej wąski i zapewniał wystarczającą przestrzeń na nogi, tylko gdy ktoś siedział sztywno wyprostowany. Siedząca obok Turner była wyraźnie w lepszym humorze. Fotele zaprojektowano dla ludzi jej postury.

Zapięli oboje pasy i czekali.

• • •

Romeo zadzwonił do Juliet.

– Obserwuję właśnie system operacyjny U.S. Airways – powiedział.

– I co? – zapytał Juliet.

– Obawiam się, że mam złe wiadomości. Kehoe i Vega są już na pokładzie. I właśnie straciliśmy dwa miejsca rezerwowe. Pojawiły się

dwie osoby z programu lojalnościowego linii i je zajęły. Mają pierwszeństwo.

– Nie mógłbyś zadzwonić do U.S. Airways i powiedzieć im, żeby tego nie robili?

– Mógłbym, ale chyba tego nie zrobię. Linie lotnicze pobrałyby dodatkową opłatę. Tak to teraz wygląda. Najwyraźniej dobra wola ma wymierną wartość, przynajmniej wtedy, gdy rachunek płaci Wuj Sam. A dodatkowa opłata wymagałaby papierkowej roboty, na którą nie możemy sobie pozwolić. Więc musimy to jakoś przeżyć. Zresztą mamy dwóch na pokładzie.

– Których?

– Pierwszych dwóch w porządku alfabetycznym.

– To nie jest idealne rozwiązanie.

– Na tym etapie potrzebujemy wyłącznie oczu i uszu. Nie podejmujemy żadnych działań. Wysyłam pozostałych dwóch do hrabstwa Orange. Będą na miejscu mniej więcej w tym samym czasie. Mogą się połączyć w Kalifornii.

• • •

Reacher patrzył przed siebie, w głąb długiej aluminiowej rury, i obserwował, jak ludzie wchodzą do kabiny, skręcają w prawo, idą dalej, sprawdzają numery foteli i wciskają walizki i zwinięte okrycia do schowków nad głowami. Bagaże, torby, toboły. Nie w jego stylu. Na niektórych twarzach malowała się radość, ale większość była ponura. Pamiętał, jak latał samolotami w dzieciństwie, na koszt wojska, dawno zapomnianymi liniami, takimi jak Braniff, Eastern i Pan American, w czasach gdy podróż odrzutowcem była czymś rzadkim i egzotycznym i ludzie byli przed nią podekscytowani i przejęci i wkładali najlepsze ubrania. Garnitury, krawaty, letnie sukienki, czasami nawet rękawiczki. Porcelana, dzbanuszki z mleczkiem, srebrne sztućce.

Nagle zobaczył faceta, którego uderzył w bok głowy.

44

Nie mogło być mowy o pomyłce. Reacher dobrze go zapamiętał. Sprzed motelu, pierwszego wieczoru. Facet wysiadł z samochodu, który nie miał jeszcze wtedy wgniecionych drzwi, obszedł maskę i wdał się z nim w pogawędkę.

Nie boimy się ciebie, stary.

Reacher pamiętał swój szeroki lewy sierpowy, twardą kość pod kłykciami i to, jak głowa faceta poleciała w bok. Później widział go ponownie, następnego dnia, z daleka, na motelowym parkingu, i po raz trzeci, przed kilkudziesięcioma minutami, kiedy wysiadał z samochodu przed hotelem.

To był ten facet, bez dwóch zdań.

A tuż za nim szedł mężczyzna, którego Reacher określał mianem trzeciego faceta. Nie kierowca z pierwszego wieczoru i nie wielki facet z małymi uszami, ale facet do pary z drugiego dnia. Obaj zerkali do przodu, w prawo i w lewo, i kiedy zlokalizowali zwierzynę, odwrócili szybko wzrok i udawali niewiniątka. Reacher obserwował, kto za nimi idzie, ale następna była kobieta, i następna też, a za kobietami nie było już nikogo. W głośnikach usłyszeli głos stewarda, który oznajmił, że zaraz zamkną drzwi kabiny i wszyscy powinni wyłączyć przenośne urządzenia elektroniczne. Dwaj faceci szli przejściem i w końcu obaj usiedli, jeden po lewej, drugi po prawej stronie, odpowiednio trzy i cztery rzędy przed Reacherem i Turner.

– To jakieś szaleństwo – mruknęła Turner.

– Z całą pewnością – odparł Reacher. – Ile potrwa ten lot?

Odpowiedź na to pytanie uzyskał chwilę później, nie od Turner, lecz od stewarda, który znów się odezwał, przekazując kolejne informacje. Według komputera z powodu wiatru czołowego lot miał potrwać pięć godzin i czterdzieści minut.

– Pomysł z tylnym palnikiem jest nierealny – stwierdził Reacher. – Jakkolwiek na to patrzeć. Ponieważ oni nie pozwolą nam go zrealizować. Co to w ogóle ma znaczyć? Teraz lecą z nami samolotem? Po co? Co mają zamiar zrobić? W obecności stu innych osób w tej wielkiej metalowej puszce?

– Może chcą nas po prostu pilnować.

– Mają oczy z tyłu głowy?

– W takim razie to coś w rodzaju poważnego ostrzeżenia. Mamy się poczuć zastraszeni.

– No, rzeczywiście, teraz naprawdę się boję. Oddelegowali tutaj pana Tweedleduma i pana Tweedledumbera.

– Gdzie są pozostali dwaj?

– Jest komplet pasażerów – zauważył Reacher. – Może udało im się dostać tylko dwa bilety.

– W takim razie dlaczego nie oddelegowali tego dużego?

– Pytanie nie brzmi, dlaczego albo dlaczego nie. Pytanie brzmi: jak? Zaczęli od zera, a teraz są pięć minut za nami. Z tego, co wiedzą, nie mamy żadnych dowodów tożsamości z wyjątkiem legitymacji Sullivan i Temple'a, a musieli się domyślić, że wiemy, że nikt o nazwiskach Sullivan i Temple nie dostanie się dziś na pokład samolotu, nie przy bardzo skrupulatnej kontroli. Więc skąd wiedzieli, że mamy zamiar lecieć samolotem? Dlaczego mielibyśmy to robić, nie mając dowodów tożsamości? O wiele bardziej prawdopodobne było, że pojedziemy samochodem.

– Powiedział im kierowca autobusu.

– Za szybko to się dzieje. Kierowca nie wrócił jeszcze do hotelu. To oni. Nie ma informacji, której nie potrafiliby zdobyć. Obserwują w tej

chwili system operacyjny linii lotniczych. Widzieli, jak kupiliśmy bilety i jak wchodzimy na pokład. Co oznacza, że znają również zawartość sejfu sto dziesiątej. Gdyby było inaczej, nazwisko Kehoe nic by im nie powiedziało. Obserwują wszystko, co robimy. Każdy nasz krok. Jesteśmy jak rybki w akwarium.

– W takim razie musieli już skojarzyć Vegę z Kehoe. Ponieważ zarezerwowaliśmy miejsca w tym samym momencie i siedzimy obok siebie. Zatem wiedzą, że nazywam się Vega. Co oznacza, że prawdziwa Vega jest w opałach. Podobnie jak Leach, ponieważ pośredniczyła w użyczeniu dokumentów. I ponieważ je dostarczyła. Naprawdę musimy je ostrzec.

– Nie możemy ostrzec żadnej z nich. Nie możemy nic zrobić. Przynajmniej przez najbliższe pięć godzin i czterdzieści minut.

• • •

Samolot pokołował po płycie lotniska, niezgrabny i przyziemny, wyprzedzając maszynę American Airlines, która, jak domyślał się Reacher, leciała do hrabstwa Orange i miała wystartować minutę po nich. Niebo nadal było ciemne. Słońce jeszcze nie wzeszło.

W końcu dokołowali do pasa startowego i samolot zakręcił i przystanął, jakby chciał zebrać siły, a potem z rykiem silników pomknął niepowstrzymany po betonowych płytach. Reacher wyjrzał przez okno i zobaczył, że ziemia zostaje w dole, a szerokie aluminiowe skrzydło opada i pręży się, przejmując ciężar maszyny. W oddali zamigotały światła Pittsburgha obrysowane zakolami szerokich czarnych rzek.

Trzy i cztery rzędy z przodu dwaj faceci patrzyli z udawaną obojętnością przed siebie. Obaj mieli środkowe fotele. Cieszące się najmniejszym wzięciem i dlatego sprzedawane jako ostatnie. Facet z pierwszego wieczoru siedział po lewej stronie kabiny. Obok siebie miał młodą kobietę przy oknie i starszą przy przejściu. Po prawej stronie siedział facet do pary z drugiego dnia, a obok niego przy oknie siwy mężczyzna z

laską, jeden z tych, jak oceniał Reacher, którzy weszli na pokład pierwsi. Przy przejściu siedziała kobieta w żakiecie sprawiająca wrażenie pasażerki pierwszej klasy. Może podróżowała służbowo. Może pracodawca obciął jej świadczenia.

– Szkoda, że nie wiemy, co to za jedni – odezwała się Turner.

– Tym razem podróżują samolotem – odparł Reacher.

– Nie samochodem. To z całą pewnością oznacza dwie rzeczy. Mają w kieszeniach dowody tożsamości. I nie mają broni.

– Jak wysoko trzeba być w strukturze dowodzenia, żeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i przez siedem dni w tygodniu mieć dostęp do każdego ogólnokrajowego systemu bezpieczeństwa, jaki funkcjonuje w Stanach?

– Zakładam, że po jedenastym września wszystko się zmieniło. Odszedłem z wojska cztery lata wcześniej. Ale moim zdaniem w wywiadzie może chodzić o szczebel O-osiem. Chociaż i tu dostęp nie jest nieograniczony. Istnieją różnego rodzaju procedury kontrolne i zabezpieczające. Możliwość przeglądania na własną rękę o piątej rano list pasażerów linii lotniczych to coś na zupełnie innym poziomie.

– Więc o kim mówimy?

– Podejdźmy do tego z drugiej strony. Na jakim szczeblu w strukturze dowodzenia to jest możliwe? Może to robić prezydent. Albo doradca do spraw bezpieczeństwa krajowego. Albo ludzie, którzy biorą regularnie udział w naradach w centrum dowodzenia w Białym Domu. Innymi słowy, szefowie sztabów. Tyle że mówimy tu o dostępie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, w tym również do rzeczy, które działy się kilkanaście lat temu. Więc to musi być ktoś, kto właśnie tym się zajmuje. Zastępca szefa sztabu. Ktoś, do kogo trzeba się w tych kwestiach zwracać, osoba, której zadaniem jest kontrolowanie wszystkiego, bez przerwy. Może wyciągać wszystkie, jakie tylko chce, stare sprawy. I nie obowiązują jej żadne procedury kontrolne i zabezpieczające, bo to do niej trafiają raporty dotyczące ich stosowania.

– Więc mamy do czynienia z zastępcą szefa sztabu?

– Bardziej boli, kiedy się spada z wysokiego konia.

– I ten zastępca szefa sztabu spiskuje z kimś w Afganistanie?

– Ci ludzie się znają. Są bardzo towarzyscy. Prawdopodobnie chodzili do tej samej klasy.

– Więc kim są faceci w samolocie? Nie wyglądają mi na sztabowców z Pentagonu.

Recher nie odpowiedział. Po prostu obserwował i czekał.

Dziesięć minut później jego cierpliwość została nagrodzona.

Kobieta w eleganckim biznesowym żakiecie wstała z fotela i ruszyła do toalety.

45

Reacher zaczekał, aż kobieta go minie, po czym rozpiął pas, wstał i ruszył do przodu, mijając trzy kolejne rzędy. Usiadł na zwolnionym przez kobietę miejscu i facet do pary odruchowo przysunął się do siwego dziadka z laską, który spał smacznie z głową opartą o okno.

– Pokaż dowód tożsamości – syknął Reacher.

Facet nie zrobił tego. Po prostu siedział, kompletnie zdezorientowany, przyciśnięty jak sardynka w puszce do człowieka, którego ścigał. Był ubrany w nylonowe bojówki, czarną marynarską kurtkę i czarną bluzę. Na lewym nadgarstku miał zegarek marki Hamilton, co oznaczało, że jest prawdopodobnie praworęczny. Ile czasu zajmuje kobietom wizyta w toalecie? Z doświadczenia Reachera wynikało, że zbytnio się nie spieszą. Powiedzmy, cztery minuty.

A zatem jakieś trzy minuty więcej, niż potrzebował.

Pochylił się do przodu, jakby miał zamiar staranować fotel przed sobą, po czym przesunął się w prawo i wyprostował, wszystko to jednym płynnym ruchem, tak że facet był teraz unieruchomiony przez jego prawy bark i ramię. Wtedy złapał go za prawy nadgarstek, wykręcił mu dłoń tak, że zwrócona była wewnętrzną stroną w górę, i złapał lewą ręką jego palec wskazujący.

– Masz do wyboru. Możesz to znieść jak mężczyzna albo narobić krzyku jak mała dziewczynka – powiedział Reacher i złamał facetowi palec, wyginając go w dół o dziewięćdziesiąt stopni, najpierw w pierw-

szym stawie, a potem w drugim, przyciskając kciukiem. Facet wierzgał, wiercił się i dyszał głośno z bólu, ale nie krzyknął. Nie zachował się jak mała dziewczynka. Nie w obecności stu osób.

Następnie Reacher złamał mu w taki sam sposób, w tych samych dwóch miejscach, środkowy palec, a potem facet spróbował oswobodzić lewą rękę, na co Reacher pozwolił, ale tylko po to, by ją złapać i zająć się w taki sam sposób palcem wskazującym i środkowym.

– Dowód tożsamości? – powtórzył.

Facet nie odpowiedział. Nie był w stanie, ponieważ przez cały czas skamlał i krzywił się z bólu, patrząc na swoje zdeformowane dłonie. Palce sterczały mu pod dziwnymi kątami, powykrzywiane w kształt litery L. Reacher obmacał go, unosząc lekko w górę i obracając, by mieć dostęp do wszystkich kieszeni. W większości nie było tam nic ciekawego, ale w kieszeni na prawym biodrze wyczuł charakterystyczne wybrzuszenie. Potrójnie składany portfel. Wyciągnął go i wstał. Facet siedzący po drugiej stronie przejścia, jeden rząd za swoim kolegą, podnosił się właśnie z fotela. Kobieta w żakiecie wyszła z łazienki i zbliżała się do Reachera. Zatrzymała się, żeby pozwolić mu usiąść, po czym ruszyła dalej.

• • •

Reacher rzucił portfel na kolana Turner i zapiął pas.

– Co mu zrobiłeś? – zapytała.

– Przez tydzień albo dwa nie będzie mógł pociągać za spust. Ani w nic uderzyć. Ani prowadzić samochodu. Ani zapinać rozporka. Jest wyeliminowany. Profilaktyka jest lepsza niż leczenie. Najlepszą obroną jest atak.

Turner nie odezwała się.

– Wiem – mruknął Reacher. – Jest we mnie coś feralnego. Masz to, czego chciałaś.

– Nie, to była dobra robota.

– Jak to wyglądało?

– Trochę podskakiwał. Domyśliłam się, że coś się dzieje.

– Co jest w portfelu?

Turner otworzyła go. Był zrobiony z porządnej skóry, która dopasowywała się kształtem do zawartości. W tylnej przegródce była gotówka podzielona na dwie części: gruby na pół centymetra plik dwudziestek i cieńszy plik banknotów jedno-, pięcio – i dziesięciodolarowych. W przedniej przegródce były trzy kieszonki dostosowane wielkością do kart kredytowych. W środkowej części wydane w Karolinie Północnej prawo jazdy ze zdjęciem faceta i nazwiskiem Peter Paul Lozano. A za prawem jazdy kolekcja kart kredytowych: Visa, Mastercard, Discover i American Express, wszystkie aktualne i ważne, i wszystkie na nazwisko Petera P. Lozana.

Legitymacji wojskowej nie było.

– To cywil? – zapytała Turner. – Czy żołnierz podszywający się pod cywila?

– Moim zdaniem żołnierz – odparł Reacher. – Kapitan Edmonds będzie to wiedziała. Podam jej nazwisko. Pracuje w końcu w zasobach ludzkich.

– Zamierzasz poznać nazwisko drugiego faceta?

– Dwa nazwiska pozwoliłyby nam lepiej się zorientować.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Coś wymyślę.

Cztery rzędy przed nimi facet o nazwisku Lozano siedział skulony, kołysząc się do przodu i do tyłu, jakby trzymał ręce pod pachami i starał się ukoić ból. Kiedy przechodziła obok niego stewardesa, spojrzał na nią, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz odwrócił wzrok. Bo co miał powiedzieć? Że przyszedł zły pan i zrobił mu krzywdę? Jak mała dziewczynka? Jak skarżypyta w gabinecie dyrektora? Najwyraźniej to nie było w jego stylu. Nie na oczach stu pasażerów.

– To żołnierz – stwierdził Reacher. – Nie sądzisz? Na obozie dla rekrutów nauczyli go trzymać gębę na kłódkę.

A potem drugi facet przecisnął się obok siedzącej koło niego starszej

pani. Facet z pierwszego wieczoru, ten, który trzymał gadkę. Przeszedł jeden rząd do przodu i nachylił się do kumpla, żeby z nim pogadać. Zmieniło się to w regularną konferencję, z pokazywaniem doznanych obrażeń i wrogimi spojrzeniami przez ramię. Kobieta w biznesowym żakiecie patrzyła sztywno w inną stronę.

– Dwa razy to się nie uda – orzekła Turner. – Facet został uprzedzony i wie, jak się bronić. Dowiedział się dokładnie, jak to się odbyło.

– I liczy, że jego sąsiadka ma mocny pęcherz.

– Naprawdę uważasz, że Edmonds udostępni nam informacje na temat numeru trzy tysiące czterysta trzydzieści pięć?

– Albo udostępni, albo nie. Szanse są pół na pół. Jak przy rzucie monetą.

– I jest ci wszystko jedno, czy to zrobi, czy nie?

– Wolałbym mieć te informacje.

– Ale nie wpadniesz w rozpacz, jeśli ich nie dostaniesz. Bo najważniejsze jest to, że o nie poprosiliśmy. Robiąc to, zakomunikowaliśmy im, że jesteśmy tylko krok z tyłu. Mają poczuć na karku nasz oddech.

– Wolałbym mieć te informacje – powtórzył Reacher.

– To samo dotyczy tych facetów w samolocie. Odsyłasz ich unieszkodliwionych. Przekazujesz wiadomość ich szefom, prawda?

Reacher nie odezwał się.

• • •

Nie spuszczał wzroku z faceta z pierwszego wieczoru, siedzącego trzy rzędy przed nim po lewej stronie. Kobieta, która siedziała w tym samym rzędzie przy oknie, chyba spała. Z tyłu sprawiała wrażenie młodej i była ubrana jak ktoś bezdomny. Zdecydowanie nie przyszło jej do głowy, żeby włożyć letnią sukienkę albo rękawiczki. Ale była schludna. Pracowała prawdopodobnie w przemyśle filmowym. Na niezbyt wysokim stanowisku, skoro leciała klasą turystyczną. Może jako stażystka albo asystentka asystenta. Może szukała lokalizacji albo organizo-

wała przestrzeń biurową. Siedząca przy przejściu starsza pani wyglądała na babcię. Może wybierała się z wizytą do wnuków. Może jej przodkowie tyrali w stalowniach Carnegiego i Fricka, a potem, kiedy w mieście nastały ciężkie czasy, jej dzieci dołączyły do diaspory i wyjechały w bardziej słoneczne strony. Może ich marzenia spełniły się w ciepłej południowej Kalifornii.

Reacher czekał.

I w końcu okazało się, że sam facet ma problemy z pęcherzem. Pewnie wypił rano za dużo kawy. Albo soku pomarańczowego. Albo wody. Tak czy owak wstał, przecisnął się obok babci, rozstawił szeroko nogi w przejściu, wbił wzrok w Reachera i ruszył niepewnym krokiem w stronę ogona samolotu, ani na chwilę nie spuszczając z oczu Reachera, mijając jeden, drugi i trzeci rząd, a potem odwracając się i pokonując resztę drogi tyłem, nadal wpatrzony w Reachera, jakby chciał powiedzieć: „Nie ma mowy, żebyś mnie zaskoczył". Majstrował chwilę przy drzwiach, a potem wcisnął się tyłkiem do środka, aż do ostatniej sekundy obserwując Reachera, i w końcu drzwi zamknęły się i zostały zablokowane.

Ile czasu zajmuje mężczyznom wizyta w toalecie?

Na ogół nie siedzą tam tak długo jak kobiety.

Reacher rozpiął pas i wstał z fotela.

46

Reacher czekał przy toalecie, cierpliwie, jak zwykły pasażer, jak ktoś, kto stoi w kolejce. Drzwi były typowe, składające się pośrodku, kremowe, z zawiasami po prawej stronie, trochę brudne. Żadnych niespodzianek. W końcu usłyszał stłumiony odgłos spuszczanej wody, a potem nastąpiła pauza, miał nadzieję, że na mycie rąk. W końcu czerwony napis *Zajęte* zmienił się na zielony *Wolne* i środek drzwi cofnął się w głąb, a lewy skraj przesunął po szynach, i kiedy tylko pokonał trzy czwarte drogi, Reacher odwrócił się, wsunął lewą rękę w poszerzającą się lukę, rąbnął faceta w pierś i pchnął na ściankę za toaletą.

Następnie wcisnął się tam za nim i zatrzasnął drzwi biodrem. Toaleta była malutka, ledwie mieścił się w niej sam Reacher. Stanęli piersią w pierś i twarzą w twarz, przyciśnięci do siebie. Reacher obrócił się nieco w lewo, żeby nie dostać kolanem w jaja, i wbił prawe przedramię w gardło faceta, przygważdżając go do tylnej ściany. Ten zaczął się wić i wierzgać, ale nic mu to nie dało, ponieważ mógł się poruszyć najwyżej kilka centymetrów. Nie mógł się zamachnąć ani wygenerować żadnej energii. Reacher oparł się o niego, wygiął swoją lewą dłoń do tyłu, po czym złapał faceta za prawy nadgarstek i przekręcił go tak, jak przekręca się klamkę, co oznaczało, że odginając z powrotem własną rękę, wykręcał pod tym samym kątem rękę faceta, coraz bardziej i bardziej, coraz mocniej i mocniej, nieubłaganie, aż facet musiałby wykonać piruet albo gwiazdę, by złagodzić nieznośny ból, tyle że z powodu bra-

ku miejsca nie mógł tego zrobić. Reacher wykręcał mu łokieć, aż jego czubek skierował się dokładnie w jego stronę, po czym podniósł rękę faceta, coraz wyżej i wyżej, nadal ją wykręcając, aż znalazła się w pozycji poziomej, kilka centymetrów od bocznej ścianki, i wtedy przestał dusić faceta przedramieniem i rąbnął łokciem w jego łokieć, roztrzaskując go, a prawa ręka faceta zgięła się pod kątem, pod jakim żadna ręka nie powinna się zginać.

Facet krzyknął, co – miał nadzieję Reacher – powinny stłumić drzwi albo zagłuszyć szum powietrza, a potem opadł na sedes i Reacher złamał mu drugą rękę, w ten sam sposób, wykręcając ją i roztrzaskując łokieć, następnie zaś wyprostował go, pociągając za kołnierz, i obszukał kieszenie w bardzo intymny sposób. Facet nadal się szarpał, jego uda podskakiwały, jakby jechał rowerem, ale z powodu braku miejsca nie generowały żadnej energii. Reacher czuł tylko lekkie muśnięcia.

Portfel faceta był w prawej kieszeni na biodrze, tak samo jak u jego kumpla. Reacher wziął go, odwrócił się w lewo, rąbnął faceta łokciem w sam środek klatki piersiowej, posyłając go z powrotem na sedes, po czym oswobodził się z plątaniny podrygujących kończyn, pchnął drzwi ramieniem, zamknął je za sobą najdokładniej, jak potrafił, i wrócił na miejsce.

• • •

Drugi portfel miał mniej więcej taką samą zawartość jak pierwszy. Gruby plik dwudziestek, kilka mniejszych banknotów, które facet dostał w charakterze reszty, talia kart kredytowych oraz prawo jazdy z jego zdjęciem, wydane w Karolinie Północnej na nazwisko Ronald David Baldacci.

Legitymacji wojskowej nie było.

– Skoro jeden podszywa się pod cywila, to samo dotyczy innych – powiedział Reacher.

– A może wszyscy są cywilami?

– Załóżmy, że nie są.

– W takim razie kwaterują w Fort Bragg. Zważywszy, że mają prawa jazdy z Karoliny Północnej.

– Kto tam dzisiaj stacjonuje?

– Prawie czterdzieści tysięcy ludzi. Teren ma ponad sześćset pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych. Przy ostatnim spisie powszechnym Fort Bragg potraktowany został jak osobne miasto. Jest tam dużo jednostek sił powietrznych, w tym osiemdziesiąta druga. A także siły specjalne, jednostki prowadzące działania psychologiczne, Kennedy Special Warfare Centre, szesnasta jednostka żandarmerii wojskowej i sporo wojsk kwatermistrzowskich i logistycznych.

– Innymi słowy, sporo ludzi wyjeżdżających i wracających z Afganistanu – podsumował Reacher.

– W tym ludzie z logistyki. Wysyłający sprzęt i teraz sprowadzający go z powrotem. Albo i nie.

– Nadal uważasz, że to powtórka z tego, co robił Big Dog?

– Tyle że lepiej zorganizowana i na większą skalę. I nie wydaje mi się, żeby handlowali tym w kraju. Moim zdaniem sprzedają sprzęt na miejscu.

– Dowiemy się – powiedział Reacher. – Depczemy im w końcu po piętach.

– A teraz znowu odstawiamy to na tylny palnik – zarządziła Turner. – Zrobiłeś to, co musiałeś. Teraz spotkasz się z córką.

Mniej więcej pięć minut później facet wyszedł z toalety, blady, spocony, wyraźnie mniejszy i cały skurczony. Poruszała się tylko dolna część jego ciała, górna była sztywna jak u zepsutego robota. Pokuśtykał przejściem, przecisnął się obok starszej pani i opadł ciężko na fotel.

– Powinien poprosić stewardesę o aspirynę – mruknął Reacher.

Później lot przebiegał normalnie, podobnie jak większość lotów, które odbył Reacher. Nie podano nic do jedzenia. Nie w klasie turystycznej. Można było coś kupić, w większości małe produkty chemiczne pomysłowo udające naturalne, ale ani Reacher, ani Turner na żaden się nie skusili. Uznali, że zjedzą coś w Kalifornii. Co sprawiło, że poczuli się

głodni, ale Reacherowi to nie przeszkadzało. Uważał, że głód utrzymuje go w pełnej gotowości. Stymuluje w nim kreatywność. Kolejne ewolucyjne dziedzictwo. Jeśli jesteś głodny, wymyślasz sprytniejszy sposób załatwienia kolejnego włochatego mamuta nie jutro, ale dzisiaj.

Doszedł do wniosku, że po tym, jak został obudzony przez Leach o czwartej rano, potrzebuje jakichś trzech godzin snu. Nie przejmował się dwoma facetami. Co mogli im zrobić? Co najwyżej pluć w nich orzeszkami, nic więcej. Poczuł, że Turner doszła do takiego samego wniosku, bo oparła głowę o jego ramię. Spał sztywno wyprostowany, budząc się za każdym razem, kiedy głowa poleciała mu do przodu.

• • •

Romeo zadzwonił do Juliet.

– Mamy poważny problem – powiedział.

– Jaki? – zapytał Juliet.

– Turner musiała jednak zapamiętać ten numer. Adwokatka Reachera złożyła właśnie wniosek o pełne zapoznanie się z aktami osobowymi numeru trzy tysiące czterysta trzydzieści pięć.

– Dlaczego zrobiła to adwokatka Reachera?

– Próbują zrobić to ukradkiem. Doszli do wniosku, że pilnujemy jej adwokata, ale niekoniecznie jego. To nie jest nawet jego główna adwokatka. To ta nowicjuszka zajmująca się pozwem o ojcostwo.

– W takim razie możemy odrzucić ten wniosek. Nie ma nic wspólnego z pozwem o ojcostwo.

– To wniosek jak każdy inny. Najważniejsze, co z nim zrobimy. Musimy to dobrze uzasadnić. A nie możemy tego zrobić, bo ten facet nie odznacza się niczym szczególnym. Ma znaczenie tylko dla nas. Nie wolno nam ściągać na siebie uwagi. Wszyscy pomyślą, że nam odbiło. Kto, do diabła, chroni tego faceta? – spytają. To zwyczajny wieśniak.

– Więc ile mamy czasu?

– Powiedzmy, że jeden dzień.

– Unieważniłeś ich karty kredytowe?

– Unieważniłem jego. To było łatwe, bo właściwie należała do wojska. Ale nie mogę unieważnić jej karty tak, żeby nie pozostawić śladów. Margaret Vega to prawdziwa osoba.

– Co teraz zrobimy?

– Zakończymy to w Kalifornii. Wkrótce wylądują i będziemy mieli czterech naszych przeciwko nim dwojgu.

• • •

Reacher i Turner spali prawie trzy godziny i obudzili się, kiedy samolot podchodził do lądowania w Palm Beach i w głośnikach znowu odezwał się steward, prosząc o wyprostowanie foteli, złożenie stolików i wyłączenie przenośnych urządzeń elektronicznych. Żadna z tych rzeczy nie dotyczyła Reachera, ponieważ nie cofnął fotela, nie rozłożył stolika i nie miał urządzeń elektronicznych, przenośnych ani żadnych innych. Przez okno widział brunatne pustynne wzgórza. Lubił Kalifornię. Uważał, że mógłby tu zamieszkać, gdyby w ogóle chciał gdzieś zamieszkać. Było tu ciepło i nikt go nie znał. Mógłby mieć psa. Mogliby mieć psa. Wyobraził sobie Turner w przydomowym ogródku, przycinającą różę albo sadzącą drzewo.

– Nie powinniśmy korzystać z usług Hertza ani Avisa – powiedziała. – Mówię o wynajmie samochodu. I w ogóle z żadnych dużych wypożyczalni. Na wypadek gdyby ich komputer był podłączony do rządowej sieci.

– Na starość wpadasz w paranoję – mruknął.

– To wcale nie znaczy, że mnie w końcu nie dopadną.

Reacher uśmiechnął się.

– Co nam w takim razie zostaje? – zapytała.

– Lokalne agencje. Wynajmij wrak albo czteroletnie lamborghini.

– Można u nich płacić gotówką?

– Mamy karty kredytowe.

– Mogli je unieważnić. Wydają się do tego zdolni.

– Nie mogli ich unieważnić. Jeszcze nie. W ogóle nie wiedzą, że je mamy.

– Odkryli, że kupiliśmy bilety na ten lot.

– Odkryli, że Vega i Kehoe kupili bilety na ten lot. Ale my nie nazywamy się już Vega i Kehoe. Od tej chwili nazywamy się Lozano i Baldacci, przynajmniej jeśli chodzi o karty kredytowe. Skorzystamy z ich kart. Jak ci się to podoba jako przekazana im wiadomość?

– Mogą namierzyć te karty kredytowe.

– Wiem.

– Chcesz, żeby nas znaleźli, tak?

– To łatwiejsze, niż gdybyśmy sami mieli ich szukać. Ale zgadzam się z tobą, jeśli chodzi o Hertza i Avisa. Nie chcemy, żeby to było zbyt łatwe. Musimy dać im poczucie sukcesu.

– Najpierw będziemy musieli wydostać się z lotniska. Na którym może być mnóstwo żandarmerii. Ponieważ chorąży Espin nie jest wcale taki głupi. Na pewno domyśla się, dokąd zmierzasz. Może mieć swoich ludzi na każdym lotnisku w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Los Angeles. Ludzi, którzy pilnują wyjść przez cały dzień i całą noc. I może tam być również FBI. Ich ludzie z Pittsburgha nie muszą być geniuszami, żeby zgadnąć, dokąd się wybieramy.

– Będziemy mieli oczy szeroko otwarte.

• • •

Ścieżka schodzenia była długa i łagodna, lądowanie gładkie, a kołowanie po płycie lotniska szybkie i zgrabne. A potem odezwał się cichy dzwonek, zapaliły się światła i mniej więcej dziewięćdziesiąt siedem osób zerwało się na nogi. Reacher pozostał w fotelu, ponieważ było to wygodniejsze niż stanie w mającej metr osiemdziesiąt wysokości kabinie. Faceci trzy i cztery rzędy przed nim też nie ruszali się z miejsc, ponieważ nie wynaleziono jeszcze sposobu, w jaki dorosły mężczyzna

mógłby bez użycia rąk i ramion wstać z fotela w klasie turystycznej samolotu.

Samolot pustoszał od przodu; ludzie opuszczali go warstwami niczym piasek w klepsydrze. Wyjmowali swoje bagaże i okrycia z miejsc, gdzie je schowali, po czym ruszali przejściem, a za nimi następny rząd. Siwy starszy mężczyzna z laską i młoda stażystka z przemysłu filmowego musieli się przecisnąć obok swoich nieruchomych, zajmujących środkowe fotele sąsiadów. Następnie opróżniły się pozostałe rzędy i dwaj faceci zostali sami w pustej części kabiny. Kiedy nadeszła jego kolej, Reacher ruszył z opuszczoną głową przejściem, po czym zatrzymał się trzy rzędy dalej i pomógł wstać facetowi z lewej strony, pociągając go za przód koszuli. Tyle przynajmniej mógł dla niego zrobić. Następnie zatrzymał się rząd dalej, pomógł w ten sam sposób facetowi z prawej strony i ruszył do wyjścia. Minął przedsionek, drzwi, przez chwilę wdychał przesycone odorem paliwa ciepłe powietrze, i znalazł się w hali przylotów lotniska Long Beach.

47

Na lotniskach kręci się zawsze sporo samotnych osób, co sprawia, że bardzo trudno rozpoznać tajniaków. Bo podejrzani są wszyscy. Facet, który siedzi i nic nie robi, kryjąc twarz za pogniecioną gazetą? Na ulicy to rzadki widok, ale na lotnisku normalka. Tylko na odcinku pierwszych dziesięciu metrów mogło na nich czyhać pięćdziesięciu wojskowych żandarmów w cywilu i pięćdziesięciu agentów FBI.

Ale nikt się nimi nie zainteresował. Nikt im się nie przyglądał, nie podszedł do nich i nikt ich nie śledził. Przeszli więc szybko przez terminal, zmierzając prosto na postój taksówek. Wsiedli do sfatygowanego sedana i kazali kierowcy wieźć się do najbliższej agencji wynajmu samochodów, ale nie do Hertza, Avisa, Enterprise ani do żadnej z wielkich globalnych firm. Taksówkarz nie zadawał dodatkowych pytań. Nie prosił, żeby sprecyzowali, o co im chodzi. Po prostu ruszył z miejsca, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza. Najprawdopodobniej do swojego szwagra albo kogoś, kto dawał mu najwyższą działkę za sprowadzenie klienta.

W tym przypadku szwagier bądź agent, który przebił innych swoją ofertą, musiał mieć na imię Al i być facetem na luzie, ponieważ gablota zatrzymała się przed placem, na którym stało mniej więcej dwadzieścia zaparkowanych samochodów. Na dachu stojącej w głębi drewnianej szopy widniał napis

COOL AL AUTO RENTAL

wymalowany niezbyt wprawnie zanurzonym w rzadkiej farbie szerokim pędzlem.

– Idealny wybór – pochwalił Reacher.

Po uiszczeniu opłaty za kurs, którą scedowali na Petera Paula Lozana, wyjmując jeden banknot z jego grubego na pół centymetra pliku dwudziestek, Reacher i Turner przeszli się po placu. Cool Al uznał chyba, że będzie w swoim biznesie łączył pomysł „wynajmij wrak" z koncepcją czteroletnich lamborghini. Na placu stały pojazdy, które zaczynały swój żywot jako prestiżowe i prawdopodobnie długo takie były, lecz obecnie od dawna były w stanie smutnego rozkładu. Stały tam mercedesy benz, range rovery, BMW i jaguary, wszystkie reprezentujące styl karoserii sprzed trzech generacji, porysowane, poobijane i nieco matowe.

– Czy się nie rozkraczą? – zapytała z troską Turner.

– Nie mam pojęcia – odparł Reacher. – Jestem ostatnim człowiekiem, którego powinno się pytać o samochody. Zobaczmy, co ma na ten temat do powiedzenia Cool Al.

To, co usłyszeli, przetłumaczone i sparafrazowane, sprowadzało się do sentencji: „Przetrwały tak długo, dlaczego miałyby się rozkraczyć akurat teraz?". Co uderzyło Reachera jako jednocześnie logiczne i optymistyczne. Sam Cool Al był sześćdziesięcioparoletnim facetem z siwą czupryną i wielkim brzuchem. Ubrany w żółtą koszulę, siedział za biurkiem zajmującym połowę powierzchni szopy, w której było gorąco i unosił się zapach zakurzonych desek i kreozotu.

– Idźcie i wybierzcie sobie brykę, jaką chcecie – powiedział.

– Range rover – zdecydowała Turner. – Nigdy jeszcze nim nie jeździłam.

– Pokocha go pani.

– Mam nadzieję.

Reacher dobił interesu przy gigantycznym biurku, pokazując prawa

jazdy Vegi i Baldacciego oraz jedną z kart kredytowych tego drugiego. Następnie podał wymyślony numer komórki i złożył podpis, który można było odczytać w dowolny sposób. W zamian Cool Al wręczył mu kluczyk i wskazał ramieniem odpowiednią część placu.

– Ten czarny – powiedział.

Ten czarny był tak spieczony słońcem, że przybrał odcień stalowego ciemnego fioletu. Folia na przyciemnianych szybach odłaziła i pokryła się bąblami, a siedzenia były popękane i zapadnięte. Zdaniem Turner model był z lat dziewięćdziesiątych. Ale zapalił, skręcił w prawo i potoczył się po asfalcie.

– Przetrwał tak długo, dlaczego miałby rozkraczyć się akurat teraz? – powiedziała.

Range rover stanął dwa kilometry dalej, ale na żądanie, przy pierwszej knajpie, jaką zobaczyli, rodzinnym biznesie przy Long Beach Boulevard. Były tu wszystkie dobre rzeczy, w tym wytęskniony omlet dla Turner, która zadzwoniła z automatu do sierżant Leach i kazała jej zachować ostrożność. Reacher obserwował parking, ale nikogo nie zobaczył. Żadnego pościgu, żadnego ogona, w ogóle żadnego zainteresowania. Wrócili więc do samochodu i ruszyli dalej na północny zachód, wypatrując wjazdu na autostradę numer siedemset dziesięć. Po raz pierwszy prowadził Reacher. Stateczna stara bryka nawet mu pasowała. Przyciemniane, prawie nieprzezroczyste szyby były krzepiące. A części mechaniczne sprawowały się dobrze. Samochód płynął szosą, jakby nawierzchnia drogi była niepotwierdzoną pogłoską, czymś nieskończenie odległym.

– Co zamierzasz zrobić, kiedy je zobaczysz? – zapytała Turner.

– Kogo?

– Twoją córkę i jej matkę.

– Chodzi ci o to, co powiem?

– Nie, mam na myśli, kiedy zobaczysz je z daleka, kiedy ujrzysz je po raz pierwszy.

– Nie bardzo wiem, jak je rozpoznać.

– Przypuśćmy, że je rozpoznasz.

– Wtedy rozejrzę się, czy gdzieś nie zastawiono pułapki.

– Zgadza się – stwierdziła. – Dopóki nie okaże się inaczej, są przynętą. Żandarmeria i FBI na pewno tam będą. Wiedzą, że to cel, do którego zmierzasz. Każdy, kogo zobaczysz, może być tajniakiem. Więc postępuj zgodnie z tym założeniem.

– Tak jest, pani major.

– Z każdym przejechanym kilometrem jesteśmy narażeni na coraz większe niebezpieczeństwo. Jedziemy prosto do jaskini lwa.

– Czy to jest odprawa przed akcją?

– Jestem twoim dowódcą. Moim obowiązkiem jest dać ci instrukcje.

– Próbujesz nawrócić nawróconego.

– Może jednak je rozpoznasz.

– Córki niekoniecznie są podobne do ojców.

– Chodzi mi o to, że możesz rozpoznać matkę.

• • •

Juliet zadzwonił do Romea, ponieważ pewne obowiązki należały do niego.

– Mam bardzo złe wiadomości – oznajmił.

– Czy to ma jakiś związek z faktem, że Baldacci użył swojej karty kredytowej w agencji wynajmu samochodów o nazwie Cool Al? – zapytał Romeo.

– Jaki Al?

– To firma na Zachodnim Wybrzeżu. Co się stało?

– Reacher dopadł ich w samolocie. Wyeliminował ich z akcji i ukradł portfele.

– W samolocie?

– Połamał palce Lozanowi, połamał ręce Baldacciemu i nikt tego nie zauważył.

– To niemożliwe.

– Najwyraźniej możliwe. Jeden przeciwko dwóm, w samolocie, na

oczach stu świadków. To cholernie upokarzające. A teraz wynajmuje samochód za naszą kasę? Za kogo ten facet się uważa?

• • •

Reacher uważał się za marnego kierowcę. Z początku trochę to sobie wmawiał, zakładając słusznie, że dzięki temu będzie bardziej się koncentrował. Ostatecznie jednak przekonał się, że to prawda. Jego wyczucie przestrzeni i czas reakcji były dostosowane do skali ludzkiej, nie autostradowej. Do tego, co działo się blisko, nie daleko. Były zwierzęce, nie maszynowe. Może Turner miała rację. Może było w nim coś feralnego. Nie żeby był fatalnym kierowcą. Był po prostu gorszy od przeciętnego. Choć nie gorszy od przeciętnego kierowcy jadącego tego konkretnego ranka autostradą numer siedemset dziesięć na odcinku o nazwie Long Beach Freeway. Ludzie dokoła jedli i popijali, golili się i czesali, malowali się, obcinali paznokcie i wypełniali papiery, czytali i pisali SMS-y, surfowali po internecie i odbywali przez telefon długie rozmowy, których część kończyła się awanturami, a część płaczem. Rzucony w sam środek tego wszystkiego, Reacher próbował utrzymywać odpowiednią prędkość i kierunek, obserwując całe to rozchwierutanie przed sobą i zastanawiając się, w którą stronę odbić kierownicą, jeśli będzie musiał.

– Powinniśmy się zatrzymać i zadzwonić do kapitan Edmonds – odezwał się. – Chcę wiedzieć, czy będzie w stanie zdobyć informacje, które są nam potrzebne.

– Odstaw to na tylny palnik – odparła Turner.

– Zrobiłbym to, gdyby to było możliwe. Ale oni nam na to nie pozwolą. Dwaj pozostali faceci mogli polecieć do hrabstwa Orange. Albo następnym samolotem do Long Beach. Tak czy inaczej są zaledwie godzinę albo dwie za nami.

– Wiedza o tym, jakie informacje może zdobyć kapitan Edmonds, nie pomoże nam z tymi dwoma.

– Taktycznie ma kluczowe znaczenie – stwierdził Reacher. – Piszą o tym w instrukcji bojowej. Musimy wiedzieć, czy powinni zachować nieuszkodzone funkcje poznawcze na użytek przyszłego przesłuchania.

– W instrukcji bojowej nic o tym nie piszą.

– Może ją ocenzurowali.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli Edmonds nie uda się zdobyć tych informacji, darujesz tym dwóm facetom życie, żeby je z nich wycisnąć?

– Nie będę z nich niczego wyciskał. Zapytam uprzejmie, tak jak zapytałem Big Doga. Ale jeśli będę wiedział, że nie muszę o nic pytać, pozwolę, żeby sprawy potoczyły się zwykłym trybem.

– Co to za tryb?

– Któż z nas potrafi odgadnąć przyszłość. Ale prawdopodobnie będzie to coś nieskomplikowanego.

– Jedziesz spotkać się ze swoją córką, Reacher.

– I chcę dożyć chwili, kiedy się z nią spotkam. Nie możemy się bawić w tylny i przedni palnik. Nie tym razem.

Musimy postawić obie rzeczy na przednim palniku, pani major. Co z całym szacunkiem poddaję pod rozwagę.

– W porządku – uległa Turner. – Ale musimy kupić telefon, żebyśmy nie musieli ciągle się zatrzymywać. Właściwie kupmy dwa. Po jednym dla każdego. Na kartę, za gotówkę. I plan miasta.

Zrobili to półtora kilometra dalej, zjeżdżając z autostrady pod pasaż handlowy z sieciową apteką, w której sprzedawano telefony na kartę i mapy, i której kasy akceptowały gotówkę wraz z wszelkimi innymi formami płatności znanymi człowiekowi.

Zapisali wzajemnie swoje numery w pamięci telefonów, a potem Reacher oparł się o ciepły bok range rovera i wybrał numer Edmonds.

– Złożyłam podanie z samego rana – poinformowała go.

– I co?

– Na razie nie wpłynął żaden wniosek, żeby je odrzucić.

– Jak prędko mogła się go pani spodziewać?

– Natychmiast. Albo jeszcze szybciej.

– Więc to dobrze.

– Owszem.

– Kiedy otrzyma pani te informacje?

– Dzisiaj po południu albo jutro rano.

– Ma pani coś do pisania?

– I papier.

– Chcę, żeby sprawdziła pani w Dowództwie Zasobów Ludzkich Petera Paula Lozana i Ronalda Davida Baldacciego.

– Co to za jedni?

– Nie wiem. Dlatego chcę, żeby to pani sprawdziła.

– Czy to ma związek z czymkolwiek?

– Ze znalezieniem się po właściwej stronie historii.

– Słyszałam coś, co powinien pan wiedzieć.

– Co takiego?

– Detektyw Podolski odnalazł pańskie ubranie na wysypisku. Zostało przebadane.

– I co?

– Ślady krwi nie pasują.

– Czy mam wstrzymać oddech, czekając na przeprosiny ze strony major Sullivan?

– Major Sullivan dochodzi do siebie. Bardzo ją wzruszyło, że zostawił pan weksel.

– Czy waszyngtońska policja wycofała zarzuty?

– Nie. Zbiegł pan przed usiłującym go aresztować policjantem.

– To już nie wolno tego robić?

– Postaram się czegoś dowiedzieć o Lozanie i Baldaccim.

– Dziękuję – odparł Reacher.

Rozłączył się i ruszyli na północ – jednym z dziesięciu tysięcy połyskujących w słońcu, sunących autostradą pojazdów.

• • •

Romeo zadzwonił do Juliet.

– Odbyłem pod jakimś pretekstem rozmowę z dżentelmenem znanym jako Cool Al – oznajmił. – Poinformował mnie, że jeżdżą dwudziestoletnim czarnym range roverem.

– Dobrze wiedzieć – odparł Juliet.

– Nie jest to najszybszy pojazd na tej planecie. Nie żeby jakikolwiek był wystarczająco szybki. Wsadziłem naszych chłopców do helikoptera. Z Orange County do Burbank. Będą na miejscu przynajmniej godzinę przed czasem.

– Kto za to zapłacił?

– Nie wojsko – odparł Romeo. – Nie przejmuj się.

– Unieważniłeś kartę kredytową Baldacciego? A także Lozana?

– Nie mogę. To ich osobiste karty. Muszą to zrobić sami, kiedy tylko wyjdą ze szpitala. Do tego czasu musimy pokrywać wszystkie wydatki, jak zawsze.

– Ta historia będzie nas kosztować fortunę.

– To są nędzne grosze, przyjacielu.

– Nie takie znów nędzne.

– Ta sprawa zaraz się skończy. A potem wrócimy do normalnego robienia interesów.

• • •

Reacherowi nadal udawało się uniknąć kolizji z popijającymi, posilającymi się i golącymi, ze stylistami fryzur i artystami makijażu, z piłującymi paznokcie i wypełniającymi papiery, z czytającymi i piszącymi SMS-y, z internetowymi surferami, krzykaczami i beksami i dotarł do East Los Angeles, gdzie skręcił w Santa Ana Freeway i jechał nią aż do Echo Park. Potem była powolna długa mordęga na północny zachód, przez wzgórza i miejsca, których nazwy wciąż robiły na nim wrażenie: Santa Monica Boulevard, Sunset Boulevard i Hollywood Bowl. Nagle zadzwoniła jego komórka. Reacher odebrał.

– Jadę autostradą numer sto jeden, prowadząc jedną ręką, mając po

prawej stronie napis HOLLYWOOD i rozmawiając przez telefon – powiedział. – Nareszcie mam uczucie, że gdzieś przynależę.

– Ma pan pióro i papier? – zapytała Edmonds.

– Nie.

– Więc niech pan słucha uważnie. Peter Paul Lozano i Ronald David Baldacci są żołnierzami służby czynnej odkomenderowanymi do batalionu logistyki w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Zostali przydzieleni do kompanii, której zadaniem jest dostarczanie wrażliwego sprzętu do Afganistanu oraz jego wywóz stamtąd, co w tym momencie w związku z faktem, że się wycofujemy, ogranicza się oczywiście do wywozu i co bardzo ich absorbuje. Wyniki ich testów sprawnościowych są powyżej przeciętnej. To wszystko, co wiem.

Reacher przekazał te informacje Turner, wcześniej się rozłączywszy.

– No i masz – prychnęła. – Rzeczy, które powinny wrócić do kraju, wcale do niego nie wracają.

– Właśnie próbuję to sobie wyobrazić – powiedział. – Cały ten wrażliwy sprzęt wynoszony z jaskiń czy skądkolwiek. Większość trafia z powrotem do Fayetteville, ale jakaś część ląduje na pakach starych poobijanych pick-upów z dziwacznymi znakami rejestracyjnymi, które natychmiast odjeżdżają w góry. Być może jadąc w drugą stronę, pick-upy są obładowane gotówką. Może obowiązuje tutaj zasada płatności przy odbiorze. Tak to widzisz?

– Mniej więcej.

– Ja też. Dużo stresu i niepewności. Cały czas na widoku. Ryzyko, że ktoś doniesie. W takich warunkach człowiek przekonuje się, na kogo może liczyć. Bo wszystko sprzysięgło się przeciwko nim, nawet drogi. Jak bardzo wrażliwy jest ten sprzęt? Czy nic mu się nie stanie w starych poobijanych pick-upach z dziwacznymi znakami rejestracyjnymi?

– O co ci chodzi?

– Cała operacja przeprowadzana jest w Afganistanie. Ale nasi chłopcy stacjonują w Fort Bragg.

– Może właśnie wrócili z Afganistanu? – podsunęła Turner.

– Nie sądzę. Zauważyłem to, kiedy tylko zobaczyłem pierwszych

dwóch. Od razu uświadomiłem sobie, że żaden nie był ostatnio na Środkowym Wschodzie. Nie mieli opalenizny, zmarszczek, w ich oczach nie było stresu i napięcia. To domatorzy. A jednak tworzą drużynę A. Po co trzymać tutaj drużynę A, skoro cała operacja odbywa się w Afganistanie?

– Zwykle tacy ludzie mają drużyny A po obu stronach.

– Ale tu jest tylko jedna strona. Sprzęt jest wynoszony z jaskiń i ładowany na stare poobijane pick-upy z dziwacznymi znakami rejestracyjnymi. Nigdy nie trafia w pobliże Fort Bragg ani Karoliny Północnej.

– W takim razie może się mylę. Może sprzedają to w Ameryce, nie w Afganistanie. W tym wypadku potrzebowaliby drużyny A w Fort Bragg, żeby to rozprowadzić.

– To też nie wydaje mi się prawdopodobne – mruknął Reacher. – Ponieważ realistycznie rzecz biorąc, mogliby sprzedawać wyłącznie lekką broń. Coś cięższego byśmy zauważyli. A sprzedaż lekkiej broni w ilościach, które pozwoliłyby im zarobić tyle, ile zarabiają, kompletnie rozregulowałaby rynek. Tymczasem rynek wcale nie jest rozregulowany. Gdyby był, dawno już byście to zauważyli. Jeśli pojawiła się masa wojskowego towaru na sprzedaż, ktoś na pewno dałby cynk. Przede wszystkim krajowi producenci eliminowani z rynku. Wiadomość wylądowałaby w końcu na twoim biurku. Przecież właśnie takimi sprawami zajmuje się sto dziesiąta.

– Więc co oni robią?

– Nie mam pojęcia.

• • •

Reacher pamiętał najważniejsze dane z oświadczenia Candice Dayton, takie jak nazwisko jej adwokata i adres kancelarii. Turner odnalazła właściwą przecznicę na planie miasta i przyłożyła do niej kciuk lewej ręki. Palcem wskazującym prawej śledziła ich pozycję. Oba palce coraz bardziej się do siebie zbliżały.

– Jedź aż do Victory Boulevard – powiedziała, kiedy przecięli Ventura Freeway. – Powinien tam być drogowskaz na lotnisko Burbank. Wtedy będziemy mogli dojechać tam od północy. Spodziewam się, że całą uwagę skupią na południu. Zajdziemy ich od tyłu.

Zjazd na Victory Boulevard był następny. Potem skręcili w prawo w Lankershim Boulevard i ruszyli z powrotem na południowy wschód, równolegle do autostrady, z której przed chwilą zjechali.

– Teraz się zatrzymaj – powiedziała Turner. – Od tej chwili zachowujemy wyjątkową ostrożność.

48

Reacher stanął tuż przed skrzyżowaniem i spojrzeli na południe, lustrując przecznice na północ od Ventura Freeway, stanowiące prawdziwy katalog amerykańskiej przedsiębiorczości reprezentowanej przez placówki średnich, małych i mikroskopijnych rozmiarów, sklepy detaliczne, hurtownie i punkty usługowe, jedne całkiem solidne, inne zdradzające niepoprawny optymizm, jedne dobrze się zapowiadające, inne szybko schodzące na psy, a niektórymi znajome i wszechobecne. Przybysz z kosmosu mógłby dojść do wniosku, że akrylowe paznokcie są tak samo ważne jak dwumetrowe płyty wiórowe.

Turner wciąż trzymała na kolanach rozłożoną mapę.

– Facet ma kancelarię przy Vineland Avenue, dwie przecznice na północ od autostrady – powiedziała. – Więc skręć w lewo w Burbank Boulevard, a potem w prawo w Vineland i jedź prosto. Nikt nie zna tego samochodu, ale nie możemy przejechać tamtędy więcej niż dwa razy.

W związku z tym Reacher znowu ruszył z miejsca, skręcił zgodnie z instrukcją dwa razy i przejechał Vineland jak każdy, nie powoli i rozglądając się na wszystkie strony, i nie szybko i agresywnie – po prostu kolejny anonimowy pojazd jadący w słoneczny poranek ulicą.

– Zaraz go miniemy – ostrzegła Turner. – Po prawej stronie, za następnym skrzyżowaniem. Widzę parking przed budynkiem.

Reacher też go zobaczył. Ale parking był wspólny, nie należał wyłącznie do kancelarii. Po prawej stronie przecznicy stał wyłącznie je-

den długi niski budynek z gontowym dachem, arkadami od frontu i zewnętrznymi ścianami pomalowanymi na kolor, który Reacher uważał za charakterystyczny dla Sun Valley odcień beżu, przypominający trochę cielisty makijaż na filmach. Budynek podzielono na sześć oddzielnych segmentów, wśród których był sklep z perukami, sklep z magicznymi kryształami, dostawca sprzętu rehabilitacyjnego oraz biuro podatkowe z wywieszką *Se Habla Espanol*. Adwokat Candice Dayton miał kancelarię mniej więcej pośrodku, między magicznymi kryształami i elektrycznymi wózkami inwalidzkimi. Parking był w połowie zapełniony i ciągnął się wzdłuż całej fasady budynku, służąc wszystkim firmom pospołu. Reacher domyślał się, że każdy klient może zaparkować w dowolnym miejscu.

Większość samochodów nie budziła na pierwszy rzut oka żadnych podejrzeń. W większości czyste i lśniące, stały w promieniach palącego słońca, niektóre trochę krzywo, jakby ich kierowcy mieli zamiar załatwić coś szybko i jechać dalej. Reacher zastanawiał się już wcześniej, w jakiego rodzaju samochodzie mogłyby zamieszkać dwie osoby, i doszedł do wniosku, że powinno to być staroświeckie kombi lub nowoczesny SUV ze składanym płasko tylnym oparciem i wystarczającą ilością przestrzeni między przednimi fotelami i tylną klapą, by zmieścił się tam materac. Wskazane byłyby też przyciemniane szyby z tyłu i z boku. Takie warunki spełniał stary buick roadmaster i nowy chevrolet suburban, z tym zastrzeżeniem, że każdy, kto zamierzałby zamieszkać w nowym chevrolecie suburbanie, z pewnością uznałby za korzystniejsze sprzedanie go, kupienie starego buicka roadmastera i zatrzymanie reszty. Więc wypatrywał głównie starych kombiaków, zakurzonych, na lekko sflaczałych oponach i trochę rozkraczonych, jakby stały tam od dość dawna.

Ale nigdzie nie widział takich samochodów. Większość była zupełnie zwyczajna, dwa albo trzy wystarczająco nowe i nijakie, by wypożyczano je na lotnisku, co wskazywałoby, że korzystają z nich Espin i ludzie z siedemdziesiątej piątej jednostki żandarmerii, a dwa lub trzy wystarczająco ekstrawaganckie, by mogły być pojazdami

przejętymi przez FBI i służącymi do prowadzenia dyskretnej obserwacji. Ostro świecące słońce, cienie i przyciemniane szyby nie pozwalały ustalić z całą pewnością, czy ktoś w nich siedzi, czy nie.

Minęli parking, jadąc cały czas z tą samą prędkością i po tej samej trajektorii, a potem wjechali z powrotem na autostradę, ponieważ Reacher uważał, że nagły skręt o sto osiemdziesiąt stopni i w ogóle jakikolwiek nietypowy manewr będą się rzucały w oczy. Następnie przejechali jeszcze raz tą samą trasą, skręcili po raz drugi w Lankershim Boulevard i stanęli przed tym samym skrzyżowaniem co wcześniej, czując, że znajdują się w bezpiecznej odległości i są niewidoczni od południa.

– Chcesz zobaczyć to jeszcze raz? – zapytała Turner.

– Nie muszę – odparł Reacher.

– Więc co teraz?

– One mogą być wszędzie. Nie wiemy, jak wyglądają i jaki mają samochód. Więc nie ma sensu jeździć w kółko. Musimy dowiedzieć się od adwokata, gdzie ich dokładnie szukać. Jeśli w ogóle zna ich aktualne miejsce pobytu.

– Jasne, ale jak to zrobić?

– Mógłbym zadzwonić albo poprosić Edmonds, żeby zadzwoniła w moim imieniu, ale adwokat odpowie, że cała korespondencja powinna przychodzić do jego biura i tam powinny się odbywać wszystkie spotkania. Nie wolno mu przekazywać adresu drugiej stronie. Musi zakładać, że każda podjęta przeze mnie próba kontaktu zakończy się w niemiły bądź gwałtowny sposób. Tu chodzi o zwykłą profesjonalną odpowiedzialność. Mogą go zaskarżyć o miliony dolarów.

– Więc co masz zamiar zrobić?

– To samo, co robią faceci, kiedy nie mają nic lepszego do roboty.

– To znaczy?

– Zadzwonić po dziwkę.

• • •

Zawrócili i znowu pojechali na północ, gdzie znaleźli bar szybkiej obsługi, w którym napili się kawy, a Reacher przestudiował pewne wpisy na żółtych stronach pożyczonych od właściciela. Potem ruszyli dalej, aż do motelu, który stał przy jednym z długoterminowych parkingów otaczających lotnisko Burbank. Nie zameldowali się w nim. Zostali w samochodzie, a Reacher wybrał numer, który zapamiętał. Telefon odebrała kobieta z cudzoziemskim akcentem, sądząc po głosie, w średnim wieku i trochę zaspana.

– Kto jest u was prawdziwym uosobieniem amerykańskiej dziewczyny? – zapytał Reacher.

– Emily – odparła kobieta z cudzoziemskim akcentem.

– Ile kosztuje?

– Tysiąc za godzinę.

– Czy jest teraz dostępna?

– Oczywiście.

– Czy akceptuje karty kredytowe?

– Tak, ale wtedy taksa wynosi tysiąc dwieście.

Reacher nie odpowiedział.

– Może do pana przyjechać w ciągu trzydziestu minut – powiedziała kobieta z cudzoziemskim akcentem – i jest warta każdego dolara, który pan jej zapłaci. Jak ma się ubrać?

– Jak nauczycielka podstawówki – odparł Reacher. – Która rok temu skończyła studia.

– Dziewczyna z sąsiedztwa? To popularna fantazja.

Reacher przedstawił się jako Pete Lozano i podał jej nazwę oraz adres stojącego za nimi motelu.

– Czy to ten przy lotniskowym parkingu? – zapytała kobieta z cudzoziemskim akcentem.

– Zgadza się – odparł Reacher.

– Często z niego korzystamy. Emily bez trudu tam trafi.

Reacher zakończył rozmowę, po czym rozsiedli się wygodnie i czekali, nie rozmawiając i nic nie robiąc, wpatrując się po prostu w przednią szybę.

– Dobrze się czujesz? – zapytała po dziesięciu minutach Turner.

– Niespecjalnie – wyznał Reacher.

– Dlaczego?

– Siedzę i gapię się na czternastoletnie dziewczyny. Czuję się jak zboczeniec.

– Rozpoznałeś którąś?

– Jeszcze nie.

• • •

Czekali już ponad trzydzieści pięć minut, kiedy zadzwonił telefon Reachera. To nie była kobieta z cudzoziemskim akcentem, pragnąca przeprosić za spóźnienie Emily, lecz kapitan Edmonds, która chciała im przekazać to, co określiła mianem wiadomości z pierwszych stron gazet. Reacher przekrzywił telefon i Turner przysunęła bliżej głowę, żeby lepiej słyszeć.

– Mam pełne dane na temat numeru trzy tysiące czterysta trzydzieści pięć – oznajmiła Edmonds. – Dostałam je pięć minut temu. Mogłabym dodać, że nie bez bardzo poważnych starań z mojej strony.

– No i? – zapytał Reacher.

– Nie, naprawdę, nie ma pan za co dziękować, majorze. Cała przyjemność absolutnie po mojej stronie. Nic nie szkodzi, że ryzykuję całą moją karierę, zapuszczając się w rejony, w które nie powinien się zapuszczać żaden kapitan z biura śledczego.

– W porządku, dziękuję pani. Powinienem od tego zacząć. Przepraszam.

– Musi pan zrozumieć pewne rzeczy. Jesteśmy już w Afganistanie od ponad dziesięciu lat i biorąc to pod uwagę, numer trzy tysiące czterysta trzydzieści pięć jest relatywnie niski. Obecnie przekroczyliśmy już sto tysięcy. Co oznacza, że dane na temat tego człowieka zaczęto gromadzić już jakiś czas temu. Z tego, co widzę, siedem lat temu. I nie było później żadnych znaczących uzupełnień. Niczego poza rutynowym mi-

nimum. Ponieważ chodzi w gruncie rzeczy o dość prostego faceta. Powiedziałabym nawet, że nudnego. Na pierwszy rzut oka to pozbawiony znaczenia wieśniak.

– Jak się nazywa?

– Emal Gholam Zadran. Ma teraz czterdzieści dwa lata i jest najmłodszym z pięciu braci Zadranów, którzy wszyscy nadal żyją. Wygląda na to, że jest czarną owcą w rodzinie, nie ma zbyt dobrej opinii. Starsi bracia są szanowanymi hodowcami maku pracującymi na roli, tak jak to czynili od wieków ich przodkowie, bardzo tradycyjnymi, skromnymi i nierzucającymi się w oczy. Ale młodemu Emalowi najwyraźniej to nie odpowiadało. Próbował sił w różnych dziedzinach i wszędzie poniósł porażkę. Bracia wybaczyli mu i przyjęli z powrotem. Z tego, co wiadomo, Emal mieszka niedaleko nich w górach, nie robi nic produktywnego i trzyma się na uboczu.

– Z jakiego powodu wciągnięto go do kartoteki siedem lat temu?

– To była jedna z tych rzeczy, w której próbował sił i z której nic nie wyszło.

– To znaczy?

– Niczego mu nie udowodniono, inaczej byśmy go zastrzelili.

– Czego mu nie udowodniono?

– Wieść gminna niesie, że prowadził interesy. Kupował ręczne granaty od dziesiątej dywizji górskiej i sprzedawał je talibom.

– Ile za nie dostawał?

– Tego nie wiemy.

– I nic nie zostało udowodnione?

– Starali się, jak mogli.

– Dlaczego i tak go nie zastrzelili?

– Reacher, rozmawia pan z wojskową adwokatką. Nic nie zostało udowodnione i chodzi o Stany Zjednoczone Ameryki.

– Przypuśćmy, że nie rozmawiam z wojskową adwokatką.

– Wtedy powiedziałabym panu, że nic nie zostało udowodnione i w tamtym momencie całowaliśmy prawdopodobnie Afgańczyków po tyłku, mając nadzieję, że w nieodległej przyszłości utworzą w końcu cy-

wilny rząd i będziemy mogli się stamtąd w cholerę wynieść, a w takiej atmosferze zabijanie miejscowych obywateli, którym nic nie zostało udowodnione, nawet przez nasz niepatyczkujący się z podejrzanymi wojskowy wymiar sprawiedliwości, zostałoby ocenione jako poważnie nieproduktywne. W przeciwnym razie z pewnością i tak by go zastrzelili.

– Jest pani bardzo bystra – stwierdził Reacher. – Jak na wojskową adwokatkę.

I w tym momencie musiał się rozłączyć, ponieważ zobaczył dziewczynę, która wysiadła z taksówki i szła podjazdem w stronę motelu. Była olśniewająca. Młoda i jasnowłosa, świeża i pełna energii, jakby przez całe długie życie zamierzała czynić na tym świecie wyłącznie dobro. Wyglądała jak nauczycielka podstawówki mniej więcej rok po studiach.

49

Dziewczyna minęła recepcję i zatrzymała się, jakby nie wiedziała, dokąd iść. Podano jej nazwisko, ale nie znała numeru pokoju. Turner opuściła szybę samochodu.

– Nazywasz się Emily?! – zawołała.

Przećwiczyli to z Reacherem już wcześniej. Zagadnięcie przez kobietę w samochodzie na motelowym parkingu pozwalało spodziewać się czegoś w rodzaju trójkąta i było co najmniej dziwne. Ale jeszcze dziwniejsze byłoby, gdyby zrobił to mężczyzna.

– Tak, jestem Emily – odpowiedziała dziewczyna.

– Jesteśmy twoimi klientami – powiedziała Turner.

– Przykro mi. Nic mi nie powiedzieli. Z parami to kosztuje więcej.

– Pewnie słyszałaś to już wcześniej, a może nie, ale zależy nam tylko na rozmowie. Damy dwa tysiące dolarów za godzinę twojego czasu. Przez cały czas będziemy w ubraniach, wszyscy troje.

Dziewczyna podeszła bliżej, ale niezbyt blisko. Stanęła naprzeciwko otwartego okna, lekko się pochyliła i zajrzała do środka.

– O co dokładnie chodzi? – zapytała.

– O zadanie aktorskie – odparł Reacher.

• • •

Rozmawiali na otwartym terenie, żeby dziewczyna nie czuła się zagrożona, Reacher i Turner opierając się o bok samochodu, Emily w odległości półtora metra od nich, mogąc w każdej chwili odwrócić się i uciec. Ale nie uciekła. Przesunęła kartę Lozana przez otwór w swoim iPhonie i gdy tylko zobaczyła numer autoryzacji, oświadczyła, że nie gra w porno.

– Nie chodzi nam o porno – zapewnił ją Reacher.

– W takim razie co to za zadanie aktorskie?

– Jesteś aktorką?

– Jestem dziewczyną na telefon.

– A wcześniej byłaś aktorką?

– Miałam zamiar nią zostać.

– Grałaś jakieś role?

– Sądziłam, że to właśnie będę dzisiaj robiła. Grać młodą naiwną idealistkę, gotową bardzo niechętnie zrobić wszystko, co trzeba, by pozyskać dodatkowe finansowanie dla swojej szkoły. Mogę też chcieć pożyczyć kosiarkę od jednego z ojców z komitetu rodzicielskiego. Ale zwykle chodzi o rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy. Jak mogę pokazać, że jestem naprawdę oddana firmie…

– Innymi słowy, grasz role.

– Przez cały czas. Teraz też.

– Chcę, żebyś poszła do kancelarii prawnej i zdobyła zaufanie recepcjonistki. – Reacher przedstawił jej w skrócie, o co chodzi. Emily w ogóle nie zainteresowały jego motywy.

– Jeśli będzie taka możliwość, wybierz typ mamuśki. Okaże ci współczucie. Chodzi o ledwie wiążącą koniec z końcem matkę, która ma dostać pomoc. Powiedz jej, że pani Dayton jest przyjaciółką twojej matki i pożyczyła ci pewną sumę pieniędzy, kiedy studiowałaś, co pozwoliło ci wydobyć się z dołka. Teraz możesz się jej odwdzięczyć. I w ogóle chcesz się z nią znowu spotkać. Coś w tym rodzaju. Możesz napisać własny scenariusz. Ale recepcjonistka nie powinna dać ci adresu pani Dayton. W gruncie rzeczy nie wolno jej tego robić. Więc to jest twoja oscarowa rola.

– Kto będzie tutaj poszkodowany?

– Nikt nie będzie poszkodowany. Wprost przeciwnie.

– Za dwa tysiące dolarów? Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

– Jeśli ta kobieta naprawdę potrzebuje pomocy, dostanie ją. Jeśli nie, ja nie zostanę poszkodowany. Wszystko obróci się na dobre.

– Nie wiem, czy chcę to zrobić – mruknęła Emily.

– Wzięłaś od nas pieniądze.

– Za godzinę mojego czasu. Chętnie tu z wami postoję i pogadam. Możemy nawet wsiąść do samochodu. Mogę się rozebrać, jeśli chcecie. Zwykle tak to wygląda.

– Co powiesz na dodatkowe pięćset gotówką? W charakterze napiwku. Kiedy wrócisz.

– Co powiecie na siedemset?

– Sześćset.

– A Oscara otrzymuje Emily – podsumowała dziewczyna.

• • •

Nie chciała, żeby ją odwieźli. Spryciara. Słowa nic nie kosztują. Przydługi wstęp mógł być tylko wydumaną fantazją poprzedzającą znalezienie jej nagiego ciała w rowie trzy dni później. Dali jej więc adres i dwadzieścia dolców na dojazd i sama złapała taksówkę. Patrzyli, jak znika z pola widzenia, a potem wsiedli do range rovera i czekali.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Reacher – odezwała się Turner. – Numer trzy tysiące czterysta trzydzieści pięć to Emal Zadran, o którym wiadomo, że sprzedawał amerykański sprzęt wojskowy w górach, na terytoriach plemiennych. Podczas gdy o Peterze Lozanie i Ronaldzie Baldaccim wiadomo, że służą w kompanii, której zadaniem jest wywóz tego samego sprzętu z tych samych terytoriów. Czy ten ogłuszający hałas, który słyszę, to są części puzzle'a, które układają się w wyraźny obraz?

– Sprzedawał amerykański sprzęt w górach przed siedmiu laty.

– A potem zniknął z radaru. Dzięki temu, że udoskonalił metody działania. Dotarł na sam szczyt. Teraz jest głównym macherem, człowiekiem, z którym wszystko trzeba uzgodnić. Ktoś zarabia dzięki niemu fortunę. To oczywiste. Inaczej po co zadawaliby sobie tyle trudu, żeby go ukryć?

– Prawdopodobnie masz rację.

– Chcę, żebyś na serio ruszył głową, a nie bezmyślnie mi potakiwał. Jesteś moim oficerem wykonawczym.

– Czy to oznacza awans?

– Po prostu nowe rozkazy.

– Naprawdę uważam, że możesz mieć rację. Informator nazwał go członkiem starszyzny. Co oznacza wysoki status. Ktoś, kto jest czarną owcą w rodzinie i siedzi cały dzień, nie robiąc nic produktywnego, nie może być traktowany jako osoba o wysokim statusie. Bardziej jak wioskowy głupek. Z pewnością nie byłby otaczany szacunkiem. Tak więc stary Emal na pewno dla kogoś pracuje. Moje jedyne zastrzeżenia dotyczyły tego, że mają w pogotowiu ekipę w Karolinie Północnej, podczas gdy wszystko rozgrywa się w Afganistanie. Ale może tu też odgrywają ważną rolę. Ponieważ jeśli to, co ci się wydaje, jest prawdą, to dociera tutaj fura pieniędzy. Prawdopodobnie całe wagony. W fizycznym sensie. Więc owszem, potrzebują ekipy w Karolinie Północnej. Tyle że nie do transportu broni. Do transportu pieniędzy.

• • •

Romeo zadzwonił do Juliet.

– Jest coraz gorzej – oznajmił.

– Jak to możliwe?

– Użyli właśnie karty American Express należącej do Lozana. Wydali dwa tysiące dolarów na działalność rozrywkową. Wiesz, co to znaczy?

– Nudzą się?

– Jest tylko jeden rodzaj osoby prowadzącej działalność rozryw-

kową, która nosi ze sobą własny czytnik do kart kredytowych. I tą osobą jest prostytutka. Droczą się z nami. Rozdaliby nasze pieniądze bezdomnym, gdyby ci mieli czytniki kart w swoich telefonach. No i w ogóle telefony.

– Których nie mają.

– A mniej więcej godzinę temu adwokatka Reachera dostała pełne dane na temat Zadrana. Więc mleko się rozlało.

– Za bardzo się martwisz.

– Powiązania są oczywiste. Nie trzeba geniusza, żeby na to wpaść.

– Albo za wcześnie się martwisz – dodał Juliet. – Nie słyszałeś jeszcze dobrych wiadomości.

– A są jakieś?

– Nasi chłopcy widzieli ich, jak przejeżdżali obok kancelarii adwokata. W dwudziestoletnim czarnym range roverze. Trudno to stwierdzić ze stuprocentową pewnością, bo miał przyciemniane szyby, ale wydawało im się, że w środku siedziały dwie osoby, jedna duża i druga mała.

– Kiedy to było?

– Niecałą godzinę temu.

– Tylko raz?

– Na razie. Najwyraźniej odbyli rekonesans.

– Panuje tam duży ruch?

– To pasaż handlowy. Tłum kłębi się jak na paradzie czwartego lipca.

– Dokąd pojechali, kiedy już minęli kancelarię?

– Skręcili na autostradę. Prawdopodobnie zatoczyli krąg. I zaszyli się gdzieś kilka przecznic na północ.

– Czy jest coś, co możemy zrobić?

– Moim zdaniem tak. Byli bardzo ostrożni przy tej kancelarii. Muszą wiedzieć, że wszędzie kręci się FBI i żandarmeria wojskowa. A poza tym niczego się tam nie dowiedzą. To byłoby poważne naruszenie tajemnicy zawodowej. Więc nie sądzę, by pojawili się jeszcze w pobliżu tej kancelarii. A w takim razie pilnując jej, marnotrawimy siły. Po prostu. Z tego względu naszych chłopców można by lepiej użyć gdzie indziej. Być

może w bardziej aktywny sposób. To tylko sugestia.

– Zgadzam się – powiedział Romeo. – Spuść ich ze smyczy.

• • •

Reacher i Turner zabijali czas, próbując wyobrazić sobie, jakiego rodzaju sprzęt mieszczący się na skrzyni pick-upa można sprzedawać za grube pieniądze. Co było frustrujące, ponieważ te dwie kategorie zdawały się wzajemnie wykluczać. MOAB były złowrogimi, podobnymi do gruszki cylindrami o długości dziesięciu metrów i średnicy metr dwadzieścia. Drony kosztowały trzydzieści siedem milionów dolarów każdy, ale miały rozpiętość skrzydeł większą niż dwadzieścia metrów. Poza tym bez joysticka były kupą bezużytecznego złomu, a wszystkie joysticki były w Teksasie albo na Florydzie. Z drugiej strony karabiny, broń krótka i ręczne granaty nie były dużo warte. Berettę M9 można kupić w sklepie za sześćset dolców. Używaną, na ulicy lub w górach, nie więcej niż za czterysta, co oznaczało, że trzeba by dokonać trzystu albo czterystu transakcji, żeby pokryć wyłącznie koszty numeru z kontem na Kajmanach. I nawet wojsko zauważyłoby, że traci tysiące pistoletów.

Do niczego nie doszli.

I zaraz potem wróciła Emily.

50

Wysiadła z taksówki dokładnie tak samo jak za pierwszym razem, nadal grając swoją rolę, cała promienna i naiwna. Podbiegła do nich i stanęła tam, gdzie wcześniej, mniej więcej półtora metra od okna Turner, która opuściła szybę.

– Robiąc to, źle się czułam – wyznała Emily.

– Dlaczego? – zainteresował się Reacher.

– Recepcjonistka była miłą kobietą. Manipulowałam nią.

– Skutecznie?

– Dostałam adres.

– Gdzie to jest?

– Jest mi pan dłużny sześćset dolców.

– Formalnie rzecz biorąc, wcale nie. To napiwek, czyli coś w rodzaju podarunku, którego nie obejmowała główna umowa. Nie może tu być mowy o długu.

– Próbuje się pan wymigać?

– Nie, jestem po prostu z natury pedantyczny.

– Tak czy inaczej, nadal należy mi się sześćset dolców. Sumę tę uiścił Ronald Baldacci z pliku dwudziestek, które miał schowane w portfelu. Reacher podał je Turner, ta podała je przez otwarte okno Emily, która rozejrzała się dokoła.

– Wygląda, jakbyśmy handlowali narkotykami – powiedziała.

– Gdzie to jest? – powtórzył Reacher.

Emily podała mu adres, łącznie z numerem domu.

– Co to jest? – zapytał. – Pusta działka? Firma z własnym parkingiem?

– Nie wiem.

– Jaki nastrój panował w kancelarii?

– Są bardzo zajęci. Nie wydaje mi się, żeby sprawa pani Dayton była wysoko na ich liście priorytetów.

– W porządku, dziękujemy ci, Emily – powiedział Reacher. – Przyjemnie było cię poznać. Miłego dnia.

– To wszystko?

– A co jeszcze mamy do załatwienia?

– Nie zapyta mnie pan, dlaczego taka miła dziewczyna jak ja znalazła sobie takie zajęcie? Nie da mi pan jakiejś rady na przyszłość?

– Nie – odparł Reacher. – Nikt nie powinien słuchać moich rad. A poza tym chyba świetnie sobie radzisz. Tysiąc dolców za godzinę to niezła stawka. Znam ludzi, którzy dają się dymać za dwadzieścia.

– Co to za jedni?

– W większości ludzie w mundurach.

• • •

Z mapy Turner wynikało, że adres znajduje się na południe od Ventura Freeway, w dzielnicy bez nazwy. Raczej nie w Universal City, raczej nie w West Toluca Lake, zdecydowanie nie w Griffith Park i za daleko na południe, by uznać, że to część North Hollywood. Ale Reacher uznał, że to odpowiednie miejsce. Powinni tam mieć do czynienia z dużą fluktuacją pracowników, przychodzących, odchodzących i niezbyt ciekawskich, i powinno tam być dużo nowych i likwidujących się przedsiębiorstw. Z tego względu sporo pustych budynków i zarezerwowanych tylko dla personelu parkingów przed upadającymi firmami. Najlepiej było tam się dostać, jadąc ponownie na południe Vineland Avenue, mijając kancelarię prawną oraz zjazdy na Ventura Freeway i

skręcając w prawo.

– Musimy zakładać, że żandarmeria wojskowa i FBI mają te same informacje – powiedziała Turner.

– Jestem o tym przekonany – odrzekł Reacher. – Więc załatwimy to tak samo, jak zrobiliśmy w przypadku kancelarii.

– Jeden przejazd.

– Co dla niektórych z nich może się okazać drugim przejazdem, ponieważ na pewno się zmieniają. Mam na myśli, że stacjonują raz przy kancelarii, raz przy tamtym adresie. Nie wolno im sterczeć zbyt długo w jednym miejscu.

– A jeśli to będzie mała alejka albo ulica jednokierunkowa?

– W takim razie zrezygnujemy. Znajdziemy jakiś inny sposób.

– I ograniczamy się wyłącznie do obserwacji wzrokowej – zaznaczyła Turner. – Żadnych powitań i uścisków. Zanim w ogóle o tym pomyślimy, musimy przyjrzeć się temu miejscu z daleka.

– Jasne.

– Nawet jeśli wybiegnie nam naprzeciw najpiękniejsza na świecie czternastolatka, wymachując transparentem z napisem *Witaj w domu, Tatusiu*. Bo to może być zupełnie inna czternastolatka, która ma zupełnie innego tatusia.

– Jasne – powtórzył Reacher.

– Powiedz to.

– Żadnych powitań i uścisków.

– W takim razie ruszamy.

• • •

Nie pojechali Vineland Avenue. Uznali, że dla części obserwatorów ponowny przejazd obok kancelarii może stać się bez żadnego uzasadnionego powodu drugim przejazdem, a później, jeśli zmienią się w niekorzystnym momencie, mogą być świadkami trzeciego. A wiadomo, że do trzech razy sztuka. Większość ludzi dostrzega różne rzeczy za trze-

cim razem. Reacher wiedział to z doświadczenia. Nawet jeśli nie zdają sobie sprawy, że dostrzegają. Zacinasz się, rozmawiając ze znajomym? Kątem oka zobaczyłeś właśnie po raz trzeci tego samego faceta. Albo ten sam samochód, tę samą furgonetkę z kwiaciarni, ten sam płaszcz, tego samego psa, ten sam chód.

Zatoczyli więc krąg w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, jadąc najpierw na wschód, a potem na południe, i przecięli autostradę, odbijając trochę w prawo od linii prostej. Następnie zatrzymali się. Dzielnica, do której zmierzali, leżała po prawej stronie. Była to plątanina nisko zabudowanych uliczek, z betonowymi krawężnikami, porośniętymi suchą trawą poboczami i smołowanymi słupami, na których wisiało po kilkanaście kabli, niektóre grubości ręki Reachera. Stały tam niewielkie budynki, wśród których były bungalowy, otoczone drzewami parterowe domki, magazyny oraz sklepiki. Dostrzegli jeden gabinet pielęgnacji paznokci i jednego pick-upa. Wszędzie widać było obręcze do koszykówki, hokejowe bramki, anteny satelitarne wielkości balii i zaparkowane samochody.

– Niedobrze – mruknęła Turner.

Reacher pokiwał głową, bo miała rację. Miejsce było zatłoczone i ciasne, przejazd tamtędy oznaczał, że co chwila będą się zatrzymywali i znowu ruszali, omijali jedną przeszkodę za drugą. Dobrze, jeśli uda im się utrzymać prędkość pieszego.

– Ty jesteś dowódcą – mruknął.

– A ty jesteś oficerem wykonawczym.

– Ja bym zaryzykował. Ale to twoja decyzja.

– Dlaczego byś zaryzykował?

– Utrudnienia wyglądają poważnie, ale mogą się okazać ułatwieniami. Mogą nam pomóc. Żandarmeria i FBI nie wiedzą, jakim jeździmy samochodem. Dla nich to kolejny stary pick-up z przyciemnianymi szybami. Nie wypatrują go.

– Ale dwaj faceci z samochodu z wgniecionymi drzwiami mogą go wypatrywać. Mają świetny wywiad. Nie można wykluczyć, że ktoś obserwuje płatności dokonane tą kartą kredytową i wie, czym jeździmy.

– To nie ma znaczenia – stwierdził Reacher. – I tak nie mogą nam nic zrobić. Nie tutaj. Nie na oczach stróżów prawa. Muszą wiedzieć, że wraz z nimi czuwa tu żandarmeria i FBI. To typowy paragraf dwadzieścia dwa. Muszą siedzieć na tyłku i jakoś to przełknąć.

– Mogą zacząć nas śledzić. Żandarmeria i FBI nie będą nic podejrzewać. Po prostu kolejny samochód opuści dzielnicę.

– Zgadza się. Ale jest tak, jak mówiłem. To może nam nawet ułatwić sytuację. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Zobaczymy to, co chcemy, i zwabimy facetów w miejsce, które sami wybierzemy. Generalnie uznałbym to za pracowicie spędzony dzień. Oczywiście z punktu widzenia oficera wykonawczego. Ale decyzja należy do ciebie. W końcu to tobie płacą duże pieniądze. Prawie tyle samo co niektórym nauczycielom akademickim.

Turner tego nie skomentowała.

– Dwie rzeczy na przednim palniku, pamiętaj – powiedział Reacher.

– Dobrze, zaryzykujemy – odparła.

• • •

Sprawdzili wszystko na mapie i Reacher powtórzył sobie w myślach, jak ma skręcać. W prawo, w lewo i jeszcze raz w prawo. Tam zaczynała się jej ulica. Posesja, sądząc po numerze, powinna się mieścić w połowie przecznicy.

– Pamiętaj, wyłącznie obserwacja wzrokowa – przypomniała mu Turner. – Żadnych powitań i uścisków.

– Jasne.

– Żadnych odstępstw.

– Tak jest, pani major.

Reacher ruszył, dojechał do pierwszej przecznicy, skręcił w nią i znalazł się w zupełnie innym świecie. Pierwsza ulica była fatalna. Strefa ograniczonego ruchu kołowego, z furgonetką piekarza stojącą przy sklepie spożywczym, dziecinnym rowerkiem porzuconym w rynsztoku i

pozbawionym kół autem na cegłach. Druga ulica wydawała się lepsza. Tak samo wąska, ale prosta i mniej zagracona. Na przestrzeni pięćdziesięciu metrów jej standard stopniowo się poprawiał. Po lewej i prawej stronie stały małe domki. Nie wystawne, ale solidne. Niektóre miały nowe dachy, niektóre były otynkowane, przed niektórymi stały w donicach zeschnięte rośliny. Normalni ludzie robiący, co w ich mocy, żeby związać koniec z końcem.

A potem Reacher skręcił po raz ostatni i standard znowu się polepszył. Chociaż nie w radykalny sposób. Zobaczył przed sobą długą prostą ulicę, na której końcu, za ogrodzeniem z siatki widać było wyraźnie autostradę numer sto jeden. Po obu stronach stały szeregowe domki zbudowane dla wojska w końcu lat czterdziestych i nadal zamieszkane. Wszystkie były zadbane, choć w różnym stopniu, część wyremontowana, część rozbudowana, inne w gorszym stanie. Przed większością z nich stały auta na podjazdach i dodatkowe samochody przy krawężnikach. Tych ostatnich było tak dużo, że ulica miała praktycznie jeden pas ruchu.

Co oznaczało, że jechało się nią powoli i ślamazarnie.

– Po prawej mamy na pewno FBI – poinformowała Turner.

Reacher pokiwał głową i nie odezwał się. Jednym z aut stojących przy krawężniku był chevrolet malibu, oddalony od nich jakieś dwadzieścia metrów, srebrzysty, w wersji podstawowej, z plastikiem tam, gdzie powinny być chromy, dwoma krótkimi antenami przyklejonymi do tylnej szyby i facetem w białym kołnierzyku siedzącym za kierownicą. Nieoznakowany samochód, ale bez prób kamuflowania się. Co wskazywałoby, że mają raczej do czynienia z kontrolerem, który wpadł na chwilę, żeby podnieść morale i dodać otuchy. Być może facetowi, który siedział w aucie zaparkowanym tuż przed nim.

– Popatrz na następną brykę – powiedział Reacher.

Był to cywilny hummer H2, szeroki i gigantyczny, lśniący chromami i czarnym nawoskowanym lakierem, z wielkimi kołami i cienkimi oponami, które wyglądały jak założone na felgi czarne gumowe pasy.

– Model sprzed jakichś ośmiu lat – stwierdziła Turner.

Hummer został najprawdopodobniej zajęty przez stróżów prawa, ponieważ w jego bocznej kieszeni znaleziono kokę, ponieważ użyto go do popełnienia oszustwa, ewentualnie ponieważ przewożono nim skradzione towary. Skonfiskowano go, a następnie skierowano do prowadzenia obserwacji z ukrycia, nie wykazując się przy tym przesadnie dużym wyczuciem, co często przytrafia się rządowym agencjom.

A dwadzieścia metrów dalej stało małe białe autko, zaparkowane po drugiej stronie ulicy, przodem do nich. Czyste i nijakie, prawie nieużywane, pozbawione osobistego charakteru. Prawie na pewno wynajęte na lotnisku przez kogoś z jednostki siedemdziesiątej piątej. Biedaka, który przyleciał klasą turystyczną do Los Angeles, a potem, mając ograniczony budżet, wynajął w Avisie albo Hertzu najgorszy wóz, jaki stał na placu, bez szansy podniesienia standardu.

– Widzisz go? – zapytał Reacher.

Turner pokiwała głową.

– I teraz wiemy, gdzie jest nasz adres – stwierdziła. – Powiedziałabym, że dokładnie w połowie drogi między przednim zderzakiem hummera i przednim zderzakiem tego chuchra. Są subtelni, nieprawdaż?

– Jak zawsze. – Reacher sprawdzał numery domów. Jeśli rządowa triangulacja była dokładna, posesja, której szukali, powinna być po lewej stronie, jakieś trzydzieści metrów przed nimi.

– Widzisz kogoś jeszcze? – zapytał.

– Trudno powiedzieć – odparła. – W każdym z tych samochodów mogą siedzieć ludzie.

– Miejmy nadzieję, że siedzą – powiedział. – Zwłaszcza pewni dwaj faceci.

Ruszył powoli i ostrożnie, dając sobie margines bezpieczeństwa. W układzie kierowniczym starego pick-upa były spore luzy. Minął srebrzystego malibu i zerknął w prawo. Facet w białym kołnierzyku miał porządnie zawiązany krawat. Prawdopodobnie jedyny krawat w promieniu kilometra. Następny był hummer, za którego kierownicą siedział biały blondyn. Ostrzyżony najeża, z włosami cieniowanymi wyso-

ko do góry. Prawdopodobnie pierwszy facet ostrzyżony na jeża, który znalazł się w podrasowanym hummerze H2. Rządowe agencje. Kompletny brak wyczucia.

A potem Reacher zerknął w lewo i zaczął śledzić numery domów. Nie bardzo wiedział, czego się spodziewać. Generalnie jakiejś luki w zabudowie. Czegoś, co będzie się różniło od tego, co jest po lewej i po prawej stronie. Czegoś zabitego deskami i zamkniętego, czegoś spalonego, zrównanego z ziemią albo w ogóle niezabudowanej działki. Z zaparkowanym w cieniu sąsiednich domów wielkim starym samochodem. Być może buickiem roadmasterem.

Ale pod adresem, który dała im Emily, stał taki sam dom jak inne. Nieróżniący się od tych, które stały obok, niezabity deskami przez bank, niespalony i niezrównany z ziemią. Zwyczajny dom na zwyczajnej działce. Na podjeździe stał samochód, ale nie był to buick roadmaster, tylko dwudrzwiowe coupe, importowane, w spłowiałym od słońca czerwonym kolorze, dość stare i jeszcze mniejsze niż biały kompakt wynajęty przez żandarmerię. Za małe, by mogły w nim spać dwie osoby. Zdecydowanie. Sam dom był parterowy z dobudowanym poddaszem. Od frontu miał jedno okno po lewej stronie, jedno po prawej i jedno nowe okienko wyżej, dokładnie nad frontowymi niebieskimi drzwiami.

A przez niebieskie frontowe drzwi wyszła dziewczynka.

Mogła mieć czternaście lat. Albo piętnaście.

Miała blond włosy.

I była wysoka.

51

– Nie zatrzymuj się – syknęła Turner, ale Reacher i tak przyhamował.

Nie mógł się powstrzymać. Dziewczynka ominęła zaparkowane coupe i skręciła na chodnik. Była ubrana w żółty podkoszulek, niebieską dżinsową kurtkę i workowate czarne spodnie. Na nogach żółte tenisówki, bez skarpetek i bez sznurowadeł. Smukła, długonoga i kanciasta, same łokcie i kolana, z włosami koloru letniej słomy, z przedziałkiem pośrodku, sięgającymi do połowy pleców. Jej twarz, jak zwykle u nastolatków, nie była do końca uformowana, ale miała niebieskie oczy i wystające kości policzkowe, a usta wykrzywiał lekko kpiący uśmieszek, jakby jej życie obfitowało w drobne przykrości, które najlepiej znosić z cierpliwością i pogodą ducha.

Ruszyła na zachód, oddalając się od nich.

– Patrz prosto przed siebie, Reacher – poleciła Turner.

– Dodaj gazu, miń ją i nie zatrzymuj się. Dojedź do końca ulicy, natychmiast. To rozkaz. Jeśli to ona, potwierdzimy to później i zajmiemy się tym.

Reacher przyspieszył, od prędkości pieszego do truchtu, i minęli dziewczynkę dokładnie w tym samym momencie, w którym mijała białe autko żandarmerii. Przechodząc obok niego, w żaden sposób nie zareagowała. Najwyraźniej nie wiedziała, że stoi tam z jej powodu. Najwyraźniej nic jej nie powiedziano. Bo jak by to miało wyglądać? Cześć,

panienko, przyjechaliśmy aresztować twojego ojca. Z którym swoją drogą nigdy się nie spotkałaś. To znaczy, jeśli w ogóle się pojawi. Poinformowany całkiem niedawno o twoim istnieniu.

Wbijając oczy w lusterko, patrzył, jak jej sylwetka staje się coraz mniejsza. Przystanął przed skrzyżowaniem, skręcił w lewo, spojrzał na nią jeszcze raz, a potem odjechał i zniknęła mu z oczu.

• • •

Nikt nie ruszył za nimi w pogoń. Zatrzymali się sto metrów dalej, ale na ulicy za nimi nikt się nie pojawił. Co teoretycznie mogło sprawić, że Reacher poczuł się zawiedziony. Nie żeby naprawdę tak było. W tym momencie dwaj nieposzkodowani faceci z samochodu z wgniecionymi drzwiami znajdowali się na najdalszym z tylnych palników, na kuchence ukrytej dziesięć kilometrów pod ziemią.

– Powiedzieli mi, że mieszka w samochodzie – mruknął.

– Może jej mama ma nową pracę. Albo nowego chłopaka.

– Zauważyłaś jakieś miejsca, z których można by prowadzić obserwację?

– Nic nie rzuciło mi się w oczy.

– Może powinniśmy dołączyć do reszty i zaparkować na ulicy? Dopóki nie wysiądziemy z samochodu, nic nam nie grozi.

– Mam lepszy pomysł – odparła Turner.

Zerknęła na mapę, a potem zaczęła wyglądać przez okna range rovera, obracając się i wykręcając szyję, szukając wzniesień i miejsc, z których można by prowadzić obserwację.

Takich miejsc nie brakowało na południu, gdzie wznosiły się w oparach smogu Hollywood Hills, ale były zbyt daleko, a poza tym nie widzieliby domu od frontu. W końcu wskazała na północny zachód, gdzie autostrada numer sto trzydzieści cztery spotykała się ze stojedynką. Jedna z estakad wielopoziomowego skrzyżowania biegła wysoko, szerokim łukiem, który wydawał się obejmować całą dzielnicę.

– Jeśli na estakadzie jest pas awaryjny, możemy udać, że się rozkraczyliśmy – powiedziała. – Że zagotowała nam się woda w chłodnicy albo coś podobnego. Po tym samochodzie z pewnością można się spodziewać czegoś takiego. Moglibyśmy tam stać godzinami. FBI nie kontroluje pomocy drogowej. Jeśli zatrzyma się przy nas policja Los Angeles, powiemy, że woda już ostygła i możemy jechać.

– Chorąży Espin nas dostrzeże – stwierdził Reacher. – Z pewnością będzie obserwował cały teren. Jeśli zobaczy tam na górze zaparkowany samochód, będzie chciał go skontrolować.

– W porządku, jeśli zatrzyma się obok nas jakikolwiek inny pojazd poza policyjnym radiowozem, natychmiast damy nogę, a jeśli to będzie Espin, zgubimy go w Burbank.

– Zgubimy go jeszcze przed Burbank. Założę się, że wypożyczyli mu ekologiczny samochód.

• • •

Następnie wybrali się do lombardu, ponieważ potrzebowali na krótko wysokiej jakości sprzętu, chcieli kupić go szybko i dyskretnie, i mieli zamiar zapłacić kradzioną kartą kredytową, w związku z czym rynek wtórny wydawał się lepszą opcją. Podjechali lokalnymi ulicami do West Hollywood i weszli do jednego z wielu przybytków tej branży.

– Chciałbym zobaczyć najlepszą lornetkę, jaką pan ma – zwrócił się Reacher do mężczyzny za ladą.

Lornetek było dużo, w większości starych. Co nie powinno dziwić. Reacher wyobrażał sobie, że w czasach jego ojca lornetki kupowało się po prostu, żeby je kupić. Miała ją każda rodzina, podobnie jak encyklopedię. I nikt nie używał ani jednej, ani drugiej. Podobnie jak nikt nie używał dziewięciomilimetrowej kamery na korbkę, jeśli to była rodzina pułkownika albo kogoś jeszcze wyższego stopniem. Ale trzeba było je kupić. To był święty obowiązek ojca rodziny. Lecz teraz wszyscy ojcowie rodzin odeszli na tamten świat, a domy ich dorosłych dzieci miały

ograniczoną pojemność, więc lornetki leżały gdzieś między gitarami akustycznymi i sygnetami absolwentów, nadal w wyścielanych aksamitem futerałach, w których je sprzedano, ometkowane cenami mieszczącymi się w przedziale między niskimi i bardzo niskimi.

Znaleźli lornetkę, która im się podobała, mocną, lecz niezbyt ciężką, z regulacją rozstawu lunet, żeby mogli z niej korzystać oboje. Zapłacił za nią Baldacci i wrócili do samochodu.

– Moim zdaniem powinniśmy zaczekać do zmierzchu – powiedziała Turner. – Wcześniej i tak nic się nie wydarzy, skoro jej mama dostała nową pracę. Poza tym mamy czarny samochód. Espin nie zobaczy go po ciemku. A ulice będą wystarczająco oświetlone, żeby zobaczyć coś przez lornetkę.

– W porządku – zgodził się Reacher. – Ale najpierw coś zjedzmy. To może potrwać kilka godzin. Jak długo jesteś gotowa sterczeć tam na górze?

– Tak długo, jak będzie trzeba. Tyle razy, ile będzie trzeba.

– Dziękuję.

– W całej mojej historii umawiania się z chłopakami nie wiem, czy to jest najmądrzejsza, czy najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

• • •

Zjedli w West Hollywood, dobrze, powoli i drogo, na koszt Petera Lozana, a potem zaczekali, aż późne popołudnie zamieni się we wczesny wieczór. Kiedy uliczne światła stały się jaśniejsze od nieba, wrócili do samochodu i pojechali Sunset Boulevard aż do stojedynki. Autostrada była jak zwykle zakorkowana, ale niebo wykorzystało zmitrężone minuty, by pociemnieć, i kiedy wjeżdżali na estakadę, zapadł już zmierzch.

Nie było tam oficjalnego pasa awaryjnego, ale po prawej stronie, na obszarze nawet od niego szerszym, namalowano ukośne linie, by zacieśnić łuk zakrętu, i zjechali tam, zupełnie jakby na ich tablicy rozdziel-

czej zapaliły się wszystkie lampki kontrolne. Turner trzymała w pogotowiu nową starą lornetkę, a Reacher dotoczył się do miejsca, w którym uznała, że lepszego widoku już nie będzie, i zgasił silnik. Znajdowali się około trzystu metrów od niebieskich drzwi domu i około dwunastu metrów nad nimi. Zupełnie jak w podręczniku polowym. Widok na wprost, z góry. Pozycja więcej niż satysfakcjonująca. Właściwie całkiem niezła. W domu panował spokój. Niebieskie drzwi były zamknięte. Stare czerwone coupe nadal stało na podjeździe. Należące do FBI malibu zniknęło, ale na ulicy wciąż stał hummer i oddalone od niego o dwadzieścia metrów małe białe autko. Rozkład pozostałych pojazdów nieco się zmienił. Pracujący na dziennej zmianie wracali do domu, pracujący na nocnej wyjeżdżali.

Kolejno obserwowali dom przez lornetkę. Reacher odwrócił się, oparł plecami o drzwi i patrzył przez otwarte od strony Turner okno. Optyczny obraz był ciemny i niewyraźny. Lornetka nie miała funkcji noktowizora. Ale to, co widział, wystarczało. Zaledwie metr za jego plecami pędziły samochody, jeden za drugim, wszystkie opuszczające autostradę numer sto jeden i wjeżdżające na stotrzydziestkęczwórkę. Żaden nie zatrzymał się, żeby pomóc. Mijając ich, kołysały po prostu starym pick-upem i gnały dalej.

Romeo zadzwonił do Juliet.

– Byli właśnie w West Hollywood – powiedział. – Kupili coś w lombardzie, zapłacili kartą Baldacciego, a potem posilili się w bardzo drogiej restauracji na koszt Lozana.

– Czego chcieli w lombardzie? – zapytał Juliet.

– To nie ma znaczenia. Ważne jest, że byli w West Hollywood, spędzając beztrosko czas i włócząc się bez celu, czego, jak można sądzić, nie powinni robić, gdyby mieli jakieś ważne sprawy do załatwienia. Na przykład ustalenie obecnego miejsca pobytu pani Dayton. Dlatego powinniśmy moim zdaniem uznać, że już go mają.

– Jak go zdobyli?

– To nie ma znaczenia. Ważne jest to, co zamierzają robić dalej. Możliwe, że pojechali do West Hollywood, żeby ukryć się gdzieś przed

zapadnięciem zmroku. W takim przypadku w tym momencie są już z powrotem gdzieś w pobliżu domu i szykują się do długiej obserwacji.

– Naszych chłopców tam nie ma.

– Więc sprowadź ich z powrotem. Powiedz im, żeby ocenili wojskowym okiem otoczenie domu i ustalili, skąd może prowadzić obserwację wyszkolona ekipa. Pewnie jest tylko kilka takich punktów. Na pewno nie zaszyli się w tylnym ogródku sąsiada. Są prawdopodobnie gdzieś dalej. Podręcznik polowy zaleca widok na wprost, z góry. Gdzieś z wyższego piętra pustego budynku, z wieży wodnej albo z wielopiętrowego garażu. Powiedz naszym chłopcom, żeby sporządzili listę możliwych miejsc, a potem rozdzielili się i je sprawdzili. Będą dzięki temu bardziej efektywni. Musimy to załatwić jeszcze dzisiaj.

– W lombardzie można kupić broń.

– Ale nie zrobili tego. Obowiązuje okres karencji.

Kalifornia ma w tym względzie surowe przepisy. I wydali tylko trzydzieści dolarów.

– Z karty kredytowej. Mogli zapłacić resztę należności gotówką. Lozano i Baldacci mieli jej całkiem sporo w samolocie.

– Nielegalny zakup? W takim razie nie zostaliby w tej samej okolicy, żeby coś zjeść. Byliby zbyt spięci. Pojechaliby gdzie indziej. Takie mam wrażenie. Więc zakładajmy, że nadal są nieuzbrojeni.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz w tej kwestii – powiedział Juliet. – To ułatwi sprawę.

• • •

Turner przez trzydzieści minut patrzyła przez lornetkę, a potem oddała ją Reacherowi, mrugając i trąc oczy. Reacher rozstawił szerzej szkła i poprawił ostrość, co wymagało pełnego obrotu. Któreś z nich było półślepe.

– Zadzwonię znowu do sierżant Leach – powiedziała Turner. – Chcę wiedzieć, czy nie wpadła w kłopoty.

– Przekaż jej ode mnie pozdrowienia – poprosił Reacher.

Słuchając jednym uchem prowadzonej przez Turner rozmowy, obserwował, co dzieje się trzysta metrów dalej. A działo się niezbyt wiele. Hummer stał tam, gdzie stał, małe białe autko stało tam, gdzie stało. Nikt nie wchodził ani nie wychodził przez niebieskie frontowe drzwi. Sierżant Leach nie miała, jak się zdaje, większych kłopotów. Podobnie jak jej uczynna przyjaciółka Margaret Vega. Przynajmniej na razie. Rozmowa była krótka. Turner nie powiedziała niczego wprost, ale Leach chyba się z nią zgadzała, że kości zostały rzucone i mogą teraz wrócić tylko z tarczą albo na tarczy.

Niebieskie drzwi nadal były zamknięte. Przez większość czasu Reacher kierował lornetkę prosto na nie, ale potem z każdych dwudziestu sekund obserwacji cztery poświęcał na oglądanie bezpośredniego otoczenia. Wodził lornetką wzdłuż trasy, którą wcześniej przebył, cofając się do skrętu i do uliczki z porzuconym rowerkiem, autem na cegłach i furgonetką piekarza stojącą obok spożywczego, a potem do głównej ulicy, czyli do Vineland Avenue, położonej mniej więcej tak samo daleko na południe od autostrady, jak daleko kancelaria prawna była położona na północ.

Spojrzał ponownie na niebieskie drzwi, które nadal były zamknięte.

I znowu prześledził swoją trasę, ale na skrzyżowaniu przesunął lornetkę w prawo zamiast w lewo i znalazł identyczny skręt, lustrzane odbicie poprzedniego. Taka sama strefa ograniczonego ruchu kołowego, takie same problemy. I ta sama główna ulica, Vineland Avenue, tyle że czterysta metrów dalej. Co sprawiało, że dzielnica nie miała kształtu idealnego prostokąta. Po prawej stronie była szersza niż po lewej. Jak proporczyk. W pewnej odległości nad jej górnym prawym rogiem biegła autostrada, za nią znajdowała się kancelaria, a w pewnej odległości pod jej dolnym prawym rogiem była knajpa w stylu wagonu restauracyjnego, cała oświetlona i lśniąca.

Reacher wiedział, którędy by poszedł.

Spojrzał na niebieskie drzwi – nadal były zamknięte.

• • •

Pozostawały zamknięte aż do dziewiętnastej pięćdziesiąt dziewięć, kiedy to otworzyły się i znów wyszła przez nie dziewczynka. Wyglądając tak samo jak wcześniej. Taki sam swobodny, niepozbawiony wdzięku chód, takie same rozpuszczone włosy, ta sama koszula i kurtka i te same tenisówki. Najprawdopodobniej bez skarpetek i sznurowadeł. Na ustach miała pewnie taki sam ironiczny uśmieszek, ale było ciemno, a optyka ma swoje ograniczenia.

Wyglądała tak samo jak poprzednio.

Ale skręciła w drugą stronę.

Na wschód, nie na zachód. Oddalając się od skrzyżowania dwóch autostrad. W kierunku głównej ulicy. Nikt za nią nie szedł. Nikt jej nie śledził ani nie ochraniał. Reacher pokazał to Turner, a ona pokiwała głową.

– Twoim zdaniem nie powiedzieli nic matce ani córce? – zapytał.

– Najwyraźniej nic nie powiedzieli małej – odparła. – Nie mogą powiedzieć: „Znaleźliśmy twojego tatę, ale postanowiliśmy go aresztować".

– Nie mogli powiedzieć tego matce? Jeśli mnie zamkną i wyrzucą klucz, nie dostanie zbyt dużych alimentów.

– Co ci chodzi po głowie?

– Nikogo za nią nie posłali. Co powinni byli zrobić. Skoro nie mogę się z nią skontaktować w domu, w takim razie będę próbował się do niej zbliżyć, kiedy z niego wyjdzie. To chyba oczywiste. Ale nikt jej nie towarzyszy. Jedynym logicznym wytłumaczeniem może być to, że im nie powiedzieli. I ponieważ nie potrafiliby wytłumaczyć, dlaczego łażą za nimi wszędzie jacyś faceci, więc nikt za nimi nie łazi.

– Poza tym to sknerusy. Gdyby im powiedzieli, musieliby oddelegować do ich domu funkcjonariuszkę. A to kosztowałoby dodatkową kasę.

– No dobrze, więc jeśli matka i córka są przynętą, ale nic o tym nie wiedzą i wychodzą z domu, w takim razie Espin i ktokolwiek inny

może najwyżej śledzić je z daleka lub wysłać za nimi jakiś pojazd.

– Zgoda.

– Ale nikt się nie ruszył i żaden pojazd nie odjeżdża sprzed domu.

– Może czekają, aż dziewczynka zniknie z pola widzenia?

– Zobaczmy, czy to zrobią.

Nie zrobili. Dziewczynka skręciła przy końcu ulicy w prawo i zniknęła, ale nikt nie ruszył się sprzed jej domu.

– Może mają drugą ekipę? – zastanawiała się Turner.

– Zatwierdziłabyś taki wydatek?

– Jasne, że bym zatwierdziła.

– A oni? Skoro nie chcieli nawet oddelegować do ich domu funkcjonariuszki?

– No dobrze, jest tylko jedna ekipa i nie ruszają się z miejsca. Lenistwo i zaniedbanie obowiązków. Poza tym ciężko tam znaleźć miejsca parkingowe.

– Nie ruszają się z miejsca, bo mają mnie za głupka, który przyjdzie prosto do domu i zapuka do drzwi.

I nagle pojawił się samochód. Tak jak oni wjechał w plątaninę uliczek z Vineland Avenue i tak jak oni skręcił w lewo, a następnie w prawo. Jego reflektory omiotły z jednej i z drugiej strony niską zabudowę, a potem ruszył prosto ku nim, oślepiając ich światłami, mijając hummera, mijając niebieskie drzwi, dojeżdżając prawie do małego białego auta, przy którym zatrzymał się i szybko cofnął, znowu mijając niebieskie drzwi i hummera, aż do ostatniego wolnego miejsca, które znajdowało się najwyraźniej o wiele dalej, niż życzyłby sobie tego kierowca. Samochód zgrabnie tam zaparkował, reflektory zgasły i wysiedli z niego dwaj faceci, niezbyt dobrze widoczni z dużej odległości, tak naprawdę dwa ruchome cienie, jeden może trochę większy od drugiego.

Jaszczurczy mózg zbudził się i miliard lat później Reacher pochylił się lekko do przodu.

52

Z tej odległości lornetka niewiele mogła pomóc, światło było bardzo słabe, więc Reacher niczego jeszcze nie przesądzał. Każdego dnia w Kalifornii przebywa prawie czterdzieści milionów ludzi i pojawienie się dwóch konkretnych osobników akurat wtedy, gdy szuka ich trzeci, jest mało prawdopodobne.

Ale rzeczy mało prawdopodobne czasami się zdarzają, więc Reacher nie spuszczał z nich oczu i podkręcał ostrość, chcąc im się lepiej przyjrzeć. Szli ulicą, nie chodnikiem, szybko, ramię przy ramieniu, cały czas się zbliżając. Reacher był coraz bardziej pewny. Znowu minęli hummera i nagle znaleźli się w kręgu światła latarni, i w tym momencie zyskał ostateczną pewność.

Patrzył na kierowcę z pierwszego wieczoru. Obok niego szedł wielki facet z ogoloną głową i małymi uszami.

Zatrzymali się dokładnie przed domem, przez chwilę stali nieruchomo, a potem odwrócili się w stronę, z której przyszli, jakby obserwowali horyzont, i zaczęli powoli się obracać w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara, stawiając małe kroczki, co jakiś czas pokazując coś znajdującego się wysoko i poza domem.

– Szukają nas – orzekł Reacher.

Dwaj faceci nadal obracali się w miejscu. Zatoczyli połowę kręgu i po raz pierwszy zobaczyli estakadę. Facet z uszami chyba natychmiast zrozumiał. Podniósł rękę, wskazał łuk od prawej do lewej, a następnie

od lewej do prawej, pokazując, jak obejmuje całą dzielnicę, a potem cofnął dłoń do piersi, jakby chciał powiedzieć: „Tam na górze jest widownia, a tu na dole jest scena". Następnie tą samą dłonią osłonił oczy i zaczął dokładnie przyglądać się estakadzie, kawałek po kawałku, metr po metrze, szukając najlepszego miejsca, i w końcu znieruchomiał, zupełnie jakby patrzył z drugiego końca w ich lornetkę.

– Znaleźli nas – powiedział Reacher.

Turner zerknęła na mapę.

– Nie zdołają tu szybko dojechać – stwierdziła. – Nie przy tym układzie ulic. Muszą cofnąć się aż do Hollywood Bowl, zawrócić i wjechać na stojedynkę za nami. To bardzo długi objazd.

– Dziewczyna jest tam sama – zauważył Reacher.

– Zależy im na nas.

– A nam na niej. Powinni trzymać się blisko niej. Ja bym tak zrobił.

– Nie wiedzą, dokąd poszła.

– To nie jest wyższa matematyka. Jej mamy nie ma w domu, do dwudziestej oglądała telewizję, a potem wyszła coś zjeść.

– Nie wezmą jej jako zakładniczki.

– O mało nie zatłukli na śmierć Moorcrofta. I mają coraz mniej czasu.

– Więc co chcesz zrobić?

Reacher nie odpowiedział. Rzucił lornetkę na kolana Turner, uruchomił samochód, obejrzał się przez ramię i zjechał z ukośnych linii na pas ruchu. Pokonał zakręt, zostawiając za sobą stojedynkę, wjeżdżając na stotrzydziestkęczwórkę i wypatrując pierwszego zjazdu, który, jak sądził, będzie prowadził do Vineland Avenue. I rzeczywiście tak było, przy czym mógł w nią skręcić na południe albo na północ. Sfrustrowany wlókł się przez chwilę w korku, a potem skręcił na południe. Minął pierwszą uliczkę z ograniczonym ruchem kołowym, minął drugą i jechał dalej, aż po stu metrach zobaczył knajpę w stylu wagonu restauracyjnego, całą oświetloną i lśniącą.

I dziewczynkę, która przechodziła w jej kierunku przez Vineland Avenue.

Reacher zwolnił, pozwolił, by przeszła pięćdziesiąt metrów przed

nim, i patrzył, jak wchodzi na parking przed knajpą. W jednym z jego rogów stała grupka nastolatków, razem może ośmioro dziewcząt i chłopców, obijających się bez celu, spędzających razem wieczór, przybierających różne pozy i stroszących piórka, tak jak to czynią nastolatki. Dziewczynka skierowała się w ich stronę. Może w ogóle nie miała zamiaru jeść. Może zjadła coś w domu. Coś z lodówki, co wrzuciła do mikrofali. Może wyszła na miasto, żeby spotkać się z rówieśnikami w ulubionym miejscu, poobijać się i spędzić przyjemnie wieczór.

Co nie byłoby najgorsze. W grupie jest bezpieczniej.

Dziewczynka podeszła do innych dzieciaków, przybiła kilka piątek i zaczęły się wygłaszane ze śmiertelną powagą komentarze, śmiechy i wygłupy. Reacher podjął szybką decyzję: wjechał na parking i zaparkował w przeciwległym rogu. Dziewczynka nadal rozmawiała z rówieśnikami. Zachowywała się swobodnie. To byli jej koledzy. Lubili ją. To nie ulegało wątpliwości. Nie czuło się skrępowania.

Ale po kilku minutach odsunęła się od nich. Język jej ciała zakomunikował: „Wchodzę do środka", ale nikt nie ruszył za nią, a ona nie wydawała się zawiedziona. Wprost przeciwnie.

Wyglądało na to, że dobrze się czuła w ich towarzystwie, ale teraz miała zamiar pobyć sama. Jakby było jej wszystko jedno.

– To samotniczka – uznała Turner.

– I jest wysoka – dodał Reacher.

– To niekoniecznie musi coś znaczyć.

– Wiem.

– Nie możemy tu zostać.

– Chcę wejść do środka.

– Żadnych powitań i uścisków. Jeszcze nie.

– Nie będę z nią rozmawiał.

– Ściągniesz na nią uwagę.

– Tylko jeśli ci dwaj faceci zobaczą tu nasz samochód. Turner nie odpowiedziała. Reacher patrzył, jak dziewczynka otwiera drzwi i wchodzi do środka. Knajpa była w tradycyjnym stylu, obita z zewnątrz nierdzewną stalą, z zagięciami, fałdami i potrójnymi liniami jak w starym

krążowniku szos, z małymi obramowanymi okienkami jak w starym wagonie i neonowymi literami w stylu art deco. W środku było chyba tłoczno. Godzina szczytu, kiedy na niebieskich talerzach podaje się dania dnia i zaczynają ściągać wieczorni amatorzy kawy. Reacher wiedział o takich knajpach wszystko. Znał ich rytm. Spędził w nich setki godzin.

– Wyłącznie obserwacja – przypomniała mu Turner.

– Zgoda.

– Żadnego kontaktu.

– Zgoda.

– Dobrze, idź. Ukryję gdzieś samochód i zaczekam. Nie napytaj sobie biedy.

– Ty też.

– Zadzwoń, kiedy skończysz.

– Dziękuję – rzucił Reacher. Wysiadł i przeszedł na ukos przez parking. Słyszał przejeżdżające Vineland Avenue auta i lecący nad głową samolot. Słyszał przekomarzających się i śmiejących nastolatków. Słyszał oddalającego się za nim range rovera. Odetchnął głęboko, otworzył drzwi knajpy i wszedł do środka.

Wnętrze też urządzone było w tradycyjnym stylu, z boksami po lewej i prawej stronie i biegnącym przez całą długość lokalu kontuarem, oddalonym mniej więcej dwa metry od tylnej ściany, w której znajdowało się wejście do kuchni i która cała była wyłożona lustrami. W boksach były winylowe siedzenia, przy kontuarze stał długi rząd barowych stołków. Wszędzie pełno chromów i pastelowych kolorów, jak w kabrioletach z lat pięćdziesiątych, podłoga kryta linoleum, każda płaska powierzchnia laminowana na różowo, niebiesko i jasnożółto, w deseń przypominający nagryzmolone ołówkiem notatki, co biorąc pod uwagę kontekst czasowy, kojarzyło się Reacherowi z tajemniczymi równaniami dotyczącymi przekraczania bariery dźwięku albo bomby wodorowej.

Za barem urzędował zgarbiony i siwowłosy barman, lewą stronę sali obsługiwała mniej więcej czterdziestoletnia blondynka, prawą mniej więcej pięćdziesięcioletnia brunetka, i wszyscy uwijali się jak w ukropie, ponieważ knajpa była w ponad trzech czwartych pełna. Zajęte były

wszystkie boksy po prawej stronie, część przez ludzi posilających się po całym dniu pracy, część przed wieczornym wyjściem na miasto, jeden przez kwartet hipsterów najwyraźniej złaknionych autentycznego kolorytu epoki. Dwa boksy po prawej stronie świeciły pustkami, a przy barze dziewiętnaście stołków było zajętych i pięć wolnych.

Dziewczynka siedziała na samym końcu po prawej stronie, na ostatnim stołku przy barze, biorąc go we władanie, jakby przychodziła tu regularnie od co najmniej pięćdziesięciu lat. Miała przed sobą sztućce, serwetkę i szklankę z wodą, ale nie dostała jeszcze nic do jedzenia. Obok niej było puste miejsce, a dalej klient pochylony nad talerzem i kolejni faceci. Następne wolne miejsce było dziewięć stołków dalej. Reacher uznał, że najłatwiej będzie ją obserwować z jednego z pustych boksów, ale takie knajpy mają swoją etykietę i samotny gość zajmujący czteroosobowy stolik spotyka się z dezaprobatą.

W związku z tym stanął niepewnie w progu i blondynka z lewej strony ulitowała się nad nim, podeszła i uśmiechnęła się jakby na powitanie, ale ponieważ była zmęczona, uśmiech nie bardzo jej wyszedł.

– Niech pan siada, gdzie pan chce. Ktoś zaraz do pana podejdzie – powiedziała i pobiegła obsługiwać stoliki, a Reacher uznał, że formuła „gdzie pan chce" obejmuje również czteroosobowy boks, więc skręcił w prawo i zrobił krok do przodu.

Dziewczynka obserwowała go w lustrze.

I robiła to całkiem otwarcie. Utkwiła oczy w jego oczach, wpatrując się w wyłożoną lustrami ścianę i uwzględniając kąt odbicia, kąt padania, refrakcję i wszystkie te inne rzeczy, o których uczą na lekcji fizyki w liceum. Nie odwróciła wzroku, nawet gdy popatrzył wprost na nią.

Żadnego kontaktu, obiecał.

Ruszył w prawo i zajął pusty boks prawie tuż za nią. Żeby lepiej ją widzieć, oparł bark o okno i odwrócił się plecami do sali, co niezbyt mu odpowiadało, ale nie miał wyboru. Po chwili podeszła do niego brunetka z takim samym bladym uśmiechem jak blondynka.

– Podać wodę? – zapytała.

– Kawę – odparł.

Dziewczynka nadal przyglądała mu się w lustrze.

Nie był głodny, bo obiad, który Lozano fundnął im w West Hollywood, był prawdziwą ucztą bogów. Dlatego odsunął menu na bok. Brunetka nie była zachwycona tym, że nic nie zamówił. Miał wrażenie, że nieprędko ją znowu zobaczy. Nie powinien raczej liczyć na darmowe dolewki.

Dziewczynka nadal go obserwowała.

Spróbował kawy. Była w porządku. Barman podał dziewczynce talerz i w tym momencie przerwała kontakt wzrokowy z Reacherem, żeby powiedzieć tamtemu coś, co sprawiło, że się uśmiechnął. Miał na uniformie naszywkę z imieniem, które brzmiało Arthur. Odpowiedział jej coś, dziewczynka uśmiechnęła się i facet odszedł.

A potem wzięła w jedną rękę sztućce i serwetkę, a w drugą talerz, zsunęła się ze stołka i podeszła do boksu Reachera.

– Mogę się do pana przysiąść? – zapytała.

53

Położyła na stole sztućce i serwetkę i cofnęła się do baru po szklankę z wodą. Dała znak facetowi o imieniu Arthur, że przenosi się do boksu, po czym wróciła do Reachera, postawiła szklankę przy talerzu i usiadła na winylowej kanapce dokładnie naprzeciwko niego. Z bliska wyglądała tak samo jak z daleka, ale wszystkie szczegóły były wyraźniejsze. Zwłaszcza jej oczy, które pasowały do ust, bo było w nich coś kpiącego.

– Dlaczego się do mnie przysiadłaś? – zapytał.

– A dlaczego nie?

– Nie znasz mnie.

– Jest pan niebezpieczny?

– Mógłbym być.

– Arthur trzyma colta pythona mniej więcej naprzeciwko miejsca, gdzie pan siedzi. I jeszcze jednego w drugim końcu baru. Z ośmiocalową lufą. Oba są załadowane. Pociskami magnum kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem.

– Dużo tutaj jadasz?

– Praktycznie każdy posiłek, ale odpowiedniejszym słowem byłoby „często", nie „dużo". „Dużo" odnosi się do ilości, a ja wolę małe porcje.

Reacher nie odezwał się.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie mogłam się powstrzymać. Jestem z natury pedantyczna.

– Dlaczego się do mnie przysiadłaś? – powtórzył.

– Dlaczego widziałam dzisiaj trzy razy pana samochód?

– Kiedy był ten trzeci raz?

– Chronologicznie to był pierwszy raz. Byłam przy kancelarii.

– Po co?

– Z ciekawości.

– W związku z czym?

– W związku z tym, że widujemy trzy razy dziennie te same samochody.

– My?

– Ci z nas, którzy zwracają uwagę na pewne rzeczy – wyjaśniła. – Niech pan nie udaje głupka. W naszej dzielnicy coś się dzieje i bardzo chcielibyśmy wiedzieć, o co chodzi. A pan wygląda na kogoś, kto mógłby nam to powiedzieć. Jeśli grzecznie poproszę.

– Dlaczego uważasz, że mógłbym ci to powiedzieć?

– Bo jest pan jednym z nich. Krąży pan przez cały dzień i węszy.

– Co twoim zdaniem się dzieje? – zapytał Reacher.

– Wiemy, że obstawiliście kancelarię. I wiemy, że jesteście przez cały czas na mojej ulicy. Więc domyślamy się, że ktoś przy mojej ulicy jest klientem adwokata i jest zamieszany w jakieś szemrane interesy.

– Kto na twojej ulicy?

– W tym rzecz, prawda? To zależy, ile robicie zmyłek, wybierając miejsca, w których parkujecie. Uważamy, że chcecie być blisko waszego celu, ale nie bezpośrednio przy nim, bo to byłoby zbyt oczywiste. Ale jak blisko? Tego właśnie nie wiemy. Stając po prawej albo lewej stronie, trochę dalej albo bliżej w górę i w dół ulicy, możecie mieć na widoku dużo różnych domów.

– Jak się nazywasz? – zapytał Reacher.

– Pamiętasz o tym colcie pythonie?

– Załadowanym.

– Mam na imię Sam.

– Sam i co dalej?

– Sam Dayton. A jak pan się nazywa?

– Czy to naprawdę wszystko, co wiesz o operacji prowadzonej na twojej ulicy?

– Niech pan nie bagatelizuje znaczenia tego, co zrobiliśmy. Moim zdaniem nieźle się spisaliśmy, dopasowując wszystkie fragmenty układanki. A pan nie puszcza pary z gęby. Co swoją drogą jest wspaniałym wyrażeniem, nie sądzi pan? „Nie puszczać pary z gęby". Wskazówką stało się to, jak przestawiacie samochody między kancelarią i ulicą, gdzie mieszkam. Rozumiem, dlaczego to robicie, ale w rezultacie wydało się, że te dwa miejsca są ze sobą związane.

– Nikt z wami o tymi nie rozmawiał?

– Dlaczego mieliby to robić?

– Twoja mama nic ci nie powiedziała?

– Nie zwraca na to uwagi. Żyje w wielkim stresie.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu wszystkiego.

– A twój tato?

– Nie mam taty. To znaczy muszę oczywiście mieć biologicznego ojca, ale nigdy go nie poznałam.

– Jakieś rodzeństwo?

– Żadnego.

– Twoim zdaniem co to za jedni? – zapytał Reacher.

– To oczywiste, że federalni. Z Agencji Zwalczania Narkotyków, Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej albo z FBI. To jest Los Angeles. Zawsze chodzi o dragi, broń albo pieniądze.

– Ile masz lat?

– Prawie piętnaście. Nie powiedział mi pan jeszcze, jak się nazywa.

– Reacher – powiedział, bardzo uważnie ją obserwując. Ale nie zobaczył żadnej reakcji. Żadnej iskry w oku. Żadnego „Aha!" ani „O mój Boże!", co jego zdaniem powinno być bardziej naturalną odzywką u nastolatków. Jego nazwisko nic jej nie mówiło. Zupełnie nic. Nikt nie wymienił go w jej obecności.

– Więc powie mi pan, co się dzieje? – zapytała.

– Obiad ci stygnie – oświadczył. – To jest to, co się dzieje. Powinnaś

jeść.

– A pan nic nie je?

– Już jadłem.

– Więc po co pan tu przyszedł?

– Z powodu wystroju.

– Arthur bardzo się nim szczyci. Gdzie pan mieszka?

– Kręcę się to tu, to tam.

– Więc jest pan agentem federalnym – stwierdziła i zaczęła skubać danie na talerzu, które zdaniem Reachera w karcie mogło figurować pod określeniem Niesamowite Klopsiki Mamusi. Zapachu mielonej wołowiny i keczupu nie dałoby się pomylić z niczym innym. Reacher wiedział o takich knajpach wszystko. Spędził w nich setki godzin i zjadł prawie wszystko, co mają do zaoferowania.

– Mam rację? – zapytała. – Chodzi o adwokata i jego klienta?

– Częściowo – odparł Reacher. – Ale nie łączą ich żadne szemrane interesy. W gruncie rzeczy chodzi o faceta, który może odwiedzić jednego albo drugiego. Albo obu.

– Ktoś trzeci? Ktoś, z kim mają na pieńku?

– Tak jakby.

– Więc to zasadzka? Czekacie, aż ten facet się pojawi? Chcecie go dorwać na mojej ulicy? To będzie coś zajebistego. Chyba że zrobicie to przy kancelarii. Możecie wybrać miejsce? Jeśli tak, zróbcie to na mojej ulicy. Powinniście się w każdym razie nad tym zastanowić. Tam jest bezpieczniej. W tym pasażu handlowym panuje za duży ruch. Czy ten facet jest niebezpieczny?

– Widziałaś kogoś w okolicy?

– Tylko waszych ludzi. Siedzą przez cały dzień w samochodach i obserwują. No i wasze lotne ekipy. Sporo pojawia się facet w srebrnym malibu.

– Sporo?

– Powinnam powiedzieć często. Albo wielokrotnie. I dwaj faceci w wynajętym aucie. No i wasza dwójka w range roverze. Ale nie widziałam samotnego mężczyzny, który sprawiałby wrażenie niebezpiecz-

nego.

– Co to za dwaj faceci w wynajętym samochodzie?

– Jeden z nich ma śmieszną spiczastą głowę. I przycięte uszy.

– Przycięte?

– Tak. Z początku, z daleka, wydawało mi się, że są po prostu małe. Ale z bliska widać, że są przycięte. W sześciokąty.

– Kiedy widziałaś z bliska tego faceta?

– Dziś po południu. Stał na chodniku przed moim domem.

– Powiedział coś?

– Ani słowa. Dlaczego miałby coś mówić? Nie jestem adwokatem ani klientem i nie mam z nikim nie pieńku.

– Nie jestem upoważniony, żeby ci coś mówić – oświadczył Reacher – ale ci dwaj faceci do nas nie należą. To nie są nasi ludzie, rozumiesz? Całkiem możliwe, że to z nimi mamy problem. Więc trzymaj się od nich z daleka. I powiedz swoim kolegom.

– To niefajnie – mruknęła.

I w tym momencie zadzwonił telefon Reachera. Nie przywykł do noszenia komórki i z początku uznał, że dzwoni jakiś inny telefon i go zignorował. Ale dziewczyna wpatrywała się w jego kieszeń i w końcu wyjął komórkę.

Na ekranie widniał numer Turner.

Reacher przeprosił i odebrał.

Turner oddychała szybko.

– Jadę z powrotem i chcę cię widzieć przed knajpą, natychmiast – powiedziała.

W jej głosie słychać było z trudem tłumione emocje.

Dlatego Reacher zakończył rozmowę, zostawił Sam Dayton w boksie, wyszedł na zewnątrz i potruchtał w stronę ulicy. Minutę później zobaczył przednie reflektory, szeroko rozstawione: jadący bardzo szybko stary range rover. Po chwili omiotły go jego światła, samochód ostro przyhamował, a Reacher otworzył drzwi i wskoczył do środka.

– Co jest? – zapytał.

– Sytuacja wymknęła się trochę spod kontroli – odparła Turner.

– To znaczy?
– Właśnie zabiłam faceta.

54

Turner wjechała na Ventura Freeway, kierując się na zachód.

– Uznałam, że kancelaria będzie już zamknięta – powiedziała – a wraz z nią cały pasaż. I w związku z tym nie będzie tam już tajniaków, więc pojechałam, żeby się rozejrzeć, ponieważ są pewne rzeczy, o których powinniśmy wiedzieć, na przykład, jakiego rodzaju mają tam zamki i jaki system alarmowy. Tak się składa, że oba są raczej proste. Możesz tam wejść w pięć minut, jeśli będziesz musiał. A potem zerknęłam na mapę i zobaczyłam, że mam całkiem blisko do Mulholland Drive, a ja zawsze chciałam się przejechać Mulholland Drive, jak ten agent FBI na filmie, i doszłam do wniosku, że jeśli ta mała jest tam z tobą i je kolację, potrwa to przynajmniej trzydzieści minut, a ja w tym czasie mogę sobie pozwolić na małą osobistą wycieczkę, więc pojechałam.

– I co? – zapytał Reacher, chcąc, żeby mówiła dalej.

Strzelanie do ludzi jest stresujące, a stres to skomplikowana sprawa. Ludzie próbują się z nim uporać w najróżniejszy sposób. Niektórzy go tłumią, inni próbują go z siebie wyrzucić, gadając. Uznał, że Turner należy do tej drugiej kategorii.

– Śledzono mnie – powiedziała.

– To było głupie – stwierdził, ponieważ nie lubiła bezmyślnego potakiwania.

– Zauważyłam go dość wcześnie. Za nim też ktoś jechał, oświetlając

wnętrze jego samochodu, i zobaczyłam, że jest sam. Samotny kierowca, normalka. Więc specjalnie się tym nie przejęłam. Sporo ludzi jeździ Mulholland Drive, więc nie zaniepokoiło mnie to, że jedzie w tym samym kierunku.

– A co cię zaniepokoiło?

– Jechał z taką samą prędkością. Co jest nienormalne. Prędkość to coś osobistego. A ja jeżdżę na ogół dość wolno. Normalnie tworzy się za mną korek albo wszyscy mnie wyprzedzają. Ale ten facet cały czas trzymał się tuż za mną. Jakbym go za sobą holowała. I wiedziałam, że to nie jest ktoś z siedemdziesiątej piątej ani z FBI, bo nikt od nich nie wie, jaki mamy samochód, więc to musieli być nasi inni przyjaciele, tyle że tym samochodem jechał tylko jeden facet, a nie dwóch, co mogło oznaczać, że to żaden z nich albo że się rozdzielili i polują solo. Tak czy owak trzeba było szybko z tym skończyć, a na filmach mówią, że na Mulholland Drive jest niebezpiecznie, więc uznałam, że zatrzymam się przy pierwszym zjeździe, żeby dać mu do zrozumienia, że go widzę, i będzie mógł albo pogodzić się z porażką i zjechać na dół, albo brnąć w to dalej, zatrzymać się i próbować mnie zaatakować.

– I zatrzymał się?

– Oczywiście. To był trzeci albo czwarty facet z auta z wgniecionymi drzwiami, które widzieliśmy dziś rano. Ten, którego nazywasz kierowcą z pierwszego wieczoru. Rozdzielili się i polują solo.

– Cieszę się, że to był on, a nie ten drugi.

– Był wystarczająco agresywny.

– Jak bardzo?

– Naprawdę agresywny.

– Bzdura – prychnął Reacher. – Ten facet nie był wart żarcia, które mu dawali. Uderzyłem go w drugiej kolejności. Co znaczy, że był mniej wart od tego, który właśnie fundnął nam obiad.

– Trafiony zatopiony – powiedziała Turner. – To było tak, jakbym odebrała cukierek niemowlakowi.

– Jaki cukierek?

– Miał pistolet.

– To wyrównało trochę szanse.

– Owszem, ale tylko przez mniej więcej trzy czwarte sekundy, a potem nie miał już broni, co oznaczało, że ja ją mam, i jakiś głos w mojej głowie krzyczał: „Zagrożenie, zagrożenie, wal w korpus!". Mrugnęłam i zorientowałam się, że to zrobiłam, strzeliłam mu prosto w serce. Facet był martwy, zanim padł na ziemię.

– I do czego jestem ci teraz potrzebny?

– Chcesz powiedzieć, że nie masz dobrych rad na podorędziu?

– Nie takich, które by cię wzmocniły.

– Na szczęście jestem zawodowym oficerem i nie potrzebuję dobrych rad.

– Więc w jaki sposób mogę ci pomóc?

– Chcę, żebyś zajął się zwłokami. Nie mogę ich podnieść.

• • •

Mulholland Drive była dokładnie taka jak na filmach, tyle że węższa. Jechali ostrożnie niczym agenci FBI, gotowi zatrzymać się, jeśli teren będzie czysty, albo jechać dalej, jeśli na miejscu zdarzenia zobaczą migające policyjne koguty i usłyszą trzeszczenie krótkofalówek. Ale kogutów nie było, więc stanęli. Ruch na drodze był niewielki. Była malownicza, lecz pod względem komunikacyjnym mało przydatna.

Ale nocny widok w dół zapierał dech.

– Nie o to chodziło, Reacher – mruknęła Turner.

Martwy facet leżał na ziemi przy przednim kole swojego samochodu. Kolana miał podkurczone, ale poza tym spoczywał na wznak. To był kierowca z pierwszego wieczoru, bez wątpienia. Z dziurą w piersi.

– Co to był za pistolet? – zapytał Reacher.

– Glock siedemnaście.

– Gdzie jest w tej chwili?

– Z wytartymi odciskami palców, w jego kieszeni. Na razie. Musimy się zastanowić, jak to rozegrać.

– Są tylko dwie możliwości – powiedział Reacher. – Policja Los Angeles odnajdzie go albo wcześniej, albo później. Najlepiej byłoby zrzucić go do wąwozu. Może tam leżeć przez tydzień. Mogą go zeżreć dzikie zwierzęta. Albo przynajmniej napocząć, zwłaszcza palce. Załadowanie go do samochodu jest o wiele gorsze. Nie ma znaczenia, czy upozorujemy to na samobójstwo, ponieważ najpierw zdejmą jego odciski palców i w tym momencie w Fort Bragg wpadną w szał i cała ta historia zostanie ujawniona z drugiej strony.

– To znaczy nie przez nas. A ty tego nie chcesz.

– A ty byś chciała?

– Ja chcę, żeby po prostu została ujawniona. Nie obchodzi mnie, kto to zrobi.

– W takim razie jesteś najmniej feralną osobą, jaką znam. Zniesławili cię w najgorszy możliwy sposób. Powinnaś poderżnąć im gardła nożem do masła.

– Ciebie też podle oczernili, przypisując ci pobicie Big Doga.

– To prawda. Dlatego mam zamiar się zatrzymać i kupić nóż do masła. Więc daj mi szansę rozegrać to po mojemu. Kilka dni w wąwozie nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Ponieważ nawet jeśli nie rozwiążemy tego my, gliniarze z Los Angeles i ludzie z Fort Bragg zrobią to w przyszłym tygodniu, kiedy znajdą w końcu tego faceta. Tak czy owak, sprawa ujrzy światło dzienne.

– W porządku.

– I zabierzemy glocka.

• • •

Zabrali również portfel i komórkę. Następnie Reacher złapał faceta za kurtkę, podniósł go z ziemi i zaciągnął tak blisko skraju zbocza, jak się odważył. Pozbywanie się zwłok w wąwozach na ogół nie jest zbyt skuteczne. Zaczepiają o coś metr albo dwa metry niżej, bo nie rzuca się ich dostatecznie wysoko i daleko. Dlatego Reacher obrócił się razem z

facetem niczym młociarz na igrzyskach olimpijskich, dwa pełne obroty, nisko od strony Mulholland Drive, wysoko od strony wąwozu, a potem puścił go i cisnął w ciemność. Usłyszał trzask łamanych gałęzi i chrzęst sypiących się kamieni, a potem słychać już było tylko szum dochodzący z równiny.

• • •

Zawrócili przy bocznym zjeździe i ruszyli przez Laurel Canyon aż do autostrady. Prowadził Reacher. Turner rozłożyła glocka i sprawdziła go, a potem złożyła i schowała do kieszeni, z jednym pociskiem dziewięć milimetrów w komorze i piętnastoma w magazynku. Następnie zajrzała do portfela. Był tak samo wypchany jak poprzednie. Gruby plik dwudziestek, chudszy niższych nominałów, cała talia ważnych i legalnych kart kredytowych, a także wydane w Karolinie Północnej prawo jazdy z fotografią faceta. Nazywał się Jason Kenneth Rickard i zakończył ziemską wędrówkę miesiąc przed dwudziestymi dziewiątymi urodzinami. Nie był dawcą organów.

Jego komórka była tanim urządzeniem na kartę, podobnym do tych, które Reacher i Turner kupili w sieciowej aptece. Bez wątpienia niemożliwym do namierzenia, nabytym tylko na potrzeby tej misji. W spisie kontaktów były tylko trzy pozycje, pierwsze dwie zapisane jako „Pete L" i „Ronnie B", co mogło oznaczać tylko Lozano i Baldacciego, oraz trzecia, „Shrago". Rejestr połączeń był bardzo krótki. Żadnych wychodzących i tylko trzy przychodzące, wszystkie od Shraga.

– Shrago to na pewno ten wielki facet z małymi uszami – orzekła Turner. – Najwyraźniej jest dowódcą.

– One nie są małe. Są przycięte – sprostował Reacher.

– Co jest przycięte?

– Jego uszy.

– Skąd wiesz?

– Powiedziała mi dziewczynka. Widziała je z bliska.

– Rozmawiałeś z nią?

– To ona nawiązała kontakt. W tej knajpie.

– Po co miałaby to robić?

– Wzięła nas za federalnych. Ciekawi ją, co się dzieje na jej ulicy. Uważała, że możemy poinformować ją o szczegółach.

– Gdzie widziała faceta z uszami?

– Przed swoim domem.

– Naprawdę nie wie, co się dzieje?

– Nie wie nawet o pozwie o ojcostwo. Moje nazwisko nic jej nie mówi. Najwyraźniej matka nie powiedziała jej o złożonym oświadczeniu. Mała nie wie nawet, że to matka jest klientką adwokata. Uważa, że to któryś z sąsiadów.

– Nie powinieneś z nią rozmawiać.

– Nie miałem wyboru. Dosiadła się do mojego stolika.

– Do nieznajomego faceta?

– W tej knajpie czuje się bezpieczna. Barman najwyraźniej się nią opiekuje.

– Jaka była?

– To miły dzieciak.

– Twój?

– Na razie jest najlepszą kandydatką. Jest mniej więcej tak samo trzaśnięta jak ja. Ale nadal nie przypominam sobie żadnej kobiety z Korei. Nie kiedy byłem tam ostatnim razem.

– Przycięte uszy? – mruknęła Turner.

– Jak małe sześciokąty.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Ja też nie.

Reacher wyjął komórkę i zadzwonił do Edmonds. Na Zachodnim Wybrzeżu była dziewiąta, co oznaczało, że na Wschodnim jest północ, ale był pewien, że adwokatka odbierze. Miał do czynienia z idealistką. Sygnał wybrzmiał siedem razy i kiedy się odezwała, znowu można było odnieść wrażenie, że spuchł jej język.

– Ma pani długopis? – zapytał Reacher.

– I papier – odparła.

– Chcę, żeby pani sprawdziła dwa kolejne nazwiska w zasobach ludzkich. Prawie na pewno należą do tej samej kompanii logistycznej w Fort Bragg, ale muszę to potwierdzić. Pierwszy to Jason Kenneth Rickard, a drugi to niejaki Shrago. Nie wiem, czy to imię, czy nazwisko. Niech pani spróbuje zebrać o nim trochę informacji. Wygląda na to, że ma okaleczone uszy.

– Uszy?

– To, co każdy ma z boku głowy.

– Rozmawiałam dziś wieczorem z major Sullivan. Biuro sekretarza armii naciska, żeby zakończyć szybko sprawę Rodrigueza.

– Wycofanie zarzutów byłoby dość szybkie.

– Nie ma co na to liczyć.

– Niech pani to zostawi mnie – rzucił Reacher, po czym rozłączył się, schował telefon do kieszeni i znowu zaczął prowadzić samochód obiema rękami.

Nadanie nazwy Laurel Canyon Boulevard drodze, którą jechali, było głupotą. Biegła krętym szlakiem wzdłuż Laurel Canyon, przez bardzo atrakcyjną i malowniczą okolicę, ale nie był to bulwar. Bulwar to szeroka, prosta, dostojna ulica, często wysadzana rzadkimi gatunkami drzew i innymi roślinami. Wyraz pochodzi od francuskiego *boullewerc*, oznaczającego wał obronny, bo stąd wziął się cały pomysł. Bulwar to elegancka droga biegnąca szczytem wału, długa, szeroka i płaska, idealna na spacery.

Zbliżali się do Ventura Boulevard, który nie miał nic wspólnego z Ventura Freeway, ale był przynajmniej prosty i szeroki. Trochę dalej przed nimi był wjazd na Ventura Freeway, po prawej Universal City, po lewej Studio City.

– Zaczekaj – powiedział nagle Reacher.

– Na co? – zapytała.

– Adwokat Big Doga miał biuro w Studio City. Dokładnie przy Ventura Boulevard. Pamiętam adres z oświadczenia.

– I co z tego?

– Może jego zamki i alarmy też nie są najwyższej jakości.

– To poważne wykroczenie, Reacher. Będziesz miał całą masę dodatkowych zarzutów.

– Przynajmniej tam podjedźmy i rzućmy okiem.

– Będę wspólnikiem przestępstwa.

– Możesz zgłosić weto – odparł Reacher. – Dwa palce na przycisku, tak samo jak na atomowym guziku.

Skręcił w lewo i ruszył ulicą. I nagle zadzwonił telefon. Głośny elektroniczny sygnał przypominający trel obłąkanego ptaka. To nie była jego komórka ani komórka Turner, ale komórka Rickarda leżąca na tylnym siedzeniu obok jego portfela.

55

Reacher zatrzymał się i wziął z tylnego siedzenia telefon, który trelował i wibrował w jego dłoni. Na ekranie widniał napis „Połączenie przychodzące", co wydawało się raczej zbędną informacją, biorąc pod uwagę całe to trelowanie i wibrowanie, ale widniał tam również napis „Shrago", co było użyteczne. Otworzył klapkę i przystawił komórkę do ucha.

– Halo? – odezwał się.

– Rickard? – zapytał głos.

– Nie – odparł Reacher. – Nie Rickard.

Cisza.

– Co wy sobie wyobrażaliście? – prychnął Reacher. – Banda magazynierów przeciwko sto dziesiątej? Mamy wynik trzy do zera. I teraz zostałeś sam. Jesteś następny w kolejce. I jak się w związku z tym czujesz?

Cisza.

– W ogóle nie powinni stawiać cię w takiej sytuacji – ciągnął Reacher. – To było nieuczciwe. Wiem o tym. Wiem, jacy są ci z Pentagonu. Nie jest tak, że ci nie współczuję. Mogę pomóc ci się z tego wykaraskać.

Cisza.

– Podaj mi ich nazwiska i wracaj do Fort Bragg, to zostawię cię w spokoju.

Cisza. A potem szybkie bip-bip-bip w słuchawce i „Połączenie zakończone" na ekranie. Reacher rzucił telefon na tylne siedzenie.

– Poproszę po raz drugi, ale nie będę prosił trzy razy – powiedział.

• • •

Po chwili znaleźli się w samym środku Studio City. Część firm przy bulwarze zajmowała całe budynki, inne zgrupowane były w pasażach takich jak ten w North Hollywood, do niektórych trzeba było dojechać wewnętrznymi drogami, jeszcze inne stały daleko od ulicy za rozległymi parkingami. Niełatwo było dostrzec numery poszczególnych posesji, bo przed wieloma nie paliły się światła. Dwa razy skręcili za wcześnie i musieli wycofywać się z niewłaściwych parkingów. Ale dość szybko znaleźli właściwy adres. Pomalowany na pistacjowy kolor pasaż składał się z pięciu lokali. Biuro adwokata Big Doga znajdowało się pośrodku.

Tyle że już go tam nie było.

Środkowy lokal zajmował doradca podatkowy. *Se Habla Espanol* plus sto innych języków.

– W ciągu szesnastu lat wiele może się zmienić. Ludzie odchodzą na emeryturę – powiedziała Turner.

Reacher nie odezwał się.

– Jesteś pewien, że to właściwy adres? – zapytała.

– Uważasz, że się mylę?

– Trudno mieć o to do ciebie pretensję.

– Dziękuję, ale jestem pewien.

Reacher podszedł bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć. Biuro nie wyglądało zachęcająco. Szyld, dodatkowe informacje, obietnice i przechwałki były lekko zdezaktualizowane. Adwokat nie wyniósł się stąd przed miesiącem.

Z tyłu paliło się światło.

– Włącza je programator – stwierdziła Turner. – Ze względów bezpieczeństwa. Nikogo tam nie ma.

– Mamy zimę – zauważył Reacher. – Zaczynają się rozliczenia po-

datkowe. Facet siedzi w środku.

– I co z tego?

– Możemy z nim pogadać.

– O czym? Masz jakieś zaległości podatkowe?

– Może przekazuje tamtemu pocztę? Może go zna? Może lokal nadal należy do starego?

– Może stary zmarł przed dziesięciu laty. Albo wyprowadził się do Wyoming.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – stwierdził Reacher. Wszedł po schodkach i zastukał mocno w szybę. – O tej porze lepiej, żebyś ty trzymała gadkę – powiedział.

• • •

Juliet zadzwonił do Romea, ponieważ pewne obowiązki należały do niego.

– Shrago mówi, że Reacher ma telefon Rickarda – oznajmił. – Z tego wnoszę, że ma także jego pistolet. I wie, że są magazynierami z Fort Bragg.

– To dlatego, że miał dostęp do danych Zadrana. Łatwo było skojarzyć jedno z drugim.

– Został nam tylko jeden człowiek. Jesteśmy prawie bezbronni.

– Shrago jest coś wart.

– Przeciwko nim? Straciliśmy trzech ludzi.

– Przejmujesz się?

– Oczywiście, że się przejmuję. Przegrywamy.

– Masz jakiś pomysł?

– Nadszedł odpowiedni moment – powiedział Juliet. – Wiemy, co jest ważne dla Reachera. Powinniśmy pozwolić Shragowi działać.

• • •

Przez dłuższą chwilę wydawało się, że Turner ma rację i nikogo tam nie ma, a światło włącza programator, ale Reacher nadal pukał i w końcu w polu widzenia pojawił się facet, który dawał im gestami do zrozumienia, żeby się wynosili. Na co Reacher też odpowiedział gestami, co doprowadziło do pewnego rodzaju impasu, z facetem sygnalizującym, że nie życzy sobie, by ktoś go nachodził po nocy, i Reacherem czującym się jak dzieciak z filmu, którego posłano po doktora i który woła: „Niech pan się pospieszy, starego Jeba zasypały formularze podatkowe!". I facet pierwszy dał za wygraną. Parsknął zniecierpliwiony, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Był młodym Azjatą koło trzydziestki, w szarych spodniach i czerwonej wełnianej kamizelce.

– Czego chcecie? – zapytał.

– Przede wszystkim chcielibyśmy pana przeprosić – powiedziała Turner.

– Za co?

– Że zawracamy panu głowę. Wiemy, że pański czas jest bardzo cenny. Ale chcemy, żeby poświęcił pan nam pięć minut. Za co z przyjemnością zapłacimy panu sto dolarów.

– Kim jesteście?

– W tym momencie, formalnie rzecz biorąc, pracujemy dla rządu.

– Czy mogę zobaczyć wasze legitymacje?

– Nie.

– Ale chcecie mi zapłacić sto dolarów?

– Tylko jeśli ma pan istotne informacje.

– Na jaki temat?

– Na temat adwokata, który pracował tutaj przed panem.

– Co chcecie o nim wiedzieć?

– Kongres wymaga od nas, żebyśmy potwierdzili różne informacje co najmniej na pięć różnych sposobów. Zrobiliśmy to już cztery razy i mamy nadzieję, że pan będzie dzisiaj naszym piątym źródłem i będziemy mogli spokojnie wrócić do domu.

– Jakiego rodzaju informacje?

– Przede wszystkim musimy zapytać, czy według pana najlepszej

wiedzy osoba, o której mowa, żyje czy też zmarła.

– Owszem, mam wiedzę na ten temat.

– I odpowiedź brzmi…

– Żyje.

– Dobrze – ucieszyła się Turner. – Od tego musieliśmy zacząć. A teraz potrzebujemy wyłącznie jego pełnego nazwiska i aktualnego adresu.

– Powinniście przyjść do mnie najpierw, a nie na samym końcu. Przekazuję facetowi pocztę.

– Nie, najpierw chcieliśmy się uporać z trudniejszymi respondentami. Dzięki temu lepiej nam się pracuje. Mamy z górki, a nie pod górkę.

– Zapiszę wam to.

– Będziemy bardzo zobowiązani.

– Dane muszą być precyzyjnie podane – zaznaczył Reacher. – Wie pan, jaki jest Kongres. Jeśli jeden facet napisze w adresie „Avenue", a drugi „Ave", całkiem możliwe, że tego nie uznają.

– Niech pan się nie martwi – uspokoił go mężczyzna.

• • •

Pełne nazwisko adwokata brzmiało Martin Mitchell Ballantyne i nie przeprowadził się do Wyoming. Nadal mieszkał w Studio City, w Los Angeles, w stanie Kalifornia.

Praktycznie można tam było dojść na piechotę. Z mapy Turner wynikało, że to gdzieś przy końcu Coldwater Canyon Drive. Może facet mieszkał tam przez cały czas.

I jeśli tak było, najwyraźniej marny był z niego adwokat. Pod podanym adresem zobaczyli otoczony drzewami parterowy domek, prawdopodobnie z lat trzydziestych, od ośmiu dekad schodzący na psy. Był zapuszczony już dawno temu. Teraz przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy. Ciemnozielone jak śluz ściany i żółte światło w oknach.

– Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei – ostrzegła Turner.

– Może w ogóle nie będzie chciał się z nami zobaczyć. Jest trochę za

późno na wizytę.

– W domu nadal palą się światła – zauważył Reacher.

– I może w ogóle nie pamiętać tej sprawy. To było szesnaście lat temu.

– W takim razie nasza sytuacja w ogóle się nie zmieni.

– Chyba że uzna to za próbę wywarcia wpływu na świadka oskarżenia.

– Powinien to uznać za chęć złożenia oświadczenia pod przysięgą.

– Po prostu nie zdziw się, jeśli nas wyrzuci.

– To samotny stary facet. O niczym tak nie marzy jak o dwojgu gości.

• • •

Ballantyne ani ich nie wyrzucił, ani specjalnie nie ucieszył się na ich widok. Stanął po prostu w progu, raczej biernie, jakby spędził sporą część życia na otwieraniu późnym wieczorem drzwi w odpowiedzi na pilne wezwania. Średniego wzrostu i raczej zdrowy, niedawno przekroczył sześćdziesiątkę. Ale sprawiał wrażenie zmęczonego i miał smętną minę. Wyglądał na kogoś, kto rzucił wyzwanie światu i przegrał. Na wardze miał bliznę, która zdaniem Reachera nie powstała w wyniku zabiegu chirurgicznego. Za mężczyzną pojawiła się kobieta, chyba żona. Tak samo ponura, ale mniej bierna, bardziej wrogo nastawiona.

– Chcielibyśmy, żeby poświęcił nam pan piętnaście minut, panie Ballantyne – powiedział Reacher. – Czy odpowiada panu honorarium wysokości stu dolarów?

– Nie prowadzę już praktyki adwokackiej – odparł facet.

– Nie mam licencji.

– Przeszedł pan na emeryturę?

– Nie, wydalono mnie z palestry.

– Kiedy?

– Cztery lata temu.

– Chciałbym z panem porozmawiać o pewnej starej sprawie.

– Dlaczego pan się nią interesuje?

– Kręcimy film.

– Z jakiego okresu jest ta sprawa?

– Sprzed szesnastu lat.

– I zapłaci mi pan sto dolców?

– Jeśli pan chce, mogą być pańskie.

– Wejdźcie – powiedział facet. – Zobaczymy, czy je chcę.

Wszyscy czworo przecisnęli się wąskim korytarzykiem do wąskiego salonu, umeblowanego lepiej, niż Reacher się spodziewał, jakby Ballantyne mieszkał kiedyś w lepszych warunkach. Być może przed czterema laty. Kiedy pozbawiono go prawa wykonywania zawodu, być może ukarano grzywną, być może pozwano, być może doprowadzono do bankructwa.

– A jeśli sobie nie przypomnę? – zapytał.

– I tak dostanie pan pieniądze – odpowiedział Reacher.

– Pod warunkiem że rzetelnie się pan postara.

– Co to za sprawa?

– Szesnaście lat temu spisał pan oświadczenie klienta, niejakiego Juana Rodrigueza, znanego również pod ksywką Big Dog.

Ballantyne pochylił się do przodu, żeby rzetelnie zapracować na sto dolarów, ale już sekundę później się wyprostował.

– Chodzi o tę historię z armią? – zapytał.

Po jego tonie można było poznać, że dobrze wie, o co chodzi. I że ma poczucie krzywdy. Jakby ktoś rozdrapywał stare rany. Jakby ta historia z armią ściągnęła na niego same kłopoty.

– Tak – potwierdził Reacher. – O tę historia z armią.

– I dlaczego właściwie pan się tym interesuje?

– Użył pan mojego nazwiska, kiedy trzeba było wypełnić odpowiednie rubryki.

– To pan jest tym facetem? – zapytał Ballantyne. – I przyszedł pan do mnie do domu? Nie dosyć się nacierpiałem?

– Wynoście się stąd, do diabła! Natychmiast! – wrzasnęła jego żona.

I najwyraźniej mówiła poważnie, ponieważ zaczęła to raz po raz głośno powtarzać, ze złością i naciskiem na słowo „natychmiast". Z czego Reacher wywnioskował, że nie są już mile widzianymi gośćmi i od tego momentu ich wizytę można uznać za najście, a on obiecał Turner dwa palce na atomowym guziku i pamiętał, że nie powinien wywierać wpływu na świadka oskarżenia, więc razem z nią wyniósł się stamtąd do diabła. Wrócili do samochodu i stanęli, opierając się o karoserię.

– Więc to wszystko ma swoje źródło w systemie ewidencji – uznała Turner.

Reacher pokiwał głową.

– I skrzyżowanych palcach – dodał.

– Zwrócisz się z tym do Sullivan?

– Ty byś się zwróciła?

– Oczywiście. Jest wyższa rangą i służy w biurze śledczym, a nie w zasobach ludzkich.

– Masz rację – odparł Reacher, po czym wyjął telefon i zadzwonił do Edmonds.

56

Edmonds odebrała zaspana i trochę zniecierpliwiona.

– Powiedziała mi pani dziś wieczorem, że zdaniem major Sullivan sekretarz armii naciska na szybkie załatwienie sprawy Rodrigueza – zaczął Reacher.

– I obudził mnie pan w środku nocy, żeby wygłosić kolejny dowcipny komentarz?

– Nie. Chcę, żeby się pani dowiedziała, kto dokładnie przesłał jej tę wiadomość albo przynajmniej jakimi kanałami do niej dotarła.

– Dzięki, że pan o mnie pomyślał, ale czy nie powinien pan zadzwonić w tej sprawie bezpośrednio do major Sullivan?

– Major Sullivan będzie miała teraz sporo innych spraw na głowie. To bardzo ważne, pani kapitan. I bardzo pilne. Chcę mieć odpowiedź jutro z samego rana. Więc niech pani zwróci się do wszystkich, których pani zna, wszędzie. Jak najszybciej. Dopóki jeszcze ludzie biegają na bieżni, czy co tam jeszcze robią z samego rana.

• • •

Reacher poklepał się po kieszeniach i znalazł numer prywatnej komórki Sullivan, który dostał od sierżant Leach. Wybrał go i liczył sygnały. Odebrała po szóstym, co jego zdaniem było całkiem dobrym wy-

nikiem. Najwyraźniej miała lekki sen.

– Halo? – odezwała się.

– Mówi Jack Reacher. Pamięta mnie pani?

– Jak mogłabym zapomnieć. Musimy porozmawiać.

– Właśnie rozmawiamy.

– O pana sytuacji.

– Później, dobrze? W tym momencie mamy pewne rzeczy do załatwienia.

– W tym momencie? Jest środek nocy.

– Albo teraz, albo jak najszybciej. W zależności od pani poziomu dostępu.

– Do czego?

– Odbyłem właśnie rozmowę z adwokatem, który spisał oświadczenie Big Doga.

– Przez telefon?

– Nie, twarzą w twarz.

– To zdecydowanie niestosowne.

– Rozmowa była bardzo krótka. Wyszliśmy, kiedy nas o to poproszono.

– My?

– Jest ze mną major Turner. Oficer w tym samym stopniu i z tymi samymi kwalifikacjami. Ona też to słyszała. Żeby móc wyrobić sobie niezależną opinię.

– Co takiego słyszała?

– Czy wasza prawnicza baza danych ma funkcję wyszukiwania?

– Oczywiście.

– Więc jeśli wpiszę „Reacher, skarga przeciwko", co otrzymam?

– Dokładnie to, co tam jest. Oświadczenie Big Doga i podobne sprawy.

– Czy wyszukiwanie jest szybkie i niezawodne?

– Naprawdę obudził mnie pan w środku nocy, żeby pogadać o komputerach?

– Potrzebuję informacji.

– System jest całkiem szybki. Protokół wyszukiwania nie jest zbyt intuicyjny, ale jest w stanie doprowadzić pana do konkretnego dokumentu.

– Napomknąłem o tej sprawie adwokatowi i natychmiast ją sobie przypomniał. Nazwał ją tą historią z armią. A potem zapytał, dlaczego właściwie się nią interesuję, i kiedy mu to wyjaśniłem, powiedział: „Czy nie dosyć się już nacierpiałem?".

– Co przez to rozumiał?

– Powinna pani tam być, żeby to usłyszeć. Usłyszeć ton jego głosu. Oświadczenie Big Doga nie było zwykłą skargą, którą wysłał tam, gdzie trzeba, i o której szybko zapomniał. To nie było coś rutynowego. To była „ta historia". Z początkiem, środkiem i końcem. I domyślam się, że koniec był dla niego fatalny. To właśnie usłyszeliśmy. Mówił o tym jak o okropnym epizodzie w swoim życiu. Miał o coś żal.

– Reacher, jestem adwokatką, a nie trenerem dialogu. Zwracam uwagę na fakty, a nie na to, w jaki sposób ludzie mówią o tym czy owym.

– A ja jestem oficerem śledczym, a oficer śledczy dowiaduje się o wielu rzeczach, uważnie słuchając. Zapytał mnie, z jakiego powodu się tym interesuję, jakby dziwiło go, dlaczego ktoś się tym jeszcze interesuje. Czyż wszystko nie zostało już wyjaśnione dawno temu?

– Reacher, jest środek nocy. Możesz przejść do rzeczy?

– Niech pani nie będzie taka niecierpliwa. I tak nie ma pani nic innego do roboty. I tak już pani nie zaśnie. Rzecz w tym, że zaraz potem powiedział: „Czy nie dosyć się nacierpiałem?". A jego żona zaczęła wrzeszczeć i się awanturować i wyrzuciła nas za drzwi. Ich standard życia znacznie się obniżył i są z tego bardzo niezadowoleni. Sprawa Big Doga była kamykiem, który uruchomił lawinę. Czymś, co zdarzyło się dawno temu i czego negatywne konsekwencje odczuwają do dziś. Tylko w ten sposób można zrozumieć to, co mówił. Więc teraz zaczynam się zastanawiać, czy całe to oświadczenie nie zostało zaskarżone już wtedy, przed wielu laty. I może adwokat dostał po nosie. Może ukarano go za naruszenie etyki. Co mogło być pierwszym krokiem na wyboistej dro-

dze, która skończyła się przed czterema laty, gdy wykluczono go z palestry. I teraz ani on, ani jego żona nie mogą słuchać o tej sprawie, ponieważ to był początek wszystkich ich kłopotów. „Czy nie dosyć się nacierpiałem?" To znaczy: z powodu tej sprawy przez szesnaście lat żyłem w piekle, a teraz chce pan, żebym do tego wracał?

– Reacher, czego ty się napaliłeś? Przecież nie pamięta pan tej sprawy, więc nie mógł pan jej zaskarżyć. Gdyby pan to zrobił, toby pan ją pamiętał. A skoro została zaskarżona szesnaście lat temu i w rezultacie adwokat dostał po nosie, dlaczego zaskarżają ją teraz?

– Zaskarżają ją teraz?

– Zaraz się rozłączę.

– Co się stanie, jeśli ktoś wpisze do wyszukiwarki „Reacher, skarga przeciwko", wyciągnie oświadczenie Big Doga i wrzuci je do systemu na poziomie jednostki? Robiąc przy tym sporo hałasu i używając prestidigitatorskich sztuczek?

Sullivan milczała.

– Potraktuje się to jako normalną sprawę karną, prawda? Założy się teczkę, będzie się przygotowywać strategię obrony, czekać na konferencję z prokuratorem i liczyć na to, że nasza strategia okaże się skuteczna.

Sullivan milczała.

– Rozmawiała już pani z prokuratorem? – zapytał Reacher.

– Nie – odpowiedziała Sullivan.

– Może nie ma żadnego prokuratora. Może to jednostronna iluzja. Stworzona po to, by funkcjonować tylko przez chwilę. Żebym zobaczył teczkę i uciekł, gdzie pieprz rośnie.

– To nie może być iluzja. Mam naciski z biura sekretarza armii.

– Kto tak mówi? Może dostaje pani wiadomości, ale nie ma pojęcia od kogo? Czy wie pani na pewno, że Big Dog nie żyje? Widziała pani jego świadectwo zgonu?

– To są jakieś rojenia.

– Niewykluczone. Ale niech mi pani zrobi przyjemność. Przypuśćmy, że oświadczenie zostało zaskarżone szesnaście lat temu. Bez

mojej wiedzy. Być może jako jedno ze stu w ramach pokazowej, dotyczącej kogoś innego sprawy, do której zostałem dokooptowany jako aktor drugoplanowy. Jak w pozwie zbiorowym. Może odbyło się to w ramach nowej agresywnej polityki wymierzonej przeciwko łowcom karetek. To może tłumaczyć, dlaczego adwokat tak mocno dostał po nosie. Jakiego rodzaju dokumentację moglibyśmy zobaczyć?

– Gdyby oświadczenie naprawdę zostało zaskarżone? Bardzo obfitą dokumentację.

– Więc gdybym wpisał do wyszukiwarki „Reacher, obrona przeciwko skardze", co bym znalazł?

– Wydaje mi się, że wszystko, co zostałoby zakwalifikowane jako materiały obrony. Prawdopodobnie setki stron, jeśli sprawa była poważna.

– Czy to jest jak robienie zakupów w internecie? Jedna rzecz prowadzi do następnej?

– Nie, mówiłam już panu. Wyszukiwarka jest powolna i przestarzała. Zaprojektowali ją ludzie po trzydziestce. Niech pan nie zapomina, że to wojsko.

– W porządku, więc gdybym miał problem z facetem o nazwisku Reacher, chciałbym go przepłoszyć i bardzo by mi się spieszyło, mógłbym wpisać do wyszukiwarki hasło „Reacher, skarga przeciwko" i znalazłbym wtedy tylko oświadczenie Big Doga. I puściłbym je w obieg, zupełnie nie wiedząc, że to fragment większej całości. Ponieważ nie mam pojęcia, jak działa wyszukiwarka. Mam rację?

– Hipotetycznie.

– I na tym polega pani zadanie od tej chwili. Ma pani sprawdzić tę hipotezę. Niech pani spróbuje odnaleźć tę większą sprawę. Używając wszystkich kluczowych słów, jakie przyjdą pani do głowy.

• • •

Wsiedli do samochodu i pojechali autostradą na wschód, z powro-

tem do Vineland Avenue, a potem na południe, obok dzielnicy, gdzie mieszkała dziewczynka, aż do knajpy w stylu wagonu restauracyjnego. Oczywiście małej już nie było, podobnie jak blond kelnerki i wielu innych gości, którzy jedli tam wcześniej kolację. Godzina szczytu dobiegła końca. Zaczynał się późny wieczór. W oddzielnych boksach siedzieli trzej mężczyźni popijający kawę i jedna kobieta skubiąca placek. Czarnowłosa kelnerka rozmawiała z barmanem. Reacher i Turner stanęli w drzwiach i kelnerka podeszła do nich.

– Przepraszam, ale musiałem stąd wcześniej wybiec – powiedział Reacher. – To była awaryjna sytuacja. Nie zapłaciłem za kawę.

– Rachunek został uregulowany – odparła.

– Przez kogo? Mam nadzieję, że nie przez tę małą. To nie byłoby w porządku.

– Rachunek został uregulowany – powtórzyła kobieta.

– Wszystko w porządku – dodał barman, wycierając kontuar.

– Ile kosztuje filiżanka kawy? – zapytał go Reacher.

– Dwa dolce i jednego centa – odparł facet. – Z podatkiem.

– Dobrze wiedzieć – mruknął Reacher. Wysupłał dwa banknoty i jednego samotnego centa i położył je na kontuarze.

– Ktokolwiek wyświadczył mi tę przysługę, proszę mu zwrócić. Z podziękowaniami. Nic w przyrodzie nie ginie.

– W porządku – powiedział barman, nie sięgając po pieniądze.

– Powiedziała mi, że często tu przychodzi.

– Kto powiedział?

– Samantha. Ta mała.

Facet pokiwał głową.

– Zagląda tu raczej regularnie.

– Niech pan jej powie, że przykro mi, że musiałem tak wybiec. Nie chcę, by uznała, że zachowałem się niegrzecznie.

– To jeszcze dzieciak. Co się pan tak przejmuje?

– Uważa, że pracuję dla rządu. Nie chcę, żeby odniosła mylne wrażenie. To bystra dziewczyna. Służba publiczna to coś, o czym powinna pomyśleć w przyszłości.

– Dla kogo pan naprawdę pracuje?

– Dla rządu – odparł Reacher. – Ale nie tam, gdzie ona myśli.

– Przekażę wiadomość.

– Jak długo ją pan zna?

– Dłużej niż pana. Więc jeśli mam wybór między jej prywatnością a pańskimi pytaniami, wyżej cenię sobie jej prywatność.

– Rozumiem – powiedział Reacher. – Właśnie tego się spodziewałem. Ale czy mógłby pan przekazać jej ode mnie jeszcze jedno?

– Co takiego?

– Niech pan jej powie, żeby pamiętała to, co powiedziałem o sześciokątach.

– Sześciokątach?

– Małych sześciokątach – powtórzył Reacher. – Niech pan jej powie, że to ważne.

• • •

Wsiedli do range rovera i Turner zapaliła silnik, ale nigdzie nie pojechali. Siedzieli w samochodzie na parkingu przed knajpą. Ich twarze oświetlały na różowo i niebiesko neony w stylu art deco.

– Uważasz, że nic jej nie grozi? – zapytała Turner.

– Ludzie z siedemdziesiątej piątej i z FBI przez całą noc gapią się w okno jej sypialni, jedni i drudzy wypatrując intruza i spodziewając się, że to będę ja, tyle że wcale mnie nie zobaczą, bo się tam nie wybieram, i nie zobaczą też moim zdaniem Shraga, bo on wie, co ja wiem. Żaden z nas nie zdoła się dziś w nocy dostać do tego domu. Więc owszem, uważam, że nic jej nie grozi. Zupełnie przypadkowo.

– W takim razie powinniśmy sobie znaleźć jakąś kwaterę. Masz jakieś propozycje?

– Ty jesteś dowódcą.

– Chciałabym pojechać do Four Seasons, ale w kwestii noclegu powinniśmy zachować ciszę radiową, a to oznacza, że nie możemy użyć

kart kredytowych. Płacimy wyłącznie gotówką, więc zostają nam tylko motele. Powinniśmy chyba wrócić do tego w Burbank, gdzie spotkaliśmy zacną Emily. Wszystko w ramach poznawania lokalnego kolorytu.

– Jak jazda samochodem Mulholland Drive.

– Albo nafaszerowanie faceta ołowiem na Mulholland Drive. To też było na filmie.

– Dobrze się czujesz?

– Jeśli będę miała jakiś problem, ty pierwszy się o tym dowiesz – zapewniła Turner.

Motel miał z całą pewnością lokalny koloryt. Miał drucianą siatkę nad okienkiem recepcji i przyjmował wyłącznie gotówkę. Pokój mógłby sprawiać wrażenie zimnego i wilgotnego, ale znajdowali się w Los Angeles, gdzie nic nie jest zimne i wilgotne. Zamiast tego sprawiał wrażenie kruchego i papierowego, jakby zbyt długo piekł się na słońcu. Ale był funkcjonalny i niewiele brakowało, by uznać go za wygodny.

Samochód zostawili pięć pokojów dalej. Nie było żadnego innego miejsca, w którym można by go ukryć. Ale to było dość bezpieczne, nawet gdyby Shrago dostrzegł auto. Włamałby się do pokoju, przy którym je zostawili, znalazł w środku kogoś innego i uznał, że są albo po prawej, albo po lewej stronie, ale dokładnie nie wiadomo gdzie, w związku z czym gdyby źle wybrał, musiałby dokonać trzech kolejnych włamań i nadal byłby w lesie. A jeśli samochód stał dwa miejsca w bok od właściwego pokoju? Ile to oznacza pokojów do sprawdzenia? Zanim dotarłby do piątego miejsca, głowa dawno by mu eksplodowała, a małe uszka pofrunęły ze świstem w dal niczym szrapnele.

Reacher uznał, że ma przed sobą cztery godziny snu. Był przekonany, że na Wschodnim Wybrzeżu Edmonds wypruwa z siebie flaki, zbierając informacje, żeby móc zadzwonić z samego rana i go obudzić.

57

Edmonds zadzwoniła po raz pierwszy o drugiej w nocy czasu lokalnego, czyli o piątej rano czasu wschodniego. Reacher i Turner oboje się obudzili. Reacher położył komórkę między ich poduszkami i obrócili się do siebie, by słuchać.

– Pytał mnie pan wcześniej o Jasona Kennetha Rickarda i faceta o nazwisku Shrago – powiedziała Edmonds. – Ma pan długopis?

– Nie – odparł Reacher.

– Więc niech pan uważnie słucha. Ich sytuacja jest podobna do sytuacji pierwszych dwóch. Wszyscy służą w tej samej kompanii w Fort Bragg. Trzy drużyny tworzą zespół, a oni tworzą drużynę. Niech pan mnie nie pyta, co to znaczy. Prawdopodobnie to praca wymagająca kwalifikacji, a oni uczą się wzajemnie na sobie polegać.

– I nie zdradzać nikomu swoich sekretów – dodał Reacher. – Niech mi pani opowie o Shragu.

– Ezra Shrago, sierżant sztabowy i dowódca drużyny. Wiek trzydzieści sześć lat. Węgierscy dziadkowie. Jest w jednostce od początku wojny. Przez pięć lat wysyłano go do Afganistanu, potem stacjonował w kraju.

– Co się stało z jego uszami?

– Wzięto go do niewoli.

– W Karolinie Północnej czy w Afganistanie?

– Talibowie. Nie było go trzy dni.

– Dlaczego nie obcięli mu głowy?

– Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego my nie zastrzeliliśmy Emala Zadrana. Oni też mają swoich polityków.

– Kiedy to było?

– Pięć lat temu. Potem zakwaterowali go na stałe w kraju. Nigdy już nie wyjechał do Afganistanu.

Reacher rozłączył się i zamknął klapkę telefonu.

– W ogóle mi się to nie podoba – powiedziała Turner.

– Dlaczego sprzedaje broń ludziom, którzy obcięli mu uszy?

– To nie on zawiera transakcje. Jest tylko trybikiem w maszynie. Nie obchodzi ich, co myśli. Jest mięśniakiem, a nie facetem od wygłaszania opinii.

– Powinniśmy mu zaproponować immunitet. Moglibyśmy go łatwo przekabacić.

– O mało nie zatłukł na śmierć Moorcrofta.

– Powiedziałam „zaproponować", nie „zagwarantować". Potem wbilibyśmy mu nóż w plecy.

– Więc zadzwoń do niego i złóż propozycję. Nadal jest w spisie połączeń komórki Rickarda.

Turner wstała, znalazła odpowiednią komórkę, wróciła do łóżka i wybrała numer, ale operator poinformował ją, że osoba, z którą chce mówić, zablokowała połączenia z jej numerem.

– Sprawna robota – mruknęła. – Sprzątają po sobie w marszu, minuta po minucie. Nie ma już pana Rickarda, pana Baldacciego ani pana Lozana. Wszyscy odeszli w przeszłość.

– Damy sobie radę bez pomocy Shraga – powiedział Reacher. – Sami znajdziemy rozwiązanie. Może przyśni nam się za pięć minut.

Turner uśmiechnęła się.

– Dobrze, w takim razie dobranoc.

• • •

Juliet zadzwonił do Romea, bo pewne obowiązki należały do niego.

– Shrago zlokalizował samochód – poinformował. – Stoi przed motelem na południe od lotniska w Burbank.

– Ale? – zapytał Romeo.

– Shrago uważa, że stosując podstawowe środki bezpieczeństwa, nie zostawili go prawdopodobnie przed swoim pokojem. Musiałby sprawdzić dziesięć albo dwanaście pokojów, i obawia się, że coś takiego nie przejdzie. Udałoby mu się sprawdzić jeden albo dwa, ale nie aż tyle. I nie ma sensu uszkadzać auta, bo wynajmą kolejne, płacąc jedną z naszych kart kredytowych.

– Nie może dostać się do dziewczynki?

– Ta musi najpierw wyjść z domu. Dom jest dobrze strzeżony.

– Ktoś zaglądał do archiwum prawnego. Ktoś z certyfikatem Wojskowego Biura Śledczego. Co w nocy jest czymś niezwykłym.

– Kapitan Edmonds?

– Nie, ona ma certyfikat Dowództwa Zasobów Ludzkich. Edmonds przejrzała tylko dokładnie akta Rickarda i Shraga, mniej więcej godzinę temu. Sieć się zaciska.

– Może wokół Shraga. Ale nie wokół nas. Nie ma bezpośredniego powiązania.

– Powiązanie jest przez Zadrana. Wyraźne jak neon. Więc powiedz Shragowi, żeby wyjechał z Burbank. Każ mu czekać na dziewczynkę. Powiedz, że na niego liczymy i że cały ten bałagan musi być posprzątany z samego rana, bez względu na koszty.

Edmonds zadzwoniła po raz drugi o piątej rano lokalnego czasu. Na Wschodnim Wybrzeżu była ósma. Reacher i Turner znowu przysunęli się do siebie.

– Mam nowe wiadomości – oznajmiła Edmonds. – Bieganie po bieżni się skończyło i niedługo zacznie się normalne urzędowanie, więc zdążyłam zebrać tylko trochę plotek i pogłosek, ale w Waszyngtonie można polegać na nich bardziej niż na czymś innym.

– I co? – zapytał Reacher.

– Rozmawiałam z ośmioma osobami urzędującymi w biurze sekreta-

rza albo z nim współpracującymi.

– I co?

– Ani Juan Rodriguez, ani Big Dog, czy po prostu Dog, z niczym im się nie kojarzą. Nikomu nic nie mówi to nazwisko, nikt nie wie o prowadzonej w jego imieniu sprawie, nikt nie przekazywał wiadomości major Sullivan i nikt nie słyszał, żeby zrobił to jakiś wyższy oficer.

– To ciekawe.

– Ale nie rozstrzygające. Osiem osób to mała próbka i panuje przekonanie, że jakaś krępująca historia sprzed szesnastu lat nie byłaby raczej nagłaśniana. Będziemy wiedzieli coś więcej za godzinę, kiedy wszyscy pojawią się w biurze.

– Dziękuję, pani kapitan.

– Dobrze się śpi?

– Nocujemy w motelu wynajmowanym na godziny. Mamy to, za co zapłaciliśmy. Czy Ezra Shrago po tej historii z uszami w Afganistanie otrzymał jakąś pomoc psychologiczną?

– Notatki psychiatrów są poufne.

– Ale na pewno je pani przeczytała.

– Zaproponowano mu pomoc psychologiczną i przyjął ją, co uznano za coś niezwykłego. Większość ludzi załatwia to w żołnierski sposób, to znaczy zaciska zęby i tłumi to w sobie aż do załamania nerwowego. Ale Shrago okazał się dobrym pacjentem.

– I co?

– Trzy lata po incydencie nadal odczuwał silny gniew, upokorzenie, niechęć i nienawiść. Przeniesienie do kraju miało podłoże zarówno terapeutyczne, jak i zapobiegawcze. Panowało przekonanie, że nie można mu ufać, gdy przebywa wśród miejscowej ludności. Był gotową do odpalenia bombą zegarową. W raporcie napisano, że obsesyjnie nienawidzi talibów.

– Teraz naprawdę mi się to nie podoba – stwierdziła trochę później Turner. – Dlaczego sprzedaje broń ludziom, których nienawidzi?

– Jest trybikiem w maszynie – powtórzył Reacher. – Mieszka w Karolinie Północnej. Nie widział turbaniarzy od pięciu lat. Dostaje kupę

kasy.

– Ale bierze w tym udział.

– Wypiera to. Co z oczu, to z serca.

Reacher zostawił telefon tam, gdzie leżał, między poduszkami, i znowu zasnęli.

• • •

Ale nie spali długo. Czterdzieści minut później Edmonds zadzwoniła po raz trzeci, za piętnaście szósta czasu lokalnego.

– Wyłącznie dla jaj sprawdziłam przydziały osobowe w Fort Bragg, bo chciałam zobaczyć, jak długo służyli razem jako kwartet. Jak już mówiłam, Shrago był tam od samego początku, potem dołączył do niego Rickard, następnie Lozano i na samym końcu, to znaczy cztery lata temu, Baldacci. Od tamtego czasu są razem. Co oznacza, że są najstarszą drużyną w jednostce, o znacznie dłuższym stażu niż inni. Mieli mnóstwo czasu, żeby się poznać.

– Świetnie – mruknął Reacher.

– Ale nie to jest najciekawsze. Okazało się, że cztery lata temu ta jednostka miała tymczasowego dowódcę. Poprzedni zmarł na zawał serca. To ten tymczasowy dowódca sformował drużynę Shraga. I niech pan zgadnie, kto to był?

– Morgan – odparł Reacher.

– Trafił pan za pierwszym razem. Był wtedy majorem. Niedługo potem awansowano go na pułkownika, nie bardzo wiadomo dlaczego. Jego teczka personalna jest dosyć cienka. Można ją czytać jako lekarstwo na bezsenność.

– Będę o tym pamiętał. Ale w tym momencie chętnie bym się wyspał, gdyby nie budziły mnie telefony.

– Ja też – zapewniła go Edmonds.

– Kto cztery lata temu oddelegował Morgana do Fort Bragg? – zapytał Reacher. – Kto mówi takiemu facetowi, dokąd ma jechać?

– Pracuję nad tym teraz.

Reacher zostawił telefon tam, gdzie leżał, i znowu zasnął.

• • •

Przespali pół godziny, a potem kwadrans po szóstej telefon zadzwonił po raz ostatni tego ranka. To była major Sullivan z biura śledczego.

– Spędziłam trzy godziny w archiwum i obawiam się, że pańska teoria okazała się nie do końca słuszna. Skarga Big Doga nie została zaskarżona ani przed szesnastu laty, ani później.

Reacher przez chwilę milczał.

– W porządku – powiedział w końcu. – Rozumiem. Dziękuję, że pani to sprawdziła.

– Wie pan, jaka jest dobra wiadomość?

– A jest jakaś?

– Skarga nie została zaskarżona, ale bardzo dokładnie ją sprawdzono.

– I co?

– Okazała się od początku do końca fałszywa.

58

– Ktoś naprawdę zadał sobie dla pana dużo trudu, majorze – powiedziała Sullivan. – Musiano pana darzyć wielkim szacunkiem. To nie był żaden pozew zbiorowy. To nie była żadna nowa polityka dotycząca łowców karetek. Chodziło wyłącznie o pana. Ktoś chciał oczyścić pańskie imię.

– Kto?

– Kapitan z jednostki sto trzydziestej piątej żandarmerii wojskowej o nazwisku Granger.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna, stacjonujący na Zachodnim Wybrzeżu. Don Granger. To on odwalił całą czarną robotę.

– Pierwszy raz o nim słyszę.

– Wszystkie jego notatki zostały skopiowane i przekazane dwugwiazdkowemu generałowi żandarmerii wojskowej o nazwisku Garber.

– Leon Garber – mruknął Reacher. – Był kimś w rodzaju mojego guru. Dużo mu zawdzięczam. Okazuje się, że nawet więcej, niż myślałem.

– Chyba tak. To musiało być zrobione z jego inicjatywy. I musiał pan być jego ulubieńcem, bo trzeba było dużych wpływów, żeby to przeprowadzić. Ale zawdzięcza pan również sporo Grangerowi. Tyrał dla pana od rana do nocy i dostrzegł coś, na co nikt wcześniej nie zwrócił uwagi.

– To znaczy?

– Na ludzi od was stale składane są skargi. Wasza standardowa procedura operacyjna polega na tym, żeby udawać głupka i liczyć, że się wam upiecze, co często się udaje, a jeśli nie, zapewniana jest wam obrona, czasem skuteczna, a czasem nie. Tak to wyglądało przez wiele lat. A potem paradoksalnie kłopoty zaczęli sprawiać ci, którzy odeszli. Wszyscy macie w aktach nieudowodnione zarzuty. Większość to oczywiste bzdury, całkiem słusznie zignorowane, ale w niektórych tkwiło ziarno prawdy. Komisje zatwierdzające promocje miały do tego dostęp i zaczęto dochodzić do wniosku, że nie ma dymu bez ognia. Ludziom wstrzymywano awansy i zrobił się z tego problem. A skarga Big Doga była gorsza od innych. Domyślam się, że generał Garber uznał, że jest zbyt toksyczna, by ją zignorować, nawet gdyby wszystko rozeszło się po kościach. Nie chciał, żeby to zostało w pańskich aktach. Sprawa była zdecydowanie zbyt śmierdząca.

– Mógł mnie o to bezpośrednio zapytać.

– Granger zapytał go, dlaczego tego nie zrobił.

– I jak brzmiała odpowiedź?

– Garber uważał, że mógł pan to zrobić. Ale nie chciał tego usłyszeć od pana.

– Naprawdę?

– Sądził, że mogła pana zaniepokoić perspektywa pojawienia się SAW na ulicach Los Angeles.

– To był problem policji Los Angeles, nie mój. Ja chciałem tylko poznać nazwisko.

– I poznał je pan, a Garber naprawdę nie wiedział, jak inaczej mógłby pan je uzyskać.

– Później też ze mną nie rozmawiał.

– Bał się, że odwiedzi pan tego adwokata i pośle mu kulkę w głowę.

– Mógłbym to zrobić.

– W takim razie Garber postąpił bardzo roztropnie. Jego strategia okazała się idealna. Posadził przy tym Grangera. Pierwszą rzeczą, która nie spodobała się Grangerowi, był Big Dog, a drugą był adwokat. Ale wszystko było zapięte na ostatni guzik. Wiedział, że odwiedził pan face-

ta kilka chwil przed tym, nim go pobito, a oświadczenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości, więc utknął w martwym punkcie. Doszedł do takiej samej konkluzji co pan, to znaczy, że zrobił to jakiś inny facet albo faceci, a może delegacja przysłana przez rozczarowanego klienta, co w tym kontekście oznaczałoby gang, Latynosów jak Rodriguez albo czarnych. Sam nie zdołał jednak nic ustalić. Poszedł więc do policji Los Angeles, ale oni też nie mieli mu nic do powiedzenia. To według Grangera nie przesądzało jeszcze o niczym, ponieważ w interesującym go przedziale czasowym gliniarze z LA, co zresztą w tamtej epoce zdarzało im się dość często, oskarżani byli o uprzedzenia rasowe i woleli nie dyskutować na temat etnicznych gangów z nieznajomym, który mógł się okazać dziennikarzem uważającym, że całe to gadanie o gangach maskuje brak wyczulenia na problemy rasowe. W związku z tym Granger wrócił do swojej pierwotnej koncepcji i żeby od czegoś zacząć, sprawdził w raportach, kto w danym przedziale czasowym popełnił niebezpieczne przestępstwo z użyciem broni. I okazało się, że w tym czasie nikt nie był niebezpieczny ani uzbrojony. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin nie odnotowano żadnego przestępstwa o charakterze gangsterskim. Więc z początku Granger uznał, że gangi są w Los Angeles w odwrocie i powinien poszukać czegoś innego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Garber już chciał go odsunąć od tej sprawy. I nagle Granger zorientował się, co jest nie tak.

– Siedemdziesięciodwugodzinna przerwa powstała, ponieważ policja Los Angeles wyrzuciła do kosza raporty na temat wszystkich przestępstw o charakterze gangsterskim – powiedziała Turner. – Prawdopodobnie za radą swoich speców od PR. Nie dlatego, że nic się nie działo.

– Zgadza się, pani major – odparła Sullivan. – Ale w notesach policjantów nadal były wszystkie szczegóły. Granger wziął w obroty jakiegoś porucznika i wyszła na jaw prawda, która była co najmniej dziwna. Mniej więcej dwadzieścia minut po wyjściu Reachera pojawiło się pięciu czarnych facetów z El Segundo i zaczęli tłuc Big Doga na jego własnym podwórku. Zgłosił to sąsiad i na miejscu pojawiła się policja. Patrzyli

mniej więcej przez minutę, jak Big Dog dostaje w skórę, a potem wkroczyli do akcji i aresztowali tych z El Segundo. Gliniarze z patrolu odwieźli później Big Doga do szpitala. Ale aresztowanie było bardzo brutalne i doszło w jego trakcie do kilku poważnych urazów, więc raport został wzięty pod lupę, a potem przyszło zalecenie, by wykreślić z niego wszystko, co nie jest absolutnie koszerne, i komendant posterunku, dmuchając na zimne, wyrzucił go w całości do kosza. A może wcale nie dmuchał na zimne. Może nic tam nie było koszerne.

– Więc w oświadczeniu oskarżono mnie o pobicie, chociaż policja wiedziała, że zrobił to ktoś inny? – zapytał Reacher.

– Granger dostał kopie ich notatek. Wszystko to jest w pańskich aktach.

– Ten adwokat to niezły hucpiarz.

– Gorszy, niż pan myśli. Plan A był taki, żeby uderzyć z grubej rury i pozwać samą policję. Czemu nie? Wszyscy tak robili. Granger myszkował którejś nocy w kancelarii adwokata przy Ventura Boulevard i odkrył szkic skargi o identycznej treści jak ta obciążająca pana, tyle że winę zwalano tam na gliniarzy. Ale paradoksalnie rzecz była nie do przepchnięcia, ponieważ wszystkie policyjne raporty zostały skasowane i policja mogła niezbicie dowieść, że tamtego dnia gliniarze w ogóle nie pojawili się w okolicy. Kiedy to stało się jasne, adwokat przystąpił do realizacji planu B, czyli obciążenia winą wojska. Co było oczywiście fałszerstwem i działaniem kryminalnym, ale opierało się na solidnych podstawach. Policja nie mogła przyznać, że z przyczyn politycznych wyrzuciła wszystkie raporty do kosza, więc adwokat mógł liczyć na ich milczenie. Big Dog chciał się porządnie obłowić, obwiesie z El Segundo nie mieli aktywów, na których można by położyć rękę, więc płatnikiem miał zostać Wuj Sam.

– Jak Granger doprowadził sprawę do końca?

– Musiał stąpać po kruchym lodzie, bo nie chciał publicznie upokorzyć policji. Ale znał faceta z Wojskowego Biura Śledczego, który znał faceta w palestrze, i ci dwaj postarali się poważnie zaszkodzić adwokatowi na niwie zawodowej. Granger kazał mu napisać kolejne oświadcze-

nie, w którym tamten przyznawał się, że pierwsze sfałszował. To oświadczenie wciąż znajduje się w pańskich aktach, tuż obok pierwszego. Granger osobiście je poświadczył i rozbił adwokatowi wargę.

– To też jest w moich aktach?

– Wszystko wskazuje na to, że bronił się przed niesprowokowanym atakiem.

– To się zdarza. Jak się miewa pułkownik Moorcroft?

– Jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo, ale nie czuje się najlepiej.

– Proszę go ode mnie pozdrowić, jeśli będzie pani miała okazję. I dziękuję, że zadała pani sobie tyle trudu.

– Jestem panu winna przeprosiny, majorze – powiedziała Sullivan.

– Nie musi pani za nic przepraszać.

– Dziękuję. Ale nadal jest mi pan winien trzydzieści dolarów.

Reacher przypomniał sobie Turner w Berryville w stanie Wirginia, po zakupach w sklepie przemysłowym, w nowych spodniach i powiewającej jak żagiel koszuli, która sięgała jej z tyłu za kolana.

– To było najlepiej wydane trzydzieści dolarów, jakie pamiętam – powiedział.

• • •

Uczcili to w najlepszy sposób, jaki znali, a potem zrobiło się zbyt późno, by spać, w związku z czym wstali i wzięli prysznic.

– I jak się teraz czujesz? – zapytała Turner.

– Tak samo jak wcześniej – odparł Reacher.

– Dlaczego?

– Wiedziałem, że tego nie zrobiłem, więc to, co ustaliła Sullivan, nie wniosło nic nowego. I nie sprawiło mi ulgi, bo od początku w ogóle się tym nie przejmowałem. Nie obchodzi mnie, co myślą ludzie.

– Nawet ja?

– Wiedziałaś, że tego nie zrobiłem. Tak jak ja wiedziałem, że nie

zgarnęłaś stu kafli.

– Cieszę się, że cię przeprosiła. I zachowałeś się bardzo uprzejmie, twierdząc, że nie musi tego robić.

– To nie była uprzejmość – odparł Reacher. – To było stwierdzenie faktu. Naprawdę nie musiała mnie przepraszać. Bo jej podejrzenia były w zasadzie słuszne. A ja nie powinienem mówić, że tego nie zrobiłem, ponieważ mało brakowało, a bym to zrobił. Tylko chwila dzieliła mnie od tego, żeby każde słowo w tym oświadczeniu okazało się prawdą. Nie dlatego, że na ulicach Los Angeles mogły pojawić się SAW. Tym akurat się nie przejmowałem. Żeby posługiwać się tym typem karabinu maszynowego we właściwy sposób, trzeba mieć dużo siły i odbyć długie szkolenie. I trzeba o niego bardzo dbać. SAW dostaje najlepszy, a nie najgorszy facet w plutonie, a czy wielu jest takich na ulicach Los Angeles? Poważnie wątpię. Uznałem, że oddadzą z nich jeden strzał, a potem będą używali jako kotwic do łodzi. Więc tu akurat nie było powodów do obaw. Niepokoiły mnie inne rzeczy. Miny przeciwpiechotne i granaty ręczne. Nie trzeba się szkolić, żeby ich używać. A w miejskich realiach mogą wyrządzić dużo ubocznych szkód. Ucierpią niewinni przechodnie i dzieci. A ten uśmiechający się szyderczo spaślak zarabiał na nich krocie i wydawał wszystko na prochy, dziwki i dwadzieścia big maców dziennie.

– Chodźmy na śniadanie – zaproponowała Turner. – I już tu nie wracajmy. Lokalny koloryt już na mnie nie działa.

Wsunęli do kieszeni szczoteczki do zębów, włożyli kurtki i wyszli na parking. Uliczne światła wciąż były jaśniejsze od nieba. Samochód stał tam, gdzie go zostawili, pięć pokojów dalej.

Coś było na nim napisane.

Napis znajdował się na brudnej bocznej szybie od strony pasażera. Wodząc po niej szerokim palcem, ktoś napisał trzy słowa, łącznie dwadzieścia liter, wszystkie wyraźne, duże i drukowane, ze znakiem zapytania na końcu:

GDZIE JEST DZIEWCZYNKA?

59

Samantha Dayton wstała wcześnie, co zdarzało jej się dość często, zeszła wąskimi schodami z poddasza i zerknęła przez okno w salonie. Hummer zniknął. Prawdopodobnie w środku nocy, żeby zająć stanowisko przed kancelarią adwokata. Na jego miejscu stał dodge charger, zdecydowanie zbyt szpanerski jak na policyjny samochód, ale oczywiście nim będący. Przynajmniej w ogólnym sensie. Formalnie rzecz biorąc, był to samochód jakiejś instytucji federalnej. Agencji Zwalczania Narkotyków, Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej albo FBI. Rozpoznała kierowcę. Orientowała się już z grubsza w ich systemie zmian. Trochę dalej stało tam gdzie zawsze białe kompaktowe auto. I to była prawdziwa zagadka. Bo to nie był policyjny samochód. Wyglądał na coś, co wynajmuje się na lotnisku, w biurze Hertza albo Avisa. Ale Agencja Zwalczania Narkotyków, Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej i FBI miały w Los Angeles swoje oddziały terenowe z licznym personelem i własnymi samochodami. Zatem facet w małym białym aucie musiał pracować w agencji wystarczająco ważnej, by brać w tym wszystkim udział, ale zbyt małej i zbyt wyspecjalizowanej, by miała tutaj własne biuro terenowe. Facet musiał więc tu przylecieć najprawdopodobniej z Dystryktu Columbii, gdzie kryją się wszystkie tajemnice.

Samantha wzięła prysznic i włożyła swoje ulubione czarne spodnie, ulubioną dżinsową kurtkę oraz czysty niebieski podkoszulek i niebieskie buty. Uczesała się i ponownie przejrzała w lustrze. Nadchodził moment, który nazywała godziną zero. Dwa razy dziennie kompaktowe

auto odjeżdżało, jak się domyślała, żeby kierowca mógł coś zjeść i skorzystać z toalety, i mniej więcej cztery razy dziennie hummer i charger zamieniały się miejscami, ale agencje nie koordynowały najwyraźniej swoich działań, ponieważ raz dziennie, rano, przez mniej więcej dwadzieścia minut nie było nikogo. Zero agentów, godzina zero. Ulica wracała do swojego normalnego stanu. Przypuszczała, że było to coś w rodzaju zadania logicznego albo arytmetycznego, zupełnie jak w szkole, gdzie x oznaczało liczbę pojazdów, *y* liczbę miejsc i z liczbę godzin. Czegoś było za mało.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że kompaktu już nie ma, a potem na jej oczach charger ruszył z miejsca, zwolnił miejsce przy krawężniku i odjechał. Na ulicy zapanował spokój. Wróciła do normalnego stanu. Godzina zero.

• • •

Reacher przeanalizował jeszcze raz swoje wcześniejsze rozumowanie: dom obserwowały siedemdziesiąta piąta jednostka żandarmerii i FBI, wypatrując ewentualnego intruza. Dlatego nie wybierał się tam i nie wybierał się tam również Shrago, ponieważ żaden z nich nie zdołałby dostać się do środka.

– To blef – powiedział. – Facet próbuje wytrącić nas z równowagi. Próbuje nas odciągnąć. Po prostu. Nie ma szansy zbliżyć się do dziewczynki.

– Jesteś tego absolutnie pewien? – zapytała Turner.

– Nie.

– Nie możemy tam jechać. Dopóki Sullivan nie załatwi wszystkiego oficjalnie, nadal jesteś ścigany. Ja też jestem ścigana i prawdopodobnie będę do końca życia.

– Możemy tamtędy przejechać. Raz.

– Nie możemy. Wczoraj widzieli nasz samochód. Może nawet dwa razy. A dając się aresztować, nie pomożemy ani sobie, ani jej.

– Możemy wynająć inny samochód. Na lotnisku Burbank. Godzinę później Shrago będzie o tym wiedział, ale możemy tę godzinę wykorzystać.

• • •

Ze śniadaniem zawsze były problemy. W domu nigdy nie było nic do jedzenia, a poza tym matka na ogół przesypiała cały ranek, zestresowana i zmęczona, i raczej nie tolerowała szczęku garnków i brzęku naczyń w kuchni. Dlatego śniadanie stanowiło prawdziwą ekspedycję, a było to słowo, które naprawdę lubiła, utworzone z łacińskiego *ex*, „na zewnątrz", oraz *pes*, „stopa", jak w słowach „pedał", „pedicure" i „piedestał", i razem oznaczające wychodzenie gdzieś pieszo, czyli dokładnie to, co zwykle robiła, bo nie mogła jeszcze oczywiście prowadzić samochodu – miała dopiero czternaście lat, choć właściwie prawie piętnaście.

Marzyła o tym, żeby prowadzić samochód. Prowadzenie samochodu byłoby bardzo korzystne, ponieważ dzięki temu poszerzyłaby horyzonty. Mogłaby jeździć na śniadanie do Burbank, Glendale i Pasadeny, a może nawet do Beverly Hills. Teraz, gdy przemieszczała się pieszo, jej wybór był ograniczony do knajpy w stylu wagonu restauracyjnego, na południe od Vineland, oraz do kafejki niedaleko kancelarii, na północ od Vineland. I na tym koniec, bo poza tym były tylko tacos, quesadillas i żarcie wietnamskie, a w żadnym z serwujących je barów nie podawano śniadań. Co było frustrujące.

Na ogół.

Jednak nie aż tak bardzo w ten konkretny ranek, ponieważ federalni mieli taki sam ograniczony wybór i dzięki temu łatwiej było ich znaleźć. Szanse na to były pół na pół, jak przy rzucie monetą, i miała nadzieję, że to będzie udany rzut. Ten duży facet o nazwisku Reacher był chyba skłonny pogadać z nią o rzeczach, których warto było wysłuchać, ponieważ wydawał się wprowadzony we wszystko, był kimś w rodzaju dowodzącego: wybiegł po otrzymaniu pilnego telefonu i uchylił rąbka ta-

jemnicy na temat faceta z uszami.

Więc orzeł czy reszka?

Zamknęła drzwi i ruszyła przed siebie.

• • •

Zostawili starego range rovera przed biurem wynajmu samochodów, w miejscu, skąd odholowywano pojazdy, i stanęli w kolejce za siwowłosą parą, która właśnie przyleciała z Phoenix. Kiedy nadeszła ich kolej, skorzystali z prawa jazdy i karty kredytowej Baldacciego, wynajęli średniej wielkości białego forda i podpisawszy całą masę papierów i postawiwszy ptaszki w całej masie rubryk, dostali kluczyk. Stojący pod dachem ford ociekał wodą po myciu i był pod każdym możliwym względem nijaki oraz anonimowy i dlatego odpowiedni, tyle że jego szyby przyciemniono w bardzo subtelny i nowoczesny sposób na zielono, co zasadniczo różniło się od prawie nieprzezroczystej folii naklejonej na okna range rovera. Wyglądało na to, że jeżdżąc fordem, będą się czuli zupełnie inaczej. Widoczność z zewnątrz mogło ograniczać tylko słońce i świetlne refleksy. Albo i nie.

Turner zabrała z range rovera mapy i wytyczyła trasę, która aż do ostatniej przecznicy omijała Vineland Avenue. Dzień wstał jasny i rześki, ruch jeszcze się nie zaczął. Nadal było bardzo wcześnie. Wyjechali z Burbank bocznymi uliczkami, przy których stały głównie kompleksy biurowe, przejechali przez North Hollywood, przecięli autostradę na wschód od Vineland i wjechali do dzielnicy Samanthy z boku. Za cienkimi zielonymi szybami czuli się nadzy i odsłonięci.

– Jeden przejazd – przypomniała Turner. – Powoli i ze stałą prędkością, do końca ulicy. Nie zatrzymujemy się bez względu na okoliczności, przez cały czas zakładamy, że wszystko jest w porządku i że na miejscu są pojazdy stróżów prawa. Jeśli okaże się, że jest inaczej, dojeżdżamy do końca ulicy i dopiero tam zastanawiamy się, co dalej. Nie wolno nam wpaść w zasadzkę przed domem. Jasne?

– Tak jest – odparł Reacher.

Skręcili w pierwszą ulicę, minęli sklep spożywczy i auto bez kół, skręcili w lewo, a potem w prawo i już byli na jej ulicy – biegła przed nimi długa, prosta i zwyczajna, zwężona z obu stron przez samochody, wszystkie połyskujące w porannym słońcu i zaparkowane zderzak w zderzak.

– FBI z przodu po prawej – zameldowała Turner. – Purpurowy dodge charger.

– Widzę – mruknął Reacher.

– Plus ostatni samochód po lewej. Model specjalny żandarmerii wojskowej.

– Widzę – powtórzył Reacher.

– Dom wygląda normalnie.

I rzeczywiście tak wyglądał. Sprawiał wrażenie solidnego, spokojnego i zastygłego w bezruchu, jakby jego lokatorzy jeszcze się nie obudzili. Frontowe drzwi były zamknięte, zamknięte też były wszystkie okna.

Przejechali.

– Jak na razie wszystkie inne pojazdy są puste – stwierdziła Turner. – Ani śladu po Shragu. To była zmyłka.

Nie zwalniając ani nie przyspieszając, dojechali do końca ulicy i nie zobaczyli niczego niepokojącego.

– Jedźmy na śniadanie – zaproponował Reacher.

• • •

Romeo zadzwonił do Juliet.

– Wynajęli kolejny samochód – powiedział. – Białego forda, na lotnisku Burbank.

– Po co? Chyba wiedzą, że nie zdołają się przed nami ukryć – odparł Juliet.

– Ukrywają się przed FBI i przed żandarmerią wojskową. Zmiana samochodów jest rozsądną taktyką.

– Biały ford. Natychmiast poinformuję o tym Shraga.

– Czy robi jakieś postępy?

– Nie miałem od niego wiadomości.

– Zaczekaj chwilę – rzucił Romeo.

– Co się dzieje?

– Kolejna wypłata z karty Baldacciego. Dżentelmen z Long Beach pobrał pieniądze za następny dzień wynajmu range rovera. Co oznacza, że nie zmienili samochodu. Wynajęli po prostu drugi. A zatem rozdzielili się i działają oddzielnie. Sprytne. Dwoje przeciwko jednemu. Wykorzystują swoją przewagę. Zadbaj, żeby Shrago o tym wiedział.

• • •

Objechali dzielnicę od południa i wrócili na Vineland Avenue na wysokości knajpy w stylu wagonu restauracyjnego. Biały ford spełniał swoje zadanie. Nikt się za nim nie oglądał. Był nierzucający się w oczy, anonimowy i niewidzialny. Niczym dziura w powietrzu. Idealny, gdyby nie przezroczyste szyby.

Rano w knajpie było sporo klientów, wszyscy konkretni i wiedzący, czego chcą. Idący wcześnie do roboty wrzucali coś na ruszt przed całym dniem pracy. Nie było wśród nich ani jednego ironizującego hipstera. I nie było dziewczynki. Co nie stanowiło jakiejś wielkiej niespodzianki, bo chociaż należała do stałych gości i jadła tu praktycznie wszystkie posiłki, było jeszcze bardzo wcześnie. Reacher wiedział bardzo mało o czternastoletnich dziewczynkach, ale przypuszczał, że wczesne wstawanie nie jest raczej w ich stylu. Facet o imieniu Arthur stał za kontuarem, stoliki obsługiwała brunetka. Może mieli jakiś specjalny system zmianowy obejmujący późny wieczór i wczesny ranek. Blondynki nie było. Może pracowała tylko w godzinach szczytu, zaczynając tuż przed lunchem i kończąc zaraz po kolacji.

Zajęli ostatni boks po prawej, dokładnie za pustym stołkiem dziewczynki. Chłopak z kuchni dał im wodę, brunetka kawę. Turner

zamówiła omlet, a Reacher naleśniki. Zjedli z apetytem i czekali. Dziewczynka się nie pojawiała. Charakter klienteli zmieniał się z upływem czasu, robotników zastąpili urzędnicy i sprzedawcy, zamawiane przez nich dania były delikatniejsze i mniej kaloryczne, maniery przy stole mniej przypominały dorzucanie węgla do pieca. Reacher dostał cztery dolewki kawy. Turner grzankę. Dziewczynka się nie pojawiała.

Reacher wstał, podszedł do kontuaru i usiadł na jej stołku. Facet o imieniu Arthur jak każdy dobry barman spostrzegł to i skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Zaraz do pana podejdę". Reacher czekał, a Arthur podał kawę i sok pomarańczowy, zabrał pusty talerz, przyjął zamówienie i dopiero wtedy się do niego pofatygował.

– Czy Samantha je tutaj śniadania? – zapytał Reacher.

– Prawie codziennie – odpowiedział facet.

– O której godzinie przychodzi?

– Czy nie mylę się, oceniając, że skończył pan już czterdziestkę?

– Nie, nie pomylił się pan, powiem nawet, że wykazał się pan sporą wielkodusznością.

– Niektórzy twierdzą, że takie teraz mamy czasy, ale moim zdaniem nigdy nie było inaczej. Chodzi o to, że kiedy facet po czterdziestce zaczyna zadawać niezdrowe pytania na temat czternastoletniej dziewczynki, większość ludzi to zauważa, a niektórzy mogą coś w tej sprawie zrobić. Na przykład zacząć zadawać pytania jemu.

– Bardzo im się to chwali – odparł Reacher. – Ale kto umarł i mianował pana szefem rady nadzorczej?

– To pan chce się czegoś dowiedzieć.

– Miło mi się z nią rozmawiało i chciałbym z nią jeszcze pogadać.

– Specjalnie mnie to nie uspokaja.

– Ciekawi ją obecność stróżów prawa, a to niezbyt dobra kombinacja.

– Mówi pan o tej historii na jej ulicy?

– Pomyślałem, że mogę jej przekazać kilka informacji w zamian za obietnicę, że będzie się trzymała z daleka.

– Jest pan policjantem?

– Nie, jestem na wakacjach. Miałem do wyboru spędzić je tutaj albo na Tahiti.

– Jest za młoda, żeby znać fakty.

– Moim zdaniem nie jest za młoda.

– Jest pan upoważniony?

– A jak pan myśli?

– Jest rannym ptaszkiem. Do tej pory dawno by już przyszła i wyszła. Przypuszczam, że dziś już się nie zjawi.

60

Reacher zapłacił rachunek gotówką Baldacciego i wsiedli do forda.

– Albo zjadła coś w domu, albo w ogóle zrezygnowała ze śniadania – doszła do wniosku Turner. – To nastolatka. Nie oczekuj, że będzie konsekwentna.

– Powiedziała, że jada tu praktycznie każdy posiłek.

– Co nie jest tym samym co każdy posiłek. Kropka.

– Facet mówił, że prawie codziennie.

– Co nie jest tym samym co codziennie.

– Ale dlaczego sobie dzisiaj odpuściła? Jest zaciekawiona i uważa, że może się ode mnie czegoś dowiedzieć.

– Dlaczego miałaby sądzić, że cię tutaj spotka?

– Stróże prawa też muszą się odżywiać.

– W takim razie równie dobrze mogła pójść do kafejki przy kancelarii adwokata. Wie, że są dwa miejsca.

– Powinniśmy tam pojechać i sprawdzić.

– To zbyt ryzykowne. Nic nie zobaczymy, jadąc ulicą, a nie możemy tam po prostu wejść. Poza tym ona jest rannym ptaszkiem. Mogła już zjeść i wyjść.

– Powinniśmy jeszcze raz przejechać obok jej domu.

– Nic nam to nie da. Drzwi są zamknięte. Nie mamy promieni rentgenowskich.

– Shrago grasuje gdzieś w pobliżu.

– Pojedźmy na estakadę – zaproponowała Turner.

– Białym samochodem, w biały dzień?

– Tylko na dziesięć minut. Żeby się uspokoić.

• • •

W biały dzień lornetka okazała się znakomita. Powiększony obraz był ostry i niesamowicie wyraźny. Reacher widział dokładnie i ze wszystkimi szczegółami biały kompaktowy samochód, purpurowego dodge'a i niebieskie frontowe drzwi. Ale nic się nie działo. Spokój, cisza. Kolejny słoneczny dzień, nudny, bez żadnej akcji, jak to się na ogół dzieje podczas obserwacji. Ani śladu po Shragu. Niektóre z zaparkowanych samochodów miały mocno przyciemniane szyby albo odbijało się od nich słońce, ale nie wyglądały na auta z wypożyczalni. A te, które na nie wyglądały, były puste.

– Nie ma go tam – powiedziała Turner.

– Chciałbym wiedzieć na pewno, że ona tam jest – odparł Reacher.

I nagle zadzwoniła jego komórka. Telefonowała kapitan Edmonds z Wirginii.

– Znalazłam kolejne dokumenty dotyczące Shraga, sprzed pięciu lat – oznajmiła. – Decyzja, żeby nie odsyłać go na Bliski Wschód, wzbudziła kontrowersje. Braliśmy udział w dwóch wojnach, ponosiliśmy znaczne straty, setki ludzi powoływano przymusowo do wojska i to, że płacimy pełny żołd komuś, kto nie ma ochoty jechać do Iraku ani Afganistanu, wydawało się absurdem. Najpierw chciano go po prostu wydalić ze służby, ale powołał się na względy humanitarne, i trzeba go było przesłuchać. Sprawa trafiła w końcu do zastępcy szefa sztabu do spraw kadr, który wydał werdykt na korzyść Shraga.

– I co? – zapytał Reacher.

– W gestii tego samego zastępcy szefa sztabu znajdowały się tymczasowe dowództwa. To on rok później przesunął Morgana do Fort Bragg.

– Ciekawe.

– Też mi się tak wydaje. Dlatego zadzwoniłam. Shrago ma wobec niego dług wdzięczności, a Morgan jest jego pomagierem.

– Jak się nazywa ten facet?

– Crew Scully.

– Cóż to za nazwisko?

– Z wyższych sfer Nowej Anglii.

– Gdzie służy teraz?

– Awansował. Jest obecnie samodzielnym zastępcą szefa sztabu.

– Odpowiedzialnym za co?

– Za kadry – odparła Edmonds. – Nadzoruje Dowództwo Zasobów Ludzkich. Formalnie rzecz biorąc, to mój szef.

– Kto przesunął w tym tygodniu Morgana do sto dziesiątej?

– Zakładam, że zastępca Scully'ego. Chyba że zmieniły się zasady.

– Może pani to dla mnie sprawdzić? I niech pani ustali, czy Scully ma dostęp do danych wywiadowczych Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

– Moim zdaniem nie ma.

– Moim też – odparł Reacher, po czym zakończył rozmowę i wrócił do obserwowania ulicy.

• • •

Juliet zadzwonił do Romea, ponieważ pewne obowiązki należały do niego.

– Shrago poinformował mnie, że nie poruszają się oddzielnie. Postanowił sprawdzić biuro wynajmu samochodów i pojawił się tam akurat w momencie, kiedy odholowywano range rovera.

– No to są głupi. Korzystanie z jednego samochodu ogranicza ich możliwości. Punkt dla nas.

– Nie o to chodzi. Range rover jest wynajęty na kartę kredytową Baldacciego. Będziemy musieli zapłacić za holowanie i dodatkowy dzień

wynajmu. To kolejny policzek.

– Co jeszcze widział Shrago?

– Jest blisko. Dziewczynka wyszła z domu. Chodzi po okolicy. Nikt jej nie pilnuje. Shrago ma zamiar wybrać odpowiednie miejsce.

– I jak zostawi im wiadomość?

– W knajpie. Dwa razy ją odwiedzili. Jest tam pewien dżentelmen o imieniu Arthur, który chętnie podejmie się roli pośrednika.

• • •

Dziesięć minut Turner przeciągnęło się do czterdziestu, ale nic się nie działo, ani na estakadzie za ich plecami, ani na ulicy przed nimi.

– Musimy jechać – powiedziała.

– Dokąd? – zapytał Reacher.

– Będziemy po prostu jeździli po okolicy. Na chybił trafił. W promieniu półtora kilometra od jej miejsca zamieszkania, ponieważ jeśli wyszła z domu, przemieszcza się pieszo. Shrago wychodzi z tego samego założenia.

Odpalili zatem forda i wjechali na autostradę numer sto trzydzieści cztery, a potem natychmiast z niej zjechali i zaczęli penetrować Vineland, przecznica po przecznicy, na chybił trafił, z wyjątkiem ulicy dziewczynki, bo nie chcieli ryzykować. Większość kwartałów mieszkalnych miała około trzystu metrów długości i sześćdziesiąt szerokości, co oznaczało, że w promieniu półtora kilometra jest ich prawie czterysta i Reacher oraz Turner mają do pokonania prawie sto pięćdziesiąt kilometrów. Choć niezupełnie, bo niektóre przecznice były dwa razy dłuższe, trochę miejsca zajmowały pobocza autostrad i estakady, a niektórych ulic w ogóle nie zabudowano. Mieli więc do pokonania około stu kilometrów. Co przy bezpiecznej szybkości trzydziestu kilometrów na godzinę mogło potrwać trzy godziny. Nie żeby jeżdżenie w kółko zwiększało szansę na przypadkowe spotkanie. Przestrzeń i czas nie funkcjonują w ten sposób. Ale jeżdżąc, czuli się lepiej.

W ciągu pierwszej godziny nie zobaczyli niczego oprócz zlewających się ze sobą chodników, słupów, drzew, domów, sklepów i zaparkowanych samochodów. Zauważyli nie więcej niż kilka osób i każdej dobrze się przyjrzeli, ale nie zobaczyli ani dziewczynki, ani Shraga. Nie zobaczyli też żadnych samochodów, które krążyłyby tak samo powoli jak oni. Większość jeździła niewinnie, skądś dokądś, z normalną, a czasami zbyt dużą prędkością. Co dostarczyło im nieco więcej emocji w połowie drugiej godziny, kiedy mniej więcej sto metrów przed nimi czarne matowe BMW przejechało na czerwonych światłach i wpadło na przejeżdżające poprzeczną ulicą stare porsche. Para poszła w górę i dokoła zgromadził się zaraz mały tłumek, a potem Reacher skręcił w lewo i nie zobaczyli nic więcej do momentu, gdy po kilku skrętach znaleźli się znów na tej samej ulicy i na miejscu był już radiowóz z migającymi fioletowymi światłami, a po trzech kolejnych skrętach następny radiowóz i karetka.

Poza tym jednak nie zdarzyło się nic ciekawego. W ogóle nic.

– Pora na wczesny lunch – powiedziała pół godziny później Turner. – Bo mała też już chyba zgłodniała, jeśli jadła wczesne śniadanie. Albo w ogóle go nie jadła.

– W knajpie? – zapytał Reacher.

– Tak myślę. „Praktycznie każdy posiłek" oznacza, że mogła opuścić jeden, ale nie dwa.

Ruszyli więc z powrotem przez labirynt uliczek, skręcili w Vineland Avenue i jechali nią na południe tak długo, aż zobaczyli starą knajpę w stylu wagonu restauracyjnego, lśniącą i migoczącą w słońcu.

A przez Vineland Avenue przechodziła, kierując się w jej stronę, Samantha.

61

Juliet zadzwonił do Romea.

– Obawiam się, że nic z tego nie wyszło – powiedział.

– Mieliśmy pecha. Z oczywistych względów musiał ją dopaść blisko swojego samochodu. Najlepiej tuż przy nim. Dłuższe wleczenie jej wrzeszczącej ulicą nie wchodziło w grę. Więc wyprzedził ją i zaparkował w odpowiednim miejscu, a potem cofnął się i zaszedł ją od tyłu. Wszystko było na najlepszej drodze i za chwilę miał ją dopaść tuż przy swoim samochodzie. Zostało mu może dwadzieścia metrów i nagle jakiś idiota przejechał na czerwonym świetle i z kimś się zderzył. Zbiegli się ludzie, za chwilę pojawił się jeden, a potem drugi radiowóz i Shrago nie mógł oczywiście nic zrobić na oczach tłumu i gliniarzy. Dziewczyna oglądała przez chwilę ten cały cyrk, a potem poszła dalej, a Shrago musiał na to pozwolić, bo początkowo nie był w stanie stamtąd wyjechać, a kiedy mu się w końcu udało, stracił ją z oczu i nie mógł nigdzie znaleźć.

– I co teraz? – zapytał Romeo.

– Zaczyna od początku. Sprawdza wszystkie miejsca, w których ona bywa. Dom, kancelarię adwokata, knajpę. Na pewno gdzieś ją znajdzie.

– To trzeba zakończyć w Kalifornii. Nie możemy pozwolić, żeby wrócili do Waszyngtonu.

...

Reacher zwolnił, dziewczynka przeszła pięćdziesiąt metrów przed nim przez ulicę, a potem skręcił i wjechał za nią na parking przed knajpą. Samantha weszła do środka, a on zaparkował samochód.

– Mam tam z tobą wejść? – zapytała Turner.

– Tak, chcę, żebyś weszła – odparł.

Weszli więc razem do restauracji i podobnie jak wcześniej zaczekali przy wejściu. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak poprzedniego wieczoru: blondynka obsługiwała lewą część sali, zmęczona życiem brunetka prawą, Arthur stał za barem, dziewczynka siedziała na swoim stołku w końcu sali. Podobnie jak wcześniej podeszła do nich blondynka z takim samym martwym uśmiechem na twarzy. Reacher wskazał boks po prawej stronie, nie bezpośrednio za stołkiem dziewczyny, ale jedno stanowisko za nią, i bez większego żalu zostali przekazani brunetce. Usiedli, Reacher znowu tyłem do sali, Turner po drugiej stronie laminowanego stolika. Dziewczyna siedziała w odległości mniej więcej półtora metra od nich, odwrócona plecami.

Ale obserwowała ich w lustrze.

Reacher pomachał jej, witając się i jednocześnie zapraszając, by się dosiadła, a dziewczynka rozpromieniła się, jakby to było Boże Narodzenie. Ześlizgnęła się ze stołka, popatrzyła na Arthura i pokazała kciukiem za siebie, informując go, że znowu się tam przenosi, po czym podeszła do nich. Turner się przesunęła, mała usiadła obok niej na kanapce, i wszyscy troje utworzyli mały ciasny trójkąt.

– Samantha Dayton, Susan Turner. Susan Turner, Samantha Dayton – przedstawił je Reacher.

Dziewczyna przekręciła się na winylowej kanapce i wymieniła uścisk dłoni z Turner.

– Jest pani jego asystentką? – zapytała.

– Nie, jestem jego dowódcą – odpowiedziała Turner.

– Ale jaja. Z jakiej jesteście agencji?

– Żandarmeria wojskowa.

– Niesamowite. A kim są wszyscy inni?

– W akcji bierzemy udział tylko my i FBI.

– Kierujecie nią wy czy oni?

– Oczywiście, że my.

– Więc to wasz człowiek siedzi w białym aucie?

– Tak, to nasz człowiek.

– Przerzucony tutaj skąd?

– Mogłabym ci powiedzieć, ale potem musiałabym cię zabić.

Mała roześmiała się, szczęśliwa jak norka. Poufne informacje, kobieta dowodząca operacją, żarciki.

– Więc facet, który ma się pojawić, to wojskowy? – dopytywała się. – Może to żołnierz, który zdezerterował, i teraz, zanim zapadnie się pod ziemię, chce się pożegnać z rodziną? Ale po co jego rodzina wynajęła adwokata? A może to jego adwokat? Czy koleś jest szpiegiem albo kimś w tym rodzaju? Może to oficer bardzo wysokiego stopnia, stary i cieszący się szacunkiem, któremu nagle opadły łuski z oczu? Czy sprzedaje tajemnice?

– Widziałaś kogoś dzisiaj? – zapytał Reacher.

– Tych samych ludzi co wczoraj.

– Żadnych samotnych mężczyzn?

– Facet z obciętymi uszami jest dzisiaj sam. W wynajętym samochodzie. Może jego partner zachorował.

– Gdzie go widziałaś?

– Jechał Vineland Avenue. Byłam w kafejce i jadłam śniadanie. Niedaleko kancelarii. Chociaż musimy się na nowo zastanowić, jaką rolę gra tu adwokat. Nie wiemy, kogo reprezentuje. Może sąsiada, a może żołnierza. A może obu, chociaż nie bardzo rozumiem jak. I po co?

– O której godzinie jadłaś śniadanie? – chciał wiedzieć Reacher.

– Wcześnie. Zaraz po tym, jak odjechali agenci.

– Odjechali?

– Tylko na dwadzieścia minut. Układa się to w pewną prawidłowość. Powinniście lepiej koordynować działania. Wszyscy odjeżdżają jednocześnie i powstaje luka czasowa.

– To fatalnie.

– Mnie to nie przeszkadza. Dzięki temu mogę wyjść bez ich wiedzy.

A potem, kiedy wracam, są bardzo zdziwieni, bo myśleli, że siedzę w domu.

– Tak właśnie zrobiłaś dziś rano?

– Tak właśnie robię codziennie rano.

– Czy facet z uszami widział, jak wychodzisz?

– Nie sądzę.

– Czy widział cię gdzieś indziej?

– Nie sądzę. Starałam się zlać z otoczeniem. Ze względu na waszych ludzi, nie na niego. Nie widziałam go. Ale zobaczyłam później jego samochód. Był zaparkowany blisko miejsca, w którym doszło do wypadku.

– Musisz się trzymać z daleka od tego faceta – powiedział Reacher.

– Wiem. Mówiłeś mi wczoraj. Ale nie mogę przez cały dzień siedzieć w domu.

– Od jak dawna mieszkasz w tym domu? – zainteresowała się Turner.

– Chyba od zawsze. Nie pamiętam żadnych innych domów. Jestem prawie pewna, że tam się urodziłam. To znaczy, tak mówią ludzie. Nawet kiedy to nieprawda. Z czym mamy do czynienia również w moim przypadku. Urodziłam się w szpitalu. Ale wróciłam stamtąd do tego domu. I chyba tak należy rozumieć tę frazę dzisiaj, kiedy rodzenie dzieci się zinstytucjonalizowało.

– Czy kiedykolwiek mieszkałaś w samochodzie? – zapytała Turner.

– To dziwne pytanie.

– Możesz nam powiedzieć. Znamy ludzi, którzy chętnie wspięliby się na tak wysoki szczebel drabiny społecznej.

– Kogo na przykład?

– Wielu ludzi. Chodzi mi o to, że nie osądzamy ich na tej podstawie.

– Czy wpadłam w kłopoty?

– Nie, nie wpadłaś w kłopoty – zapewnił Reacher. – Po prostu sprawdzamy pewne rzeczy. Jak się nazywa twoja mama?

– Czy wpadła w kłopoty?

– Nikt nie wpadł w kłopoty. W każdym razie nie na twojej ulicy.

Chodzi o tego innego faceta.

– Czy on zna moją mamę? O mój Boże, więc to właśnie nas obserwujecie? Czekacie, aż przyjdzie zobaczyć się z moją mamą?

– Wszystko po kolei – powiedział Reacher. – Jak się nazywa twoja mama? I owszem, wiem o colcie pythonie.

– Moja mama nazywa się Candice Dayton.

– W takim razie chciałbym się z nią spotkać.

– Dlaczego? Czy jest podejrzana?

– Nie, to sprawa osobista.

– Jak to?

– To ja jestem tym facetem, którego szukają. Uważają, że znam twoją mamę.

– Pan?

– Tak, ja.

– Nie zna pan mojej matki.

– Uważają, że jeśli staniemy naprzeciwko siebie twarzą w twarz, mogę ją rozpoznać. Albo ona może rozpoznać mnie.

– Nie rozpozna. I pan też jej nie rozpozna.

– Trudno to stwierdzić, zanim się tego nie sprawdzi.

– Może mi pan wierzyć.

– Bardzo bym chciał.

– Mogę panu oświadczyć z całą stanowczością, że nie zna pan mojej mamy i ona nie zna pana.

– Bo nigdy wcześniej mnie nie widziałaś? Mówimy o znajomości sprzed wielu lat, może jeszcze zanim się urodziłaś.

– Jak bliska to miałaby być znajomość?

– Wystarczająco bliska, żebyśmy się wzajemnie rozpoznali.

– W takim razie pan jej nie zna.

– Co to ma znaczyć?

– Dlaczego pana zdaniem zawsze tu jadam?

– Bo lubisz to miejsce?

– Bo dają mi jedzenie za darmo. Bo moja mama tu pracuje. Stoi tam. To ta blondynka. Minął ją pan już dwa razy i nawet nie mrugnął okiem.

Ona też nie. Nigdy wcześniej się nie spotkaliście.

62

Reacher przesunął się na kanapce, odwrócił głowę i spojrzał w głąb sali. Blond kelnerka podchodziła to do jednego, to do drugiego stolika, próbując zdmuchnąć z oczu zabłąkany kosmyk włosów, przesuwając machinalnie dłonią po biodrze, uśmiechając się, przyjmując zamówienia.

Nie znał jej.

– Czy twoja mama była kiedykolwiek w Korei? – zapytał.

– To kolejne dziwne pytanie – prychnęła dziewczynka.

– Dlaczego dziwne?

– Dziwne, jeśli pan ją zna.

– To znaczy?

– Całe to odgrywanie przez nią zestresowanej męczennicy wiąże się z tym, że nigdy nie wyjechała z hrabstwa Los Angeles. Tylko raz w życiu chłopak zabrał ją do Vegas, ale nie miał pieniędzy na hotel. Matka nie ma nawet paszportu.

– Jesteś tego pewna?

– Dlatego farbuje włosy. To południowa Kalifornia. Ona nie ma papierów.

– Nie potrzebuje żadnych papierów.

– Jest nielegalną imigrantką. Długo by o tym gadać.

– Daje sobie radę?

– To nie jest życie, o jakim marzyła.

– A ty dajesz sobie radę?

– Owszem – odparła dziewczyna. – O mnie niech się pan nie martwi.

Reacher nie odpowiedział i nagle zza jego ramienia wyłonił się Arthur, który pochylił się i szepnął coś do ucha dziewczynki. Starał się zachować dyskrecję, ale sposób, w jaki wymawiał twarde spółgłoski, pozwolił poznać treść komunikatu, który brzmiał: „Ci państwo muszą odbyć konferencję z innym dżentelmenem". W odpowiedzi dziewczynka zerwała się rozpromieniona z miejsca, ciesząc się, że może ją zastąpić agent jeszcze wyższej rangi i jeszcze dokładniej wprowadzony w sprawę. Arthur zniknął z pola widzenia, dziewczynka pobiegła za nim i opuszczone przez nią miejsce gładko i bez zbytnich ceregieli zajął krępy osobnik, który oparł łokcie na stole i zmierzył ich triumfalnym wzrokiem.

Chorąży Pete Espin.

• • •

Reacher spojrzał na Turner, a ona potrząsnęła głową, co oznaczało, że Espin ma w knajpie swoich ludzi, co najmniej dwóch, prawdopodobnie uzbrojonych i prawdopodobnie tuż za nimi. Espin rozsiadł się wygodnie i złączył dłonie, jakby składał potasowaną talię kart.

– Nie jest pan jej tatą – powiedział.

– Najwyraźniej – odparł Reacher.

– Sprawdziłem to, dla czystej przyjemności. Według departamentu stanu pani Dayton nigdy nie miała paszportu. Według departamentu obrony nigdy nie wyjeżdżała do Korei, legitymując się jakimkolwiek innym dokumentem. Więc zacząłem sprawdzać dalej i okazało się, że adwokat sprzedaje dokumenty przez internet. Najróżniejszego rodzaju dokumenty, poświadczające wszystko, co pan chce. Usługa ma dwa poziomy cenowe, albo dostaje pan same papiery, albo coś, co ma ręce i nogi. Coś, co ma ręce i nogi, oznacza w tym wypadku prawdziwe kobiety,

prawdziwe dzieci i autentyczne fotokopie autentycznych świadectw urodzenia. I facet nie jest jedyny. Ta branża bardzo się rozwinęła. Mają duże zasoby. Jeśli interesuje pana dziecko z określoną datą urodzenia, może pan przebierać jak w ulęgałkach.

– Kto kupił to oświadczenie?

– Nazwisko, które podał, brzmi Romeo, ale pieniądze były prawdziwe. Przelane z Kajmanów.

– Kiedy Romeo je kupił?

– Rankiem tego samego dnia, kiedy aresztowano major Turner. Zamówienie załatwia się od ręki. Podaje im się nazwiska, miejsca i daty, a oni fabrykują dokument. Można nawet wpisać własny tekst, jeśli się chce. Zaświadczenia są sporządzane komputerowo, przychodzą e-mailem i wyglądają jak fotokopie. Candice Dayton została wybrana ze względu na datę urodzenia jej córki. Adwokat znał ją, bo stołował się w knajpie, gdzie była kelnerką. Dostała sto dolców za to, że złożyła swój podpis. Ale data urodzin została wybrana głupio. Zauważył pan to? Wypada dokładnie w połowie pańskiego pobytu w Red Cloud. Co znaczy, że facet kierował się kalendarzem, a nie biologią.

– Trafna uwaga – stwierdził Reacher.

– Więc cały ten zarzut upada.

– Ale dlaczego w ogóle mi go postawiono? Oto jest pytanie. Potrafi pan na nie odpowiedzieć? Dlaczego Romeo w ogóle kupił to oświadczenie?

Espin nie odpowiedział.

– I kim naprawdę jest Romeo? – pytał dalej Reacher.

Cisza.

– Co teraz będzie? – zapytała Turner.

– Jest pani aresztowana.

– Reacher też?

– Potwierdzam.

– Musi pan zadzwonić do major Sullivan z biura śledczego.

– Ona pierwsza do mnie zadzwoniła. Sprawa Big Doga jest zamknięta, ale między wejściem do tej celi w Dyer i chwilą obecną Re-

acher popełnił mniej więcej sto przestępstw, o których wiemy, i być może jeszcze sto, o których nie mamy pojęcia, poczynając od bezprawnego uwięzienia osoby w celu popełnienia kolejnego przestępstwa, po bezprawne użycie karty kredytowej.

– Dostał pan wiadomość, którą przekazaliśmy panu za pośrednictwem sierżant Leach? – zapytał Reacher.

– Miałem podobno nie chować urazy.

– Zapytałem, co by pan zrobił, gdyby znalazł się w naszej sytuacji.

– Pokładałbym wiarę w system.

– Gówno prawda.

– Zwłaszcza gdybym był niewinny.

– Czy byłem niewinny?

– Na początku – odparł Espin.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Po co Romeo kupił to zaświadczenie?

– Nie wiem.

– Czy to Romeo mógł odgrzebać sprawę Big Doga?

– Niewykluczone.

– Po co to zrobił? I po co sfabrykował tę inną historię? Dwa fałszywe oświadczenia. Jaki mieli powód, żeby to robić? Jaki mieli jedyny możliwy powód, żeby to robić?

– Nie wiem.

– Nieprawda, wie pan. Jest pan sprytnym facetem.

– Romeo chciał, żeby pan zwiał.

– Dlaczego Romeo chciał, żebym zwiał?

– Ponieważ był pan zamieszany w sprawę major Turner.

– I co to mówi o sprawie major Turner? Jeśli naprawdę jest winna, Romeo powinien chcieć, żebym zeznawał. Powinien chcieć, żebym stanął przed ławą przysięgłych i potwierdził wszystkie złe rzeczy na jej temat.

Espin przez chwilę milczał.

– Mam rozkaz sprowadzić was z powrotem, pani major i panie majorze – oświadczył. – Cała reszta wykracza poza moją siatkę płac.

– Wie pan, że nas wrobiono – powiedział Reacher. – Sam pan powiedział, że Romeo ma forsę na Kajmanach. Osobiście założył konto major Turner. To nie jest wyższa matematyka. Widział pan lepsze przekręty. Wymyślił to jakiś idiota. I dlatego sprawa się rypnie. Najprawdopodobniej bardzo szybko. Bo ja i Turner nie jesteśmy kretynami. Mamy zamiar załatwić ich na cacy. I w związku z tym ma pan wybór. Może pan albo być dronem, który dostarczy nas w kajdankach do domu na kilka dni przed naszym największym triumfem, albo może pan ruszyć głową i spróbować wyobrazić sobie, gdzie pan będzie chciał się znaleźć, kiedy opadnie kurz bitewny.

– I gdzie to będzie? – zapytał Espin.

– Nie tutaj.

Espin potrząsnął głową.

– Wiecie, jak to funkcjonuje. Muszę z czymś wrócić do domu.

– Możemy panu coś zaproponować.

– I co by to miało być?

– Samodzielne aresztowanie, zasługująca na medal determinacja, by sprawdzić każdy możliwy trop, i lukier na bardzo dużym torcie. A lukier to najsłodsza i najbardziej widoczna część każdego dużego tortu.

– Potrzebuję czegoś więcej niż broszury reklamowej.

– Ktoś o mało nie zatłukł na śmierć pułkownika Moorcrofta i chyba zdążył się pan zorientować, że to nie byłem ja. Więc kto to zrobił? Zgarnie pan osobę, która od lat macza palce w paskudnym procederze i zyska pan przychylność klasy politycznej, kierując na nią światła reflektorów.

– Gdzie znajdę tę maczającą palce osobę?

– Niech pan szuka kogoś, kto zszedł z posterunku i przez dłuższy okres pozostawał nieuchwytny.

– I co?

– Odkryje pan, że ktoś śledził wychodzącego z sali śniadaniowej Moorcrofta i albo zaciągnął pułkownika siłą do samochodu, albo go do niego zwabił. Odkryje pan, że nie można było tego dokonać w inny sposób. I odkryje pan, że to nie był podoficer. Ponieważ sala śniadanio-

wa znajduje się w klubie oficerskim. Więc będzie pan szukał oficera.

– Ma pan jakieś nazwisko?

– Morgan. To on wystawił Moorcrofta. Wywiózł go w miejsce, gdzie pułkownik został pobity. Niech pan sprawdzi jego brudne ciuchy. Wątpię, żeby osobiście brał w tym udział, ale nie mam wątpliwości, że stał na tyle blisko, by się przyglądać.

– Zszedł wtedy z posterunku?

– Twierdzi, że był w Pentagonie. Jego nieobecność jest dobrze udokumentowana. Wzbudziła duży niepokój. A w Pentagonie przechowują wszystkie rejestry. To będzie żmudna robota, ale stawiam dolary przeciwko żołędziom, że odkryje pan, że go tam nie było.

– Czy to wszystko jest oparte na solidnych podstawach?

– Morgan należy do małej grupy, w której skład wchodzi, z tego co wiemy, z jednej strony czterech podoficerów kompanii logistycznej z Fort Bragg, a z drugiej dwóch zastępców szefów sztabu.

– Jeśli pan się myli, to oznacza duże kłopoty.

– Wiem o tym.

– Dwaj zastępcy szefów sztabu?

– Jeden jest w departamencie bezpieczeństwa krajowego, drugi nie.

– Jeśli pan się myli, to oznacza bardzo duże kłopoty.

– Ale czy się mylę?

Espin nie odpowiedział.

– Szanse są zawsze pół na pół, Pete – powiedział Reacher.

– Jak przy rzucie monetą. Albo się mylę, albo mam rację. Albo przywieziesz nas z powrotem, albo nie, albo zastępcy szefów sztabu są tymi, za których się podają, albo nimi nie są. Zawsze pół na pół. Prawdziwa jest zawsze albo jedna, albo druga wersja.

– A pan jest obiektywnym sędzią?

– Nie, nie jestem obiektywny. Mam zamiar obłupić ich we śnie ze skóry. Ale to, że jestem na nich wściekły, wcale nie oznacza, że tego nie zrobili.

– Ma pan jakieś nazwiska?

– Na razie jedno. Crew Scully.

– Kto się tak nazywa?

– Ludzie z wyższych sfer Nowej Anglii.

– Założę się, że skończył West Point.

– Ja też skończyłem West Point, a nie nazywam się tak głupio.

– Założę się, że jest bogaty.

– W więzieniu siedzi dużo bogaczy.

– Kim jest ten drugi?

– Nie wiemy.

– Prawdopodobnie najlepszy kumpel Scully'ego z prywatnej szkoły. Ci faceci trzymają się razem.

– Być może – mruknął Reacher.

– Więc ja dorwę Morgana, a major Turner tych dwóch facetów?

– Stanie się pan pieszczoszkiem mediów.

– Na czym polega ten ich proceder? – zapytał Espin i Turner opowiedziała mu o wszystkim: o gotówce pozyskiwanej na wtórnych rynkach, o starych rozklekotanych pick-upach z dziwnymi znakami rejestracyjnymi, o gotówce przewożonej tymi pick-upami i gotówce w wojskowych kontenerach, a także o zawartości wojskowych kontenerów lądującej na skrzyniach pick-upów, które odjeżdżają następnie w góry, podczas gdy gotówka jest potajemnie ładowana, a potem rozładowywana przez czterech facetów w Karolinie Północnej. Wszystko to puszczone w ruch przez mieszkańca Afganistanu z udokumentowaną historią handlu bronią i wszystko koordynowane i najprawdopodobniej wzbogacające dwóch zastępców szefów sztabu, którzy mogą poza tym podejmować własną inicjatywę strategiczną.

– Sądziłem, że mówicie poważnie – powiedział Espin.

63

– To, o czym mówicie, po prostu nie ma prawa się zdarzyć – przekonywał Espin. – Amerykańskie siły zbrojne odrobiły pracę domową, pani major. I to już dawno temu. Liczymy teraz każdy spinacz. Wszystko ma kod kreskowy. Wszystko jest w odpornym na najcięższe bombardowania komputerze. Mamy kompanie żandarmerii w każdym kluczowym miejscu. Mamy więcej procedur sprawdzających niż pies ma pcheł. Nie tracimy już ani jednej sztuki sprzętu. Możecie mi wierzyć. Dawny chaos jest zdecydowanie w złym guście. Jeśli mamy jakąś skarpetkę z dziurą na pięcie, ekspediujemy ją z powrotem do Stanów. Jeśli przepadnie gdzieś jeden nabój, robi się z tego taka afera, że stąd widać, jak niebo brązowieje od gówna. Coś takiego po prostu nie ma miejsca, pani major.

Turner nie odezwała się.

– Ale coś się dzieje – zauważył Reacher. – Wie pan o tym.

– Słucham. Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

– Niech pan pogada z detektywem Podolskim z waszyngtońskiej policji. Morgan zszedł z posterunku w krytycznym momencie.

– Nadal dajecie mi Morgana?

– Warto go mieć. Wszystko, co wytoczono przeciwko mnie, to dwa fałszywe pozwy.

– Wygląda na to, że wartość Morgana jako członka wiarygodnego spisku poważnie się obniżyła.

– Coś się dzieje – powtórzył Reacher. – Fałszywe konta bankowe,

podrobione dokumenty, pobicia, czterej faceci uganiający się za nami po całym kraju. Kiedy sprawa się zakończy, będzie wyglądała bardzo wiarygodnie. Zawsze tak jest. Z perspektywy czasu zawsze wszystko wydaje się logiczne. A inteligentni ludzie dostrzegają tę logikę grubo wcześniej.

– To cholerne ryzyko – mruknął Espin.

– Zawsze jest pół na pół, Pete. Jak w rzucie monetą. Albo Morgan jest coś wart, albo nie. Albo coś się dzieje, albo nie. Albo okaże się pan nudnym dronem, albo facetem, który przewiduje, co czeka nas za kolejnym zakrętem i zasługuje na to, by przypiąć mu do piersi kolejną baretkę.

Espin nie odezwał się.

– Czas rzucić tą monetą, Pete. Orzeł albo reszka – dodał Reacher.

– Macie jakiś plan?

– Wracamy do Waszyngtonu. Nie musi nas pan odwozić do domu. I tak tam jedziemy.

– Kiedy?

– Zaraz.

– Tam jest Morgan.

– Tam są wszyscy.

– Zgodzicie się, żebyśmy polecieli razem? – zapytał Espin.

– Nie mamy nic przeciwko temu. Ale tylko z panem. Z nikim innym – zastrzegł Reacher.

– Dlaczego?

– Chcę, żeby pan zostawił tu jeszcze na jeden dzień swoich ludzi. W okolicy kręci się ostatni z tej czwórki z Fort Bragg. Uważa, że dziewczynka nadal stanowi coś w rodzaju przynęty. Więc chcę, żeby była chroniona. Może nie być moja, ale to słodki dzieciak. Pewnie dlatego, że nie jest mój.

– Moi chłopcy mogą tu chyba zostać jeszcze jeden dzień.

– Chcę, żebyście ją chronili z bliska, ale dyskretnie. Nie wystraszcie jej. Potraktujcie to jak ćwiczenie. Bo najprawdopodobniej to tylko teoretyczne zagrożenie. Facetowi zależy przede wszystkim na nas. I będzie

wiedział, jakim lecimy samolotem, bo powie mu to Romeo. Więc będzie nam deptał po piętach. Być może nawet poleci z nami.

Espin nie odpowiedział.

– Podejmij decyzję, żołnierzu – ponaglił go Reacher.

– Nie muszę podejmować decyzji w tej chwili – odrzekł Espin. – Jeśli przyjmę waszą propozycję, mam na to jeszcze sześć godzin.

– Ale w końcu musi pan ją podjąć.

– Za dziewięćdziesiąt minut przy terminalu Delty na międzynarodowym lotnisku Los Angeles – odparł Espin.

Używając standardowych wojskowych sygnałów ręcznych, kazał cofnąć się swoim podkomendnym, których Reacher nie widział, po czym wstał i wyszedł.

• • •

Reacher i Turner wyszli minutę później. Dziewczynka była w drugiej części sali, tej obsługiwanej przez jej matkę. Siedziała na stołku i mówiła coś do Arthura, który się uśmiechał. Smukła, długonoga i kanciasta, same łokcie i kolana, w dżinsowej kurtce, spodniach, nowym niebieskim podkoszulku i pasujących do niego butach, bez skarpetek i sznurowadeł, z sięgającymi do połowy pleców włosami jak letnia słoma, niebieskimi oczami i tym swoim uśmiechem. Ojcostwo. Zawsze bardzo mało prawdopodobne. Jak zdobycie Nagrody Nobla albo gra w finale World Series. Nie dla niego.

– Jak się czujesz? – zapytała Turner, gdy już siedzieli w samochodzie.

– Tak samo – odparł. – Nie miałem dziecka wcześniej i nie mam go teraz.

– Jak byś postąpił?

– To nie ma teraz znaczenia.

– Wszystko w porządku?

– Przyzwyczajałem się chyba do tej myśli. I polubiłem tę małą. Nie-

wykluczone, że wiele nas łączy. Co jest dziwne. Ludzie mogą być chyba do siebie podobni, wszędzie na świecie. Nawet jeśli nie są ze sobą spokrewnieni.

– Twoim zdaniem będzie się bała wycia wilka?

– Moim zdaniem już teraz mu zazdrości.

– W takim razie może jednak łączą was więzy krwi. Z zamierzchłych czasów.

Reacher po raz ostatni przyjrzał się przez małe okienko dziewczynce, a potem Turner ruszyła Vineland Avenue na południe i stracili ją z oczu.

• • •

Na międzynarodowe lotnisko Los Angeles jechało się autostradą numer sto jeden i sto dziesięć, a potem w bok El Segundo Boulevard, i wyglądało na to, że potrwa to większą część dziewięćdziesięciu minut, które dał im Espin, ponieważ wszyscy jechali bardzo powoli. Kiedy byli jeszcze na północ od Hollywood Bowl, z Wirginii zadzwoniła do nich Edmonds.

– Crew Sully osobiście przesunął Morgana do sto dziesiątej – powiedziała. – Nie pozwolił, by zajął się tym ktoś niższy rangą. A kiedy chodzi o tymczasowe dowództwo, zwykle tak robi. Poza tym nie ma dostępu do systemów wywiadowczych departamentu bezpieczeństwa krajowego.

– Niech pani sprawdzi, czy ma przyjaciela z takim dostępem.

– Właśnie nad tym pracuję.

– Proszę mnie informować.

– Nadal stoimy po właściwej stronie historii?

– Może pani być tego pewna – odparł Reacher i zakończył rozmowę.

Ruch na autostradzie cały czas był płynny, ale, co dziwne, nikomu się nie spieszyło, zupełnie jakby każdy kierowca był filmowcem kręcącym scenę w zwolnionym tempie.

– Może się okazać, że sami wejdziemy do jaskini lwa – ostrzegła Turner. – Może się okazać, że Espin założy nam kajdanki, kiedy tylko wysiądziemy w Waszyngtonie z tego samolotu.

– Coś wymyślimy – pocieszył ją Reacher. – Sześć godzin to sporo czasu.

– Masz jakieś pomysły?

– Jeszcze nie.

– To są zawodowi handlarze bronią. Tym tylko się zajmują.

– Pół na pół, Susan. Albo tylko tym się zajmują, albo nie.

– Czym innym mogliby się zajmować?

– Mamy sześć godzin, żeby to odgadnąć.

– A jeśli nie odgadniemy?

– Espin usłyszał nazwisko Crew Sully i od razu uznał, że facet jest bogaty – powiedział Reacher. – Może rzeczywiście jest? Może obaj są?

– Wiemy, że są bogaci.

– Ale wydaje nam się, że wiemy, jak się wzbogacili. A może byli bogaci już wcześniej? Może zawsze byli bogaci. Może wywodzą się z bogatej arystokracji Wschodniego Wybrzeża.

– W porządku, będę uważała na starszych panów w spłowiałych różowych spodniach.

– To może zmienić całą sytuację. Zakładamy, że motywem jest tutaj potężna żądza zysku. Być może powinniśmy to nieco złagodzić. Mogą się nie okazać tacy straszni. Te sto tysięcy mogło pochodzić z ich własnego majątku.

– To, co oni robią, to nie jest hobby, Reacher. Pamiętaj o fałszywych rachunkach bankowych, podrabianiu dokumentów, pobiciach i czterech ścigających nas facetach.

– Zgadzam się, to coś więcej niż hobby.

– Więc co to jest?

– Nie wiem. Po prostu głośno myślę. Żeby wypełnić jakoś te sześć godzin.

• • •

Zostawili białego forda na krytym parkingu przy terminalu Delty i wyrzucili kluczyk do śmieci, co, jak się spodziewali, powinno Romea sporo kosztować. Turner rozłożyła należącego do Rickarda glocka i wyrzuciła poszczególne części do czterech kolejnych pojemników na śmieci, a potem weszli przez boczne drzwi, okrążyli terminal i dotarli do kasy biletowej od tyłu. Espin już tam był. Musiał pojechać autostradą numer czterysta pięć. I musiał nią pojechać sam. Nikt mu nie towarzyszył. Nikt nie kręcił się w pobliżu ani nie krył się w półmroku. Espin stał nieruchomo, obserwując główne wejście. Kiedy podeszli do niego z tyłu, odwrócił się na pięcie i Reacher kupił trzy bilety pierwszej klasy na kartę Baldacciego.

64

Dwadzieścia minut przed odlotem usiedli w poczekalni, w miejscu, skąd mieli dobry widok, i nie zobaczyli Shraga. Nie żeby Reacher się go spodziewał. LA to duża metropolia i niełatwo się po niej poruszać, a trzeba było przecież najpierw trafić na ślad transakcji bankowej, potem Shrago musiał zdążyć na lotnisko i po prostu zabrakło na to czasu. Więc Reacher napił się kawy i odprężył, a potem ludzie zaczęli wchodzić na pokład samolotu i jednocześnie zadzwonił jego telefon, w związku z czym, siadając w fotelu, nadal rozmawiał, podobnie jak większość pasażerów.

Dzwoniła Edmonds z Wirginii.

– Dostałam właśnie z siedemdziesiątej piątej wiadomość na temat Candice Dayton – powiedziała.

– Mówiłem pani, że jej nie pamiętam.

– Przepraszam. Powinnam być mniej sceptyczna.

– Proszę się nie przejmować. Ja też prawie w to uwierzyłem.

– Wypytałam, jakich Crew Scully ma przyjaciół.

– I co?

– Ma kolegę z West Point, z którym się przyjaźni. Są jak papużki nierozłączki. Pytałam pięć różnych osób i wszystkie powiedziały mi o tym facecie.

– Jaką pełni funkcję?

– Aktualnie jest zastępcą szefa sztabu sił lądowych do spraw wywia-

du.

– To by pasowało.

– Pochodzą z podobnych środowisk, mieszkają niedaleko siebie w Georgetown i są członkami tych samych klubów, w tym kilku bardzo ekskluzywnych.

– Są bogaci?

– Nie tak, jak potrafią być bogaci pewni ludzie. Ale prowadzą wygodne życie, w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Wie pan, jak to wygląda w tym przypadku. Wygodne życie wymaga kilku milionów.

– Jak się nazywa ten facet?

– Gabriel Montague.

– Miała pani rację, mówiąc o podobnym środowisku. Gabe i Crew. To brzmi jak nazwa baru nieopodal Harvardu. Albo sklepu, w którym można kupić podarte dżinsy za trzysta dolarów.

– To są potężni przeciwnicy, Reacher. To są olbrzymy przechadzające się po ziemi. A pan ma zero dowodów.

– Rozumuje pani jak prawniczka. Której swoją drogą właśnie teraz potrzebuję. Jestem niewinnym człowiekiem. Nie chcę, żeby robiono wielki cyrk z powodu tego, co się stało, kiedy przymknięto mnie za dwie rzeczy, których nie zrobiłem. Jeśli uciekłem, to dlatego, że miałem prawo tak postąpić.

– Major Sullivan nad tym pracuje. Chce, żeby wszystkie zarzuty zostały oddalone. Jako owoce zatrutego drzewa.

– Niech jej pani powie, żeby się pospieszyła. Lecimy teraz z powrotem z półoficjalną eskortą. Nie chcę żadnych gierek i zabaw na lotnisku Reagana. Sullivan ma mniej więcej sześć godzin.

– Przekażę jej.

W tym momencie w głośnikach odezwał się steward i oznajmił, że zamykają drzwi do kabiny i wszystkie urządzenia powinny zostać wyłączone. Więc po raz pierwszy w życiu Reacher zastosował się do poleceń załogi i schował komórkę do kieszeni, a samolot cofnął się i zaczął kołować. Wystartował w stronę oceanu, a potem zatoczył szeroki łuk, skręcając o sto osiemdziesiąt stopni i kierując się na wschód. Przeciął

wybrzeże nad Santa Monica i lecąc w głąb lądu, wznosił się coraz wyżej, wskutek czego North Hollywood, Ventura Freeway, Vineland Avenue i mały domek z niebieskimi drzwiami znalazły się po prawej stronie, daleko i nisko pod nimi, prawie w ogóle niewidoczne.

• • •

Trzem osobom lecącym pierwszą klasą niełatwo jest prowadzić rozmowę. Fotele były szerokie, co powodowało, że ten przy oknie dzieliła spora odległość od tego z drugiej strony przejścia. Poza tym między kuchenką i kabiną bez przerwy kursowała załoga pokładowa, donosząc darmowe jedzenie i picie. Co pomogło Reacherowi zrozumieć, dlaczego bycie bogatym oznacza wygodne życie, ale utrudniało porozumiewanie się. Ostatecznie Espin wstał i usiadł na poręczy fotela Turner, która nachyliła się do siedzącego przy oknie Reachera, dzięki czemu wszyscy się widzieli i słyszeli.

– Jeśli będę chciał zdobyć nakaz na Morgana, z pewnością zapytają mnie, jaka jest natura tego domniemanego spisku – tłumaczył Espin. – Więc lepiej przedstawcie mi jakąś spójną historię, zanim wysiądziemy z tego samolotu. Bo jeśli nie, wyjdzie na to, że nic od was nie dostałem. A w takim przypadku będziemy musieli zastanowić się nad waszym specjalnym statusem.

– To nie funkcjonuje w ten sposób, Pete – odrzekł Reacher. – To nie jest ubieganie się o rolę w filmie. Nie zamierzamy zagrać w żadnej superprodukcji. A pan nie ma w tej kwestii prawa głosu. Na lotnisku Reagana każdy z nas pójdzie swoją drogą bez względu na to, czy przedstawimy panu jakąś historię, czy jej nie przedstawimy, i czy się ona panu spodoba, czy nie. Pożegna nas pan z uśmiechem na twarzy, albo stojąc w drzwiach, albo siedząc na wózku inwalidzkim ze złamaną nogą. Takie są reguły gry. Czy to jest jasne?

– Ale przekazujemy sobie nawzajem informacje? – upewnił się Espin.

– Jak najbardziej. Kapitan Edmonds powiedziała mi na przykład przed chwilą, że Crew Scully ma bliskiego przyjaciela o nazwisku Gabriel Montague.

– To było do przewidzenia. Czy chodzili razem do prywatnej szkoły?

– Coś w tym rodzaju. Studiowali razem na West Point.

– Kim on jest?

– Zastępcą szefa sztabu sił lądowych do spraw wywiadu.

– Trudno znaleźć kogoś wyżej postawionego.

– Zgadza się.

– Ma pan dowody?

– Moja adwokatka stwierdziła przed chwilą, że mam zero dowodów. Co lojalnie przekazuję, bo informujemy się o wszystkim.

– Ale uważa pan, że to ci dwaj?

– Teraz tak.

– Dlaczego?

– William Szekspir. Napisał sztukę pod tytułem *Romeo i Julia*. Dwa wielkie domy słynące z bogactwa i chwały. Para skazanych na zgubę kochanków, ponieważ Julia należy do rodu Kapuletów, a Romeo jest Montekim. Coś w stylu Sharków i Jetsów z *West Side Story*. Może pan sobie wypożyczyć film.

– Myśli pan, że Montague to Romeo? Byłby aż tak głupi?

– Prawdopodobnie uważa, że to całkiem zabawne. Tak jak spłowiałe różowe spodnie. Prawdopodobnie sądzi, że ludzie tacy jak ja nigdy nie czytali Szekspira.

– Pańska adwokatka ma rację. Dokładnie zero dowodów.

– To prawnik. Pan nim nie jest. Pan jest facetem, który rzuca monetą. Albo Montague to Romeo, albo nie. Dokładnie pół na pół.

– To tak jak pojechać do Vegas i postawić całą hipotekę na czerwony kolor.

– Równe szanse to wspaniała rzecz.

– To są zastępcy szefów sztabów, Reacher. Musisz być pewny. Musisz strzelać tak, żeby zabić.

• • •

Romeo zadzwonił do Juliet.

– Wracają do domu – powiedział. – Trzy bilety pierwszej klasy. To kolejny policzek. Trzeci bilet jest na nazwisko Espin. To chorąży z siedemdziesiątej piątej jednostki żandarmerii. Z początku myślałem, że ich aresztował, ale dlaczego w takim razie bilety kupił Reacher? Zachodzą nas od skrzydła. Dokładnie w tym momencie. Espin przeszedł na stronę krajowców.

– Shrago jest co najmniej godzinę drogi od lotniska – odparł Juliet.

– Powiedz mu, żeby się pospieszył. Kupiłem mu bilety na następny lot, liniami American.

– Jakie będzie miał opóźnienie w stosunku do Reachera?

– Dwie godziny.

– To dużo czasu. Został nam jeden człowiek i nawet go tu nie ma. Obawiam się, że przegraliśmy.

– Zawsze była taka możliwość. Wiemy, w co się zaangażowaliśmy. Wiemy, co być może będziemy musieli zrobić.

– Przetrwaliśmy całkiem długo.

– I przetrwamy dwie godziny dłużej. Nic się nie wydarzy. Major Turner musi wziąć prysznic. Podróżowanie z kobietami jest uciążliwe. A później Shrago będzie miał łatwiejsze zadanie. To oni będą nas szukać. Nie my ich.

• • •

Espin przychodził i odchodził, przysiadając obok nich i wracając na swój fotel, w zależności od wagi przedstawianych w trakcie rozmowy dowodów i tego, jak mu było wygodnie. Baldacci nie po to fundnął im bilety pierwszej klasy, żeby chorąży spędził podróż przycupnięty na poręczy. Na ogół siedział sam, pogrążony w zadumie. Podobnie jak

Turner i Reacher. Bez widocznych sukcesów. W końcu Turner znowu wezwała Espina.

– Ustaliliśmy jedną rzecz: łańcuch logistyczny – powiedziała, kiedy usiadł koło niej. – To dwukierunkowy taśmociąg, który nigdy się nie zatrzymuje. W tym momencie wysyła puste skrzynki i sprowadza pełne. W pełnych skrzynkach jest to, co powinno w nich być. Oznaczone kodem kreskowym skarpetki z dziurami na piętach. Przyjmuję to do wiadomości. Więc nic się nie dzieje. Tyle że wiemy, że jednak coś się dzieje. Może puste skrzynki wcale nie są puste? Wiemy, że członkowie górskich plemion nie kupują towarów z kodem kreskowym, ale może kupują coś, co jest przeznaczone wyłącznie dla nich? Może to coś w rodzaju zamówienia pocztowego? Dlatego ci czterej faceci w Fort Bragg byli tacy ważni. Pakowali skrzynie, które powinny być puste.

– Systemy kontroli funkcjonują na wyjściu i na wejściu – przypomniał Espin.

– Są tak samo szczelne?

– Nie sądzę, że mogłyby nie być.

– Więc coś takiego mogło się jednak wydarzyć?

– Mogło.

– Ale Reacher uważa, że zysk nie jest tutaj najważniejszym motywem – odparła Turner. – Nie można wykluczyć, że to jakiś osobisty projekt. Może mają swoich faworytów. Może zbroją jedną frakcję przeciwko drugiej. Może uważają się za wielkich ekspertów od Afganistanu. Tym bonzom z Nowej Anglii zawsze wydaje się, że są w połowie Brytyjczykami. Może wspominają dawne czasy na Północno-Zachodnim Pograniczu. Może uważają, że mają unikalną wiedzę.

– Ale taśmociąg działa w obie strony. Nie wolno nam o tym zapominać. Może nie wwożą tam rzeczy, ale wywożą je razem ze sprowadzanym z powrotem sprzętem. I to też sprawia, że ci faceci w Fort Bragg są ważni. Muszą rozładowywać potajemnie te rzeczy i przekazywać je dalej.

– Jakie rzeczy?

– Jeśli zysk nie jest tutaj najważniejszym motywem, mogą nim być

osobiste zamiłowania. Być może to dzieła sztuki, posągi albo rzeźby. Rzeczy niszczone przez talibów. Jeśli jesteś wyrafinowanym dżentelmenem, takie przedmioty mogą mieć dla ciebie znaczenie. Tyle że sposób, w jaki reagują, zdecydowanie wykracza poza kwestie sztuki. Nikogo nie bije się do nieprzytomności z powodu starego posągu.

– Więc jakie to są rzeczy?

– Mamy dwóch dżentelmenów z osobistymi zamiłowaniami, które trzeba zachować w tajemnicy. Bo te zamiłowania są przestępcze, a także w jakiś sposób wstydliwe. Ale również lukratywne w dżentelmeńskim sensie tego słowa. Takie odnoszę wrażenie.

– Małe dziewczynki? Chłopcy? Sieroty?

– Spójrzcie na to z punktu widzenia Emala Zadrana. Był łamagą i nieudacznikiem, ale się zrehabilitował. Zyskał szacunek w swojej społeczności. Jak? Ktoś powierzył mu jakąś funkcję. Najprawdopodobniej znowu został handlarzem. Ktoś chciał coś kupić albo sprzedać i Zadran stał się tym, który może to załatwić. Bo znał odpowiednich ludzi. Miał znajomości. Może przez czysty przypadek znajomości, które były w tym przypadku kluczowe.

– Co ktoś chciał kupić albo sprzedać? – zastanawiał się Espin.

– Ustalimy to w Waszyngtonie – powiedział Reacher. – Zaraz po tym, jak pomacha nam pan na pożegnanie, stojąc albo siedząc.

• • •

Resztę podróży przespali. W kabinie było ciepło, fotele wygodne, ruch usypiający. Reacherowi przyśniła się Samantha, znacznie młodsza. Miała może trzy latka i była pucułowata, nie koścista, ubrana w takie same, ale zminiaturyzowane rzeczy, w maleńkich tenisówkach bez sznurowadeł. Szli ulicą, jej miękka ciepła rączka ginęła w jego wielkiej łapie, i próbując dotrzymać mu kroku, przebierała jak szalona małymi nóżkami, a on bez przerwy zerkał na nią przez ramię, czymś się zamartwiając, zastanawiając się, jak w razie potrzeby będzie mogła uciec w

tych swoich niezasznurowanych tenisówkach, a potem uświadomił sobie, że może po prostu wziąć ją na ręce i uciec razem z nią, być może na zawsze, jej lekkie pachnące ciałko nie będzie dla niego żadnym ciężarem, i zalała go fala ulgi, a sen odpłynął, jakby spełnił swoje zadanie.

A potem ciśnienie w kabinie się zmieniło i steward zaczął mówić o wyprostowaniu foteli i złożeniu stolików. Espin zerknął na nich z drugiej strony przejścia, a Reacher i Turner zerknęli na niego. Moneta została rzucona, właśnie w tej chwili. Facet podejmował decyzję. Czy jest dronem, czy wie, co czeka za zakrętem? Pół na pół, pomyślał Reacher, jak wszystko inne na tym świecie.

Następnie zaczęli podchodzić do lądowania, wielki samolot znowu zrobił się niezgrabny i ociężały i kiedy tylko załoga pokładowa zajęła swoje miejsca, wszyscy włączyli telefony i Reacher zobaczył, że ma w poczcie głosowej wiadomość od major Sullivan. Połączył się z pocztą i usłyszał najpierw trochę trzasków, a potem jej głos:

„Potwierdzam, że nie zostanie przeciwko panu podjęta żadna akcja w związku z oskarżeniami wysuniętymi na podstawie fałszywych oświadczeń. Więc w tym momencie nie jest pan ścigany. Ale major Turner nadal uważana jest za zbiega. Jej sytuacja nic się pod tym względem nie zmieniła. W związku z tym, kiedy wylądujecie, zegar zacznie tykać od nowa. Zostanie pan potraktowany jako osoba, która pomogła popełnić bardzo poważne przestępstwo. Chyba że zostawi ją pan na lotnisku. Co jako pańska adwokat stanowczo radzę panu zrobić".

Reacher skasował wiadomość i zadzwonił do Edmonds.

– Gdzie byli Scully i Montague siedem lat temu? – zapytał, kiedy odebrała.

– Spróbuję się tego dowiedzieć – odparła.

A potem samolot dotknął kołami ziemi i zegar zaczął tykać od nowa.

65

Wejście na pokład samolotu w pierwszej kolejności oznacza, że można z niego w pierwszej kolejności wysiąść, i kiedy dotarli do drzwi przy końcu rękawa, były jeszcze zamknięte. Lecąc, zmienili strefy czasowe i na Wschodnim Wybrzeżu było bardzo późno. Za bramką zobaczyli niewielki tłumek. Nie tak duży jak w Long Beach. Być może tylko dziesięciu wojskowych żandarmów w cywilu i dziesięciu tajniaków z FBI na odcinku pierwszych dziesięciu metrów. Reacher przytrzymał drzwi, puścił Espina przodem i bardzo uważnie go obserwował. Ale chorąży nikogo nie wypatrywał, nie nawiązał z nikim kontaktu wzrokowego i nie dawał ukradkowych znaków ręką. Przecisnął się po prostu przez tłum jak zwyczajny pasażer. Reacher i Turner ruszyli za nim i minutę później przegrupowali się na korytarzu, którym szło się po odbiór bagaży.

– Niech pan idzie przodem – powiedział Reacher. – My tu zostaniemy.

– Dlaczego?

– Na wypadek gdyby kazał pan swoim ludziom czekać po drugiej stronie kontroli bezpieczeństwa.

– Nie ma żadnych ludzi.

– I tak tu zostaniemy.

– Dlaczego?

– Ze względów taktycznych.

– Daję panu dwadzieścia cztery godziny.

– Nigdy pan nas nie znajdzie.

– Znalazłem was w LA. Tu też jest przygotowana dla was przynęta. Będę wiedział, gdzie szukać.

– Powinien pan skoncentrować się na Morganie.

– Dwadzieścia cztery godziny – powtórzył Espin i oddalił się.

Reacher i Turner odprowadzili go wzrokiem.

– Napijmy się kawy – zaproponował Reacher.

– Zostajemy tutaj? – zapytała Turner.

Reacher spojrzał na tablicę przylotów.

– To nie było takie głupie – stwierdził. – Mniej więcej za dwie godziny ląduje samolot American Airlines. Shrago na pewno jest na pokładzie. A bezpośrednio po wyjściu z samolotu nie może być uzbrojony. Więc to najlepsze miejsce, żeby go załatwić.

– Zrobimy to?

– Nie, ale chciałem to zasugerować Espinowi. Na wypadek gdyby za godzinę się spietrał. Będzie zakładał, że wciąż tu jesteśmy. Ale nas nie będzie. Weźmiemy kawę na wynos. Wyjdziemy tuż za nim.

• • •

Z doświadczenia Reachera wynikało, że żadna poważna operacja w Waszyngtonie nie może się udać, jeśli nie ma się przyzwoitej bazy operacyjnej. Takiego miejsca nie można było jednak kupić za gotówkę. Każdy porządny hotel będzie od nich wymagał karty kredytowej. Co oznaczało, że albo za pokój zapłaci Margaret Vega, albo poinformują Gabriela Montague, gdzie się zatrzymali. Turner optowała za poinformowaniem go, bo w hotelu pojawiłby się wówczas Shrago i mogliby się nim zająć. Reacher był innego zdania.

– Dlaczego? – zapytała.

– Jeśli wyślą do nas Shraga, a on zniknie, będą wiedzieli, co się z nim stało.

– Oczywiście.

– A ja nie chcę, żeby to wiedzieli. Chcę, żeby gubili się w domysłach. Tak długo, jak to będzie możliwe. Nie chcę, żeby wiedzieli. Chcę, żeby wpatrywali się w mrok, czekając na jakiś znak.

– Dlatego właśnie potrzebujemy w kadrze oficerskiej więcej kobiet. Nam wystarcza, że wygramy. Wy chcecie, żeby ten drugi facet wiedział, że przegrał – podsumowała Turner.

– Chcę, żeby mieli przez cały czas włączone komórki. Nic więcej. Niewykluczone, że tylko wtedy uda nam się naprawdę wszystko udowodnić. A przede wszystkim uda nam się ich znaleźć. Shrago musi zniknąć w jakimś nieznanym miejscu, my musimy poznać numery komórek zapisane w jego telefonie, sierżant Leach musi zwrócić się o pomoc do zupełnie innych ludzi, a my musimy zlokalizować te komórki, zanim oni ostatecznie postawią krzyżyk na Shragu i je wyłączą.

Tak więc Margaret Vega zapłaciła za nocleg na dwunastym piętrze bardzo miłego hotelu z widokiem na Biały Dom, w pokoju, który miał wszystko, czego potrzebowali, i wiele rzeczy do niczego im niepotrzebnych. Turner chciała kupić sobie coś z ubrania, ale minęła północ i wszystko było pozamykane. Wzięli więc długi prysznic, opatulili się w grube na pięć centymetrów szlafroki, usiedli i odmierzali czas do chwili, gdy do lądowania samolotu Shraga zostało tylko dwadzieścia minut. Wtedy ubrali się i wyszli.

• • •

Romeo zadzwonił do Juliet.

– Monitorowałem kartę Margaret Vegi, na wypadek gdyby Turner wypuściła się sama na zakupy – powiedział – i okazało się, że właśnie opłacono nią nocleg w tutejszym hotelu.

– Shrago włączy swój telefon za mniej więcej dwie minuty – odparł Juliet.

– Powiedz, żeby pojechał tam zaraz taksówką.

• • •

Zobaczyli Shraga, kiedy wychodził z terminalu. Siedzieli w taksówce dwadzieścia metrów dalej. Miała pięć metrów długości i dwa metry szerokości, ale była niewidzialna. Stała na lotnisku. Shrago w ogóle jej nie zauważył. Stanął na postoju za jakimś mężczyzną i po chwili wsiadł do innej taksówki.

– To ten facet – powiedział Reacher.

– Widzę go – odparł kierowca. Taksometr miał wciąż włączony. Plus sto dolarów napiwku. Plus jeszcze sto, żeby było śmieszniej. Tak się umówili. Nie płacili przecież swoimi pieniędzmi.

Kierowca ruszył, trzymając się pięćdziesiąt metrów za taksówką Shraga. Która zmierzała do centrum miasta, przez most i prosto Czternastą Ulicą, przecinając Mall i Federal Triangle. Następnie minęła New York Avenue i zatrzymała się.

Shrago wysiadł.

Taksówka odjechała.

Byli nadal na Czternastej, dwie przecznice na wschód od Lafayette Square, który znajduje się tuż przed Białym Domem.

– Co tutaj jest? – zapytała Turner.

– Najwyraźniej nic – odparł Reacher, ponieważ Shrago zaczął iść Czternastą na północ, w stronę skrzyżowania z H Street.

Po chwili skręcił w lewo.

Reacher zapłacił kierowcy pieniędzmi Billy'ego Boba, trzysta dolarów, reszty nie trzeba, po czym wysiedli i ruszyli w stronę tego samego skrzyżowania. Shrago mijał już następną przecznicę. Szedł szybkim krokiem. Za chwilę miał dotrzeć do Lafayette Square, skąd nie widać było nic po lewej stronie. Nie po ciemku. I w zasadzie tylko jeden budynek po prawej.

– Idzie do naszego hotelu – stwierdziła Turner. – Pieszo, żeby

taksówkarz go nie zapamiętał. Montague monitoruje również kartę Vegi.

– Po tym, jak opłaciliśmy nią pierwszy lot. Sprytny facet.

– Musisz zmienić strategię.

– Żaden plan nie przetrwał pierwszego kontaktu z nieprzyjacielem.

Zatrzymali się, ale Shrago maszerował dalej. W ogóle nie zwalniając, zmierzał prosto do drzwi hotelu. Wyglądał jak ktoś, kto ma do załatwienia coś ważnego. Najwyraźniej wchodził w rolę.

– Masz nowy plan? – zapytała Turner.

– Nas tam nie ma – odparł Reacher. – W końcu to sobie uświadomi. Wtedy wyjdzie.

– I co?

– Podobał ci się pierwszy plan z telefonami komórkowymi?

– Shrago może go dla nas ocali. Kiedy tylko zda sobie sprawę, że nas tam nie ma, może zadzwonić do swojego szefa. Żeby go o tym poinformować. Może szef kazał mu to zrobić. W takim razie to, co się z nim później stanie, nie będzie miało nic wspólnego z tobą i ze mną. Nas tam nie było. Właśnie ich o tym poinformował. Będą znowu gubili się w domysłach.

– Jeśli zadzwoni.

– Szanse są pół na pół. Albo to zrobi, albo nie.

– Jeśli będziemy wiedzieli, że zadzwonił – dodał Reacher.

– Wychodząc, może rozmawiać.

– Mógł zadzwonić z naszego pustego pokoju.

– Pół na pół. Albo to zobaczymy, albo nie. Albo będziemy wiedzieli, albo będziemy się domyślali – skwitowała Turner.

• • •

Zaszyli się w parku i czekali. Dochodziła druga w nocy. Pogoda się nie zmieniła. Było zimno i mokro. Reacher pomyślał o tenisówkach dziewczynki. To nie były buty na pięćdziesiąt stanów. A potem

pomyślał o hotelowej ochronie, nocnej zmianie, sprawdzaniu fałszywej tożsamości, zaglądaniu do rejestru gości, telefonie do pokoju, wyprawie na górę z zapasowym kluczem. To mogło potrwać dziesięć minut.

Potrwało dziewięć.

Shrago wyszedł z hotelu.

Nie trzymał w ręku telefonu.

– Orzeł albo reszka, Reacher – szepnęła Turner i Reacher wyszedł z cienia.

– Sierżancie Shrago, chcę, żebyście tu podeszli – powiedział. – Mam dla was pilną wiadomość.

66

Shrago nie ruszył się z miejsca. Stał jak skamieniały na chodniku H Street. Reacher zatrzymał się dokładnie naprzeciwko niego, po drugiej stronie ulicy. Było cicho. Druga w nocy. Miasto przemysłowe.

– Sierżancie Shrago, pilna wiadomość jest taka, że od tej chwili zaliczasz się do grupy docelowej określanej mianem patałachów, którzy wdepnęli w gówno. Bo teraz nie możesz wygrać. Jesteśmy zbyt blisko. Chyba że załatwisz nas oboje, tu i teraz. Na tej ulicy. Czego nie zrobisz. Bo nie dasz rady. Nie jesteś wystarczająco dobry. Więc nie wrócisz dziś do domu z tarczą. Potrzebujesz strategii, która pozwoli ci się z tego jakoś wykaraskać. I możemy ci coś zaproponować. Musisz tylko o wszystkim napisać.

Shrago nie odpowiedział.

– Albo możesz nagrać wszystko na taśmę, jeśli słowo pisane nie jest twoją mocną stroną. Tak czy inaczej zmuszą cię, żebyś o wszystkim opowiedział. To będzie duży skandal. Nie tylko w wojsku będą zadawali pytania. Powołane zostaną komisje senatu. Musisz być pierwszym, który się zgłosi.

Pierwszego zawsze puszczają wolno. Tak jakby był kimś w rodzaju bohatera. Musisz być tym facetem, Shrago.

Shrago nie odezwał się.

– Możesz powiedzieć, że nie znasz najważniejszych macherów. Dzięki temu nie będziesz musiał się stresować. Uwierzą ci. Zamiast tego

skoncentruj się na Morganie. Na tym, jak wystawił Moorcrofta. Będą ci jedli z ręki.

Żadnej reakcji.

– Masz tylko dwa wyjścia, sierżancie. Możesz uciec albo przejść do nas przez ulicę. A ucieczka nic ci nie da. Jeśli nie dopadniemy cię dzisiaj, dopadniemy cię jutro. Więc przejście na drugą stronę ulicy jest lepszą opcją. Co i tak musisz zrobić, bez względu na to, czy chcesz nam uścisnąć dłonie, czy nas załatwić.

Shrago zszedł z krawężnika, przecinając pasy ruchu, które mogły się wydawać wąskie dla samochodu, ale były szerokie dla kogoś, kto poruszał się pieszo. Reacher bez przerwy go obserwował – jego oczy, ramiona, ręce – i zobaczył coś w rodzaju awangardowej gry aktorskiej, człowieka, który widzi światełko w tunelu, który zdaje sobie w końcu sprawę, na czym polega jego obowiązek. Była to całkiem niezła kreacja, ale przez cały czas widać było, że chodzi wyłącznie o to, by obejść Reachera, wyeliminować Turner z akcji i wyrównać w ten sposób szanse. Reacher widział to w jego oczach, które były szalone, w ramionach, które były spięte i napędzane adrenaliną, i w dłoniach, które były otwarte, ale ciągle zaciskały się i rozluźniały, jakby facet nie mógł się doczekać, kiedy w końcu zacznie działać.

Wszedł na krawężnik od strony Reachera.

Reacher nie odezwał się. Nie naciskał. Nie musiał tego robić. Tak czy inaczej Shrago musiał porozmawiać z Espinem. Albo po tym, jak dowiozą go do jednostki, albo po tym, jak obudzi się ze śpiączki. Wybór należał do niego. Był wolnym człowiekiem.

Ale niezbyt sprytnym. Wybrał śpiączkę. Co Reacher był gotów zrozumieć. Natychmiastowa akcja zawsze wydaje się najlepszym wyjściem. Shrago zajął pozycję, mając Reachera po swojej prawej stronie i Turner za jego prawym ramieniem. Reacher domyślał się, że facet ma zamiar uderzyć go lewym łokciem w gardło, co pozwoli mu przesunąć się do przodu, jakby odpychał się wiosłem, i zaatakować wolną prawą ręką Turner, zadając jej jeden rozstrzygający cios, który musiał być mocny i skierowany w sam środek twarzy. Rozbity nos, być może kości policz-

kowe, być może oczodoły, utrata przytomności, wstrząs mózgu. Być może nawet rozbita czaszka albo złamany kark.

Nie wolno było do tego dopuścić.

– Podstawowa zasada: nie gryziemy się w uszy – odezwał się Reacher.

Z bliska facet robił niesamowite wrażenie. Jego głowa lśniła w świetle latarni, a kości twarzy wydawały się tak ostre i twarde, że uderzając w nie, można było połamać sobie ręce. Spodnie miał mocno ściągnięte paskiem, niżej widać było napompowane uda, wyżej szeroką klatę. Był może piętnaście lat młodszy od Reachera, młody byczek, twardy jak skała, zionący agresją. Środkowa część jego uszu była nietknięta jak u każdego innego faceta, ale zewnętrzna część małżowiny była odcięta, prawdopodobnie nożyczkami, tuż przy skórze, tak że to, co zostało, wyglądało jak makaron, jak surowe tortellini. I nie miało kształtu sześciokątów. Sześciokąt to coś regularnego, z sześcioma równymi bokami, a kikuty Shraga przycięto jak najbliżej ciała, nie dbając o geometryczną regularność. Powinno się je raczej określić mianem nieregularnych wielokątów. Reacher doszedł do wniosku, że gdyby Samantha była jego córką, mógłby to z nią przedyskutować. Jeśli ktoś nie potrafi dokładnie opisać tego, co widzi, nie powinien uważać się za pedanta.

– To twoja ostatnia szansa, sierżancie – ostrzegł. – Czas na podjęcie decyzji. Wiemy wszystko na temat Scully'ego, Montague'a i Morgana. Jedyny sposób, żeby się z tego wykaraskać, to zacząć mówić. Najlepszą bronią żołnierza jest jego umysł. Czas, żebyś użył swojego. Ale tak czy owak, mam zamiar złamać ci rękę. Mówię szczerze. Bo zadałeś ból tej dziewczynie w Berryville Grill. Co było niepotrzebne. Masz jakiś problem z kobietami? Czy to kobiety obcięły ci uszy?

Shrago rozstawił szerzej nogi i odwrócił się gwałtownie w prawo, tak szybko, że jego lewa ręka została z tyłu, i tak energicznie, że w świetle latarni ukazały się wygięte plecy. Następnie miał zamiar obrócić się z powrotem, jeszcze szybciej i energiczniej, z lewą ręką tym razem dokładnie ustawioną i łokciem celującym w gardło Reachera, tak by uderzenie osiągnęło cel i pozwoliło mu się odbić i zaatakować Turner.

Miał taki zamiar.

Reacher przewidział to i zareagował ułamek sekundy później, odpowiadając na obrót Shraga własnym obrotem, tak jakby byli dwoma idealnie zgranymi tancerzami, i celując wielką prawą pięścią dokładnie tam, gdzie za chwilę miała się pojawić odsłonięta nerka obracającego się Shraga. Przez cały czas analizował jego emocje, próbował ocenić, w jakiej mierze chodzi o uszy, a w jakiej mierze o Scully'ego i Montague'a, bo to, z jaką pasją broni się jakiejś sprawy, wskazuje, jaką przywiązuje się do niej wagę, i w końcu doszedł do wniosku, że w dużej części związane to jest z uszami, ale nie mniej ważna jest obrona czegoś, co słodkie, swojskie i lukratywne.

I w tym momencie Shrago przestał obracać się w jedną i zaczął się obracać w drugą stronę, nakręcony jak sprężyna, celując łokciem w gardło Reachera, ale zanim jego ręka pokonała kilka centymetrów, prawa pięść Reachera rąbnęła go w nerkę, zadając straszliwy, paraliżujący, promieniujący ból, i Shrago zachwiał się, stracił koordynację ruchów i odsłonił, a Reacher mógł kontynuować obrót, teraz już sam jeden, we własnym rytmie, i zrobił to. Jego lewa pięść zadała cios z dołu do góry, trafiając Shraga w szyję, pod spojeniem żuchwy, szybkie i mocne uderzenie, po którym Shrago zachwiał się w drugą stronę, ale jeszcze nie upadł, i można go było zacząć liczyć, tyle że nikt tego nie zrobił, bo walka w ciemności na skraju Lafayette Square nie była cywilizowanym sportem i nie obowiązywały tu żadne reguły. Zamiast tego Reacher uważnie mu się przyjrzał i uznał, że tylko jedna część jego ciała jest twardsza od kości twarzy Shraga, w związku z czym pochylił się i walnął go bykiem prosto w grzbiet nosa, jakby grał w kręgle, a głowa przeciwnika znajdowała się dokładnie w miejscu, w którym puszcza kulę. Następnie odskoczył do tyłu, a Shrago stał przez długą sekundę, a potem jego kolana dostały wiadomość, że na górze zgasły światła, i runął w dół, jakby skoczył ze szczytu muru. Reacher obrócił go na wznak podeszwą buta, złapał za nadgarstek, wykręcił rękę tak, że była sztywno wygięta do tyłu, i złamał ją w łokciu tą samą podeszwą buta. Sprawdził mu kieszenie i znalazł portfel i telefon, ale nie znalazł pistole-

tu, bo facet przyjechał prosto z lotniska.

A potem wstał, wypuścił powietrze i spojrzał na Turner.

– Zadzwoń do Espina i powiedz mu, żeby przyjechał go zabrać. Powiedz, że ma to, czego potrzebuje, żeby załatwić nakaz.

• • •

Czekali w półmroku w drugim końcu parku. Komórka Shraga była takim samym tanim badziewiem jak komórka Rickarda, przeznaczonym wyłącznie na potrzeby tej misji jednorazowym telefonem na kartę, zaprogramowanym tak jak inne, tyle że z czterema, nie trzema numerami na liście kontaktów. Pierwsze trzy należały do Lozana, Baldacciego i Rickarda, czwarty zapisany był po prostu jako „Dom".

Ze spisu połączeń wynikało, że Shrago telefonował do domu dwie minuty przed wyjściem z hotelu.

– Z naszego pustego pokoju – stwierdziła Turner. – Dobrze zgadłeś. Twój plan przetrwał kontakt z nieprzyjacielem.

Reacher pokiwał głową.

– Prawdopodobnie kazali mu szukać gdzie indziej – uznał. – I w takim przypadku nie będą się od niego spodziewali telefonu, chyba że będzie miał dla nich nowe wiadomości. Sami też nie będą do niego dzwonili, a jeśli to zrobią, nie odbierzemy. Co sprawi, że będą trochę zaniepokojeni i zagubieni. Zanim postawią na nim krzyżyk, minie może ze dwanaście godzin.

– Lepiej uprzedźmy Espina, żeby nie informował nikogo o aresztowaniu. W przeciwnym razie Montague zaraz się o nim dowie. Na pewno monitoruje siedemdziesiątą piątą – powiedziała Turner i zrobiła to, telefonując po raz drugi do Espina, a następnie wybrała numer komórki sierżant Leach. Na wstępie wygłosiła tę samą formułkę co za pierwszym razem, radząc jej, by natychmiast się rozłączyła i zawiadomiła Morgana, ale Leach po raz drugi jej nie posłuchała, w związku z czym Turner podała jej numer, na który dzwonił Shrago, i poprosiła, żeby Leach

zwróciła się do wszystkich znanych jej osób zajmujących się na własną rękę rozpoznaniem radiowym. Z tonu Turner wynikało, że sierżant Leach jest w tej kwestii ostrożną optymistką. Reacher uśmiechnął się pod nosem. Amerykańscy sierżanci. Nie ma takiej rzeczy, której by nie potrafili.

Jakiś czas później po drugiej stronie parku zatrzymał się samochód, poobijany sedan podobny do tego, którym podwieźli Reachera do motelu pierwszego wieczoru. Wysiedli z niego dwaj duzi faceci w wysokich butach i mundurach ACU, wywlekli Shraga z krzaków i położyli na tylnym siedzeniu. Nie bez pewnych trudności. Shrago nie był ułomkiem.

Następnie wsiedli do samochodu i odjechali. Reacher i Turner odczekali kilka chwil, jak na pogrzebie, po czym przecięli ulicę, weszli do hotelu i pojechali windą do swojego pokoju.

67

Ponownie wzięli prysznic, traktując to jako symboliczny akt oczyszczenia, a także, by użyć więcej ręczników, których w łazience było około czterdziestu, w większości wystarczająco dużych i grubych, by pod nimi spać. Potem czekali, aż Leach oddzwoni, co ich zdaniem mogło się stać szybko lub nigdy, ponieważ albo jej znajomi znali się na rzeczy, albo się nie znali. Pierwsza zadzwoniła jednak komórka Reachera. Telefonowała Edmonds z nowymi informacjami.

– Siedem lat temu Crew Scully został powołany na stanowisko asystenta zastępcy szefa sztabu do spraw kadr. Od tamtego czasu nie zmienił miejsca zamieszkania. Wtedy stacjonował w Alexandrii. Obecnie całe Dowództwo Zasobów Ludzkich jest w Fort Knox w Kentucky. Z wyjątkiem biura zastępcy szefa sztabu, które pozostało w Pentagonie. Dlatego Scully może nadal mieszkać w Georgetown.

– Sprawia wrażenie bardzo nudnego faceta – mruknął Reacher.

– W przeciwieństwie do Montague'a. Siedem lat temu stacjonował w Afganistanie. Dowodził naszym kontrwywiadem. Całym. Nie tylko sił lądowych.

– Poważne stanowisko.

– Żeby pan wiedział.

– I co?

– Nie można niczego udowodnić. Nie zachowały się żadne papiery.

– Ale?

– To on musiał poręczyć za Zadrana. Takie obowiązują procedury. Nie ma mowy, żeby facet podejrzewany o przemyt granatów mógł wrócić do domu bez zgody kontrwywiadu. Więc odpowiedź na pytanie, które zadał pan wcześniej, dlaczego go po prostu nie zastrzelili, brzmi: ponieważ Montague powiedział, żeby tego nie robili. Oto dlaczego. Więc Zadran ma wobec Montague'a wielki dług wdzięczności.

– Albo ma na niego jakiegoś wielkiego haka.

– Tak czy inaczej, ich znajomość trwa od co najmniej siedmiu lat.

– Powinienem panią spytać, co porabiał Morgan przed siedmiu laty – powiedział Reacher.

– Zdziwiło mnie, że pan tego nie zrobił. W związku z tym sprawdziłam to z własnej inicjatywy. Generalnie Morgan pojawia się i znika. Jest facetem, którego posyła się tam, gdzie kogoś zabrakło. Ale żyjemy we wszechświecie, którym rządzi przypadek, a on był w tylu batalionach logistycznych, że kłóci się to z zasadą przypadkowości. Żaden z nich nie zaopatrywał Iraku, wszystkie zaopatrywały Afganistan. Co też nie jest do końca przypadkowe.

– Czy zawsze oddelegowywał go Scully?

– Za każdym razem.

– Dziękuję, pani kapitan.

– Po której stronie historii teraz się znajdujemy? – zapytała Edmonds, ale Reacher rozłączył się, nie odpowiadając, ponieważ zadzwonił inny telefon. Nie ten należący do Turner, ale do Shraga. Z dzwonkiem, który, podobnie jak komórka Rickarda, brzmiał jak trel szalonego ptaka. Ten sam typ telefonu. Komórka Shraga leżała na hotelowej komodzie, jazgocząc głośno i obracając się jak mechaniczna zabawka. Na ekraniku wyświetliło się „Połączenie przychodzące". Co stanowiło zbędną informację. Ale pod spodem widniał napis „Dom".

Telefon zadzwonił osiem razy i umilkł.

Reacher nie odezwał się.

– To przejaw zdenerwowania – powiedziała Turner. – Po prostu. Nie wydaliśmy żadnych pieniędzy, więc nie mają nowych tropów i nie mają mu nic do powiedzenia.

– Ciekawe, jak długo będą się denerwowali. Zanim spojrzą prawdzie w oczy.

– Mechanizm zaprzeczania to wspaniała rzecz. – Turner podeszła do okna i wyjrzała, uchylając zasłony. – Kiedy wrócę, zarządzę czyszczenie parowe całego gabinetu. Nie chcę, żeby pozostał tam najmniejszy ślad po Morganie.

– Dlaczego Montague pozwolił Zadranowi wrócić do domu w góry?

– Można powiedzieć, że zrobił to z przyczyn politycznych lub prawnych.

– Oba powody są możliwe. Ale może to coś innego.

– Nie bardzo wiem, co by to mogło być. Facet miał wtedy trzydzieści parę lat i był najmłodszym z pięciu braci, co stanowi dwa duże minusy w tej mocno zhierarchizowanej kulturze, a poza tym był niezgułą i nieudacznikiem, co stanowiło trzeci minus, więc generalnie nie miał żadnego statusu, żadnej wartości i najwyraźniej żadnych zdolności. Nikt nie chciał wziąć go do swojej drużyny. Tu nie chodziło o zwerbowanie kogoś wartościowego, do codziennej pracy albo pielęgnowania osobistych zamiłowań – doszła do wniosku Turner.

I w tym momencie znowu zadzwonił telefon Shraga. Te same ptasie trele, te same wibracje, te same słowa na ekranie. Zadzwonił osiem razy i umilkł.

• • •

Juliet wrócił do pokoju i usiadł na szezlongu.

– No i? – zapytał ze stojącego dwa metry dalej drugiego szezlonga Romeo.

– Próbowałem dwa razy – odparł Juliet.

– Co myślisz?

– Może być zajęty. Jeśli znajdzie się w odległości trzydziestu metrów od nich, wyłączy telefon. To chyba oczywiste.

– Jak długo może pozostawać blisko nich?

– Teoretycznie nawet kilka godzin.

– Więc czekamy po prostu na jego telefon?

– Chyba musimy.

– A jeśli nie zadzwoni?

– W takim razie jesteśmy skończeni.

Romeo powoli wypuścił powietrze.

– Bez względu na to, czy wygramy, czy przegramy, zabawa była przednia.

• • •

Telefon Turner zadzwonił minutę po tym, jak telefon Shraga umilkł po raz drugi. Nastawiła go na głośne mówienie i usłyszeli głos sierżant Leach:

– To telefon na kartę kupiony prawdopodobnie w Wal-Marcie. Jeśli został nabyty za gotówkę, namierzyć właściciela będzie równie trudno jak byłego męża mojej siostry.

– Co więcej wiemy?

– Bardzo dużo. Nie mamy tylko pojęcia, do kogo należy.

Całą resztę można ustalić. Ten telefon dzwonił w swoim życiu wyłącznie na dwa numery i dzwoniono do niego wyłącznie z dwóch numerów. Tak się składa, że to te same numery.

– Dzwoniono równie często pod jeden i pod drugi numer?

– Bynajmniej.

– Pod który częściej?

Leach podała numer i nie była to komórka Shraga.

– To pewnie Romeo – stwierdził Reacher. – Chcemy, żeby sprawdziła pani teraz ten numer.

– Pozwoliłam już sobie to zrobić, panie majorze. Ta sama historia. Telefon na kartę kupiony w Wal-Marcie, ale ten jest jeszcze bardziej samotny. Jedynym numerem, z którego do niego dzwoniono, i jedynym, pod który z niego dzwoniono, jest jego towarzysz. To doskonale zorga-

nizowana sieć łączności. Ich metodologia i dyscyplina wydają mi się wzorowe. Macie do czynienia z bardzo sprytnymi ludźmi. Czy wolno mi coś zasugerować?

– Oczywiście – odparła Turner.

– Powinniście postępować z wyjątkową ostrożnością, pani major i panie majorze. Na początek trochę zewrzeć szyki.

– To znaczy?

– Drugi numer, pod który dzwonił pierwszy facet, należy do telefonu aktualnie znajdującego się dwie przecznice na północ od Białego Domu. Zgaduję, że zameldowaliście się w tym luksusowym hotelu i albo przeciwnik obserwuje budynek, albo odebraliście mu już komórkę i macie ją w swoim pokoju. W takim przypadku powinniście pamiętać, że jeśli ja ją widzę, oni też mogą ją widzieć. Chyba że ją wyłączycie. Nad czym powinniście się zastanowić.

– Widzi ją pani?

– Technologia to wspaniała rzecz.

– A widzi pani pozostałe dwie komórki?

– Oczywiście. Patrzę na nie w tej chwili.

– Gdzie są?

– Obie pod tym samym adresem w Georgetown.

– W tej chwili? W realnym czasie?

– Tak jest. Sygnał jest odświeżany co piętnaście sekund.

– Jest środek nocy. Większość ludzi smacznie śpi.

– Tak jest.

– To dom Scully'ego czy Montague'a?

– Żadnego z nich. Nie wiem, co mieści się w tym budynku.

68

Leach powiedziała, że toczyły się spory o takie rzeczy jak triangulacja, wi-fi, GPS i margines błędu, i nikt nie potrafi powiedzieć, czy telefon jest w prawej kieszeni spodni, czy lewej kieszeni marynarki, ale większość zgadza się, że można ustalić z dość dużą pewnością, w którym znajduje się budynku. I im większy budynek, tym większą można mieć pewność, a ten, który namierzyła Leach, był całkiem spory. Udało jej się ustalić jego adres, znalazła go w komputerze i oznajmiła, że na Street View widać całkiem okazałą willę z zabytkową ceglaną fasadą, czterema kondygnacjami oraz dwoma otwieranymi w pionie oknami po obu stronach ozdobnych frontowych drzwi, które pomalowano błyszczącą czarną farbą. W drzwiach, nad którymi wisiała mosiężna latarnia, był otwór na listy, a wyżej numer domu i mała mosiężna tabliczka z napisem „Dove Cottage".

Turner nie rozłączyła się z Leach, a Reacher zadzwonił ze swojego telefonu do Edmonds. Podał jej adres domu i poprosił, żeby spróbowała znaleźć jakieś dane dotyczące podatków, tytułu własności i pozwoleń na użytkowanie. Edmonds obiecała, że to zrobi, i się rozłączyła, a Turner zakończyła rozmowę z Leach.

– Nie mamy samochodu – zauważyła.

– Nie potrzebujemy go – odparł Reacher. – Zrobimy to samo co Shrago. Weźmiemy taksówkę i ostatni odcinek przejdziemy pieszo.

– Jemu nie wyszło to na dobre.

– Ale my nim nie jesteśmy. Poza tym są teraz bezbronni. Zastępcy szefów sztabów żyją w kokonie. Minęło sporo czasu, odkąd zrobili coś sami.

– Masz zamiar poderżnąć im gardła nożem do masła?

– Jeszcze go nie mam. Może powinienem wezwać obsługę hotelową.

– Nadal jestem dowódcą?

– Co ci chodzi po głowie?

– Chcę, żeby zostali normalnie aresztowani. Żeby zamknięto ich w celach w Fort Dyer i postawiono przed sądem polowym. Chcę, żeby wszystko odbyło się zgodnie z regulaminem, Reacher. Chcę zostać publicznie oczyszczona z zarzutów. Chcę, żeby ława przysięgłych wysłuchała każdego słowa i żeby sąd wydał sprawiedliwy wyrok.

– Normalne aresztowanie wymaga mocnych dowodów – przypomniał Reacher.

– Poderżnięcie im gardeł nożem do masła też powinno tego wymagać.

– Dlaczego Montague pozwolił Zadranowi wrócić do domu?

– Z powodu jego historii.

– Chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Wiemy wszystko, co trzeba wiedzieć – odparła.

Reacher pokiwał głową. Pozbawiony znaczenia wieśniak, czterdzieści dwa lata, najmłodszy z pięciu braci, czarna owca w rodzinie, cieszy się niezbyt dobrą opinią. Próbował sił w różnych dziedzinach i wszędzie poniósł porażkę.

– Nóż do masła byłby łatwiejszy – powiedział.

I w tym momencie zadzwoniła jego komórka. Telefonowała Edmonds.

– Szybko się pani uwinęła – stwierdził.

– Pomyślałam sobie, że jeśli się pośpieszę, uda mi się godzinę zdrzemnąć.

– Niech pani na to nie liczy. Co pani ma?

– Dove Cottage to prywatny klub. Otworzyli go cztery lata temu. Lista członków jest poufna.

– Cztery lata temu?

– Nie mamy dowodów.

– Cztery lata temu mieliśmy Morgana w Fort Bragg. Formował drużynę wokół Shraga.

– Nie możemy udowodnić, że istnieje tu jakiś związek.

– Czy Scully i Montague są członkami?

– Której części słowa „poufne" pan nie rozumie?

– Jakieś plotki?

– Podobno członkami są sami mężczyźni. Politycy, choć to nie jest salon polityczny, wojskowi, ludzie mediów, biznesmeni, chociaż nie załatwiają tam żadnych interesów. Ludzie chodzą tam po prostu się zabawić. Czasami zostają na całą noc.

– I co takiego robią?

– Nikt tego nie wie.

– Jak może pani zostać członkiem?

– Nie mogę, skoro przyjmują wyłącznie mężczyzn.

– Jak ja mógłbym?

– Tylko za zaproszeniem. Musiałby pan znać kogoś, kto zna kogoś.

– I nikt nie wie, czym się tam zajmują?

– W Dystrykcie Columbii są setki prywatnych klubów. Nie sposób wszystkich kontrolować.

– Dziękuję, pani mecenas – powiedział Reacher. – Za wszystko. Wykonała pani dobrą robotę.

– To brzmi jak pożegnanie.

– Może się nim okazać. Albo i nie. To jak rzut monetą.

• • •

Szerokość geograficzna i pora roku oznaczały, że do wschodu słońca zostało im jeszcze około dziewięćdziesięciu minut. Zabrali więc to, co było im potrzebne, i zjechali windą na dół, gdzie facet w czapce sprowadził im taksówkę. Pojechali nią na północ Szesnastą Ulicą, do Scott Circ-

le, gdzie skręcili w P Street i minąwszy park, znaleźli się w Georgetown. Dojechali tylko do Wisconsin Avenue i tam wysiedli. Taksówka odjechała, a oni cofnęli się dwie przecznice, skręcili w lewo i ruszyli do domu, który ich interesował i znajdował się dwie przecznice na północ, na prawo, w dzielnicy sprawiającej wrażenie najdroższej, jaka powstała, odkąd wynaleziono pieniądze. Po lewej były wypielęgnowane tereny zielone należące do jakiegoś wielkiego pałacu. Po prawej miejskie rezydencje połyskujące w mroku, dostojne i szacowne, każda jedyna w swoim rodzaju i każda dumnie zajmująca miejsce w szeregu.

Dom, który ich interesował, idealnie do nich pasował.

– Niezła chata – mruknęła Turner.

Budynek był wysoki i elegancki. Odznaczał się idealną symetrią i powściągliwością i nie było w nim nic pretensjonalnego, lecz mimo to miał w sobie coś, co przyciągało wzrok. Mosiężna tablica była niewielka. W kilku oknach paliło się światło, które można było wziąć za płomyki świec, ponieważ szyby były stare i nierówne. Drzwi odmalowywano chyba na każde wybory prezydenckie od czasów Jamesa Madisona. Były duże, solidnie wykonane i idealnie osadzone. Nie do sforsowania.

Ale Reacher i Turner nie oczekiwali cudów i spodziewali się, że będą obserwowali, i czekali. Ułatwił im to nieco sposób, w jaki urządzono teren wokół olbrzymiego pałacu. Otaczało go żelazne ogrodzenie osadzone na sięgającym do kolan murku, który był na tyle wysoki, że mogła na nim usiąść niewielka osoba. Turner była niewielką osobą, a Reacher przywykł do niewygód. Nad głowami mieli plątaninę nagich gałęzi. Bezlistnych, więc nie zapewniały pełnej osłony, ale być może tworzyły jakiś rodzaj kamuflażu. Wydawały się dość gęste, by rozproszyć światło latarni. Podobnie jak nowe cyfrowe desenie na piżamach ACU.

– Nie wiemy nawet, jak wyglądają – odezwała się Turner.

– Mogliby stamtąd wyjść i nas minąć.

W związku z czym zadzwoniła ponownie do Leach i poprosiła, by ta zaalarmowała ich, gdyby telefony zaczęły się przemieszczać. Do czego na razie nie doszło. Nadal były w zasięgu tych samych trzech stacji

bazowych, które wskazywały stojący naprzeciwko nich budynek. Reacher obserwował okna i drzwi. „Ludzie chodzą tam po prostu się zabawić. Czasami zostają na całą noc". W takim razie wkrótce powinni zacząć wychodzić. Politycy i wojskowi, ludzie mediów i biznesmeni, wszyscy mają jakąś pracę. Zaraz wytoczą się na miękkich nogach, żeby wrócić do domu i ogarnąć się przed czekającym ich dniem.

Tyle że pierwszy facet wcale się nie wytoczył. Drzwi otworzyły się mniej więcej godzinę przed świtem i na ulicę wyszedł facet w garniturze, świeży, pachnący i uczesany, w wyglansowanych butach, które lśniły tak samo jak drzwi. Skręcił w lewo i ruszył chodnikiem, nie za szybko i nie za wolno, zrelaksowany i wyglądający na bardzo szczęśliwego, usatysfakcjonowanego i zadowolonego z życia. Przekroczył już raczej wiek średni. Skierował się w stronę P Street i po przejściu pięćdziesięciu metrów zniknął w mroku.

Reacher spodziewał się chyba podświadomie rozpusty i rozmamłania, potarganych włosów, zaczerwienionych oczu, rozwiązanego krawata, śladów szminki na kołnierzyku, być może nawet butelki trzymanej za szyjkę pod niezapiętym mankietem. Ale facet sprawiał zupełnie inne wrażenie. Może to był salon odnowy biologicznej. Może masowano go przez całą noc gorącymi kamieniami albo zaordynowano jakąś inną formę głębokiego masażu. Jeśli tak, to terapia dała znakomite efekty. Facet był po prostu w siódmym niebie.

– Dziwne – mruknęła Turner. – Nie tego oczekiwałam.

– Może to towarzystwo literackie? – podsunął Reacher.

– Coś w rodzaju klubu poetyckiego. W oryginalnym Dove Cottage mieszkał William Wordsworth. Angielski poeta. Sam wędrowałem niczym chmura, tłum złotych żonkili i takie tam pierdoły. Mały bielony wapnem domek w Anglii. W angielskiej Krainie Jezior, która jest pięknym miejscem.

– Kto zarywa całą noc, żeby czytać poezję? – zdziwiła się Turner.

– Wielu ludzi. Przyznaję, że na ogół młodszych od tego faceta.

– Żeby się zabawić?

– Poezja może dawać mnóstwo satysfakcji. W każdym razie dawała

temu facetowi od żonkili. Pisał, że człowiek powinien położyć się na plecach i przypomnieć sobie coś dobrego, co widział.

Turner nie odezwała się.

– To lepsze od Tennysona – dodał Reacher. – Musisz to przyznać.

Czekali i obserwowali przez następne dwadzieścia minut. Niebo za domem się rozjaśniło. Troszeczkę. Kolejny świt, kolejny dzień. Z domu wyszedł drugi facet. Podobny do pierwszego. Stary, gładki, różowy, ubrany w garnitur, szczęśliwy i głęboko usatysfakcjonowany. Żadnego stresu, żadnego pośpiechu. Żadnych trosk, żadnego skrępowania.

Skręcił w tę samą stronę co pierwszy facet, w P Street, i odszedł lekkim miarowym krokiem, z podniesioną głową i błąkającym się na ustach uśmieszkiem, niczym władca wszechświata, w którym wszystkim dobrze się dzieje.

– Zaczekaj – mruknął Reacher.

– Co takiego?

– Montague.

– To był on? Leach nie zadzwoniła…

– Nie, ten klub należy do Montague'a. Jest jego właścicielem. Albo należy do niego i do Scully'ego.

– Skąd wiesz?

– Z powodu nazwy. Dove Cottage jest jak Romeo. W głębi duszy ten facet jest marnym oficerem wywiadu. Za bardzo wierzy w to, że jest geniuszem. Nie może się po prostu powstrzymać.

– Przed czym?

– Dlaczego pozwolił Zadranowi wrócić do domu?

– Z powodu jego historii.

– Nie, pomimo jego historii. Z powodu tego, kim był Zadran. I kim byli jego bracia. Bracia wybaczyli mu i przyjęli z powrotem na łono rodziny. To nie Zadran się zrehabilitował i znalazł sobie nową rolę. To jego bracia zrehabilitowali go i dali mu nową rolę. To stanowiło część ich umowy z Montague'em. Coś za coś.

– Jakiej umowy?

– Ludzie pamiętają, że Wordsworth mieszkał ze swoją siostrą Doro-

thy, ale zapominają, że oboje mieszkali z jego żoną, szwagierką i gromadką dzieci. Chyba trójką.

– Kiedy to było?

– Ponad dwieście lat temu.

– Więc dlaczego o tym mówimy?

– Oryginalny Dove Cottage był małym, bielonym wapnem domkiem. Za małym na siedem osób. W końcu się wyprowadzili. Wprowadził się nowy lokator.

– Kto?

– Facet o nazwisku Thomas de Quincey. Kolejny pisarz. W tamtym czasie nie można się było opędzić od pisarzy. Wszyscy się przyjaźnili. Ale Wordsworth mieszkał tam tylko przez sześć lat. De Quincey przez jedenaście. Dlatego, jeśli weźmie się pod uwagę, ile czasu tam spędzili, można powiedzieć, że Dove Cottage był bardziej jego domem niż domem Wordswortha. Mimo że ludzie pamiętają głównie tego drugiego. Może dlatego, że był lepszym poetą.

– No i?

– Zaczekaj – syknął Reacher. – Popatrz.

Drzwi znowu się otworzyły i na zewnątrz wyszedł trzeci facet. Włosy siwe, ale gęste i pięknie ufryzowane. Twarz różowa, umyta i ogolona. Garnitur za trzy tysięcy dolarów i biała jak dziewiczy śnieg koszula. Przepięknie zawiązany jedwabny krawat. Prawdopodobnie polityk. Stał przez chwilę, a potem zaczerpnął rześkiego rannego powietrza i ruszył przed siebie, podobnie jak pierwsi dwaj zrelaksowany, beztroski, emanujący pogodą ducha. Skręcił w tę samą stronę, w kierunku P Street, i wkrótce zniknął im z oczu.

– Wnioski? – zapytał Reacher.

– Tak jak mówiliśmy wcześniej. To sanktuarium dla wyrafinowanych starszych panów pielęgnujących osobiste zamiłowania.

– Co wraca do kraju w wojskowych transportach?

– Nie wiem.

– Jak zarabiają na życie bracia Zadrana?

– Pracują na rodzinnej farmie.

– Co uprawiają?

– Mak – odparła Turner.

– Dokładnie. I powierzyli Zadranowi nową rolę. Handlarza. Ponieważ miał już nawiązane kontakty. Tak jak mówiłaś. Co pisał Thomas de Quincey?

– Poezję?

– Jego najsłynniejszym dziełem jest autobiograficzna książka pod tytułem *Wyznania angielskiego opiumisty*. To właśnie robił w Dove Cottage, równo przez jedenaście lat. Łagodził codzienne napięcie. A potem napisał o tym pamiętnik.

– Chciałabym dostać się do środka – powiedziała Turner.

• • •

Reacher był w oryginalnym Dove Cottage w Anglii. Zapłacił za wstęp i schylił się, wchodząc przez niskie drzwi. Po prostu. Wejście do nowego Dove Cottage mogło się okazać o wiele trudniejsze. Wdarcie się do takiego domu było czymś, co żołnierze Delta Force i Navy Seals ćwiczą przez całe życie. Zadanie nie jest proste.

– Widzisz jakieś kamery? – zapytał Reacher.

– Nie, ale na pewno musi ich być kilka – odparła Turner.

– Jest dzwonek przy drzwiach?

– Nie ma przycisku. Tylko kołatka. Co tchnie oczywiście większym autentyzmem. Może w tej dzielnicy wymagają tego przepisy.

– Skoro tak, muszą być kamery. W takim miejscu nie otwierają drzwi za każdym razem, kiedy ktoś do nich zakołata. Muszą wiedzieć, kto to taki.

– Z tego wynika, że mają pomieszczenie operacyjne z monitorami i jakimś mechanizmem otwierającym zdalnie drzwi. Mógłby to obsługiwać jeden człowiek. Sądzisz, że mają ochroniarzy?

– Muszą mieć służących. Dyskretnych niedużych facetów w ciemnych garniturach. Którzy są również ochroniarzami. Domyślam się, że

kamery są małe. Może to tylko wystające ze ściany miniaturowe obiektywy. Może ich być kilkadziesiąt. Co byłoby całkiem zrozumiałe. W takim miejscu jak to ktoś musi stale obserwować, co się dzieje.

– Dobrze byłoby zobaczyć, jak ktoś wchodzi, a nie wychodzi. Zorientowalibyśmy się, jak to się odbywa.

Ale nie zobaczyli tego. Nikt nie wszedł. Nikt nie wyszedł. Dom zastygł w bezruchu. Światła paliły się w tych samych oknach. Nad dachem pojawiły się pierwsze smugi brzasku.

– Nigdy ich nie spotkaliśmy – powiedziała Turner.

– Widzieli nasze fotografie – stwierdził Reacher.

– Sądzisz, że pokazali nasze fotografie facetowi, który siedzi w pomieszczeniu operacyjnym?

– Mam szczerą nadzieję, że tak. Mówimy w końcu o kimś, kto zajmuje kluczowe stanowisko w wywiadzie Stanów Zjednoczonych.

– W takim razie drzwi po prostu pozostaną zamknięte – powiedziała Turner. – Po prostu. Nic nas to nie kosztuje.

– Czy to ich zaalarmuje? Czy już są zaalarmowani?

– Wiesz, że są zaalarmowani. Wpatrują się w mrok.

– Może w ogóle nie wpuszczają do środka kobiet.

– Będą musieli wysłać kogoś na dół, żeby to wyjaśnił. Jeśli nas nie rozpoznają, możemy być kimkolwiek. Miejskimi urzędnikami czy kim tam jeszcze. Muszą z nami pogadać.

– W porządku – zgodził się Reacher. – Zapukanie do drzwi jest jakimś wyjściem. Jak wysoko na liście chcesz je umieścić?

– Gdzieś pośrodku – odparła Turner.

– Co jest wyżej? – zapytał pięć minut później Reacher.

– Moim zdaniem powinniśmy wezwać ludzi z Agencji Zwalczania Narkotyków. Albo Espina z siedemdziesiątej piątej. Albo waszyngtońską policję. Albo wszystkich wyżej wymienionych. Prawdopodobnie również FBI. Mogą zacząć pracować nad finansowym aspektem sprawy.

– Ty tu dowodzisz.

– Chcę legalnego aresztowania.

– Ja też.

– Naprawdę?

– Bo ty go chcesz.

– To jedyny powód?

– Jestem za legalnym aresztowaniem, kiedy to tylko możliwe. Zawsze. Nie jestem barbarzyńcą.

– Tak czy inaczej, nie możemy tu dłużej siedzieć. Rozwidnia się.

I rzeczywiście się rozwidniło. Słońce wyszło zza horyzontu i poziome promienie oświetliły dom, rzucając niesamowicie długie cienie. Niebo pobłękitniało. Zapowiadał się piękny dzień.

– Zadzwoń – powiedział Reacher.

– Do kogo najpierw?

– Do Leach. Lepiej, żeby to koordynowała. W przeciwnym razie będziemy tu mieli prawdziwy cyrk.

Turner opróżniła kieszenie z komórek, których miała dwie, swoją i Shraga. Sprawdziła, czy wybrała właściwą, po czym odwróciła się plecami do ulicy, zamierzając zadzwonić. Stała oświetlona od tyłu, ciepła i złota w porannym słońcu.

I nagle zaczął dzwonić telefon Shraga Leżał na kamiennym murku, pod prętami ogrodzenia. Szaleńcze trele były wyłączone, ale wibracja nie i dawała ostro do wiwatu. Telefon kręcił się dokoła, jakby próbował wybrać kierunek. Na ekranie znowu pojawiły się napisy „Połączenie przychodzące" i „Dom".

Telefon zawibrował osiem razy i ucichł.

– Świt – powiedziała Turner. – Jakiś rodzaj nieprzekraczalnego terminu. Coś ustalonego wcześniej albo uświadomionego sobie w tej chwili. Muszą się teraz cholernie niepokoić. Wkrótce postawią na nim krzyżyk.

Obserwowali dom jeszcze przez minutę i dokładnie wtedy, gdy odwracali wzrok, okno na górze rozjaśniło się na krótką chwilę, zupełnie jakby ktoś robił zdjęcie, używając magnezji, i usłyszeli dwa stłumione strzały z pistoletu, prawie jednoczesne, lecz dające się odróżnić, zbyt szybkie, by przyjąć, że strzelano z tej samej broni, ale wystarczająco bliskie, by mogły zostać oddane przez dwóch starszych panów, którzy po-

liczyli do trzech i pociągnęli obaj za spust.

69

Przez długą upiorną minutę nic się nie działo. A potem czarne drzwi gwałtownie się otworzyły i wypadł przez nie sznur facetów w różnych stanach gotowości, niektórzy czyści, ubrani i gotowi do wyjścia, inni prawie, jeszcze inni potargani i rozchełstani, wszyscy biali i starzy, w liczbie może ośmiu albo dziewięciu, a razem z nimi wybiegło sześciu facetów w uniformach przypominających obsługę hotelu i jeden facet w golfie, który zdaniem Turner mógł dyżurować w pomieszczeniu operacyjnym. Na chodniku wszyscy zwolnili, ogarnęli się i niespiesznie oddalili, jakby nic z tego, co się stało, ich nie dotyczyło. Jeden facet w garniturze przemaszerował tuż obok Reachera z wyrazem twarzy, który mówił: „Kto, ja?".

A potem Reacher i Turner ruszyli pod prąd, w stronę czarnych drzwi, i minąwszy kilku maruderów, znaleźli się w dużym eleganckim holu urządzonym w stylu kolonialnym, w jasnożółtym kolorze, z mosiężnymi lichtarzami i zegarami, ciemną mahoniową boazerią i portretem Jerzego Waszyngtona.

Weszli po schodach, szerokich i wyłożonych chodnikiem, i sprawdzili pusty pokój, w którym stały dwa eleganckie szezlongi, a obok nich dwa eleganckie stoliki do kawy. Na stolikach ustawiono wszystkie przybory, których może potrzebować palacz opium. Lampy, misy i długie, bardzo długie fajki, wszystkie na takiej wysokości, by leżący swobodnie na boku mężczyzna mógł po nie łatwo sięgnąć. Tu i tam

leżały poduszki, a powietrze było ciepłe i ciężkie.

Scully'ego i Montague'a znaleźli w następnym pokoju. Obaj mieli koło sześćdziesiątki, obaj byli siwi i sprawni, ale nie tak żylaści jak niektórzy generałowie, którzy chcą, by ludzie wiedzieli, że służyli w piechocie. Tym dwóm wystarczało, że byli zakulisowymi graczami. Mieli na sobie ciemne spodnie i satynowe smokingi. Ich fajki były z kości i srebra. Obaj mieli dziury w obu skroniach, po pełnopłaszczowych pociskach kalibru dziewięć milimetrów, wystrzelonych ze służbowych berett, które teraz leżały na podłodze. Rany wlotowe były po prawej stronie. Reacher wyobraził sobie, jak zgodnie z tym, co uzgodnili, telefonują o świcie, ale odpowiedzi nie ma, więc być może uścisk dłoni, a potem lufy przyciśnięte do skroni, łokcie na zewnątrz i raz, dwa, trzy…

Chwilę później na ulicy nagle zawyły syreny i z samochodów wyskoczyło mniej więcej stu ludzi.

• • •

Facet z Agencji Zwalczania Narkotyków opowiedział im wszystko we frontowym pokoju, do którego wchodziło się z szerokiego eleganckiego holu. Okazało się, że Shrago wyśpiewał wszystko Espinowi mniej więcej półtorej sekundy po zatrzymaniu, co oznaczało, że Morgana przyskrzyniono trzydzieści minut później i Morgan wyśpiewał wszystko również półtorej sekundy po zatrzymaniu, w następstwie czego Espin zawiadomił trzy różne agencje i zaplanowano wspólny nalot. A następnie go dokonano. Ale pięć minut za późno.

– Nie spóźniliście się – powiedział Reacher. – Mogliście tu przyjechać wczoraj, a oni zrobiliby to samo. Nie miało znaczenia, kto wchodzi po schodach. Wy, my czy ktoś inny, i tak mieli zamiar odejść jak dżentelmeni.

Facet oznajmił, że palarnie takie jak Dove Cottage można znaleźć na całym świecie; nastawiają się na cywilizowanego klienta, który woli do-

bre wino od piwa. Opium to naturalny produkt, odparowywany i wdychany, nektar dżentelmena, słodki jak organiczny miód. Coś prawdziwego. Oryginalnego. Nie podrobionego, modyfikowanego ani przetwarzanego. W żaden sposób. Nie zanieczyszczone, nie kupowane na ulicy, wytwarzane w niezmienny sposób od tysięcy lat. Od archeologów można się dowiedzieć, że określenie „epoka kamienna" ma dwa znaczenia.

I podobnie jak to się dzieje w przypadku dobrego wina, rzecz obrosła mitologią. Utrzymywano, że ważny jest teren. Najlepsze były podobno w Afganistanie. Badano poszczególne zbocza. Tak jak w przypadku winnic. Montague dobił targu z braćmi Zadrana. Ich towar był oceniany bardzo wysoko. Nadano mu specjalny znak Z, wypromowano i Dove Cottage zaczął wkrótce pobierać niebotyczne opłaty członkowskie. Wszystko szło świetnie przez cztery lata. A potem ktoś zobaczył, jak ich człowiek zmierza na północ, na rytualną naradę, i mimo podejmowanych przez nich starań wszystko się posypało. Espin, który zajrzał do pokoju, oznajmił, że podejmowane przez nich starania były znaczące. Oznajmił, że rozpracowuje właśnie ich finanse i zdążył ustalić, że sto kafli wpłynęło bezpośrednio z osobistego konta Montague'a.

A potem w klubie pojawił się również pułkownik John James Temple, który nadal był zarejestrowanym adwokatem Turner, a także major Helen Sullivan i kapitan Tracy Edmonds, które nadal były adwokatkami Reachera. Nakaz aresztowania Turner został bezwarunkowo uchylony. Do czasu formalnego wycofania zarzutów była w zasadzie wolna. Sullivan i Edmonds miały większy problem. Zważywszy na aktualny status Morgana, trudno było orzec, czy Reacher nadal służy, czy nie służy w wojsku. Było to pytanie, które zamierzano skierować aż do samego zastępcy szefa sztabu do spraw kadr, który leżał martwy na górze.

• • •

Turner uprosiła pułkownika Temple'a, żeby ich podwiózł. Pułkow-

nik trochę się udobruchał, kiedy Reacher zwrócił mu jego legitymację, lecz atmosfera i tak była napięta. Ale Reacher chciał jak najprędzej znaleźć się razem z Turner w hotelu, a lepiej było pojechać tam samochodem pułkownika niż iść piechotą. Tyle że wcale nie wylądowali w hotelu. Najwyraźniej Turner podała jako cel podróży Rock Creek, bo Temple wjechał przez most do Wirginii. Stary murowany budynek. Jej dowództwo. Jej baza. Jej dom. „Kiedy wrócę, zarządzę czyszczenie parowe całego gabinetu. Nie chcę, żeby pozostał tam najmniejszy ślad po Morganie".

I w tym momencie wiedział już na pewno. Kochała obozowe ognisko. Tak jak kochał je on sam, kiedyś, dawno temu, ale tylko przez krótki okres i tylko to specjalne ognisko płonące w sto dziesiątej jednostce specjalnej. Która teraz należała do niej.

Kiedy tam dotarli, był późny ranek i zastali wszystkich. Nocna zmiana została na dzień. Espin informował ich na bieżąco i śledzili uważnie rozwój wypadków. Ludzie z dziennej zmiany dowiedzieli się po przyjściu, że już po wszystkim. Byli tam sierżant Leach i kapitan dyżurny. Reacher zastanawiał się, czy Turner w ogóle wspomni o bohomazach. Chyba nie. Bardziej prawdopodobne było, że awansuje go na boczny tor.

Pierwszą godzinę wypełniło Turner głównie świętowanie, z przybijaniem piątek, gadaniem pierdół i poklepywaniem się po plecach, a potem tak się jakoś złożyło, że zakończyła obchód w swoim gabinecie i została tam, podejmując pracę w punkcie, w którym ją przerwała, analizując każdą informację i sprawdzając każdą dyspozycję. Reacher posiedział jakiś czas z Leach, a potem zszedł po kamiennych schodach i udał się na długi spacer. Kiedy wrócił, Turner nadal była zajęta, więc posiedział jeszcze trochę z Leach, a potem zrobiło się ciemno i Turner zeszła po schodach, trzymając w ręku kluczyk do samochodu.

– Przejedź się ze mną – powiedziała.

• • •

Czerwone sportowe auto przez kilka dni stało w miejscu, ale silnik zapalił od razu i pracował równo, może trochę zbyt głośno i chrapliwie, ale Reacher domyślił się, że tak to zostało zaprojektowane przez faceta od tłumików. Turner przekręciła do oporu ogrzewanie, po czym odpięła dach i schowała go za siedzeniami.

– To jak rockandrollowa piosenka, która leci przez radio – powiedziała.

Wyjechała tyłem z miejsca parkingowego, minęła bramę, skręciła w lewo i ruszyła tą samą trasą, którą jeździł autobus. Minęła motel i dojechała do pasażu, gdzie zaparkowała przed dużym otynkowanym na biało budynkiem z menu w greckim stylu.

– Postawić ci kolację? – zapytała.

W restauracji byli najróżniejszego rodzaju ludzie. Pary, rodziny i dzieci. Wśród nich dziewczynki, z których niektóre mogły mieć czternaście lat. Turner wybrała boks przy oknie od frontu i patrzyli, jak drogą przejeżdża autobus.

– Jestem detektywem i wiem, co teraz powiesz – odezwał się Reacher.

– Naprawdę?

– Szanse zawsze były pół na pół. Jak przy rzucie monetą.

– To takie łatwe?

– Nie musisz nawet myśleć, że masz jakieś zobowiązania. To był mój pomysł, nie twój. To nie ty przyjechałaś do mnie do Dakoty Południowej.

– To prawda. Tak to się zaczęło. Nie byłam pewna. Ale to się zmieniło. Na jakiś czas. Od tamtego momentu w celi, w areszcie Dyer. Zabierając Temple'a, odwróciłeś się i powiedziałeś, żebym na ciebie zaczekała. I zaczekałam.

– Nie miałaś wyboru. Siedziałaś w mamrze.

– Ale teraz nie siedzę.

– Rozumiem – odparł. – Sto dziesiąta jest lepsza.

– I dostałam ją z powrotem. Nie mogę stąd tak po prostu odejść.

– Rozumiem – powtórzył Reacher. – A ja nie mogę zostać. Nie mogę

zostać tutaj. I w ogóle nigdzie. Więc nie chodzi tylko o ciebie. Oboje mówimy „nie".

– Sto dziesiąta to twoje dzieło. Jeśli to poprawi twoje samopoczucie.

– Chciałem się z tobą spotkać – powiedział Reacher. – Po prostu. I spotkałem się. Misja zakończona.

• • •

Zjedli, zapłacili, a potem wyłożyli na stół to, co mieli w kieszeniach. Turner wzięła portfele, karty kredytowe i telefon Shraga do sprawdzenia, a Reacher gotówkę na nadchodzące tygodnie minus trzydzieści dolarów, które Turner obiecała zwrócić major Sullivan. Potem wyszli na parking. Było chłodno i trochę wilgotno. W połowie wieczoru, w połowie zimy, w północno-wschodnim zakątku Wirginii. Niedaleko toczył leniwie wody Potomac. Za nim, na wschodzie, był Dystrykt Columbii, bijący od niego blask rozjaśniał chmury. Stolica kraju, w którym działy się najróżniejsze rzeczy. Pocałowali się po raz ostatni i uściskali, życząc sobie szczęścia, a potem Turner wsiadła do swojego małego czerwonego roadstera i odjechała. Reacher patrzył za nią, aż znikła mu z oczu. Wtedy wyrzucił komórkę do śmieci, przeciął ulicę i szedł nią tak długo, aż dotarł do przystanku autobusowego. Z którego autobusy jechały na północ, nie na południe. Wyjeżdżały z miasta, nie wjeżdżały. Zmierzały gdzieś dalej. Reacher usiadł na ławce. Był sam.